

ANDRZEJ SAWICKI



SZABLA SOBIESKIEGO

BÓG, OJCZYŻNA, SŁAWA I PIENIĄDZE...

KAMPANIE KAZIMIERZA LUXA

ANDRZEJ SAWICKI

SZABLA SOBIESKIEGO

KAMPANIE KAZIMIERZA LUXA

INSTYTUT
WYDAWNICZY ERICA

Spis treści

Karta redakcyjna

Wstęp

13 floréala VI roku ery republikańskiej (2 maja 1798 roku)

14 floréala VI roku ery republikańskiej (3 maja 1798 roku)

16 floréala VI roku ery republikańskiej (5 maja 1798 roku)

17 floréala VI roku ery republikańskiej (6 maja 1798 roku)

21 floréala VI roku ery republikańskiej (10 maja 1798 roku)

26 floréala VI roku ery republikańskiej (15 maja 1798 roku)

1 prairiala VI roku ery republikańskiej (20 maja 1798 roku)

5 prairiala VI roku ery republikańskiej (24 maja 1798 roku)

8 prairiala VI roku ery republikańskiej (27 maja 1798 roku)

11 prairiala VI roku ery republikańskiej (30 maja 1798 roku)

15 prairiala VI roku ery republikańskiej (3 czerwca 1798 roku)

22 prairiala VI roku ery republikańskiej (10 czerwca 1798 roku)

23 prairiala VI roku ery republikańskiej (11 czerwca 1798 roku)

27 prairiala VI roku ery republikańskiej (15 czerwca 1798 roku)

1 messidora VI roku ery republikańskiej (19 czerwca 1798 roku)

3 messidora VI roku ery republikańskiej (21 czerwca 1798 roku)

13 messidora VI roku ery republikańskiej (1 lipca 1798 roku)

15 messidora VI roku ery republikańskiej (3 lipca 1798 roku)

19 messidora VI roku ery republikańskiej (7 lipca 1798 roku)

21 messidora VI roku ery republikańskiej (9 lipca 1798 roku)

26 messidora VI roku ery republikańskiej (14 lipca 1798 roku)

29 messidora VI roku ery republikańskiej (17 lipca 1798 roku)

6 thermidora VI roku ery republikańskiej (24 lipca 1798 roku)

8 thermidora VI roku ery republikańskiej (26 lipca 1798 roku)

9 thermidora VI roku ery republikańskiej (27 lipca 1798 roku)

10 thermidora VI roku ery republikańskiej (28 lipca 1798 roku)

11 thermidora VI roku ery republikańskiej (29 lipca 1798 roku)

12 thermidora VI roku ery republikańskiej (30 lipca 1798 roku)

15 thermidora VI roku ery republikańskiej (2 sierpnia 1798 roku)

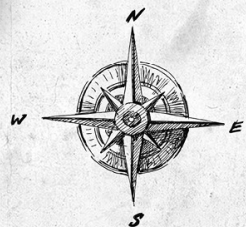
22 thermidora VI roku ery republikańskiej (9 sierpnia 1798 roku)

23 thermidora VI roku ery republikańskiej (10 sierpnia 1798 roku)

Przypisy



Italia w 1798 roku



Wstęp



W grudniu 1797 roku Legiony Polskie przeprowadziły samodzielną akcję przeciw Państwu Kościelnemu, czym otworzyły armii republikańskiej drogę na Rzym. Głównodowodzący sił francuskich, generał Berthier, pochwalił sprawność polskich żołnierzy, po czym, pod pretekstem pilnowania porządku w młodej Republice Cisalpińskiej, nakazał im wycofać się z powrotem do Rimini. Rzym był zbyt smacznym kąskiem, by zostawić go Polakom.

Wojska francuskie wkroczyły do Wiecznego Miasta w lutym 1798 roku. Papieża Piusa VI wygnano, jego armię rozwiązano, a Państwo Kościelne zlikwidowano. W jego miejsce utworzono Republikę Rzymską, na Kapitolu zasadzono rewolucyjne drzewo wolności, a na posągu Marka Aureliusza umieszczono francuską kokardę. Z dawnych papieskich żołnierzy sformowano niewielką armię rzymską. Powołano republikański parlament i rząd, których uchwały wchodziły w życie dopiero po zatwierdzeniu przez dowódcę miejscowego francuskiego garnizonu. „Niezawisła” republika była więc w rzeczywistości wojskową dyktaturą rządzoną przez Francuzów.

Republikańscy generałowie rozpoczęli masową grabież dzieł sztuki, na ich rozkaz plądrowano także kościoły i klasztory. Dowództwo lekceważyło przy tym potrzeby żołnierzy, którzy cierpieli głód i nie dostawali żywności. Tymczasem włoscy księża podburzali lud rzymski do ataków na najeźdźców. W niektórych rejonach miasta zamieszki trwały nieprzerwanie. Z dnia na dzień sytuacja stawała się coraz bardziej niepokojąca. W dodatku pod koniec lutego wśród głodnych francuskich żołnierzy wybuchł bunt. Generał Berthier został zmuszony do opuszczenia Rzymu, a dowództwo przejęła grupa młodszych oficerów.

Przybyły na miejsce generał de Gouvion Saint-Cyr z trudem uspokoił sytuację i przystąpił do likwidacji niezadowolenia w szeregach armii oraz pacyfikacji ogarniętych zamieszkami rejonów Rzymu. Zarządził też przegrupowanie wojsk, aby usunąć z miasta zbuntowane jednostki. Na ich miejsce postanowił sprowadzić słynących z dyscypliny i sprawności Polaków.

12 kwietnia 1798 roku rozpoczął się wymarsz Pierwszej Legii Polskiej z Rimini na południe – w kierunku przeciwnym, niż leżała ojczyzna. Dwu i pół tysiącom piechurów towarzyszyły: licząca cztery działa legionowa artyleria, wozy amunicyjne i kuźnia polowa. Polacy posuwali się początkowo wzdłuż wybrzeża adriatyckiego do Loreto, a potem

skierowali się na zachód, prosto na Rzym. U jego bram zatrzymali się pierwszego dnia maja. Mieli tu czekać do chwili uroczystego wkroczenia do miasta. Generał Dąbrowski postanowił uczynić z tego doniosłe wydarzenie, aby uczcić rocznicę ogłoszenia Konstytucji 3 maja. Wieczne Miasto z niepokojem, ale i wielką ciekawością oczekiwało na tę chwilę, ponieważ o Polakach opowiadano fantastyczne historie, w których przedstawiano ich zarówno jako barbarzyńskich ludożerców, jak i jako szlachetnych, religijnych rycerzy.

13 floréala VI roku ery republikańskiej^[1]

(2 maja 1798 roku)



Sierżant Kazimierz Lux wytrzeszczył oczy, gdy ręce francuskiego strzelca konnego zacisnęły się na jego gardle. Przeciwnik okazał się znacznie silniejszy od szczupłego osiemnastolatka w polskim mundurze. Francuz cisnął ile sił, jego palce wbijały się boleśnie w szyję Kazika, miażdżyły krtań, a przede wszystkim uniemożliwiały oddech. Na nic zdały się zadawane pięściami wściekłe ciosy sierżanta, kawalerzystę ogarnął szal i nie zważał na ból. Warczał i szczyrzył zęby, miotając roslým piechurým niby szmacianą zabawką. Luxowi zaczęły krążyć przed oczami mroczki, słabł z każdym uderzeniem, twarz nabrzmiała mu krwią. Wiedział, że nie może liczyć na pomoc kompanów, bo polscy fizylierzy wzięli się za łby z liczniejszymi zabojadami i każdy bił się na własną rękę.

Chłopak zaczął tracić przytomność. Już nie okładał przeciwnika pięściami, złapał za jego dłonie, rozpaczliwie próbując rozluźnić uchwyt. Sierżant musiał zaczerpnąć powietrza, nic poza tym już się nie liczyło. Przez myśl przemknęła mu zaskakująca refleksja, że dzień zapowiadał się tak pięknie i spokojnie, niczym niedziela na Bielanych. Jak to się, do stu diabłów, stało, że właśnie umiera?

* * *

Wymęczone długim marszem Legiony rozbiły obozy polowe w parkach na północnych przedmieściach Rzymu. Kompanii z Drugiego Batalionu, w której służył Kazik, poszczęściło się, bo pozwolono jej rozłożyć namioty na skraju ogrodów Villi Borghese, wspaniałego parku pełnego oczek wodnych i pięknych świątyń stylizowanych na starożytne ruiny. Możliwość popływania w ciepłym jeziorze – w którego toni odbijały się smukłe kolumny jakiejś tajemniczej budowli i nad którym zwisały gałęzie drzew – była niczym wizyta w rajzie po kilku tygodniach tłuczenia się po suchych, pylistych drogach.

Do tego wszystkiego wreszcie wypłacono im zaległy żołd, bo grenadierzy oznajmili, że dalej nie pójdą, jeśli generał nie zorganizuje im pieniędzy na wino i tytoń. Dąbrowski stanął na głowie i pożyczył skądś kilka tysięcy francuskich liwrów, ponadto załatwił przydział buciorów, których starczyło niemal dla wszystkich piechurów. Nawet kwatermistrzostwo się popisało i w drodze Polacy nie głodowali, czegoż więc można było chcieć więcej? Błękitne niebo nad głową, pełne brzuchy i trzosi, a do tego możliwość odpoczynku w niemal

komfortowych warunkach – tak doceniony żołnierz powinien być szczęśliwy i zadowolony z życia.

Legioniści zajęli się pucowaniem broni, cerowaniem i czyszczeniem mundurów, niektórzy nawet zdecydowali się je uprać. Co prawda ta czynność nie licowała z honorem żołnierza, jednak markietanki, które robiły pranie za drobną opłatą, w pierwszej kolejności obsługiwały oficerów, więc prosty żołnierz zazwyczaj musiał radzić sobie sam. Kazik zdążył doprowadzić do idealnego stanu swoje białe czechczery^[2], wypłukał wodą lejbiak^[3], usunął większość wszy z sięgających ramion czarnych włosów i natarł muskiet oliwą. Nie miał wyjścia, jako podoficer musiał świecić przykładem. Resztę dnia miał spędzić na nadzorowaniu doprowadzających się do porządku żołnierzy. Kiedy starszy sierżant kompanii, Rolewicz, przeprowadzał inspekcję, wszystko musiało grać. Inaczej nie tylko natarłby warszawiakowi uszu, lecz także przydzielił jakąś parszywą służbę, na przykład dowództwo nad nocną wartą.

Dzień płynął spokojnie i leniwie, Kazikowi zaczęło się nawet nudzić i już miał przyłączyć się do grających w karty dwóch galicyjskich chłopów, bliźniaków Kura, kiedy dopadł go porucznik Turkiewicz. Niewysoki jegomość z cienkim wąsikiem był straszliwie zasadniczy, więc Lux musiał regulaminowo oddać mu honory, prężąc się na baczność i salutując, mimo że dobrze się znali i walczyli ramię w ramię. Oficer konfidencjonalnym tonem poprosił go o wyświadczenie pewnej delikatnej przysługi. Warszawiak zgodził się bez wahania, zaintrygowany nietypowym zachowaniem sztywnego i nieprzystępnego zwykle porucznika. Okazało się, że Turkiewicz potrzebuje pomady do włosów i pudru, by w czasie uroczystej defilady prezentować się odpowiednio przystojnie. Możliwe bowiem było, że wejście do Rzymu polskich żołnierzy będą obserwować nadobne szlachcianki i inne piękne panny, zatem każdy oficer reprezentujący utraconą ojczyznę musiał wyglądać jak najbardziej zachęcająco i godnie.

– Myślisz upolować jaką ślicznotkę, panie Hipolicie? – Kazik nie mógł się powstrzymać przed szerokim uśmiechem.

– Tylko bez podobnych konfidencji^[4], sierżancie! – Turkiewicz zastrzygł lichym wąsem, piorunując młodzieńca wzrokiem. – Nie chodzi o głupoty, ale wyłącznie o pokazanie się *en grande tenue*^[5]. Zrozumiano?

– Jasne! – Lux nadal szczyrzył zęby, jednocześnie z pogardą przyglądając się rzadkim, posklejanym łojem i potem włosom porucznika. A widział je doskonale, bo oficer zdjął rogatywkę, by otrzeć czoło. Pomada i pudry wiele tu nie mogły działać. Gdzie tam jego przeredzonych włosom do gęstej, naturalnie lśniącej czupryny warszawiaka, regulaminowo przyciętej „na Kościuszkę”.

Turkiewicz krępował się pożyczać kosmetyki od innych oficerów, nie chciał też udać się do żadnego z medyków, choćby doktora Hoffmana, choć ten przecież był synem aptekarza, a przed insurekcją miał w Warszawie fabryczkę chemiczną i z pewnością jakąś maść na miejscu by ukręcił. Zamiast tego porucznik zażyczył sobie, by Kazik skoczył w okolice bramy, gdzie szeroko rozsypywały się domy rzymskich przedmieść. W którymś z pewnością urzędował

miejscowy aptekarz lub golibroda. W dodatku Lux, mający wrodzoną łatwość do języków, świetnie sobie radził z włoskim. Sierżant zgodził się bez dyskusji, szczęśliwy, że nie spędzi dnia w nudnym obozie. Dostał w garść trochę denarów i dodatkowe polecenie nabycia wody kolońskiej.

Na wycieczkę zabrał dla towarzystwa obu braci Kura, którzy i tak siedzieli beczynnie, bo nawet pod groźbą rozstrzelania nie dałoby się ich zmusić do uprania mundurów czy porządnego mycia.

Zanim doszli do granicy obozowiska, dołączyli do nich lwowiak Biernacki i Żyd Bauman, a potem dogonił ich jeszcze Stachowski, łobuz zdegradowany niedawno ze stopnia gefrajtra za awantury.

Z drużyną pięciu legionistów Kazik wyglądał na dowódcę patrolu, nikt więc ich nie zaczepiał, gdy zagłębili się w kręte uliczki. Mijali domy biedoty, zbudowane z kamieni pochodzących z gruzów starożytnych budowli. Jednak im bliżej głównego traktu, tym budynki stawały się bardziej zadbane i nowoczesne, za to mieszkańcy na widok Polaków zamykali okiennice i drzwi. Lux wszedł do kuźni stojącej przy głównym, północnym dukcie i śmiało zagadnął pracujących kowali. Okazało się, że jeden z nich był także cyrulikiem, zajmował się więc wrywaniem zębów i przycinaniem włosów. Nie miał pomad ani pudrów, ale zaproponował tłustą maść dla koni – dobrą na rany od otarć siodłem i rzędem, a do tego przyjemnie pachnącą ziołami, mogącą zatem uchodzić za smarowidło do włosów. Sierżant kupił ją bez zastanowienia i z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku wskazał legionistom stojący kawałek dalej zajazd.

– Tam pewnie dostaniemy jakąś perfumę dla porucznika. W austerii może się trafić wędrowny handlarz – oznajmił.

– A jak się nie trafi, to poprosimy o odstąpienie pachnideł jakiegoś podróznego modnisiaka – zaproponował Stachowski i wykrzywił usta w paskudnym uśmiechu.

– Żadnych grabieży i rozbójnictwa – syknął Kazik. – Żadnych rozrób, Janek, dobra?

Spojrzał spode łba na starszego odziesięć lat podwładnego. Bał się go trochę, bo wojak potrafił być nieobliczalny. Ponoć na terenie zaboru rosyjskiego poszukiwano go za morderstwo urzędnika.

Przed karczmą nie zastali wózka wędrownego handlarza, za to stało przy niej kilka wozów kupieckich i ciężka landara^[6] o bokach okutych błyszczącymi nitami. Powóz okazał się należeć do pięknej damy w bufiastej sukni. Brunetka o czarnych, błyszczących oczach siedziała w cieniu drzewa, przy stoliku nieco oddalonym od austerii, jakby chciała odizolować się od plebsu kręcącego się wokół karczmy. Lux ukłonił się jej i zasalutował, na co odpowiedziała lekkim uśmiechem.

„Za wysokie progi – skonstatował, podziwiając urodę Włoszki. – I za stara dla mnie”.

Żołnierze weszli do gospody, ustawili muszkiety w kozioł i zasiedli przy długim stole. W budynku było chłodno i panował w nim półmrok, a powietrze wypełniał tytoniowy dym,

zabijając wszelkie przykre zapachy.

– Ło Jezusie Nazareński, ile ja by dał za kubek zimnego piwa – westchnął Anzelm Kura, z trudnością przełykając ślinę.

– Ni marudź, wiesz przeca, że makarony piją ino wino. – Brat szturchnął go łokciem, szczerząc popsute zęby.

– Pora się przyzwyczaić, panowie – mruknął Bauman. – Dubeltowe lub marcowe wypijemy dopiero, gdy wrócimy do kraju.

Sierżant zażądał od karczmarza dzbana wina dla kompanów, a sam ruszył między biesiadujących kupców popytać o wodę kolońską. Za zaskakująco wysoką kwotę zaoferowano mu maleńki flakonik z perfumami w sam raz dla dzielnych żołnierzy. Powąchał je nieufnie, głęboko przy tym patrząc w oczy sprzedawcy. W nozdrza uderzył go mocny aromat, niemal odbierający dech i wyciskający łzy z oczu. Zapłacił żądaną sumę i już w pełni z siebie zadowolony usiadł z szeregowcami przy stole.

Wino było młode i potwornie cierpkie, a kolor miało bladuróżowy. Kazik popijał je bez entuzjazmu, wykrzywiając usta przy każdym łyku. Żołnierze śmiali się ze „szlacheckiego podniebienia” młodzieńca – sami wlewali w siebie kubek za kubkiem. Drugi i trzeci dzban kupili bliźniacy, a ostatni postawił lwowiak. Tylko Majer Bauman nie kwapił się z rozsznurowaniem pugilaresu, choć pił równo ze wszystkimi. W zamian raczył kompanię nieustającym zalewem opowiastek i krotocwil z życia sochaczewskich Żydów. Głodził się przy tym po wygolonych policzkach, jakby wspominał brodę, której musiał się pozbyć po wstąpieniu do armii. Na noszenie brody pozwalano jedynie saperom, a tych – po pierwsze – w Legionach nie było, a po drugie – chudy i mikrego wzrostu Izraelita nigdy nie zostałby przyjęty w ich szeregi.

Niespodziewanie paskudny napój zaczął się wydawać warszawiakowi coraz przyjemniejszy. Kubki smakowe przyzwyczyły się i nie reagowały już tak mocno na szokującą mieszaninę kwasów owocowych, z których w znacznej mierze składało się wino. Przyjemne ciepło rozpląnęło się po ciele, świat nabrał barw. Z każdym łykiem Luxowi robiło się weselej. Młode, lekko nasycone bąbelkami wino błyskawicznie uderzało do głowy zmęczonym i odwodnionym po marszu legionistom. Co chwila wybuchali śmiechem, tradycyjnie natrzęsając się z wioskowych mądrości Baumana. Żyd, uważający się za filozofa i uczonego męża, nastroszył się i w przypiływie natchnienia zaczął odpowiadać kompanom wierszowanymi i w zamyśle kąśliwymi kupletami. Kazik tak się śmiał, że spadł z ławy.

W pewnej chwili wkroczyło do karczmy dziesięciu Francuzów w zielonych mundurach przypominających węgierskie dolmany. Na głowach nosili czarne czaka bez daszków, a u pasa mieli przypięte proste szable. Kawalerzyści z 19. Regimentu Strzelców Konnych nie spojrzeli nawet na Polaków, od razu wybrali stół zajęty przez włoskich kupców. Bez ceregieli kazali im się wynosić, po czym ze śmiechem pomogli zabrać się wystraszonemu handlarzom, popędzając ich kopniakami i szturchnięciami. Narobili takiego zamieszania, że legioniści przestali się śmiać i patrzyli na ich wybryki w ponurym milczeniu.

Sprzymierzeni niespecjalnie się lubili, właściwie francuscy żołnierze traktowali Polaków jak nic niewartych najemników, w dodatku fanatycznie rozmodlonych i skrycie sprzyjających papistom. Podczas rozlewania wina obrzucili fizylierów jedynie kilkoma pogardliwymi spojrzeniami, by po chwili całkiem o nich zapomnieć. Rozmawiali głośno, a każdym gestem i słowem podkreślali, że to oni są tu panami.

Stachowski zaczął się wiercić i spoglądać przez ramię na kawalerzystów, Bauman tymczasem, niczym niezrażony, podjął przerwany wątek i szybko rozładował gęstniejącą atmosferę. Kazikowi przemknęła przez głowę myśl, że powinien zabrać oddział i wracać do obozu, ale ciało rozluźnione winem domagało się kolejnej porcji trunku, machnął więc ręką na rozterki i kupił jeszcze jeden dzbanek.

Polacy znów zaczęli zachowywać się swobodnie, szczególnie bracia Kura i Bauman, po pewnym czasie zebrało się nawet na śpiew, co było rzeczą nieodzowną przy alkoholu. Żyd jako pierwszy zanucił ulubioną piosenkę legionistów, którą często śpiewali w marszu. Natychmiast podłapał ją Stachowski i ryczał na całe gardło, do rytmu waląc drewnianym kubkiem w stół. Dołączyli do niego bliźniacy, a po chwili także Lux, który parskął śmiechem i chichotał jak opętany.

– „Jeszcze Polska nie umarła, póki my żyjemy! Co nam obca moc wydarła, szablą odbijemy!” – wrzeszczeli.

Tym razem zamilkli Francuzi i spoglądali na piechurów spode łba. Wreszcie jeden z nich, młodzieniec o płowej czuprynie i policzkach zaczerwienionych od wina, spróbował przekrzyczeć Polaków:

– Czego się wydzieracie w tym plugawym języku?! To ma być pieśń? Kiedy mój koń ma gazy, pierdząc, układa ładniejsze melodie!

– Daj spokój, Antoine. – Szturchnął go któryś z kompanów. – Oni nie śpiewają, tylko naśladują dźwięki, jakie wydaje maciora posuwana przez knura. Przecież nie da się śpiewać w takim języku.

Zaczął syczeć i cmokać, próbując zademonstrować dźwięki, które kojarzyły mu się z polskim. Natychmiast wszyscy strzelcy wybuchli śmiechem. Kazik przestał chichotać i z ponurą miną spojrzał na Antoine'a. Czuł, jak pijacką wesołość zastępuje gniew, który uderzył mu do głowy z mocą młodego wina. Jeszcze niedawno nie zwróciłby uwagi na podobne zaczepki, ale jakiś czas temu, po dramatycznych zajściach w Pesaro, zaczął traktować honor polskiego żołnierza i Legionów z pełną powagą. Pozostali fizylierzy nie rozumieli francuskiego i nie zwracali uwagi na zachowanie kawalerzystów, dlatego Stachowski dopiero po dłuższej chwili zauważył zaciętą minę sierżanta.

– Co jest, Kaziu? Co gadają te żabojady? – spytał, uśmiechając się paskudnie. Koślawy grymas na ustach starego bandyty nie wróżył niczego dobrego.

Zanim warszawiak zdążył odpowiedzieć, strzelcy konni zaczęli ryczeć pieśń bez słów, wydając ustami szeleszczące dźwięki, cmokając i naśladując puszczanie gazów, a to wszystko

na melodię *Mazurka Dąbrowskiego*. Lux poderwał się na równe nogi i omal się przewrócił, gdy okazało się, że wino podstępnie zmiękczyło mu kolana. Złapał równowagę, opierając się o głowę Stachowskiego. Podszedł energicznie do stołu kawalerzystów.

– Czego sobie życzy nasz drogi sojusznik? – spytał Antoine. – Ech, pewnie i tak nic nie zrozumiemy, bo odezwie się po polsku. Może lepiej od razu wskazać mu chlewik za austerią? Ze świniami szybciej się dogada.

Kazik aż zadygotał z wściekłości.

– Również odnoszę wrażenie, że ze świniami szybciej bym się porozumiał – wycedził po francusku.

Starając się nie sygnalizować ciosu, strzelił pięścią w roześmianą twarz Antoine'a. Głowa siedzącego odskoczyła w tył, ale uderzenie zadane bez zamachu nie było zbyt mocne. Kawalerzyści ryknęli jednym głosem, oburzeni tak zdradzieckim atakiem. Polak, nie czekając na ich reakcję, ponowił uderzenie. Tym razem wymierzył prawy sierpowy po szerokim łuku i włożył w niego więcej siły. Płowłosy spadł z ławy, a Lux skoczył na niego i docisnął do podłogi kolanami, aż chrupnęło, po czym zaczął okładać leżącego po głowie.

Trzech strzelców ruszyło, by go odciągnąć, ale wtedy niczym burza wpadł między nich Stachowski, rozdając kopniaki i waląc pięściami niczym młotem. Zakotłowało się, na warszawiaka ktoś runął i go przewrócił. Do akcji wkroczyli pozostali kawalerzyści i bliźniacy Kura. Trzasnęły tłuczone gliniane naczynia, rozbijane na głowach i o podłogę.

– „Niemiec, Moskal nie osiadzie, gdy jąwszy pałasza! – nieustająco śpiewał Bauman, który jeszcze nie zauważył bijatyki. – Hasłem wszystkich zgoda będzie...”

– Naprzód, do ataku! – wrzasnął lwowiak Biernacki i skoczył w kłębiący się tłum.

– „...I ojczyzna nasza!” – dokończył Żyd i uzbrojony w dwa dzbany ruszył do boju.

* * *

Kilka minut później Kazik konał, duszony przez wściekłego Antoine'a, który okazał się lepszy w walce wręcz. Trochę wcześniej bójka przeniosła się z wnętrza karczmy na podwórko. W parę chwil wokół tarzających się w piachu i pyle żołnierzy zebrał się spory tłum gapiów, łącznie z piękną damą, która aż wstała od swego stolika. Sierżant nie widział jej jednak, nie widział już właściwie niczego wokół, przed oczyma przelatowały mu za to obrazy z całego żywota.

Ostatkiem sił chwycił się sznurów na mundurze Francuza i przyciągnął napastnika do siebie. Byli teraz blisko, szczepieni w morderczych zmaganiach. Lux niespodziewanie przypomniał sobie bójki warszawskich uliczników, którym często się przyglądał. W jednej chwili spłynęło na niego olśnienie. Wsunął rękę między nogi przeciwnika i mocno ścisnął go za przyrodzenie. Antoine wrzasnął i poluźnił uchwyt. W odpowiedzi Kazik szarpnął za jądra Francuza, jakby chciał je wyrwać. Tego strzelec konny nie wytrzymał. Puścił szyję sierżanta i próbował się

cofnąć. Fizylier napiął się i na zakończenie trzasnął zginającego się z bólu kawalerzystę czołem w twarz. Potem osunął się na kolana, spazmatycznie próbując złapać oddech.

– Co tu się wyprawia, do jasnej cholery!?! – ryknął ktoś po polsku.

Kazik spojrział pod słońce, mrużąc oczy i rozmasowując szyję. Na podwórze przed karczmą wjechało konno dwóch oficerów legionowych. Lux próbował ich rozpoznać. Modlił się, by nie był to ktoś pokroju służbisty Haukego lub Chłopickiego. Za bójkę po pijanemu i nieprzystojny wygląd wszystkim groził areszt, a jemu dodatkowo degradacja. Poderwał się zatem na nogi i otrzepał spodnie. Wyczyszczone rankiem czechczery miał uwalane ziemią, kurtę – rozpiętą, a koszulę pod nią – rozchełstaną. Zaczął nerwowo zapinać mundur.

– Kazik? A niech cię! Mogłem się spodziewać. – Usłyszał znajomy głos i odetchnął z ulgą.

Jednym z jeźdźców okazał się major Piotr Wierzbicki, jego dawny kapitan, raptem cztery lata starszy od Luxa. Co najważniejsze, był sympatyczny i przyjaźnie nastawiony do żołnierzy, a w dodatku lubił dawnego podwładnego. Szkoda, że po awansie dostał przydział do Trzeciego Batalionu.

– Znasz pan tego oferwę? – spytał drugi z oficerów, ten, który rykiem uspokoił bijatykę.

Chłopak ze zgrozą rozpoznał w nim majora Zeydlitza, doświadczonego oficera po czterdziestce. Dopiero co dołączył do Legionów, a już dał się poznać jako ponury i wyjątkowo surowy jegomość, trzymający szeregowców na dystans, a nawet otwarcie nimi pogardzający. Po kimś takim nie sposób było oczekiwać pobjazania i przebaczenia.

– Ten młodzieniec to sierżant Lux, zdolny i pełen zapału żołnierz – tłumaczył Wierzbicki. – Niestety, ma tendencje do popadania w złe towarzystwo i pakowania się w kłopoty.

– Kolejny młody bandyta przebrany za żołnierza... Już ja cię, ty skur...

– Jest szlachcicem – dodał młodszy z majorów, hamując zapędy rozgniewanego towarzysza.

– Co tak stoisz, cymbale? – ryknął Zeydlitz na Kazika. – Przedstawić mi natychmiast eskapitację^[7], co tu zaszło!

Zanim młodzieniec zdążył zebrać myśli, by nakłamać, ile wlezie, i ratować w ten sposób skórę swoją i chłopaków, traktem przy austerii przejechali kolejni konni. Tym razem cały półszwadron strzelców w zielonych mundurach z oficerem na czele. Francuzi biorący udział w bijatyce natychmiast rzucili się do swoich wierzchowców. Lux spotkał się spojrzeniem z poobijanym i pobladłym Antoine'em. Kawalerzysta kuśtykał zgięty wpół, nie mogąc wyprostować się z bólu. Ledwie wdrapał się na siodło. Odjeżdżając, pogroził warszawiakowi pięścią.

– Nie mam teraz czasu cię przesłuchiwać. – Zeydlitz machnął ręką. – Módl się jednak, bym nie został majorem twojego batalionu, bo dobiore ci się do skóry. Nie cierpię rozrabiaków i siejących zamęt awanturników. To jest wojsko, a nie burdel! Zameldujesz się swojemu kapitanowi i grzecznie przyznasz, coście tu wyprawiali. Sprawdzę! A teraz odmaszerować!

Sierżant zasalutował do nieokrytej głowy i odwrócił się na pięcie. Okazało się, że za plecami ma cały swój oddział, do tego prężący się w równym szeregu. Szkoda tylko, że

legioniści mieli twarze uwalone krwią i piachem, podobnie jak poobdzierane mundury. Lux poczuł gorąco rozpluwające się od podbrzusza, strach sparaliżował go na chwilę. Zeydlitz i kapitan kompanii, Biling, to jedno, ale będzie musiał stanąć jeszcze przed starszym sierżantem Rolewiczem, swoim bezpośrednim przełożonym. Ten dopiero da mu popalić za doprowadzenie oddziału do takiego stanu. Kazika natychmiast opuściło alkoholowe oszołomienie.

– Zabieramy muszkiety i ruszamy – wycharczał tylko, trąc obolałą szyję.

Rozejrzał się. Tłum gapiów zniknął, a dama akurat wsiadała do swojej wielkiej landary. Wchodząc po schodkach karety, odwróciła się i spojrzała na podoficera. Polak zastygł w bezruchu, bo kobieta się uśmiechnęła – samymi kącikami ust, ale w sposób niezwykle, oszalamiający. W tym uśmiechu było wszystko: i zachęta, i obietnica, i tajemnica. Efekt okazał się wstrząsający, gdyż młodzieniec na chwilę zapomniał o kłopotach.

Potem zamknęła za sobą drzwiczki, ale wystawiła przez okienko rękę z chusteczką. Kiedy kareta ruszała, chusteczkę porwał wiatr. Biały kawałek materiału zawirował i powoli opadł na pylistą drogę. Kazik rzucił się po niego biegiem i podniósł z triumfalnym uśmiechem.

Na chusteczce znajdował się wyhaftowany herb i inicjały. Warszawiak wiedział, że musi znaleźć damę i oddać jej zgubę. Wyszczерzył zęby.

„Może jednak wcale nie jest dla mnie za stara?” – pomyślał.

* * *

W sennym, pogrążonym w majowym upale miasteczku wybuchło wielkie poruszenie, gdy rozniosła się wieść, że do portu przybił królewski statek. Gaeta, rybacka miejscina, od niemal siedemdziesięciu lat należąca do Królestwa Neapolu, leżała blisko granicy z niedawno zlikwidowanym Państwem Kościelnym, obecnie przemianowanym przez francuskich zdobywców na Republikę Rzymską. Zdarzało się, że do miejscowego portu wchodziły wojskowe okręty, ale nikt nie pamiętał, by na którymkolwiek powiewała królewska bandera, obwieszczająca, że na pokładzie znajduje się władca. Miłościwie panujący Ferdynand Burbon nie raczył do tej pory zaszczyścić swoją obecnością tak niewiele znaczącej prowincji. Jego wysokość nie słynął z zainteresowania losem prostych rybaków, nie zdarzało się również, by wizytował niewielkie garnizony. Co prawda w Gaecie stał średniowieczny zamek, obsadzony niedawno wzmocnioną załogą, ale nikt nie spodziewał się wizyty króla.

Rajcy miejscy zgromadzili się w najbardziej reprezentacyjnym budynku miasteczka, Palazzo de Vio, przybyli tu także dostojnicy kościoła i kapitan portu, ale mimo że długo czekali, królewski gość się nie pojawił. Przyniesiono tylko wiadomość, że trwa wyładunek okrętu, w całości przeprowadzany przez żołnierzy. Nie widziano wśród nich króla, widocznie wciąż znajdował się na pokładzie. Możliwe, że nie zamierzał zejść na ląd. Mimo wszystko władze miasta pozostały na stanowisku, gotowe powitać jego wysokość. Trwało też gorączkowe

sprzątanie i ozdabianie pałacu odświeżenymi chorągwiami.

Tymczasem do portu wjechało konno kilku neapolitańskich oficerów, których prowadził postawny mężczyzna bez munduru, za to w ciemnej pelerynie z kapturem zasłaniającym twarz. Wierzchowce zostawili pod opieką marynarzy z królewskiego statku, a sami weszli na pokład. Czekala tam na nich starsza dama w prostej podróźnej sukni oraz chuście chroniącej włosy przed wiatrem i wilgocią. Przewodzący oficerom zrzucił kaptur i odsłonił twarz o szlachetnych rysach. Uklęknął przed kobietą na jedno kolano i ucałował jej dłoń.

Giuseppe La Hoz d'Orlę jeszcze kilka miesięcy wcześniej był cisalpińskim generałem, wrogiem Neapolu, ponadto energicznie i ze znanstwem dowodził republikańską armią sprzymierzoną z Francją, szykującą się do ataku na Państwo Kościelne. Obserwując jednak zachowanie najeźdźców, bezlitośnie grabiących zajęte tereny, plądrujących kościoły i dręczących włoski lud, zrozumiał, że służy nie wyzwolicielom, ale wrogom Italii, łupieżcom i bezbożnikom. Złamał wojskową przysięgę i stanął po drugiej stronie barykady. Przez jakiś czas dowodził zbuntowanymi chłopami i mieszczanami, walczącymi na północy Włoch z republikańskimi. Teraz zaś klęczał przed niedawnym wrogiem, królową Neapolu, Marią Karoliną, zasiadającą na tronie jednego z najsilniejszych włoskich państw. Tylko ona mogła i chciała przeciwstawić się potędze Francji. Żona obojętnego na cierpienia własnych poddanych króla Ferdynanda, cudzoziemka na italskim tronie, pragnęła ze wszystkich sił upokorzyć i zniszczyć republikańskich. To ona, Austriaczka, inicjowała i wspierała bunty ludu wiernego papieżowi. Tylko ona mogła zwrócić narodowi włoskiemu utracony Rzym. Była jedyną nadzieją całego kraju.

– Niech pan wstanie, La Hoz – powiedziała ochrypłym od przeziębienia głosem. – Kogo mi pan przyprowadził?

Generał po kolei zaprezentował przebiegających się na baczność oficerów, młodych i pełnych zapału, którzy aż palili się do walki. Nie mogli już znieść biernego oczekiwania na nieuchronną wojnę z Francją, byli gotowi natychmiast ruszyć do boju. Królowa obserwowała ich uważnie, na jej ustach błędził cień uśmiechu.

– Zdajecie sobie sprawę, panowie, że los całego powstania będzie spoczywał w waszych rękach? – odezwała się po dłuższej chwili. – Staniecie na czele ludowego buntu, który ma realne szanse wyprzeć Francuzów z Republiki Rzymskiej i wyzwolić Wieczne Miasto. Tylko od waszej sprawności i umiejętności dowodzenia zależy, czy operacja się powiedzie. Ile pan ma lat, kapitanie? – zwróciła się do wyglądającego młodo oficera.

– Dwadzieścia sześć, wasza wysokość – odparł Vincenzo Fontana, strzelec z gwardyjskiego pułku. – Śmiem twierdzić, że mam spore doświadczenie w kierowaniu ludźmi. Dam z siebie wszystko, proszę mi zaufać.

– Co zdążył już pan przygotować? – surowym tonem spytała władczyni. Oficerowie mieli dwa miesiące, by w przebraniu przekroczyć granicę i pod okiem La Hoza rozpocząć organizację buntu.

– Zmobilizowałem półtora tysiąca żandarmów rzymskich, których republikański Konsulat wydalili z miasta – swobodnie odparł kapitan. Wiedział, że zrobi wrażenie na monarchini. – To zawodowcy obeznani z bronią i wojskowym drygiem, których uczyniłem kadrą szkoleniową i podoficerską powstającej buntowniczej armii. W tej chwili ćwiczą w walce partyzancie oddziały. Kiedy nadejdzie sygnał z Neapolu, przejmę w Circeo dowództwo nad sześcioma tysiącami przeszkolonych i pełnych zapału żołnierzy. Mam też wsparcie miejscowych księży i szlachty. Przez kolejnych kilka dni powiększę armię do dziesięciu tysięcy.

Maria Karolina nie okazała zaskoczenia, ale nagrodziła żołnierza łaskawym uśmiechem. Sprawność oficera była imponująca, nikt nie spodziewał się, że tak szybko uda się zmobilizować równie poważne siły. Fontana rokował bardzo dobrze, starała się zapamiętać jego nazwisko, by po udanej operacji nagrodzić go orderem i awansem od razu na pułkownika. Za kilka lat może stać się jednym z cenniejszych generałów w rosnącej armii Neapolu.

– W tych skrzyniach jest broń i amunicja dla pańskich ludzi – powiedziała, gratulując sobie w myślach własnej zapobiegliwości, każącej jej przygotować wsparcie pokaźniejsze, niż sugerowali doradcy. – Znajdzie pan też w nich kotyliony z wizerunkiem Madonny. Proszę koniecznie zaopatrzyć w nie powstańców, niech w oczach ludu wyglądają na armię Boga, na wyzwolicieli broniących świętej wiary przed francuskim antychrystem.

Oficer trzasnął obcasami i skinął głową. La Hoz uśmiechał się lekko, dumny w wyborze ludzi do tej operacji. Królowa dostrzegła jego samozadowolenie i spiorunowała go spojrzeniem.

– Co ze wsparciem od miejscowych, generale? Czy zadbał pan o nie?

– Tak. Zmobilizowałem wszystkich tamtejszych działaczy wiernych Kościołowi, którzy mają wpływy wśród ludności – odparł d’Orlz. – W Ferentino aktywnie działa miejscowy ziemianin, Calalono. Ma ogromny posłuch wśród chłopów, będzie wydawał proklamacje w imieniu papieża i rozdzielał kontyngenty żywności między powstańców. Wspierają go rzemieślnik Prosperi i oberżysta Trenta. Mamy zatem w jednym miejscu zabezpieczone kwatermistrzostwo, centrum zarządzania i propagandy. Kazałem oficerom neapolitańskim zbytnio nie rzucać się w oczy, by wydawało się, że powstanie to spontaniczny zryw miejscowej ludności.

– Mimo wszystko nakazuję panom nosić mundury armii Neapolu – po krótkim zastanowieniu zdecydowała władczyni. – Chcę, by lud was widział. Prowadźcie powstańców na barykady i dawajcie przykład własnym męstwem. Niech wszyscy wiedzą, że prawdziwe wyzwolenie niesie im armia Neapolu. Niech nas pokochają i widzą w nas kogoś więcej niż tylko sojuszników. Kiedy zajmiemy Rzym, a potem całą Italię, chcę, by witano moje wojsko jak zbawców i prawowitych właścicieli tej ziemi.

– Jaki stosunek zachować wobec pojmanych Francuzów i włoskich republikańców? – spytał pułkownik Cimone, najwyższy stopniem oficer spośród wysłanych do Republiki Rzymskiej.

– Dla jednych i drugich brak litości – prychnęła monarchini. – Oczywiście, musimy się

wstrzymać z jawnym mordowaniem francuskich jeńców, szczególnie oficerów, ale proszę dopilnować, by żaden republikanin nie opuścił włoskiej ziemi. Należy inicjować samosąd, popychać do nich wściekłą ludność. Hołota, upojona krwią i winem, z chęcią będzie mordowała tych sukinsynów. Niech zapłoną stosy, niech pójdą w ruch kłonicy i motyki, na gałęziach drzew mają dyndać zarówno zabójcy, jak i nasi „patrioci”.

Żaden z oficerów nie śmiał nawet mrugnąć, by nie zostało to odebrane przez jej wysokość jako krytyka agresywnej i bezlitosnej polityki. Wszyscy doskonale wiedzieli, jak wielką nienawiścią pała władczyni do wszystkiego, co francuskie i republikańskie. Ból po śmierci ukochanej siostry, ściętej na gilotynie królowej Francji, Marii Antoniny, przekuła w zapiekłą nienawiść, której nie mogły ugasić ani krew, ani jęki torturowanych republikanów.

Odwróciła się tyłem do żołnierzy i oparła o reling. Patrzyła dłuższy czas w morskie fale. Po chwili wierzchem dłoni w aksamitnej rękawiczce otarła z policzka samotną łzę. Zbyt wiele już ich wylała, wreszcie nadchodziła pora na triumfalny śmiech. Zemsta nad niezwyciężoną, potężną Francją przestawała być mrzonką.

Tylko dotkliwe upokorzenie znienawidzonej republiki i zniszczenie wszystkiego, co sobą reprezentowała, mogło zapewnić Marii Karolinie spokój. Pora, by sny o zemście wreszcie zaczęły się ziszczać.

14 floréala VI roku ery republikańskiej (3 maja 1798 roku)



Słońce prażyło coraz mocniej, na szczęście drzewa rosnące w ogrodach dawały mnóstwo zbawczego cienia. Kazik czuł się nie najgorzej, choć wypite wczoraj młode wino przypominało o sobie uporczywym bólem głowy i nieustającym pragnieniem. Młody warszawiak starał się nie dać po sobie poznać, że odczuwa skutki napitku – poruszał się pręźnie i energicznie, nieustannie kręcił się przy żołnierzach, sprawdzając stan ich odzienia i, przede wszystkim, broni. Niemal czuł na sobie spojrzenie przełożonego, starszego sierżanta Rolewicza. Wiedział, że oberwałby, gdyby ten zauważył u któregoś legionisty ślady ziemi lub, co gorsza, rdzy na muszkiecie.

Wczoraj wieczorem, zgodnie z przewidywaniem, dowódca kompanijnych podoficerów najpierw go zrugął, nie przebierając w słowach, a na dokładkę strzelił otwartą dłonią w potylicę i wymierzył kopniaka w tyłek. Wszystko niby na osobności, ukryte za ścianą krzaków przed wzrokiem szeregowych, ale wrzaski i przekleństwa Rolewicza i tak słyszało pół obozu. Lux musiał w błyskawicznym tempie uprać spodnie i doprowadzić mundur do idealnego stanu, a potem w mokrych portkach został zaciągnięty przed oblicze kapitana Antoniego Bilinga.

Przy dowódcy dostał kolejną burę od starszego sierżanta, przełożony dopraszał się nawet pozwolenia na natychmiastowe rozstrzelanie niezdyscyplinowanego młodzieńca, który zaprowadził grupę żołnierzy do karczmy, a potem po pijanemu wywołał bójkę z grupą sprzymierzeńców. Kapitan, raptem dwudziestodwuletni młodzieniec o wesołych, błyszczących iskierkami oczach, podszedł do Kazika i przyjrzał mu się z bliska. Po chwili zastanowienia, gdy warszawiak już widział siebie zakutego w kajdany, oficer pokręcił głową.

– To był ostatni wasz wybryk, sierżancie. – Pogroził Kazikowi palcem. – Jeszcze jedna taka awantura i w najlepszym wypadku wylecicie z Legionów. *Capito?*

– Tak jest!

– Mam nadzieję, że przynajmniej daliście Francuzom popalić. Jeśli znów będziecie uczyć ich moresu, po pierwsze nie chcę, by ktoś się o tym dowiedział, a po drugie zdrowo im wpieprzcie. – Kapitan odwrócił się, by dołączyć do innych oficerów. – Skoro już się bijecie, róbcie to porządnie, Lux.

Chłopak nie zdążył go zapewnić, że w bójkę włożył całe serce, tyle że wróg miał przewagę

liczebną, a mimo to bitwa skończyła się co najmniej zwycięskim dla Polaków remisem. Rolewicz złapał go za ucho i niczym uczniaka pociągnął między szalasy. Tu strzelił go pięścią w zęby, posyłając na ziemię, i w kilku żołnierskich słowach zagroził śmiercią.

– W mojej kompanii nie ma miejsca dla błaznów. Ty cholerny szlachetko przebrany za żołnierza – warknął. – Będę cię obserwował, gnojku.

I od rana nie spuszczał z oka wyłazącego ze skóry młodzieńca. Od pobudki o czwartej Kazik uwijał się jak w ukropie, nie mając czasu na zjedzenie śniadania ani poszukanie czegoś nadającego się do picia. Wreszcie Rolewicz zebrał podległych mu podoficerów, czyli wszystkich czterech kompanijnych sierżantów i ośmiu kaprali, by zrobić odprawę przed defiladą. Sierżanta Sawickiego raczył nawet pochwalić, pozostałych skrytykował, po czym poszedł na spotkanie sztabu kompanii. Lux odetchnął z ulgą i ruszył na poszukiwania furiera, podoficera odpowiedzialnego za rozdział żywności, ale ten gdzieś się zawieruszył, pewnie w kwatermistrzostwie. Tak więc pozbawiony prowiantu i skrajnie zdesperowany z powodu pragnienia rzucił się w stronę jednego z parkowych oczek wodnych, by zaczerpnąć choć takiego napoju.

Zdjął rogatywkę i ostrożnie opadł na klęczki. Pochylił się i już miał zanurzyć usta w wodzie, ignorując jej mętny kolor, gdy ktoś chwycił go za bandolier, przewieszony przez ramię pas podtrzymujący tasak.

– Co ty wyprawiasz, chłopcze? Upadłeś na głowę? – gorączkował się pochylony nad nim doktor Hoffman, chirurg drugiej klasy. – Pić stojącą wodę w taki upał! Nie dość, że prało tu mundury pół batalionu, to drugie tyle raczyło się do tego jeziora wyszczać. Poza tym woda aż rusza się od larw komarów i diabli wiedzą czego. Chcesz złapać tyfus czy dyzenterię? Śpieszno ci na tamten świat?

Kazik wstał i otrzepał spodnie. Głupio mu było przed siwym starszym panem, który traktował go jak syna. Oczywiście wiedział, czym ryzykuje. Picie wody – i to nawet znacznie mniej zanieczyszczonej niż ta – groziło śmiercią. Mądry żydowski lekarz pokręcił głową, z troską patrząc na młodzieńca. Potem wyciągnął manierkę z za pazuchy błękitnego surduta i wręczył mu bez słowa.

Lux opróżnił ją do połowy, zanim udało mu się powstrzymać. Tanie blaszane naczynie było wypełnione doskonałym chłodnym winem z dodatkiem jakichś ziół. Bez wątplenia był to jeden z leczniczych specyfików, do których sporządzania medyk miał niezwykły talent. Sierżant oddał mu manierkę i podziękował wylewnie.

– Poprosiłem twojego kapitana, by przydzielił mi ciebie z kilkoma legionistami, gdy dotrzemy na kwaterę. – Doktor machnął niedbale ręką, lekceważąc podziękowania i mętne tłumaczenia Kazika o pragnieniu spowodowanym nieludzkim upałem. – Potrzebuję kogoś mającego łeb na karku, znaczy potrafiącego czytać i to najlepiej w kilku językach.

– Z przyjemnością pomogę, kochany panie doktorze. – Chłopak z ulgą pomyślał, że dane mu będzie wymknąć się spod surowego spojrzenia Rolewicza. Może nawet uda mu się nieco

rozejrzeć po mieście, zanim starszy sierżant zagna go do jakiejś parszywej służby. – A co będziemy mieli ciekawego do roboty?

– Zajmiemy na kwatery legionowe przynajmniej dwa klasztory, z których republikanie wygnają mnichów – odparł Żyd. – Nie wiem które, ale mówi się, że Madonna del Popolo blisko Kapitolu lub San Francesco Romana na Campo Vaccino. Nieważne. Liczy się to, że musimy zabezpieczyć klasztorne biblioteki, którymi ponoć Francuzi jeszcze się nie zajęli. Może uda nam się ocalić jakieś bezcenne rękopisy i druki, by nie wylądowały w ogniskach lub w skrzyniach chciwych generałów. Będziemy ratować wiedzę, podtrzymywać Światłość, na chwałę ludzkości.

– To operacja masońska? – spytał warszawiak bez ogródek.

Doskonale wiedział, że doktor należy do rytu, tak jak spora część kadry oficerskiej. Tajne stowarzyszenia miały swoje sprawy, do których czasem wykorzystywano legionistów. Niby głównym celem masońskiej loży, której członkiem był Hoffman, była dbałość o rozwój wiedzy i nauki, szerzenie Światłości, by stworzyć ludziom oczy i uczynić ich lepszymi... Ale w rzeczywistości różnie to z działaniami masonów bywało, w każdym razie dla Kazika liczyło się, że u ich boku można było się sowiec obłowić. Żałował, że jest zbyt młody, by przyjęto go do stowarzyszenia, z pewnością szybko uzyskałby w nim wysoki stopień wtajemniczenia, a wraz z nim władzę i pieniądze. Poza tym w loży mile widziano tylko oficerów, a nie świeżo upieczonych sierżantów.

– Nie jest to część żadnego wolnomularskiego planu, nie bój się. – Ku rozczarowaniu chłopaka lekarz przecząco pokręcił głową. – Dostałem jednak osobistą zgodę generała Dąbrowskiego, o wszystkim został też poinformowany major Chłopicki. A wiesz, kim on jest! – Mrugnął znacząco.

Lux wiedział. Zupełnie niechcący poznał tajemnicę. Chłopicki piastował bardzo wysokie stanowisko w rycie, był mistrzem czy kimś takim. Sam generał Dąbrowski również należał do stowarzyszenia, zatem operacja co prawda nie była masońskim planem, ale loża ją popierała i otaczała opieką. Co cenniejsze manuskrypty i księgi mogą zatem trafić w łapy wolnomularzy.

Chłopak westchnął z bólem. Będzie pomagał zabezpieczać jeszcze niezrabowany przez żabojadów majątek i nie skapnie mu z tego ani denar. A niech tam! Przecież wizyta w Rzymie miała być darem boskim. I będzie! Zobaczy starożytne miasto, a przy okazji, jak przystało na zdobywcę, obłowi się po same uszy. Dzieła sztuki, złoto, klejnoty, cały papieski skarbiec – to pewnie już wyczyścili Francuzi, ale z pewnością nie zdołali zrabować wszystkiego. Wystarczyło tylko dobrze się zakręcić. Może rewizja bibliotek okaże się naprawdę owocna także dla niego? Lepsze to niż pucowanie muszkietów pod okiem Rolewicza.

Miał ochotę uściskać medyka i zadać mu mnóstwo pytań. Niestety, spomiędzy drzew dobiegł łomot werbli, do których z każdą chwilą dołączały następne. Po chwili całe ogrody dudniły wściekłym rytmem, wzywającym żołnierzy do oddziałów.

– Ruszamy do Wiecznego Miasta! – Uśmiechnął się uradowany Hoffman. Poprawił

dwurożny francuski kapelusz, który stanowił część umundurowania wojskowego lekarza.

– Kości zostały rzucone! – parsknął Kazik i rzucił się biegiem do swojej kompanii.

* * *

Minęło południe, kiedy wreszcie z daleka zaczęła dochodzić muzyka orkiestry wojskowej. Editta Valenti, do niedawna hrabina, a odkąd republikanie przejęli władzę i zabronili używania szlacheckich tytułów – „obywatelka miasta Rzym”, westchnęła i zdjęła kapelusz. Od dwóch godzin spacerowała po rozległym Piazza del Popolo^[8], kryjąc się przed słońcem w cieniu budynków stojących po południowej stronie placu. Kobiecie towarzyszyła, trzymająca się kilka kroków z tyłu, służąca, gotowa podać pani wino rozcieńczone wodą, ale hrabina nie zwracała na nią uwagi. Ominęła gawiedź zgromadzoną pod ścianami i wyszła z cienia. Suknia z ciemnoczerwonej lamantyny^[9] błysnęła, rozświetlona promieniami słonecznymi. Teraz dama była widoczna z daleka, Polacy z pewnością ją dostrzegą. Nie była jeszcze do końca przekonana, którego z nich powinna oczarować, najlepiej zatem jeśli wszyscy zobaczą jej olśniewającą urodę i dobrze ją zapamiętają. Wszak błyszczała na tle szarego rzymskiego tłumu niczym gwiazda na czarnym niebie.

Gapie poruszyli się z ciekawością, gdy stojący przy Porta del Popolo wartownicy z armii rzymskiej, ubrani w białe mundury z czarnymi wyłogami, wyprężyli się na baczność. Na rozkaz dowódcy warty zaprezentowali broń, unosząc przed sobą muszkiety. Po chwili przez bramę, będącą najstarszym usytuowanym w starożytnych murach wyjściem z miasta w kierunku północnym, przemaszerowała kolumna doboszy, waląca zgodnym rytmem w werble. Młodzi chłopcy byli ubrani w granatowe polskie mundury i rogatywki, tak samo jak podążająca za nimi orkiestra wojskowa. Potem jechał konno generał dowodzący Polakami, a za nim grupa adiutantów i wyższych oficerów. Editta przesunęła się ku środkowi placu i rozłożyła barwny wachlarz, by zatrzepotać nim energicznie.

Tymczasem bramę minęły konie ciągnące armaty, za którymi kroczyli kanonierzy w zielonych mundurach i czarnych czakach. Dopiero za nimi maszerowały kolumny piechurów – najpierw potężni wąsaci grenadierzy, potem różnego wzrostu strzelcy i fizylierzy. Żołnierze szli, rozglądając się z ciekawością. Na większości twarzy widać było przejęcie, na niektórych niemal religijny zachwyt. Bez wątpienia dla większości z nich możliwość wejścia do Wiecznego Miasta była wielkim przeżyciem – niewykluczone, że głównie religijnym. Hrabinie nie umknęło, że na widok stojącego na środku placu potężnego obelisku przywiezionego przez Oktawiana Augusta z Egiptu wielu legionistów ukradkiem wykonywało znak krzyża. Pogański słup pokrywały co prawda ryty z wizerunkami dawnych bogów, ale na jego czubku umieszczono błyszczący w słońcu krzyż.

„Zatem dla Polaków wszystko w tym mieście może być święte. – Editta uśmiechnęła się do swoich myśli. – Są jeszcze bardziej bogobojni, niż się o nich mówi”.

Nie umknęło to także większości rzymian obserwujących wejście obcego wojska do ich miasta. Ludzie stali bez ruchu, niektórzy z otwartymi ustami patrzyli na jasnowłosych młodych mężczyzn, w równym tempie walących buciorami o bruk. Nikt nie wznosił triumfalnych okrzyków, ale nikt też nie gwizdał. Rzym obserwował Polaków w milczeniu, zastanawiając się, do czego są zdolni ci rośli barbarzyńcy z dalekiej Północy.

Piękna hrabina czuła na sobie liczne spojrzenia legionistów, wielu się do niej uśmiechało, jakiś oficer grenadierów zakręcił zawadiacko wąsa i wyszczerzył się szeroko. W pewnym momencie dostrzegła znajomego młodego fizyliera, z racji wzrostu wystającego nad kolumną piechurów. Szedł na skrzydle kompanii, obok porucznika. Na jej widok uśmiechnął się lekko i ręką, która nie trzymała muszkietu, wyciągnął z kieszeni jej chusteczkę. Przyłożył ją na chwilę do ust, jakby chciał ucałować, i szybko schował z powrotem. Uśmiechnęła się w odpowiedzi. Tego miała już na haczyku, wystarczyło szarpnąć i wyciągnąć. Za kilka dni będzie pałał do niej potężnym uczuciem. Ciekawe jednak, czy uda się złowić kogoś wyżej postawionego? Choć z drugiej strony może nie będzie trzeba, o ile sprawny i energiczny podoficer wystarczy do jej celów. Łatwiej będzie manipulować niedoświadczonym, nazbyt religijnym młodzikiem niż wykształconym oficerem, który może okazać się przemądrzałym libertynem.

Kolumna wojska zagłębiła się w ciasnej Corso, jednej z najstarszych ulic miasta, prowadzącej w starożytne rejony. Tam z obu stron czekał szpaler gapiów, a okna ciasno stłoczonych kamienic były wypełnione setkami kolejnych ciekawskich. Rzym podziwiał karność, z jaką maszerowało doskonale wyszkolone wojsko. Czyste mundury i błysk zadbanej broni dawały nadzieję, że Polacy okażą się bardziej zdyscyplinowani niż wiecznie rozrabiający Francuzi.

Editta nie podążyła za maszerującymi oddziałami, jak to zrobiła spora część tłumu. Nie interesowała się uroczystościami, które miały się odbyć na wzgórzu kapitolijnskim pod posągami Marka Aureliusza. Napiła się z manierki podanej przez służącą i skierował kroki do powozu czekającego w jednej z uliczek. Karetą ruszyła powoli, z majestatem sunąc starymi ulicami Wiecznego Miasta. Z trudem przebijała się przez tłum. Zatrzymała się na chwilę, by przepuścić oddział francuskiej kawalerii. Wreszcie stanęła przed jednym z najstarszych kościołów, San Sisto Vecchio^[10]. Dama wysiadła i skierowała się do stojącego obok świątyni budynku o popękanych ze starości ścianach.

Przed dotknięciem kołatki starannie poprawiła zarzuconą na ramiona salopę^[11] z czarnego floransu^[12], która zasłaniała wyzywającą suknię. Mimo gorąca nałożyła na głowę kaptur, by ukryć modną krótką fryzurę *à la Titus*. W jednej chwili z pięknej zalotnicy zamieniła się w szacowną, religijną damę. Dopiero teraz zastukała kołatką.

Ciężkie drzwi z żelaznymi okuciami i grubymi łbami nitów otworzyła siostra furtianka. Na widok hrabiny Valenti dygnęła w krótkim ukłonie i wpuściła ją do środka.

– Matka przełożona już czeka – powiedziała.

Editta znalazła się we wnętrzu bardzo starego klasztoru, w którym przed wiekami święty Dominik założył swój zakon. Obecnie urzędowały tu siostry dominikanki. Kilka z nich przemknęło po wewnętrznym dziedzińcu klasztoru, ich białe habity zaszeleściły i załopotwały niczym skrzydła gołębi. Arystokratka przeszła pewnym krokiem korytarz, przeżegnała się, mijając wiszący na ścianie obraz Madonny, i po chwili wkroczyła do gabinetu przeoryszy.

Zakonnica klęczała z brewiarzem w dłoni przed krzyżem zawieszonym na ścianie. Editta stanęła z boku i cierpliwie czekała na koniec modlitwy. Przyglądała się przełożonej, kobiecie raptem kilka lat od niej starszej, na której jednak czas znacznie mocniej odcisnął piętno. Spod czarnego czepca-welonu wystawały siwe kosmyki ciemnych niegdyś włosów, sieć zmarszczek rozbiegających się od oczu pokrywała niemal całą twarz zakonnicy. Hrabina wyglądała co najmniej o dwadzieścia lat młodziej, co skonstatowała z pełną satysfakcją.

– Modliłam się za powodzenie twojej misji – powiedziała przeorysza, gdy wreszcie skończyła modły i wstała z klęcznika. Ucisnęła obie dłonie przybyłej i uśmiechnęła się smutno. – Nie wiem, co zrobimy, jeśli ci się nie powiedzie. Znikąd pomocy. Ojciec Święty na wygnaniu, zakony i kościoły bezkarnie łupione przez republikanów. Oni nie wahają się podnieść ręki na największe świętości. Ponoć wyrzucają mnichów z klasztorów, a budynki zamieniają w stajnie i arsenały...

– Uzyskam dla was wsparcie, proszę mi zaufać – powiedziała Editta. – Potrzebuję jednak waszej pomocy. Ja też znalazłam się w trudnej sytuacji, sama nie dam rady.

– Czego sobie życzysz, dziecko? Jak możemy cię wesprzeć?

Piękna kobieta uśmiechnęła się samymi kącikami ust.

16 floréala VI roku ery republikańskiej (5 maja 1798 roku)



Koszary dla Polaków urządzono w przejętych przez republikanów dwóch klasztorach. Oba znajdowały się w pobliżu Kapitolu, czyli w starożytnym centrum miasta. Sam Kapitol został zajęty przez sztab polskiego wojska, wszystkie siły zgromadzono zatem w bezpośrednim sąsiedztwie. Kompania Kazika rezydowała w Madonna del Popolo, a żołnierze spali pokotem bezpośrednio na podłodze kościoła. Nad nimi, za zdemolowanym przez Francuzów ołtarzem, wisiał wielki, cudownie ocalały średniowieczny obraz przedstawiający Matkę Boską otoczoną tłumem ludzi reprezentujących wszystkie stany. Piechurzy jawnie, wbrew rozkazom oficerów, okazywali mu cześć i zdejmowali czapki natychmiast po wejściu do kościoła. Luxowi nieco niezręcznie było spać, gdy miał za posłanie rozłożony zimowy płaszcz, pod głową zwitek słomy, a nad sobą cudowny obraz z patrzącą łaskawie Madonną. Poza tym cały czas ktoś szeptem lub całkiem głośno się modlił.

Młody sierżant zerwał się przed pobudką, czyli jeszcze przed czwartą rano. Bolały go wszystkie gnaty, kamienna posadzka nie była zbyt wygodna. Ponoć jednak oficerowie już szukali innego lokum dla wojska, była więc szansa, że wkrótce fizylierzy przeniosą się w bardziej znośne miejsce. Chłopakowi marzyło się, by zakwaterowano ich w domach mieszczan i by jemu trafił się zamieszkanie przez rodzinę z młodą, śliczną córką. Tyle pięknych Włoszek zdążył już zobaczyć, ale przez dręczącego go nieustannie Rolewicza nie miał szansy zamienić z żadną nawet słowem. Nie nadarzyła się również najmniejsza okazja, by odszukać piękną damę, której chusteczkę przechowywał niczym relikwię. Starszy sierżant wynajdywał mu ciągle jakieś absorbujące zajęcia, a w czasie ćwiczeń prowadzonych w parku nie spuszczał go z oka. Na szczęście wczoraj odwiedził kompanię doktor Hoffman, który zażyczył sobie obiecanej przez kapitana pomocy Kazika i kilku wybranych przez niego ludzi. Starszy sierżant nie miał nic do gadania. Dzień zatem zapowiadał się pięknie, wręcz wspaniale. Po pierwsze, uda się wreszcie wyrwać spod „opieki” Rolewicza, a po drugie, będzie okazja zobaczyć kawałek miasta i może nawet swobodnie się po nim powłóczyć. Włoskie ślicznotki tylko czekają, by je zaczepiać i bałamucić.

Obudził obu bliźniaków Kura oraz Biernackiego, a potem jeszcze kaprala Kleina, Baumana i byłego gefrajtra Stachowskiego. Chciał, aby wymknęli się z klasztoru, zanim dobosz zacznie bić w bęben na pobudkę. Ziewając i marudząc, wojacy zbierali się do wyjścia, czyli poprawiali mundury, których na noc nie zdejmowali, przerzucali przez ramiona bandolier

z tasakami, a potem wybierali z kozłów swoje muszkiety. Z radością skorzystali z możliwości pozostawienia w klasztorze plecaków, bo na co dzień Rolewicz kazał im je ze sobą targać na ćwiczeniach, by „nie odzwyczajili się od ciężarów”, jak to z kwaśnym uśmiechem powtarzał.

Warszawiak rozdał kompanom po małym, okrągłym chleбку *pagnotte* i po kawałku włoskiego białego serka. W obieg puścił też dzbanek mleka. Jako że jeszcze kilka miesięcy temu był furierem, świetnie znał wszystkich kwatermistrzów i intendentów. Znajomości wykorzystywał, kiedy tylko się dało, dzięki czemu jego żołnierze zwykle nie głodowali.

– Porządny z ciebie sierżant, Kaziu – pochwalił go Anzelm Kura, krępe chłopisko o wielkich łapskach i potężnym apetycie.

– Un już wi, czego wojakowi potrzeba, bo jest jednym z nas – dodał Antoni Kura, kropka w kropkę identyczny jak brat. – Choć to szlachcic.

– Szlachcic *par excellence*^[13]! – Klein szturchnął młodzieńca pod żebro, by w ten sposób podkreślić pochwałę.

– Co to za konfidencjonowanie się z przełożonym? – spytał Lux i ze śmiechem popchnął kaprała.

Cała grupa wyszła z kościoła i luźną kupą schodziła w dół kapitolińskiego wzgórza. Żołnierze jedli w marszu, żartując i poszturchując się nawzajem. Humory im dopisywały, bo dzień zapowiadał się piękny, bez zwyczajowych wrzasków i terroru w wykonaniu starszego sierżanta. Słońce dopiero wschodziło, przyjemnie chłodne powietrze pachniało kwiatami uprawianymi w donicach przez gospodynie mijanych domów. Przed Polakami rozpościerało się starożytne miasto, zapraszając otwartymi szeroko ulicami.

– A niech to – syknął Kazik, który w jednej chwili spowaźniał. – Szyk dwójkami!

Z naprzeciwnika nadchodził Rolewicz z trzynastoletnim dobozem, Krzysiem. Zmierzali w stronę klasztoru, by urządzić fizylierom pobudkę. Wyglądało na to, że starszy sierżant weźmie legionistów do galopu jeszcze przed śniadaniem. Wykrzywił usta w niechętnym grymasie, gdyż już z daleka zobaczył szybko ustawiających się w dwójki żołnierzy. Warszawiak oszacował odległość od podoficera i gdy dzieliły ich przepisowe trzy kroki, z zamachem zasalutował, otwartą dłonią dotykając czapki.

– Czy kapitan pozwolił ci zabrać całą sekcję^[14], Lux? – Starszy stopniem podoficer nie oddał honorów i zastąpił młodzieńcowi drogę.

– Oddział, stój! Tak jest, panie starszy sierżancie! – Kazik wyprężył się na baczność.

– Nie wydaje mi się, by była mowa o sekcji. Tylko o kilku ludziach – mruknął Rolewicz. Z uwagą przyglądał się zastygłym w bezruchu fizylierom.

„Przecież kilku ludzi to właśnie sekcja, do cholery!” – z rozpaczą pomyślał chłopak, ugryzł się jednak w język i nie odrzekł ani słowa. Patrzył tylko nieruchomo przed siebie.

– I buty macie haniebnie zakurzone – burknął starszy sierżant. – Przynosicie wstyd Legionom, łażąc jak oberwańcy. Powiniennem zawrócić was do koszar i kazać wyszorować obuwie.

Warszawiak zacisnął zęby. Wszyscy mieli zakurzone buty, bo uszyto je z czarnego sukna, którego fatalnie czepiały się i ziemia, i wielkemiejski pył. Poza tym nie były ani trochę brudniejsze od buciorów tarasującego przejście podoficera.

– Doktor Hoffman z wielką niecierpliwością nas oczekuje, panie starszy sierżancie – wycedził, hamując gniew. – Będzie rozczarowany, jeśli się spóźnimy...

– Przez własną niedbałość się spóźnicie, Lux! I tylko ty będziesz temu winny! – Rolewicz ryknął mu prosto do ucha.

– Dowódco, za chwilę minie pora pobudki – niespodziewanie wtrącił się dobosz.

Rolewicz strzelił go dłonią w tył głowy, zrzucając jego rogatywkę na ziemię.

– Pozwoliłem ci zabrać głos, gówniarzu?! – wrzasnął. – Dobra, idziemy.

Obrócił się i ruszył energicznym krokiem w stronę koszar, jakby nagle zaczął traktować wychodzącą sekcję niczym powietrze. Kazik uśmiechnął się do dobosza i klepnął go w plecy w ramach podziękowania. Krzyś mrugnął porozumiewawczo w odpowiedzi, założył rogatywkę i pognął za dowódcą.

– Co za skurwiel – mruknął Stachowski. – Niech tylko nadarzy się okazja, a pchnę go bagnetem, przysięgam na...

– Daj spokój z przysięgami. – Lux niedbale machnął ręką, choć z niepokojem spojrzał na gefrajtra. Pamiętał, że ten musiał uciekać z Polski, by uniknąć kary za morderstwo, był zatem zdolny do najpaskudniejszych czynów. – Idziemy, bo Hoffman naprawdę na nas czeka.

Rzeczywiście, lekarz, ubrany w przepisowy błękitny surdut i francuski kapelusz, nawet wyszedł im naprzeciw. Spotkali go u wylotu kolejnej wąskiej uliczki. Medyk przywitał się z żołnierzami, każdemu podając rękę, a potem poprowadził ich w głąb miasta.

– Generał Souberain^[15] obiecał nam bibliotekę z przejmowanego dziś klasztoru – wyjaśnił. – Mamy jedyną okazję, by ocalić jakieś cenne księgi, zanim Francuzi zabiorą je lub zniszczą.

Dotarli na miejsce po kolejnych kilkunastu minutach kluczenia uliczkami. Klasztor stał przy niewielkim placu, na którym kłębiło się od mnichów w białych habitach. Kartuzi, bo do tego zakonu należeli, pakowali się na dwa wozy. Każdemu pozwolono zabrać węzełek z osobistymi rzeczami, ale nic więcej. Obserwowało ich kilku Francuzów w zielonych oraz niebieskich mundurach – znani legionistom strzelcy konni i piechurzy, pewnie z obsady Zamku Świętego Anioła.

Francuzi sprawiali wrażenie rozbawionych. Śmiali się z niezgrabnie ładujących się na wozy mnichów. Kolejny wyglądał przez okno klasztoru i pokrzykiwał radośnie do zakonników. Po chwili wyrzucił przez okno jakiś mebel, który roztrzaskał się o bruk.

– Klęcznik – zauważył ze zdumieniem Stachowski. – Widzieliście go? Pieprznął o ziemię klęcznikiem.

Fizylierom nadal – mimo tego, co widzieli podczas wojny włoskiej – nie mieściło się w głowach, że można tak po prostu niszczyć wyposażenie miejsc świętych. Tym bardziej

zdumieli się, gdy za klęcznikiem poleciała księga i duży naścienny krzyż. Gdy krucyfiks gruchnął o ziemię i rozbił się w drzazgi, a oderwana figura Chrystusa wpadła do pobliskiego rynsztoka, nawet doktor Hoffman drgnął niespokojnie.

– Co on krzyczy, Kaziu? – spytał Stachowski niepokojąco lodowatym tonem.

– Że zakonnicy czegoś zapomnieli i by zabierali te śmierdzące rupiecie. – Kazik poniewczasie ugryzł się w język. Nie powinien dopuścić do kolejnej bijatyki z Francuzami, a właśnie na to się zanosilo.

Na domiar złego, gdy podeszli do otwartych wrót kościoła, omal nie wpadli na trzech strzelców konnych poszturchujących dwóch mnichów. Jeden z kartuzów był starcem o długiej, białej brodzie, a drugi młodzieńcem. Ten drugi oburącz tulił do piersi księgę, której najwyraźniej nie chciał, wbrew rozkazom najeźdźców, zostawić. Starzec opierał się i ze złością krzyczał na roześmianych Francuzów, aż wreszcie jeden złapał go za brodę i ciągnął za nią, prowadząc zakonnika jak na powrozie. Lux ze złością rozpoznał w strzelcu swego niedawnego przeciwnika Antoine'a.

– Zakładamy bagnety? – spytał któryś z braci Kura.

Sierżant zorientował się, że legioniści są gotowi pozabijać bezbożników. Niszczenie kościołów jakoś znosili, ale pastwienie się nad świątobliwymi mężami było już przesadą.

Hoffman nie zauważył zmiany w nastroju fizylierów. Z dobrotliwym uśmiechem uniósł ręce, by zwrócić na siebie uwagę, a potem spytał Francuzów o dowódcę. Okazał się nim żartowniś, który wyrzucał przez okno klasztorny majątek. Zawołany przez Antoine'a, zszedł na dół. Zamiast przywitać Polaków, ze śmiechem kopnął w tyłek zakonnika trzymanego przez strzelca za brodę. Pozostali Francuzi ryknęli z radości. Stachowski syknął przez zęby, a Kury poruszyli się ze złością. Kapral Klein ostentacyjnie splunął pod nogi roześmianemu oficerowi sprzymierzeńców.

Warszawiak niemal fizycznie czuł rosnącą w kompanach chęć mordy. Musiał coś zrobić, nim dojdzie do tragedii. Nieważne, jak skończyłoby się starcie – ci, którzy wyszliby z niego cało, stanęliby przed plutonem egzekucyjnym.

Bez dalszego zastanowienia doskoczył do znanego sobie kawalerzysty i odepchnął go od zakonnika. Strzelec przewrócił się na ziemię.

– Przejmuję ten klasztor w imieniu Legionów Polskich! – wrzasnął po francusku. – Obejmujemy opieką także zakonników! Precz z łapami!

– To ty – wycedził Antoine, który dopiero teraz rozpoznał Kazika. Poderwał się z ziemi i złapał za rękojeść szabli.

Oficer strzelców spoważniał w jednej chwili i stanowczym gestem położył rękę na ramieniu podwładnego, czym zatrzymał go na miejscu. Spojrzał na Polaka, groźnie marszcząc brwi.

– Ciekawe zwyczaje panują w sprzymierzonych oddziałach – mruknął. – Nie powinienes, chłopcze, najpierw mi się zameldować?

Chłopak wyprężył się na baczność i zsalutował.

– Sierżant Lux z Pierwszej Legii Polskiej.
– Kapitan Precheur z 19. Regimentu Strzelców Konnych.
– Mam go pchnąć w plecy? – cicho spytał Stachowski, który z obnażonym tasakiem w garści znalazł się za Francuzami.

– Panie kapitanie, proszę o wybaczenie – wtrącił się medyk. – Jestem doktor Hoffman i to ja przyprowadziłem oddział. Bardzo niezręcznie wyszło nam przywitanie, ale proszę zrozumieć, że dla naszych żołnierzy strefa *sacrum*, a do tej należą także zakonnicy, jest nietykalna. Stąd dość gwałtowna reakcja sierżanta...

– Ależ nic się nie stało. – Francuz wzruszył ramionami. – Słyszałem, że wy, Polacy, jesteście zabobonni. Nie sądziłem jednak, że aż tak! U nas rewolucja otworzyła ludziom oczy, nie traktujemy z przesadną powagą każdego błazna w habicie. Dostyc wywyższania się ponad lud, żerowania na jego pracy i sączenia mu do głów bzdur o aniołach i świętych dziewicach. Zrobimy porządek z rozmodlonymi klechami, przeżytkiem dawnych epok.

– Osobiście również nie pochwalam polityki Kościoła katolickiego ani głoszonych przez niego nauk – układnie odparł Hoffman. – Nauczeni jednak jesteście szacunku do religii.

– Religia – prychnął jakobiński oficer. – To bajeczki, którymi oligarchowie przez tysiąclecia ogłupiali ciężko pracujący lud. Osobiście puściłbym z dymem każdą cholerną świątynię na świecie. Nieważne, co miałyby na ołtarzu. A właśnie, czujecie może dym?

Kazik, który podczas rozmowy lekarza z oficerem stał bez ruchu i mierzył się wzrokiem z Antoine'em, wciągnął powietrze nosem. Rozejrzał się. Zauważył, że legioniści rozproszyli się i zasłi Francuzów od tyłu. Tymczasem strzelcy i piechurzy obserwowali swego oficera, całkiem lekceważąc Polaków. Mnisi siedzieli w komplecie na wozach, prócz młodzieńca z księgą. Oswobodzony przez Kazika starzec o długiej brodzie gdzieś znikł.

– Rzeczywiście, coś się pali – stwierdził po polsku Hoffman.

W tej chwili rozległ się obłąkańczy śmiech, po którym nastąpiła seria włoskich przekleństw. Wszyscy spojrzeli w okno klasztoru na piętrze, to samo, z którego Precheur niedawno wyrzucał klasztorne mienie. Stał w nim stary mnich, trzymając w ręku płonąca pochodnię. Zza jego pleców, przez okno, waliły kłęby czarnego dymu.

– Co on wrzeszczy? – spytał kapitan. – Zna ktoś włoski?

Zanim Kazik zdążył przetłumaczyć na francuski wrzaski brodatego zakonnika, odezwał się Antoine:

– Twierdzi, że jesteśmy psie syny, pogański pomiot i diabelskie gówno. Woli spalić klasztor, niż pozwolić, by dobytek zakonu dostał się w łapy bezbożników.

Precheur parsknął śmiechem.

– I słusznie. Sam zrobił to, o czym przed chwilą mówiłem. A niech go piekło pochłonie razem z całą tą budą – rzekł z rozbawieniem. – Panowie Polacy, zgodnie z rozkazami przekazuję wam klasztor kartuzów. Dobrej zabawy! Chłopcy, zabieramy się stąd.

Dym robił się coraz intensywniejszy. W oknie, za plecami mnicha, pojawiły się ogniste płomyki i iskry. Francuzi zaczęli wsiadać na konie, Antoine uśmiechnął się złośliwie do Kazika. Zakonnicy siedzieli na wozach bez ruchu, patrząc na płonący klasztor. Tylko młody mnich rzucił braciom księgę i biegiem ruszył do wnętrza budynku.

Lux, tak jak pozostali legioniści, patrzył z fascynacją na rosnący pożar. Dopiero gdy minął go trzaskający podeszwami sandałów zakonnik, otrząsnął się z ośpienia i chwycił mnicha za rękaw.

– Jest w klasztorze studnia? – spytał po włosku. – I wiadra?

– Tak, poprowadzę. – Młodzieniec pokiwał głową.

– Muszkiety w kozioł! – rozkazał sierżant. – Co tak stoicie, barany?

Rozkaz podziałał na legionistów jak smagnięcie biczem. Ustawili broń w mgnieniu oka i wszyscy, łącznie z Hoffmanem, rzucili się do furty klasztoru. Młody mnich wskazał im studnię stojącą na małym wewnętrznym dziedzińcu, a sam pognał do niewielkiej szopki. Kopniakiem otworzył drzwiczki i zaczął wyrzucać na zewnątrz drewniane wiadra. Kazik złapał jedno z locie i szturchnął któregoś z braci Kura.

– Kręć kołowrotkiem! – Wskazał na studnię.

Chłop skinął tylko głową i cisnął w otwór studni blaszane wiadro przymocowane do łańcucha. Gdy tylko chlupnęło w wodę, zamiast kręcić bębniem zwijającym łańcuch, kilkoma szybkimi ruchami wyciągnął pełne naczynie. Po chwili warszawiak gnał z pełnym wiadrem korytarzem na piętrze. Uderzeniem barku wywalił drzwi, spod których wydobywał się dym.

Wpadł w chmurę gryzącą w oczy i odbierającą dech. Wstrzymał powietrze i chlusnął wodą w błyskające płomieniami źródło ognia – przewrócony regał z książkami. Syknęło wściekle i płomienie przygasły. Zanim zdążył cofnąć się do wyjścia, ktoś go popchnął i przewrócił na kolana. W ogień poleciała zawartość kolejnego wiadra, wzbijając tumany pary i dymu.

Kłęczący Kazik dostrzegł leżącego na podłodze starego zakonnika. Doczołgał się do mężczyzny. Zauważył przy tym, że przy podłodze zostało nieco powietrza, którym da się oddychać. Złapał mnicha za rękę i nogę, po czym mocnym szarpnięciem zarzucił go sobie na plecy. Kaszląc, wybiegł na zewnątrz. Cofnął się w kierunku schodów, plując i modląc się o łyk czystego powietrza. Oczy mu łzawiły, niemal zupełnie oślepl, więc omal nie spadł ze schodów.

Rzucił nieprzytomnego na ziemię i sam padł obok, dławiąc się i krztusząc. Hoffman klęknął obok starca, przyłożył ucho do jego ust, a potem do piersi. Następnie trzasnął go kilka razy w policzek.

– Nie czuję oddechu ani bicia serca – oznajmił. – Chyba dym go zadusił.

Lux usiadł, by uspokoić oddech. Obok przebiegł kapral Klein z kolejnym wiadrem.

– Jest dobrze – rzucił przez ramię. – Strop się nie zajął. Hajcują^[16] się tylko meble w dwóch izbach. Ugasimy cholerstwo w dwie zdrowaśki.

Doktor krzątał się przy poszkodowanym, a Kazik podszedł do Kury ciągle wyciągającego ze studni pełne wiadra. Zaczerpnął z naczynia i z ulgą napił się zimnej wody. Tymczasem jedno z okien prowadzących na wewnętrzny dziedziniec otworzyło się, a legioniści zaczęli wyrzucać przez nie dymiące szczątki spalonych mebli. Pożar został opanowany.

– Jestem brat Agostino. – Młody zakonnik ukłonił się sierżantowi. – Dziękuję, szlachetny oficerze, za pomoc i uratowanie przeora. Biedaczek bardzo przeżywał, że Francuzi postanowili usunąć nas z Rzymu.

– Nie żyje – powiedział Hoffman po polsku, wstając znad ciała zakonnika.

Młodzieniec klęknął przy martwym przeorze i zaczął po łacinie odmawiać modlitwę. Kazik odruchowo zdjął rogatywkę i się przeżegnał.

– Chyba nie zadławił się dymem, tylko serce nie wytrzymało – powiedział medyk. – No cóż, przynajmniej uratowaliśmy klasztorną bibliotekę. Uprzątnijmy bałagan i zabierzmy się do jej badania.

– Co z trupem?

– Trzeba przekazać ciało kongregacji religijnej, która jeszcze nie została zlikwidowana.

Kazik domyślił się, że w pierwszej kolejności czeka go odeskortowanie zwłok do innego klasztoru. Zwiedzanie Rzymu rozpocznie zatem od poszukiwań miejsca, gdzie można przekazać ciało. I to ma być ten wspaniały dzień wolności? Będzie się włóczył z trupem? Z drugiej strony dzięki temu nie musiał od razu zagłębić się w księgach. Dostał zatem dar od niebios – okazję do położenia po mieście.

Ścisnął w dłoni chusteczkę z monogramem i uśmiechnął się do swoich myśli.

* * *

Mała dwukółka z dyszlem zgrzytała i łomotała na bruku. Legionista Biernacki ciągnął wózek bez większego wysiłku, rozglądając się ciekawie i podziwiając Wieczne Miasto. Na pace leżało przykryte płótnem ciało przeora kartuzów. W ostatniej drodze towarzyszyli mu brat Agostino i Kazik. Wprawdzie mnich sam poradziłby sobie z zadaniem, ale Lux uparł się, by dać mu ochronę przed Francuzami.

Minęli plac z kamienną fontanną i kilka pałaców o imponujących fasadach. Po drodze spotykali coraz więcej przechodniów, miasto powoli budziło się do życia. Przed południem ulice wypełnią się tłumem, który potem zniknie bez śladu w porze największego upału, by z powrotem wylec, gdy będzie zbliżał się wieczór. Warszawiak zauważył, że rzymianie nie lubili wcześniej wstawać, za to potrafili prowadzić intensywne życie do późnej nocy.

– Zdaje się, że lubisz księgi, bracie Agostino – zagadnął młodego duchownego. – Przyznaj się, co za księgę tak dzielnie próbowałeś uratować przed Francuzami?

– My, kartuzi, cenimy sobie samotność i milczącą kontemplację Pisma Świętego. Zwykle naszymi jedynymi towarzyszami są właśnie księgi. Ta, którą uratowałem przed bezbożnikami,

to średniowieczny manuskrypt zawierający Nowy Testament. Czterysta lat temu spisali go nasi bracia.

– Ciekawe – mruknął sierżant i z uśmiechem zasalutował dwóm dziewczętom niosącym kosze z ciętymi kwiatami. Kobiety nie zareagowały, choć obie śmiało i z ciekawością patrzyły na wysokiego żołnierza. – A zdarzyło ci się czytać inne księgi prócz Biblii?

– Oczywiście, wszak od wieków zajmujemy się gromadzeniem wiedzy. Studiowałem księgi na najróżniejsze tematy, niekoniecznie religijne – odparł Agostino.

– To może znasz się, braciszku, na herbach rzymskiej szlachty? Rozpoznajesz ten?

Podał zakonnikowi wyciągniętą z kieszeni chusteczkę i wskazał palcem wyhaftowany herb. Włoch obejrzał materiał, skrycie podziwiając jego delikatność, jakże różniącą się od mnisich włosienic, twardych i drapiących. Jedwabna chusteczka zrobiła na nim piorunujące wrażenie, szczególnie że pachniała słodkimi wonnościami.

– Hełm nad tarczą ma założoną koronę z licznymi perłami – powiedział po krótkim badaniu znaku. – Czyli to herb hrabiowskiego rodu. W błękitnym polu złoty lew, hm... Zdaje się, że pieczętuje się nim rodzina Valenti. Dopiero co minęliśmy ich siedzibę, pałacyk przy placu z fontanną. Z jego fasady niedawno usunięto herb, bo republikanie zabronili używać tytułów szlacheckich. Pamiętam hrabiego, który nie skąpił grosza na ofiary wojny. Zapadł na ciężką chorobę i zmarło mu się, biedaczysku. Będzie ze dwa lata temu.

– Zostawił córkę?

– Nie, nie miał dzieci. Tylko żonę. Religijną damę o sercu wrażliwym na los innych. Zawsze wspierała biedne dzieci. Zapewne także dlatego, że sama nie może ich mieć. Bóg nie obdarzył hrabiostwa potomstwem.

Kazik pokiwał głową. Ucieszyła go gadatliwość zakonnika. Kartuzi byli zakonem klauzurowym, ceniącym sobie śluby milczenia – ale widocznie przesiadywanie całymi dniami w zupełnej ciszy nad księgami nie było ulubionym zajęciem brata Agostino.

– Wracamy. – Lux skinął Biernackiemu. – Muszę oddać coś wdowie po hrabim.

– Ale czy się godzi, by doczesne szczątki ojca przeora czekały na ulicy, w słońcu i kurzu? – zafrasował się zakonnik. – Należy je jak najszybciej umieścić w katakumbach.

– Spokojnie, jeszcze przecież nie śmierdzą. – Sierżant wzruszył ramionami, czym wykazał typowy dla żołnierza brak wrażliwości wobec śmierci.

Lwowiak, sapiąc i złorzecząc pod nosem, zawrócił wózek i skierował się w przeciwną stronę. Zatrzymali się na placu, w cieniu kamienicy, obok której stał pałacyk. Warszawiak kazał kompanom czekać i sam stanął przed drzwiami. Załomotał energicznie kołatką, a zanim służąca doszła do drzwi, zdążył otrzepać pył ze spodni i poprawić rogatywkę. Dziewczyna, która otworzyła, patrzyła na niego wielkimi ze strachu oczami, jakby u wrót pałacyku stanął barbarzyńca z dalekiej Północy, odziany w skóry i z okrwawionym mieczem w garści. Z przerażenia nie mogła wydusić z siebie ani słowa.

– Czy zastałem panią hrabinę? Pragnę oddać jej pewną rzecz, która do niej należy. – Kazik

starannie dobierał włoskie słowa, by nie wyjść na prostaka.

Na koniec wyszczerzył zęby w uśmiechu, starając się przybrać jak najbardziej przyjazny wyraz twarzy. Mimo że skórę znaczyły mu blizny po przebytej w dzieciństwie ospie, kobiety zwykle bardzo przychylnie reagowały na jego uśmiech, a dołeczki w policzkach i brodzie dodawały mu chłopięcego uroku. Służąca chyba też uległa czarowi młodzieńca, bo wreszcie dygnęła i ze spuszczonego wzrokiem wpuściła go do środka. Kazała mu poczekać w jasnym, pozbawionym mebli holu, a sama znikła w głębi budynku.

Lux czuł przyjemny chłód, bijący od starych kamiennych ścian. Pałacyk musiał zostać zbudowany całe wieki temu, zdawał się nasiąknięty zapachami wszystkich przyrządzanych tu potraw i wonią ludzi, którzy w nim żyli. Gdy chłopak głębiej wciągnął powietrze, poczuł aromat świeżo parzonej kawy. Od tego zaburczało mu w brzuchu, a usta wypełniła ślina.

Dziewczyna wróciła i zaprosiła go do środka. Okazało się, że pani przyjmie gościa osobiście. Szedł szerokim korytarzem, trzaskając drewnianymi podszewkami o posadzkę, minął dwa pomieszczenia, po których rozglądał się ciekawie. Wyglądało na to, że z budynku usunięto większość mebli – zostały po nich ślady na podłodze, a na ścianach jasnymi plamami świeciły miejsca, z których zdjęto obrazy.

„Czyżby wpadli tu przyjaciele Francuzi?” – pomyślał w przelocie, zanim wreszcie stanął przed panią domu.

Hrabina Valenti okazała się tą samą damą, którą widział pod karczmą i potem na Piazza del Popolo. Wydała mu się kobietą w kwiecie wieku, liczyła sobie może nawet trzydzieści lat. Mimo to była piękna niczym bogini ze starożytnych posągów lub jak żona któregoś z dawnych cesarzy. Siedziała przy stoliku, w ażurowym fotelu wyglądającym na wiklinowy, i uśmiechała się lekko. Czarne włosy nosiła krótko ścięte i ufryzowane w zaczesane do przodu loczki. Kazikiem najbardziej jednak wstrząsnęło, że była ubrana tylko w jedwabną podomkę, jakby dopiero wyszła z łóżka. Na domiar złego lekko rozchyłoną, tak że widział dwie półkule piersi. Materiał osunął się również z nogi damy, odsłaniając niemal całą łydkę i stopę z delikatnym pantofelkiem. Lux przełknął ślinę. Z zachwytem zauważył, że hrabina skórę ma gładką, a nóżkę zgrabną niczym młoda dziewczyna.

Zasalutował i przedstawił się grzecznie, a potem oddał chusteczkę właścicielce i ukłonił się w pas. Arystokratka kazała mu się tytułować „panią Edittą”, po czym zaprosiła gościa do stołu na mały poczęstunek. Zdjął rogatywkę i ręką poprawił ciemne, sięgające ramion włosy. Usiadł, niezgrabnie splatając nogi, bo krzeselko okazało się dla niego za niskie. Służka przyniosła po chwili tacę z dwiema filiżankami kawy i talerzykami, na których leżały słodkie rogaliki.

Sierżant zapomniał o kompanach czekających na niego przed pałacem i oddał się niezobowiązującej rozmowie. Mówili o pogodzie i pięknie rzymskich zabytków, słowem nie wspominając o niepokojach panującym w mieście czy niedawnej wojnie. Polak kilka razy przeproszał za swój włoski, a hrabina chwaliła jego zdolności językowe. Przez chwilę czuł się jak na wizycie u kogoś z lepiej sytuowanych przyjaciół ojca. Warszawski szaraczek^[17]

miał kilkoro przyjaciół mogących uważać się niemal za arystokrację. To u nich młody Lux nabył jako takiego obycia towarzyskiego.

Wysączył gęstą i piekielnie mocną kawę z maluteńkiej filiżanki i podziękował za poczęstunek. Hrabina zażyczyła sobie, by zabrał na drogę, dla siebie i przyjaciół, kilka rogalików. Kiedy się wzbraniał, zawołała służkę, której kazała zapakować słodkości. Wreszcie wstał, założył rogatywkę i kłaniając się, ruszył do wyjścia. Z każdym krokiem czekał na jakiś gest ze strony kobiety, której ewidentnie się podobał. Nie zawiódł się.

– Sierzancie Lux, mam do was pewną prośbę – zatrzymała go dopiero w drzwiach. – Za życia mojego świętej pamięci małżonka miałam w zwyczaju po niedzielnej mszy spacerować po mieście. Ostatnio jednak bardzo podupadły w Rzymie obyczaje i dama spacerująca samotnie jest narażona na zaczepki tłuszczy i francuskich żołnierzy. Gdyby zdybali mnie samą w parku, z pewnością nie skończyłoby się na zaczepkach...

– Służę pani pomocnym ramieniem. – Chłopak znów się uklonił. – Ze mną będzie *madame* w pełni bezpieczna. W niedzielę nie prowadzimy ćwiczeń w wojskowym rzemiośle, nie mam też przewidzianej służby. Z ogromną przyjemnością poświęcę ten czas pani.

– Zwykle chodzę na poranną mszę do kościoła przy Campo Vaccino.

– Będę tam na panią czekał.

Zasalutował i z trudem hamując radość, opuścił pałac. Gdy zamknęły się za nim drzwi, triumfalnie wznosił pięść ku niebu.

– Wiktoria! – oznajmił światu.

Potem musiał przekupić słodkimi rogalikami nachmurzonego Biernackiego, który wynudził się straszliwie w towarzystwie zakonnika zajętego odganianiem much znad ciała przeora. Lwowiak nie znał słowa po włosku, przez co był skazany na własne rozmyślenia.

17 floréala VI roku ery republikańskiej (6 maja 1798 roku)



Porucznik Turkiewicz zbierał się do wyjścia z kwatery, klasztornej celi, którą dzielił z dwoma podporucznikami, gdy ktoś nieśmiało zastukał w drzwi. Oficer spojrzął na swoje odbicie w dnie blaszanej miski i poprawił czarny halsztuk pod szyją, a potem przygładził rzadkie, przetłuszczone włosy. Dopiero po tej operacji otworzył i ujrzał wyraźnie przejętego Kazika.

– Cóżeś znowu nabroił, Lux? – spytał, odwracając się do miski i poprawiając jeszcze wąsy.

– Ja nabroił? Nigdy w życiu. – Sierżant niespokojnie rozejrzał się po celi. – Chciałem zapytać, czy odpowiada panu woda kolońska, którą zdobyłem.

– Oryginalny zapach, bardzo owocowy – łaskawie skwitował Turkiewicz. – Aleś trochę za ten flakonik przepłacił. No nic, jakoś przeżyję. Mam nadzieję, że pomoże mi dzisiaj. Ponoć do naszego kasyna na Kapitolu zaproszono kilkunastu republikańskich senatorów wraz z rodzinami. Wszyscy liczymy, że oficjele przybędą z córkami. – Oficer mrugnął porozumiewawczo do gościa. – Generał Dąbrowski kazał zakupić starego wina, zapowiada się zatem iście wspaniały wieczór. Szlachetne trunki oraz piękne córy Rzymu. Ale po co ja ci o tym opowiadam? Do kasyna mogą przychodzić jedynie oficerowie. Dla takich jak ty pozostają karczemne lafiryndy lub panny służebne, o ile któryś z was posługuje się językiem dla tych dziewczek zrozumiałym.

Kazik przytaknął z uśmiechem, w duchu powstrzymując się przed oznajmieniem nadętemu, piszczącemu falsetem oficerzynie, że ma schadzkę z prawdziwą hrabiną. Turkiewiczza chyba by szlag trafił na miejscu.

– Mam prośbę. Czy użyczyłby mi pan kilku kropel tej mikstury? Poznałem jedną dziewczynę i chciałem ją dziś zabrać na spacer, korzystając z okazji, że nie mam służby.

Porucznik przerwał poprawianie garderoby i spojrzął na Luxa z ukosa.

– Szczęściarz – mruknął. – Uważaj na tanie dziwki, bo złapiesz jaką paskudną chorobę. To nie dziwka? Skoro tak, proszę, skrop się. Tylko nie za dużo! Wystarczy wetrzeć kilka kropel tu i tu. Całkiem i tak smrodu nie zabijesz, ale na prostej dziewczynie może zrobi to wrażenie.

Warszawiak podziękował wylewnie. Mimo licznych wad Turkiewiczza szczerze go lubił, wiedział bowiem, że w boju piszczący goguś zamienia się w prawdziwego lwa. Poza tym można było na nim polegać i w potrzebie zawsze pomagał swoim żołnierzom.

Pognał czym prędzej do bramy klasztoru, szerokim łukiem omijając kościół, w którym zapewne przebywał Rolewicz. Przełożony mógłby zatrzymać go w koszarach z czystej złośliwości. Kazikowi udało się jednak z daleka usłyszeć jego krzyki i ominąć w bezpiecznej odległości. Niczym wystrzelony z procy wypadł na plac na wzgórzu kapitołińskim. W biegu poprawił starannie wyczyszczony mundur i pendent u bandoliera, na którym dyndał tasak piechoty.

Raźnym krokiem pomknął do klasztoru kartuzów, gdzie w bibliotece zastał Hoffmana pogrążonego w lekturze rozłożonych ksiąg. Zameldował mu się i oznajmił, że znika na kilka godzin. Medyk był zaskoczony, spodziewał się, że sierżant pomoże mu w katalogowaniu zbiorów przejętych od zakonników.

– Z szaloną przyjemnością, panie doktorze, ale po powrocie. Mam dziś zobowiązania wobec pewnej szacownej damy, której muszę zapewnić ochronę. Wrócę jednak, jak najszybciej się da, i natychmiast siądę do ksiąg.

– Aha, młodość. – Lekarz pokiwał głową ze zrozumieniem. – Uważaj na siebie i unikaj kontaktów z damami lekkich obyczajów. Pamiętaj, co opowiadałem o wstydliwych chorobach.

Kazik przytakiwał energicznie, jednocześnie cofając się do drzwi. Formalnie był oddelegowany pod komendę medyka, musiał więc uzyskać jego zgodę na wyjście. Udało się łatwiej, niż się spodziewał. Lubił księgi, ale perspektywa spędzenia tak pięknego dnia z nosem w zakurzonych kartach wydała mu się wyjątkowo mało pociągająca.

– Czekaj! To od ciebie pachnie ciastem? – Lekarz podniósł się zza stołu i dogonił wycofującego się młodzieńca. – Od ciebie! Byłeś w cukierni czy co?

– O czym pan mówi? – niepewnie bąknął sierżant.

– Czuć od ciebie olejkami z owoców cytrusowych. Włosi chętnie dodają je do deserów i słodkich ciast, które, jak zauważyłeś, bardzo lubią.

– To nie woda kolońska? – zdumiał się chłopak.

– Ktoś sprzedał ci olejki zapachowe jako perfumy? A to facecja^[18]! – Hoffman z uciechy trzasnął się otwartymi dłońmi w uda. – Oj, Kaziu, brakuje ci jeszcze eksperyencji^[19], by samemu ruszać w wielki świat. Może jednak zostań ze mną w bibliotece?

Lux poczuł gorąco bijące od policzków. Spalił raka ze wstydu, gdy sobie przypomniał kupców, którzy wcisnęli mu zapach do ciast jako drogie perfumy. Niech no tylko Turkiewicz dowie się, że przez sierżanta robi z siebie idiotę i kompromituje przed włoskimi damami, a młodzieniec znów znajdzie się w opałach.

Podziękował medykowi i obiecał, że od jutra odda się pod jego okiem pilnym studiom, ale póki co musi załatwić sprawę z damą. Pognał pod umówiony kościół, po drodze trąc wściekle szyję, którą porucznik skropił mu olejkiem zapachowym. Hrabina akurat wychodziła z kościoła, w towarzystwie służki o wielkich oczach. Na widok maszerującego z uśmiechem sierżanta odprawiła dziewczynę i trzepocząc rzęsami, oddała się pod opiekę polskiego żołnierza.

– Coś ci się stało, mój opiekunie? – spytała, biorąc go pod ramię. – Szyję masz straszliwie zaczerwienioną.

– To przez zbyt mocno wykrochmalony kołnierz munduru – skłamał bez mrugnięcia. – Wszedłem po drodze do cukierni, by kupić nam coś słodkiego do zjedzenia w czasie spaceru... Pomyślałem jednak, że dama o waszym statusie nie spaceruje z ciastkiem w dłoni jak plebejuszka.

– Rzeczywiście, mocno czuć od ciebie słodkościami. – Uśmiechnęła się lekko. – A co do przystającego mi zachowania, to wszak odkąd stworzono republikę, wszyscy jesteśmy jednego stanu. Mogę prowadzić się niczym dziewczka z karczmy na Zatybrzu, pewnie rewolucjonistom bardziej by to odpowiadało. A ty co myślisz o całej tej rewolucji, o wielkich zmianach, które przynieśli Francuzi?

– Nic nie myślę, jestem żołnierzem i muszę wykonywać rozkazy. Osobiście nie odpowiada mi, że żabojady dręczą arystokratów i księży. Wszak według ideałów, które sami głoszą, wszyscy jesteśmy braćmi. Cóż winien jest książę, że urodził się księciem, albo mnich, że został powołany do służby Bogu?

– Jesteś religijny, Casimiro?

Zawahał się na mgnienie oka. Specjalnie religijny nigdy nie był, ale zdawał sobie sprawę, że Polacy za takich uchodzą i przez to Włosi traktują ich przyjaźniej niż Francuzów. Przytaknął zatem i zapewnił Editte o swojej miłości do Boga.

– Cieszę się, że trafił mi się opiekun nie tylko przystojny i dzielny, lecz także religijny. Chodźmy zatem, pokażę ci jeden z największych cudów, z których słynie Rzym.

Poszli wolnym krokiem. Kazik szedł sztywno, ze zgiętą w łokciu ręką, za którą trzymała go piękna dama. Hrabina miała na głowie łyczkowy^[20] kapelusz ozdobiony piórami, a ubrana była w barwną riunikę^[21], porażającą kolorami. Oboje wyglądali niecodziennie i przyciągali spojrzenia wszystkich mijanych przechodniów. Spacer w słoneczny majowy dzień okazał się bardzo przyjemny, szczególnie że dama starała się umilać im drogę opowieściami o swoim rodzinnym mieście. Szczególne wrażenie wywarły na warszawiaku historie o starożytnych władcach, oddających cześć całemu panteonowi pogańskich bogów i okrutnie dręczących pierwszych chrześcijan. Na chwilę młodzieniec odpłynął myślami w odległe czasy, zastanawiając się, który z wielkich wodzów chadzał ulicami, po których właśnie stąpa. Może sam Juliusz Cezar lub Marek Antoniusz?

Wreszcie dotarli na miejsce. Editta, z wyraźną dumą malującą się na twarzy, wprowadziła młodego sierżanta na skąpany w słonecznym blasku plac Świętego Piotra. Ogrom otwartej powierzchni otoczonej potężną kolumnadą zaparł na chwilę Luxowi dech w piersiach. Młodzieniec spojrział w górę na pnący się w niebo kamienny obelisk zwieńczony metalowym krzyżem. Odruchowo, nawet nie po to, by zrobić wrażenie na kobiecie, ale z własnej potrzeby, przeżegnał się z namaszczeniem. Gdy szli wokół placu, po którym kręciło się całkiem sporo wiernych, Kazik w milczeniu patrzył na imponujące posągi świętych stojące pod attyką

kolumnady. Poczł się dziwnie mały i nie na miejscu. Zrozumiał, że dla religijnych Włochów obecność rewolucyjnej armii kalala tę świętą ziemię.

Arystokratka obserwowala zachowanie chłopca z uwagą i zadowoleniem, następnie poprowadziła go w kierunku imponującej rozmiarami Bazyliki Świętego Piotra, wieńczącej plac. Chciała tam przeprowadzić ostatni sprawdzian młodzieńca. Zanim jednak dotarli do świątyni, natknęli się na grupę rozbawionych francuskich żołnierzy. Piechurzy w błękitnych mundurach pokrzykiwali i zanosili się od śmiechu, pokazując sobie coś palcami. Towarzyszyło im przynajmniej dwóch oficerów w pirogach na głowach, którzy co prawda nie uczestniczyli w kpinach, ale z uśmiechem na ustach też się czemuś przyglądali. W pewnej odległości od żabojadów zgromadziła się spora grupka włoskich gapiów. Wszyscy otaczali półokręgiem piedestał ozdabiający jedną z bocznych naw, na którym tkwiła wielka szyszka odlana z brązu. Polaka tknęło jakieś niesprecyzowane, niepokojące przecucie i po chwili wahania poprowadził hrabinę w tamtym kierunku.

– Co to za szyszka? – spytał.

– Relikt zamierzchłych epok. – Wzruszyła ramionami. – Nic ważnego, dawniej była ozdobą grobowca Hadriana.

Na bruku przed starożytną rzeźbą leżało krzyżem kilku mężczyzn, kolejnych kilku klęczało z rękoma złożonymi do modlitwy. Kazik bez zdziwienia spostrzegł, że wszyscy nosili mundury legionowe, a po żółtej barwie wyłogów poznał żołnierzy Trzeciego Batalionu. Polscy piechurzy zdjęli rogatywki i modlili się w najlepsze, tylko co chwilę któryś z nich zerkał spode łba na roześmianych Francuzów.

– Polskie barany chcą złożyć z siebie ofiary na cześć Zeusa! Trzymajcie mnie, nie widziałem jeszcze czegoś takiego! – dudnił basem brzuchaty francuski sierżant. – Może położą się plackiem przed moją starą, przecież wygląda niczym Wenus.

– Hej, Polacy, możecie ucałować moje buty! Kopały w dupsko niejednego księdza w tym cholernym mieście. Znaczy, że są święte, nie? – dodał kolejny żołnierz.

Lux spojrział z niepewną miną na Editę. Kobieta sprawiała wrażenie zaskoczonej niespodziewanym widowiskiem. Podobnie jak większość gapiów nie okazywała rozbawienia, a raczej zdziwienie.

– Hadrian nie był chrześcijaninem, prawda? – upewnił się warszawiak. – A ta szyszka nie jest żadnym chrześcijańskim symbolem?

– Cesarz panował długo przed nastaniem prawdziwej wiary, oddawał cześć dawnym bogom – przytaknęła. – A szyszka to starożytny symbol płodności.

– Proszę wybaczyć, *madame*. – Ucałował ją w dłoń, poprawił tasak u bandoliera i samotnie przeszedł przez krąg gapiów.

Szturchnął w ramię modlącego się piechura.

– Kto wami dowodzi, mamałygo^[22]? – syknął.

– Ja. – Jeden z żołnierzy uniósł się z klęczek. – Kapral Maciej Pachniak, Dziesiąta

Kompania Trzeciego Batalionu.

Lux spojrział w jasne oczy krępego jegomościa o kanciastej chłopskiej gębie i iście piastowskich wąsiskach. Miał przed sobą prostego żołnierza, jakiegoś małopolskiego włościanina.

– Zabierajcie się stąd i to już – warknął. – Ta cholerna szyszka to pogański bożek. Modlicie się do ozdoby grobu dawnego cesarza. Zapamiętajcie sobie, durne polenty, że nie wszystko w tym mieście jest święte! – podniósł głos. – Są tu też pozostałości po pogańskich czasach. Nie kładźcie się krzyżem przed każdym posągiem, bo wystawiacie całą polską armię na pośmiewisko.

Kapral wcisnął na głowę rogatywkę i warknięciem wydał rozkaz powstania swoim podwładnym. Z wściekłym błyskiem w oku spojrział na roześmianych Francuzów. Kazik przywołał go do porządku i kazał spokojnie odmaszerować. Legioniści ustawili się dwójkami w małą kolumnę i odeszli, żegnani kpinami i gwizdami żabojadów. Za to Włosi patrzyli na nich z ciekawością, mało który śmiał się z naiwności Polaków, raczej uśmiechano się do nich z sympatią. Lux stwierdził z zaskoczeniem, że przesadną religijnością wzbudzają coraz cieplejsze uczucia wśród rzymian. Spojrział na Edittę i odpowiedział uśmiechem na jej spojrzenie. Przynajmniej dowiedział się, w jaki sposób szybko dotrze do jej serca.

– Może wejdziemy na chwilę do bazyliki odmówić krótką modlitwę? – zaproponował i podał jej ramię.

Hrabina z wyraźnym zadowoleniem przyjęła zaproszenie.

21 floréala VI roku ery republikańskiej (10 maja 1798 roku)



Stara księga pachniała kurzem i toczonym przez grzyb papierem. Kazik przewracał jej karty z ostrożnością i w skupieniu, smakował z równym nienasyceniem zarówno zapach, jak i treść dzieła. Średniowieczny traktat o walce długim mieczem, pisany łaciną, ale z przypisami po włosku, które ktoś porobił na marginesach, wciągnął go bez reszty. Polak miał okazję odświeżyć wymarły, klasyczny język, którego uczył się w bólach i z niechęcią pod okiem guwernanta. Ojciec wykosztował się na wykształcenie syna, przeznaczając na ten cel sporą część mizernych dochodów z tartaku pod Warszawą. Chłopak odpłacił mu za to porzuceniem rodzinnego domu, by wybrać się na poszukiwanie przygód i bogactwa. Nie spodziewał się, że umiejętność posługiwania się łaciną przyda mu się do czegoś więcej niż zrozumienie kościelnej liturgii. W klasztornej bibliotece natrafił jednak na tyle ciekawych manuskryptów, że z trudem się od nich odrywał.

Do sali wszedł doktor Hoffman z grubym plikiem papierów pod pachą. Sierżant z trzaskiem zamknął księgę i sięgnął po pióro tkwiące w kałamarzu. Otarł je z nadmiaru atramentu o krawędź naczynia i pochylił się nad tabelą z listą przejętych książek. Katalogowanie zbiorów miało je uchronić przed grabieżą. Polacy nie zamierzali ich sobie przywłaszczyć, lecz w całości przekazać magistratowi miasta. Będzie to wspaniałym prztyczkiem w nos dla pazernych Francuzów.

Medyk się uśmiechnął. Po raz kolejny przyłapał Luxa nie na pracy, a na studiowaniu dawnych dzieł. Akurat to zajęcie jak najbardziej pochwalał, wierząc, że młodzieniec może się czegoś nauczyć. Sam podsunął mu niemieckie dzieło o anatomii człowieka, ale chłopak wolał traktaty wojenne i księgi poświęcone bataliom lub wojskowemu rzemiosłu.

– Wychodzę – powiedział lekarz. – Ty też się zbieraj, bo już pora. Sierżant Rolewicz znowu będzie się skarżył oficerom, że się spóźniłeś.

– Ech, ma pretekst, bo właśnie trwa przeprowadzka. Wyprowadzamy się z kościoła Madonny del Popolo, a zajmujemy wielki klasztor San Francesco Romana. Kawalek od Kapitolu, ale za to wreszcie nie będziemy spali na posadzce świątyni, a w mnisich celach.

– To pewnie trafi się wam własny pokoik dla sierżantów. Możesz wziąć sobie do niego którąś z książek, jeśli chcesz.

– Dziękuję, panie Jakubie, ale wiem, że będę zakwaterowany w celi razem z Rolewiczem.

Gdyby przyłapał mnie na czytaniu cennego manuskryptu, pewnie oskarżyłby o grabież i Bóg wie co jeszcze. – Kazik machnął ręką, a potem odłożył pióro i zamknął kałamarz. – A co pan tam niesie za papiery? Czyżby plany łodzi?

Hoffman z dumą pokiwał głową. Zaprzyjaźnieni z medykiem legionišci doskonale wiedzieli, że ten od lat pracuje nad skonstruowaniem statku pływającego pod wodą. W wolnych chwilach robił obliczenia i szkice, rysował schematy i przekroje. Często też wspominał, jak to wymyślił, by za pomocą tej łodzi uwolnić Kościuszkę z Twierdzy Pietropawłowskiej.

– Skończyłem! – Oznajmił, potrząsając plikiem. – Naczelnik od dawna już nie potrzebuje wyzwolenia z carskich lochów, ale myślę, że ta łódź może przydać się naszej narodowej sprawie. Przekażę plany do Paryża, do Dyrektoriatu. Może Republika zbuduje sobie podwodną flotę?

Mężczyźni wyszli z klasztoru pogrążeni w rozmowie o sposobach zastosowania statków pływających pod powierzchnią wody. Warszawiak cieszył się z niesamowitych możliwości skrytego podpłynięcia do wroga i zaatakowania zniecka zarówno wrogich okrętów, jak i nabrzeżnych twierdz lub portów. Hoffmana bardziej ciekawiła możliwość zbadania życia podwodnego i dna oceanów.

Dyskusja pochłonięła ich w najlepsze, nie zwrócili więc uwagi na dwóch przyglądających się im mężczyzn w kapotach noszonych mimo panującego gorąca. Przeszli przez placyk i zagłębili się w wąskiej, ciemnej uliczce, typowej dla starożytnego miasta. Dwaj Włosi ruszyli za nimi, stąpając zaskakująco cicho. Zbliżali się szybko i obaj jak na rozkaz sięgnęli do wewnętrznych kieszeni płaszczy. W świetle zmierzającego ku zachodowi słońca błysnęły ostrza obnażonych sztyletów.

Porozumieli się wzrokiem. Obaj byli grzesznikami, którzy zarabiali na życie kradzieżami i obrotem przywłaszczonym towarem. Obaj też wypowiedali się niedawno i uzyskali od księdza zapewnienie, że za każdego zabitego najeźdźcę zostanie im odpuszczona solidna porcja grzechów, a okres pobytu w czyścicu znacznie się skróci. Jednemu i drugiemu zależało na oszczędzeniu duszy mąk i jak najszybszym dotarciu do królestwa niebieskiego. Unieśli więc sztylety, by zagłębić je w plecach wrogów Ojca Świętego i prawdziwej wiary.

Kazik odwrócił się i położył rękę na rękojęści tasaka, gdy tuż za plecami usłyszał szelest. Ujrzał dwóch mężczyzn oddalających się szybkim krokiem. Wzruszył ramionami i wrócił do pasjonującej rozmowy z medykiem o możliwości prowadzenia armatniego ostrzału z pokładu łodzi podwodnej.

Tymczasem dwaj sztyletnicy przystanęli za rogiem. Jeden z nich twarz miał pobladłą, a usta zaciśnięte ze złości.

– Czemu mnie powstrzymałeś? Mieliśmy ich jak na tacy! – syknął wściekle. – Żaden nawet by nie pisnął!

– Uspokój się, to byli Polacy. W ostatniej chwili poznałem ich mowę – uspokajająco odparł drugi morderca. – Katolicy, wierni Kościołowi. Nie dostalibyśmy za nich odpustu, a jedynie

narobili sobie nowych grzechów. Pójdziemy przycząć się przy karczynie, do której przyłazą Francuzi. Po zmroku dopadniemy któregoś, gdy pójdzie wyszczać się do rynsztoka. Obiecuję, że jeszcze dziś zanurzysz ostrze w kiszka bezbożnika.

Uspokojony sztyletnik uśmiechnął się ponuro i po chwili obaj znikli w wylocie uliczki.

* * *

Obszerna kwatery Kazika znajdowała się na piętrze i do niedawna należała do mnicha wyżej postawionego w zakonnej hierarchii. Stały w niej solidne łóżko, szafa, stolik do pisania i porcelanowy nocnik. Przez okno było widać cały dziedziniec klasztoru, na którym poustawiano w kozłach muszkiety. Lux wolałby jednak mniej przestronną celę, dzieloną z pozostałymi sierżantami kompanii. Kaprale tradycyjnie mieszkali z wojskiem, ale wyższe szarże miały już wydzielone osobne pomieszczenia. Warszawiak bez namysłu zrezygnowałby z tego przywileju, by zamieszkać z całym plutonem szeregowców. Niestety, Rolewicz zakwaterował go ze sobą, by mieć chłopaka na oku i dręczyć w dogodnych chwilach.

Po wieczornych manewrach i ćwiczeniach musztry Kazik dotarł wreszcie do celi i z ulgą stwierdził, że starszy sierżant jeszcze nie wrócił. Pewnie obsztorcowywał legionistów i sprawdzał, czy któryś nie wymknął się do karczmy. Wojacy mieli jeszcze resztki żołąd, więc niejedyn z piechurów szukał zapomnienia w ramionach dziwek i oparach alkoholu.

Lux cisnął w kąt jutowy worek napchany słomą – swoje przydziałowe pościelenie, oczywiste wszak było, że na wygodnym łóżku będzie spał Rolewicz. Rozebrał się niespiesznie i usiadł w otwartym oknie, by nacieszyć się ostatnimi promieniami zachodzącego słońca.

Wtedy drzwi się otworzyły i do środka wpadł młody dobosz, Krzyś. Targał na plecach wypchany po brzegi mantelzak, który po wejściu rzucił w kąt. Wór łupnął z metalicznym brzękiem, a przez źle zawiązany węzeł wysypała się na podłogę część jego zawartości. Krzyś niedbale zsalutował sierżantowi i rzucił się na klęczki, by pozbierać zguby. Pod nogi Kazika potoczyła się jedna z nich, metalowy kubek pokryty grawerunkiem. Podniósł go, z zaskoczeniem konstatając, że jest zbyt ciężki jak na przedmiot blaszany, a do tego bardzo porządnie wykonany. Czarny nalot we wgłębieniach ornamentu pokrywającego naczynie jasno świadczył, z czego je zrobiono.

– Srebro – mruknął podoficer. – Musi być warte miesięczny żołd i to co najmniej kapitański. Skąd to masz?

– To przecie nie moje, tylko tego sukinsyna. Diabli wiedzą, gdzie ta gnida tyle nakradła – płaczkliwym głosem oznajmił dobosz. – Na patrole zabiera ze sobą zwykle sierżanta Majewskiego i tych czterech obwiesi, wiesz, Pryszczatego, Joachima, Chudego i Komosę. Nie ma dnia, by czegoś nie przyniósł z miasta. Raz nawet przywlekl pod pazuchą złotą monstrancję, ale jeszcze tego samego dnia ją spieniżył.

Lux pokiwał głową. Czuł zniesmaczenie, ale też podziw dla Rolewicza, który okazał się

utalentowanym grabieżcą. Kiedy wreszcie starszy sierżant doczeka się oficerskich szlifów i będzie mu wolno jeszcze więcej, zarobi prawdziwą fortunę. Chyba że zawładnie nim pazerność i wpadnie przez zbytnią chciwość. Jeszcze niedawno Kazik marzył o podobnych łupach, ale okradanie kościołów zawsze wydawało mu się czymś niestosownym.

Spojrzał przez ramię na Krzysia. Chłopiec pakował z powrotem do mantelzaka także przedmioty świeckie. Luxowi mignął grzebień z białą rączką, pewnie z kości słoniowej, miedziana szkatułka, błyszczące pudzeczka na pudry i kosmetyki, srebrna brosza, spinka do fularu i lśniące klamry od pasa lub eleganckich butów. Młody sierżant aż zagwizdał z wrażenia. Wyglądało na to, że Rolewicz prowadzi bardzo szeroko zakrojony interes. Wystarczyłoby szepnąć słowo odpowiedniemu oficerowi, a mogliby raz na zawsze pozbyć się tej gnidy. W Legionach za rabunek obowiązywała najwyższa kara.

– Taszczysz za niego trefne fanty^[23], a wiesz, co by się stało, gdybyś rozsypał to na schodach i wpadł? – spokojnie spytał dobosza.

– Wyszedłbym na złodzieja, a nawet jeśli wydałbym na śledztwie starszego sierżanta, ten i tak wszystkiego by się wyparł. Zresztą nikt mi nie uwierzy, a jeśli nawet, to nie pożyłbym długo. Jeśli nie Rolewicz osobiście, załatwiłby mnie któryś z jego kompanów – ponuro odparł chłopiec.

– Zrobił sobie z ciebie parobka – zauważył warszawiak. – Bił cię, straszył?

– Tak samo jak pana, sierżancie. Rolewicz ma ciężką rękę, a potrafi bić tak, by nie zostawić śladów. Nie ma się komu na niego poskarżyć, a nawet gdybym się odważył, oberwałbym nożem lub któryś z tych drabów zadusiłby mnie we śnie.

Lux zacisnął pięści z bezsilnej złości. Nie tyle współczuł doboszowi, co wściekał się na bezkarność i bezczelność Rolewicza. Wyglądało na to, że drań stworzył całą szajkę rabusiów, a wszystkim, którzy o tym wiedzieli, zamknął gęby groźbami. Ciekawe, czy miał na koncie jakieś morderstwo? Pewnie niejedno, sądząc po liczbie zdobyczy. Przydałoby się zrobić z nim porządek, zanim zaczną podrywać gardła legionistom.

Krzyś schował rzeczy starszego sierżanta, ale nie kwapił się do natychmiastowego opuszczenia celi. Stał i patrzył wygłodzonym wzrokiem na leżące na stole zawiniątko, w którym Kazik przyniósł sobie na wieczernę okrągły bochenek i mały, owalny serek. Lux bez słowa przerwał *pagnotte* na pół i wręczył jedną część chłopcu. O ile wieść, że dobosz stał się pomagierem przestępcy, nie zrobiła na nim wrażenia – takie już było życie, że słabsi i niepotrafiący sobie radzić padali ofiarą silniejszych – to stwierdzenie, że chłopiec jest głodzony, już go poruszyło. W rodzinnym domu zdarzało mu się nie dojadać, a w czasie służby w armii też niejedną raz cierpiał głód, znał więc dobrze to uczucie. Po chwili zastanowienia wcisnął jeszcze do kieszeni dobosza całą gomółkę sera.

Malec od razu wpakował do ust solidny kęs i zasalutował Kazikowi z powagą, po czym skierował się do drzwi, które w tym samym momencie się otworzyły. Rolewicz wtoczył się do środka, wściekle błyskając przekrwionymi oczami. Powiało od niego kwaśnym zapachem

wina i potu.

– Co tu jeszcze robisz, zasrańcu?! – ryknął na Krzysia i kopnął go z rozmachem.

Dobosz zrobił zwinny unik i wymknął się z pomieszczenia. Starszy sierżant wychylił się za nim, wrzeszcząc obelgi, a na koniec dodał:

– I żebym rano znalazł akuratnie wyczyszczone buty, nie tak jak ostatnim razem, bo ci nogi z dupy powyrywam!

Zatrzasnął drzwi i spojrzał spode łba na Kazika, a potem na swój napchany mantelzak.

– Od kiedy to sierżantowi przysługuje ordynans? – Lux zaatakował jako pierwszy. – Zdaje się, że nadużywa pan tego chłopca. To zachowanie niezgodne z regulaminem.

– Ty mnie będziesz uczył regulaminów, szlachetko w samych gaciach? – Rolewicz doskoczył do niego i złapał za koszulę. – Rozkwaszę ci zaraz tę wycacaną buźkę.

Warszawiak chwycił go za rękę i próbował się uwolnić, ale przeciwnik był dojrzałym mężczyzną, znacznie lepiej umięśnionym i doświadczonym w bójkach. Pchnął podwładnego i błyskawicznie trzasnął go otwartą dłonią w policzek. Siła uderzenia obróciła młodzieńcem, przez chwilę nic nie widział od wstrząsu. Oparł się o ścianę i zasłonił przed kolejnymi razami. Rolewicz poprzestał jednak na tym jednym ciosie. Widok oszołomienia i bólu na twarzy młodego sierżanta w zupełności mu wystarczył.

– Ruszaliście mój mantelzak, co? – warknął i ukląkł przy swoim skarbcu. – Inaczej go zawiązałem.

Kazik przesunął się do wiszących na krześle spodni, do których był przypięty tasak. Gotował się z gniewu i strachu jednocześnie. Szczególnie niepokoiło go to drugie uczucie, które zaczynało brać górę, gdyż siła i brutalność przeciwnika wytrąciły go z równowagi. Musiał przełamać paralizujące przerażenie i się postawić, inaczej zostanie sprowadzony do pozycji kolejnego służącego Rolewicza. Jedynym wyjściem było natychmiastowe pokonanie wroga.

Złapał za rękojęść tasaka i z sykiem ostrza trącego o krawędź pochwy dobył broni. Obrócił się w stronę przeciwnika z zamiarem sprania go płazem szerokiej szabelki. Starszy sierżant okazał się jednak niezwykle czujny. Nie podnosząc się z kucek, cisnął ciężkim worem w nogi Kazika. Ten syknął z bólu i stracił równowagę. W tej samej chwili Rolewicz runął na niego całym ciężarem ciała i powalił na ziemię.

Na nic zdały się warszawiakowi lekcje szermierki i to w mediolańskiej sztuce robienia szablą. Na nic lektury średniowiecznych traktatów o walce białą bronią. W konfrontacji z silniejszym i bardziej doświadczonym przeciwnikiem nie miał żadnych szans. Atak Rolewicza był niczym szarża wściekłego dzika – pozbawiona taktyki i wdzięku, ale śmiertelnie groźna.

Ciosy potężnej pięści spadały na żebra chłopaka, odbierając mu dech. Kolejne uderzenie, niczym trafienie armatniej kuli, wyrznęło w żołądek, powodując przeszywający ból i wymiotne skurcze. Starszy podoficer pierwszym kopniakiem wybił mu tasak z ręki,

a następnym rozciął usta. Rolewicz stanął nad powalonym wrogiem ze zdobytą bronią w ręku. Lux, zwinięty w kłębek, krztusił się złością i śliną. Czekał, kiedy ostrze opadnie.

Starszy sierżant parsknął śmiechem, po czym złapał tasak oburącz i uderzeniem o własne kolano złamał klingę. Rękojeścią cisnął w Kazika, po czym usiadł na krześle.

– Alem się ubawił tą krotochwilą – powiedział. – Wiesz, Lux, czuję, że się polubimy. Potrafisz być zabawny. Nie prychaj już jak nieumiejętnie rzezany świniak. A teraz słuchaj, ustalimy pewne zasady. Nie wziąłem cię tu dla rozrywki, w dupie mam też, jakim jesteś żołnierzem i podoficerem. Ponoć jesteś kształcony, a kogoś takiego potrzebuję. Będziesz żył, dopóki okażesz się przydatny. Czy to jasne? Odpowiadaj!

Ostatni – i na dodatek niespodziewany – wrzask podziałał na młodzieńca jak wiadro wody. Opanował skurcze żołądka, otarł krew i ślinę, po czym usiadł i z obawą patrzył na pijanego draba.

– Nikomu ani słowa o tym, co zobaczysz i czego się dowiesz, bo inaczej będziesz zdychał w potwornych męczarniach. Pryszczaty umie sztyletem tak otworzyć brzuch, by rozkroić trzewia, nie zabijając ofiary. Nieszczęśnik zdycha całymi dniami, gdy gówna wypływają mu z kiszek wprost do rany. Chcesz zmarnieć zgniły od własnego gówna? – Rolewicz znów sięgnął po mantelzak i długo w nim grzebał. – Nie myśl, że ochroni cię któryś oficer, bo kilku z nich siedzi w mojej kieszeni. Nawet jeśli naskarżysz, dowiem się o tym ja, a nie sąd legionowy czy wyższe szarże. Zresztą, to ja jestem pierwszym stopniem zgłaszania skarg na drodze służbowej. – Roześmiał się, zadowolony ze swego toku rozumowania. – A teraz zobacz te papiery. To spis moich zdobyczy i ich wycena zrobiona przez rzymskiego lichwiarza. Po włosku, a ja nawet po polsku słabo litery składam. Tu masz z kolei moje notatki, komu ile dałem w łapę. A tu, ile jestem winny kwatermistrzowi i chłopakom. Teraz twoje zadanie, skup się. Policzysz mi to wszystko i zrobisz ładne tabelki. Zyski, straty, do zapłaty, zapłacone, odhaczone. Nie przeliczaj walut na franki, może być w lirach. Choć nie, nie wiem. Za dużo tu różnych walut krąży, liry mediolańskie, rzymskie, soldy, denary, liwry i franki. Przelicz mi wszystko jakoś ładnie, bym się nie gubił. I to cała twoja robota. Po prostu potrzebuję rachmistrza, a tyś ponoć łebski chłopak. Będiesz grzeczny, to i ja będę dla ciebie miły. Możesz na tej robocie nieźle dorobić. No, już się nie dąsaj. Masz tu na zachętę trochę lirów. – Położył na stole pięć srebrnych monet, tygodniowy żołd Kazika. – Chcę mieć rachunki za kilka dni, nie musisz więc liczyć po nocy. A teraz pościeraj tę krew i rzygowiny. Nie będziemy spać jak w rynsztoku.

Rozpiął mundur, zdjął buty i runął na łóżko. Zanim młodzieniec pozbierał się z podłogi, starszy sierżant chrapał już w najlepsze. Lux pochylił się nad nim, bijąc się z myślami. Mógłby spróbować go udusić lub poderżnąć mu gardło ułamanym brzeszczotem tasaka. Potrzęsnał głową, wiedział, że się nie odważy. Rolewicz mógłby znów go pokonać, a wtedy nie skończyłoby się na kilku ciosach. Poza tym, nawet śpiący podoficer wzbudzał w Kaziku lęk, którego ten nie mógł pohamować. Wiedział, że nie ma sił po raz kolejny stanąć do walki z bandytą.

Z poczuciem haniebnej klęski i dławiony upokorzeniem usiadł przy stole. Spojrzał na papiery zostawione przez Rolewicza. Nigdy wcześniej nie został tak zbrukany, a właściwie nawet zgwałcony. Nie spodziewał się, że można czuć się tak paskudnie. Cały jego honor żołnierza, legionisty i szlachcica runął w gruzy.

26 floréala VI roku ery republikańskiej (15 maja 1798 roku)



Oberża w Ferentino leżała przy głównym trakcie przecinającym departament Circeo, a prowadzącym z Rzymu do granicy z Królestwem Neapolu. Dawny dowódca Legionów Cisalpińskich, a od kilku miesięcy dezertor i banita, generał Giuseppe La Hoz d'Orlz, nadjechał tym traktem od strony Wiecznego Miasta. Jak zwykle nosił ciężki płaszcz z kapturem narzuconym na głowę, z daleka upodobniającym go do samotnego mnicha. Z bliska jednak łatwo było poznać w nim żołnierza, gdyż nosił wysokie buty do konnej jazdy, a do boku miał przypasaną oficerską szablę. Trochę ryzykował, bowiem republikanie surowo zabronili Włochom noszenia broni. O ile jednak w Rzymie za złamanie tego prawa zostałby natychmiast aresztowany, o tyle na prowincji mógł sobie pozwolić na jawne lekceważenie republikańskich przepisów. Tu, na południu dawnego Państwa Kościelnego, nadal przestrzegano praw papieskich, a jedno z nich dawało każdemu wolnemu człowiekowi przywilej noszenia broni. Ostentacyjnie korzystali z niego szlachta i bogate ziemiaństwo, najchętniej paradując z lubianymi przez Włochów długimi sztyletami. Z kolei dawni żołnierze, a za takiego La Hoz próbował uchodzić, zwyczajowo podróżowali z długą bronią u pasa.

Generał zeskoczył z konia i rzucił lejce stajennemu. Chłopak spojrzał na pogrążoną w cieniu kaptura poważną twarz szlachcica, o obliczu jakby ożywionego posągu jednego ze starożytnych władców Rzymu, i bez słowa uklonił się w pas. Bezbłędnie rozpoznał w wędrowcu prawdziwego arystokratę, w którego żyłach naprawdę mogła płynąć krew któregoś z cesarzy.

D'Orlz stanął w szeroko otwartych drzwiach karczmy i rozejrzał się uważnie. Główny stół, ciągnący się przez całe pomieszczenie, zajmowała pstrokata grupa mężczyzn w różnym wieku i różnych stanów. Był wśród nich młodzieniec w pudrowanej peruce i jedwabnej kamizelce, było potężne chłopisko w brudnej koszuli noszącej ślady krwi z rzeźni, byli też włościanin o ogorzalej twarzy i blady kancelista w surducie. U szczytu stołu siedział ksiądz, a po przeciwnej stronie niepozorny mężczyzna w chłopskiej koszuli. Na widok groźnie wyglądającego przybysza oparty o ścianę oberżysta sięgnął za kontuar i wyciągnął krótki marynarski garłacz z lufą rozszerzającą się jak trąba. W tej samej chwili od stołu poderwał się jeden ze spiskowców, w którym arystokrata rozpoznał ubranego po cywilnemu kapitana Fontanę z gwardyjского Regimentu Strzelców Piesznych armii Neapolu.

Kapitan stanął na baczność i choć La Hoz nie był jego przełożonym, złożył mu wojskowy

meldunek. Gdy, prężyć się, nazwał go generałem, większość zgromadzonych z ociąganiem wstała i popatrzyła na siebie niepewnie. Przy stole zostali tylko młody szlachcic i ksiądz, z podejrzliwością lustrujący postać cisalpińskiego dezertera. Ten zaś z przykrością stwierdził, że sztab rebeliantów nie ma najmniejszego wojskowego doświadczenia ani obycia.

– Melduję, że powstanie jest gotowe – dodał już nieco mniej oficjalnie Fontana, gdy d’Orlz usiadł z powstańcami do stołu i oberżysta postawił przed nim kubek wina. – Lud aż pali się, by chwycić za broń i wygnać francuskich bezbożników oraz ich popleczników. Ciągłe szkolenie ochotników w wojennej robocie, próbujemy nawet musztry i marszów w szyku. Żołnierze nie chcą jednak ćwiczyć manewrów, tylko od razu iść do boju. Właściwie coraz trudniej mi ich powstrzymać...

– Moi chłopcy dokonali już trzech samosądów na republikanach – wtrącił niepozorny mężczyzna o pseudonimie Calalono, jeden z głównych przywódców buntu. – Złapali sekretarza prezydenta Frosinone, który w towarzystwie dwóch służących udał się do Terracino. Nie wiedzieli nawet, kim jest, zauważyli tylko, że nie przeżegnał się, gdy mijał przydrożną kapliczkę. Poznali w nim republikanina, ściągnęli z konia i powiesili na najbliższym drzewie.

– Udzieliłem im rozgrzeszenia – dodał ksiądz Giuseppe Trino. – Tak jak rzymscy duchowni, otwarcie obiecuję przebaczenie i odpuszczenie grzechów za każdego zabitego republikanina. Przebaczyłem nawet wyrostkom, którzy dopadli córkę republikańskiego radcy z Velletrii, ścieli jej włosy, a potem zhańbili. Przykro mi, że musimy nakłaniać ludność do takich czynów, ale nie wolno dłużej tolerować ataków na wiarę i święty Kościół!

Kapitan spojrzał wymownie na generała.

– Chłopi polują na każdego republikanina, który pojawi się bez zbrojnej eskorty – potwierdził. – Boję się, że w końcu opiją się wina, zbiorą w kupę i wtargną do miasta, by mordować bezbożników. Mieszczanie z chęcią się do nich przyłączą, tylko na to czekają. Dojdzie do chaotycznego zrywu, nad którym nie będziemy mogli zapanować. Może już pora, by przerwać szkolenie i rozpocząć operację? Sytuacja aż nadto do tego dojrzała.

La Hoz napił się wina. Było całkiem niezłe, choć młode. Ubiegłoroczne lato nasyciło winogrona słodyczą, która podczas fermentacji przeszła w słuszną moc, burzącą krew i zachęcającą do bitki. Oficer milczał dłuższą chwilę, wypłukując z ust smak kurzu i pyłu. Spiskowcy patrzyli na niego w napięciu.

– Jeszcze nie czas – powiedział krótko. – Musicie zrobić wszystko, co w waszej mocy, by zapanować nad gniewem ludu.

– Dlaczego mamy czekać? – burknął potężny rzeźnik.

– Wracam właśnie z Rzymu. Nasi ludzie przekazują bardzo ciekawe wieści z Paryża. Ponoć generał Bonaparte został mianowany dowódcą armii „Wschód” i natychmiast rozpoczął przygotowania do jakiejś ogromnej operacji wojennej. Przesunięto aż sześć dywizji na francuskie wybrzeże, odwołano także większą część oddziałów stacjonujących w Italii. Stopniowo trwa opuszczanie garnizonów i przemieszczanie się kolumn piechoty w stronę

Francji. Także Rzym objęto tym rozkazem – w mieście zostały nieliczne jednostki francuskiego wojska, a posterunki bram i Zamek Świętego Anioła przekazano Polakom.

– Tym bardziej trzeba atakować! – Ożywił się młody arystokrata. – Musimy skorzystać z okazji i urwać łeb hydrze!

– Tak właśnie zrobimy – przytaknął La Hoz. – Nad morzem Bonaparte zgromadził ponad dwieście okrętów transportowych, kilkanaście liniowców, drugie tyle fregat i korwet. Załaduje na nie nawet i czterdzieści tysięcy wojska, a potem gdzieś z nimi popłynie. Diabli wiedzą gdzie, mam nadzieję, że jak najdalej, choćby na koniec świata. Dla nas liczy się to, że gdy okręty odbiją od brzegu, zniknie nam z oczu przeklęta francuska armia. Poczekamy cierpliwie na ten moment. Gdy Bonaparte odpłynie, wyzwolimy Italię spod okupacji.

Fontana skinął głową, bez słowa akceptując rozkaz. Pozostali spiskowcy mieli jednak różne zdania, które wszyscy jednocześnie próbowali wypowiedzieć. Wybuchł ogólny harmider, rzeźnik trzasnął nawet pięścią w stół, by podkreślić wagę swoich słów, ale i tak nikt go nie słuchał. Nad sytuacją zapanował Calalono, który włożył dwa palce do ust i zagwizdał przeciągle.

– Czy wojska Neapolu wkroczą, by nam pomóc? – spytał w ciszy, która zapadła.

– Nie sądzę. Król Ferdynand nie chce przystąpić do otwartej wojny z Francją, bo tym skończyłyby się ataki na Rzym. Ciągłe negocjuje nowe przymierze z Austrią. Jeśli do niego dojdzie, Republika Cisalpińska i Rzymska zostaną zaatakowane jednocześnie z dwóch stron. Stanie się to prędzej czy później, musielibyście jednak poczekać na tę wojnę nawet rok. Wytrzymacie tak długo pod republikańskimi rządami?

Znów wybuchł harmider, ale tym razem sztab buntowników ryczał jednym głosem. Powstańcy nie chcieli czekać na zakończenie rozmów między wielkimi tego świata. Zamierzali wyzwolić ojczyznę jak najszybciej, najlepiej własnymi rękoma. Zaczęli wiwatować i stukać kubkami w blat. Karczmarz z uśmiechem wniósł kolejne dwa dzbany wina.

– Skąd mamy wiedzieć, czy nas pan nie zwodzi, generale? – niespodziewanie ostrym głosem odezwał się ksiądz Trino. – Może jest pan francuskim szpiegiem i odwodzi nas od buntu, by spokojnie sprowadzić tutaj wrogie wojska? Dlaczego mamy panu ufać i wykonywać pańskie polecenia?

La Hoz spojrzał na duchownego lodowato. Przez chwilę mierzyli się wzrokiem, a potem ksiądz odwrócił głowę, pobladły i wyraźnie wystraszony. Nie mógł znieść grozy i siły bijącej z postawy generała. Arystokrata rzeczywiście był kimś wyjątkowym,

– Poświęciłem wszystko dla ojczyzny. Karierę w armii, honor oficera, słowo szlachcica, straciłem też cały majątek. Stałem się dezertorem, wygnańcem, a moje rodzinne dobra zarekwirowano i złupiono – spokojnie odpowiedział d’Orlz. – Przysiągłem sobie, że nie spocznę, dopóki krwio pijcy Francuzi nie znikną z Italii, a nasz kraj nie będzie rządzony zgodnie z boskimi prawami. Ofiarowałem wam swoje umiejętności i nie chcę nic w zamian.

Na sali zapadła grobowa cisza. Ksiądz pochylił głowę. Udawał, że odmawia modlitwę. Wił się przy tym jak piskorz, palony groźnym spojrzeniem La Hoza.

– Niech żyje nasz kochany generał! – niespodziewanie wykrzyknął Calalono. – Panowie, wnieśmy toast za tego wspaniałego człowieka! Niech czuje się między nami jak w rodzinie!

Wszyscy poderwali się od stołu i unieśli kubki. Rzeźnik przyjacielskim gestem poklepał przybysza po plecach. D’Orlz nie zareagował na tę nieprzystającą do sytuacji pieśczętę, choć ciężkie łapsko mężczyzny wyparło mu powietrze z płuc. Skinął głową, przyjmując toast, a potem pozwolił, by napełniono mu kubek. Zbyt długo siedział w siodle, najwyższa pora na odpoczynek.

1 prairiala VI roku ery republikańskiej (20 maja 1798 roku)



Kolejna niedziela w Wiecznym Mieście nie była dla Kazika tak przyjemna jak poprzednie. Polacy przejęli większość obowiązków po opuszczających Rzym Francuzach i uzyskanie całego dnia wolnego okazało się niemożliwe. Co gorsza, młody sierżant nie mógł już wymknąć się pod pretekstem pomagania doktorowi Hoffmanowi, bowiem klasztorna biblioteka została skatalogowana, zapakowana w skrzynie i przekazana rzymianom. Stracił również szansę na towarzyszenie pięknej Editcie podczas niedzielnej mszy, gdyż dostał w tym czasie służbę, a w dodatku sam generał Dąbrowski zaczął krzywo patrzeć na Polaków, którzy w mundurach odwiedzali kościoły. Zakazał uprawiania tego procederu, by nie kłuć Francuzów w oczy. Wyprosił za to od nich zajęty niedawny kościół Świętego Stanisława i kazał z niego zrobić kaplicę legionową, a której msze odprawiali polscy zakonnicy przebywający akurat w Rzymie. Kazik mógłby zatem towarzyszyć hrabinie jedynie w tradycyjnym długim spacerze, ale na to też nie miał czasu. Żałował z całego serca, bo chwile spędzone z damą wydawały mu się najwspanialszym przeżyciem ze stolicy Italii.

W towarzystwie pani Valenti przeistaczał się z prostego żołnierza w polskiego szlachcica, wyobrażał sobie nawet, że jest średniowiecznym rycerzem, szlachetnym i ze wszech miar prawym. Na kolejnych spotkaniach, podczas których przemierzali spokojniejsze rejony miasta, rozmawiali o sztuce – a wtedy Kazik głównie słuchał – albo o architekturze i przyrodzie, a wtedy zaskakiwał hrabinę szczegółowymi opisami starożytnych i średniowiecznych fortyfikacji miejskich. Mówili też o poezji i potrzebach duszy. Lux zrozumiał, że ma do czynienia z bardzo wrażliwą i doskonale wykształconą osobą, dramatycznie różniącą się poziomem inteligencji i kultury od prostych włoskich dziewczyn, z którymi dotychczas wchodził w bliższe znajomości. To, że Editta się nim zainteresowała, poczytywał sobie za prawdziwy zaszczyt i upewniał się w przekonaniu, że wygrał los na loterii. Coraz bardziej też zapalał się do amorów, postanawiając za wszelką cenę zdobyć tę kobietę.

Na ostatnie spotkanie udało mu się pożyczyć od kapitana Wierzbickiego egzemplarz *Igraszek trafu i miłości*, komedii francuskiego dramaturga Pierre'a de Marivaux. Kiedy przerwali spacer, by odpocząć na ławeczce w cieniu kamienicy, Kazik nonszalanckim gestem wyciągnął książkę i głośno zaczął czytać. Arystokratka sprawiała wrażenie szczerze uradowanej, chichotała jak młoda panienska. Lux dostrzegł w kącikach jej oczu siateczki zmarszczek, ale urok uśmiechu hrabiny zdecydowanie przyćmiewał pierwsze ślady

nadchodzącego przekwitania. W oczach młodzieńca wyglądała niczym bogini, piękna i mądra, stojąca ponad upływającym czasem, ponad wszystkim, co dotyczyło śmiertelnych.

Odprowadził ją do pałacyku, ale tym razem nie został zaproszony do środka. Editta kazała mu za to obiecać, że przy następnym spotkaniu doczyta jej książkę do końca. I to na werandzie rezydencji! Było to zaproszenie na spotkanie *tête-à-tête*^[24]. Aż spocił się na samą myśl, do czego może dojść w czasie takiej schadzki. Od tamtej pory minął niemal tydzień i chłopak coraz bardziej się niecierpliwił, nie mogąc zdobyć ani jednego wolnego wieczoru. Myślami wciąż wracał do hrabiny. Przywoływał w pamięci obraz jej dekoltu z pełnymi kulami piersi, zmysłowe usta, szczupłe, gładkie nogi i czarne, błyszczące ogniem oczy. Gorączkował się przy tym coraz bardziej i coraz mocniej tęsknił. Wreszcie Rolewicz złapał go nad rachunkami zadumanego i z głupawym uśmiechem na ustach. Od niechcienia strzelił go otwartą dłonią w tył głowy i obiecał dowództwo patrolu w najbliższą niedzielę.

Kazik zazgrzytał zębami ze złości, ale bał się postawić silnemu i diabelnie agresywnemu bandziorowi. W zaciszu ich wspólnej celi z pewnością znów dostałby porządny łomot, a i tak nic by nie zwojował. Dopóki grzecznie prowadził rachunki grabieżcy, dopóty starszy sierżant dawał mu spokój. Przestał się go nawet publicznie czepiać i dręczyć, jak innych podoficerów kompanii. Kaprale zaczęli podejrzliwie patrzeć na młodzieńca, myśląc zapewne, że przystąpił do bandy Rolewicza.

Piękna, słoneczna niedziela skończyła się zatem dla Luxa – zamiast upojnymi chwilami w ramionach cudownej kobiety – marszem na czele plutonu po uliczkach Wiecznego Miasta. Tradycyjnie wziął na patrol swoją ulubioną grupę żołnierzy, tym razem powiększoną o kolejnych kilku chwatów. Dwuosobową prawą ręką sierżanta byli doświadczony w wojaczce kapral Klein oraz idący obok niego legionista Stachowski. Ten drugi rozglądał się pilnie w poszukiwaniu okazji do wszczęcia jakiejś burdy, trzeba było więc nieustannie mieć go na oku. Mimo jego gwałtownego charakteru Kazik cenił draba jako świetnego wojaka i lubił mieć go u swego boku. Dziś jednak nie czuł ochoty na jakiegokolwiek przygody i szedł przed siebie ze wzrokiem tępo wbitym w bruk pod nogami.

Dostał polecenie poprowadzenia patrolu na Zatybrze, w najbardziej plugawą część miasta, w której trwały nieustanne ruchawki. Wlókł się tam jednak niespiesznie, próbując zapanować nad rozsadzającym go gniewem. Wszystko przez cholernego Rolewicza, bezczelnego rabusia, który wysługiwał się nim jak służącym. Porobił sobie z podwładnych niewolników, zmuszał ich do łamania prawa i uczestnictwa w zbrodniach. Lux, zamiast spędzać upojne chwile z najpiękniejszą damą Italii, przez złośliwość tego pazernego zbója musi pałętać się po najpaskudniejszych rejonach miasta. Ach, gdyby tylko nadarzyła się okazja, by zapłacić bandycie za poniżenia! Może po prostu zabrać jego papiery ze spisem rachunków i pójść z nimi bezpośrednio do majora batalionu?

- Nie wiecie, czy Chłopicki jest w mieście? – rzucił przez ramię do żołnierzy.
- A po co ci Chłopicki? – Klein wzruszył ramionami.
- Potrzebuję pogadać z majorem.

– Z tego, co słyszałem, wyjechał do Loreto odebrać na życzenie generała sztandar Mahometa i szablę Sobieskiego, które nasz król przekazał papieżowi po wiktorii wiedeńskiej – stwierdził kapral. – Póki co, podlegamy pod szefa batalionu, Forestiera. Mówi się, że do czasu powrotu Chłopickiego funkcję majora Drugiego Batalionu będzie pełnił Józef Zeydlitz.

– O jasna cholera – wyrwało się warszawiakowi.

– Kawał nadętego drania z tego Zeydlitza. – Stachowski pokiwał głową. – Zadziiera nosa, jakby był marszałkiem Francji.

– Nie przejmuj się, Kaziu, pewnie już o tobie zapomniał – dodał któryś z braci Kura.

– Jednak na twoim miejscu nie liczyłbym na wolny dzień w najbliższym czasie. – Klein wyszczerzył zęby w złośliwym uśmiechu.

Lux nie odpowiedział. Zastanawiał się gorączkowo nad swoją sytuacją. Nie zwrócił uwagi na kpiny kolegów, którzy zaczęli roztaczać przed nim wizje niekończących się wart, patroli i dodatkowych służb, które go czekają. Z bólem serca doszedł do przekonania, że być może już nie zobaczy Editty. Gdy ci dwaj dranie, Rolewicz i Zeydlitz, wezmą go w obroty, pewnie już nigdy nie zbliży się do żadnej kobiety. Zacisnął pięść i zadygotał z bezsilnej złości.

Sam nie wiedział, kiedy znalazł się z całym plutonem na moście Sisto. Dopiero gdy w twarz dmuchnął mu wilgotny wiatr, niosący zapach rzeki, do której spływały nieczystości z rynsztoków miasta, nieco oprzytomniał. Spojrzał w dół, na leniwie sunące, mętne wody. Unosiły się na nich śmieci, zgniłe szczątki jedzenia i stare szmaty. Ponoć często wyciągano z rzeki zasztyletowanych Francuzów i inne, trudne do identyfikacji trupy. Sierżant splunął w nieprzyjazną toń i wprowadził oddział w ulice Zatybrza.

Trzymał się głównej, szerokiej ulicy, tylko zerkając w ciemne, wąskie zaułki. Wokół ciągnęły się zniszczone i zaniedbane domy o popękanych fasadach i miejscami pozarywanymi dachach. Po ulicy biegały niemal zupełnie nagie, potwornie brudne i wychudzone dzieciaki. W pewnej chwili z krzykiem przypuściły atak na Polaków, obrzucając ich grudkami ziemi, by po chwili tłumnie pognać za wystraszonym psiakiem o sierści wyłysiałej od parchów.

W otwartym oknie na piętrze mijanego domu siedziały dwie dziewczyny i uśmiechały się do legionistów. Gdy je mijali i Klein zagaił do nich po francusku, w jedynym obcym języku, który znał, miny im zrzedły i po chwili jedna chlusnęła za żołnierzami pomyjami z miski.

Na najbliższym placu z niewielkim kościołem siedziało pod drzewem kilku obwiesi, którzy odprowadzili patrol jawnie złowrogimi spojrzeniami, mamrocząc przy tym coś do siebie.

– Nie zdziwię się, jeśli ruszą za nami – mruknął Bauman.

– Nie ruszą – uspokoił Żyda były gefrajter Stachowski. – Za mało ich, mają pietra. Ale gdybyś znalazł się tu w pojedynkę, marny twój los. Widać, że to nożownicy i pewnie złodzieje.

Po paru minutach dotarli do kościoła San Pietro in Montorio, za którym zaczynał się las Parrasio. Właściwie nie był to las, a zagajnik, leżący po obu stronach porządnie wybrukowanego traktu. Kazik, do tej pory zajęty ponurymi myślami, nagle poczuł ukłucie

strachu. Gdyby papieskim rebeliantom przyszło do głowy zacząć się na republikański oddział, to było najlepsze miejsce. Na szczęście minęli gęste chaszczce i nic złego się nie wydarzyło. Wyszli na otwarty teren. Z jednej strony ciągnęły się winnice, z drugiej stały rzadko rozrzucone drewniane domy i rudery biedoty.

– Podziwiajcie, wiara, oto papieskie winnice, z których słynie Rzym – powiedział Klein. – Robi się w nich najprzedniejsze wino, którym opijają się brzuchaci biskupi, a obecnie także nasi kochani dowódcy.

– A nam skąpią najgorszego sikacza – mruknął Stachowski. – Dokąd właściwie idziemy, Kaziu? Może jest tu gdzieś tłocznia wina albo jakieś miejsce, gdzie można zdobyć coś lepszego do picia? Rozejrzyjmy się, bo strasznie gorąco i piekielnie suszy!

– Idziemy do Bramy Świętego Pankracego, zameldować się dowódcy warty i sprawdzić, czy u niego wszystko w porządku. Potem mam rozkaz łązić do wieczoru po ulicach Zatybrza, by miejscowi dobrze nas widzieli... I żadnego pijaństwa – dodał dobitnie. – Nie pozwolę też na łupiestwo, nie ma mowy!

Ostatnie wycedził ze złością. Znów zagotował się na myśl, że mógłby stać się równie plugawym złodziejskim szczurem jak Rolewicz i to tylko po to, by napoić żołnierzy. Rozzłoszczony ruszył przed siebie, nadając tempo podwójnym krokiem.

– Co ma znaczyć ta *un air de reine*^[25]? – spytał kapral. – Coś cię ugryzło?

– Może chodzi o tę dzierlatkę, z którą widzieli cię chłopcy z Piątej Kompanii? – spytał Stachowski. – Złapałeś ją za tyłek i dała ci po gębie?

– Co możecie wiedzieć o prawdziwej miłości, chamy? – warknął już naprawdę rozgniewany warszawiak. – Stulić pyski, bo nie ręczę za siebie!

Klein pokręcił głową z niesmakiem i położył sierżantowi rękę na ramieniu.

– Młodość – westchnął. – Każdy z nas spotkał się z zawodem miłosnym, nie ma co się pieklić. Chodź, musimy cię konsolować^[26], jak przystało na przyjaciół. Wypijemy po jednym i ruszamy dalej. Ja stawiam!

Skinieniem głowy wskazał stojącą przy drodze karczmę z szeroko otwartymi drzwiami. Kazik stwierdził, że jeśli będzie próbował powstrzymać spragnionych legionistów, wyjdzie na bufona pokroju Zeydlitza, w dodatku drastycznie ucierpi jego wizerunek w oczach żołnierzy. Wiedział, że dobry sierżant musi być traktowany przez podwładnych jednocześnie jako swój chłop i przewodnik, potrafiący okazać surowość, zdecydowanie. Ciągłe wypróbowywał różne sposoby spełniające oba te warunki i pozwalające zapanować nad grupą. Zdecydował, że tym razem musi poskromić złość, bo chłopcy nie są w żaden sposób winni jego problemom. Musi okazać im trochę zrozumienia. Szczególnie że sam też chętnie napiłby się wina, najlepiej zimnego, prosto z piwniczki.

Ku zadowoleniu legionistów skierował się do wejścia, gdy nagle huknął strzał. Lux skulił się odruchowo i złapał za flintpas wiszącego na ramieniu muszkietu. Jako że patrole prowadzono z bagnetami założonymi na lufy i nabitą bronią, nie musiał wydawać rozkazu

szykowania się do strzału. Kolumna żołnierzy natychmiast rozsypała się w tyralierę ustawioną frontem do karczmy.

– Podsypać panewki! – rozkazał Lux i sam sięgnął do pasa po róg z prochem.

Odciągnął kurek i nasypał prochu na blaszkę przy zamku muszkietu. Słyszał doskonale krzyki dochodzące z wnętrza gospody. Ktoś wrzasnął z bólu, ktoś klął wściekle po francusku. Huknął kolejny strzał. Sierżant spojrzął na swoich ludzi. Wszyscy trzymali broń gotową do walki.

– Wchodzimy – zdecydował krótko i ruszył przodem.

Przeszedł raptem kilka kroków, gdy z budynku wybiegł chudy młodzieniec w białym habicie z kapturem. Jego twarz wykrzywiało przerażenie, biegł na oślep, sadząc ogromne susy. Mimo zaskoczenia Kazik natychmiast rozpoznał w nim znajomego kartuza, braciszka Agostino. Opuścił muszkiet, by mnich nie nadzieiał się na bagnet, pędził bowiem, ogarnięty paniką, prosto na niego. Polak uniósł rękę w uspokajającym pozdrowieniu.

Gruchnął trzeci strzał. Kula trafiła mnicha w plecy i ścięła go z nóg. Runął na bruk prosto pod nogi Luxa. Na jego plecach rozlała się krwista plama, makabrycznie kontrastująca z białym habitem. W drzwiach karczmy stał francuski żołnierz z uniesionym pistoletem w garści. Chwiał się, wyraźnie pijany, jedną rękę opierając o framugę.

Sierżant kucnął przy bracie Agostino i odwrócił go na plecy. Młodzieniec żył jeszcze, poruszał ustami, próbując coś powiedzieć. Nagle zakrzuszył się śliną, parsknął i splunął krwią. Konał. Lux spojrzął ostro na Francuza, który pomachał do Polaków z pijackim uśmiechem.

– Brać go – syknął warszawiak. Czuł rosnącą falę gniewu.

Stachowski rzucił się do przodu jako pierwszy. Grzmotnął zaskoczonego francuskiego piechura kolbą w brzuch i gdy ten zgiął się w pół, poprawił uderzeniem kolanem w twarz. Kazik przemknął obok nich i z uniesioną bronią wpadł do karczmy.

– Rzucić broń! – ryknął i wymierzył do dwóch Francuzów.

Żołnierze stali nad martwym mnichem. Jeden z nich trzymał pistolet, drugi szablę o ostrzu umazanym krwią. Obaj spojrzeli na intruza zaskoczeni, obaj też nie kwapili się do opuszczenia broni. Lux dopiero po chwili dostrzegł kolejnego trupa o rozplątanym brzuchu, leżącego za stołem. Nogi trzeciego wystawały zza kontuaru. Nagle z kuchni wbiegł do środka jeszcze jeden piechur z szablą. Spojrzął na Polaka wyzywająco, ale spokorniał, gdy w chwilę później obok sierżanta stanęło kilku kolejnych legionistów, mierzących z muszkietów.

– Witajcie, sprzymierzeńcy – powiedział ostatni z Francuzów. Kazik dostrzegł na jego ramieniu galon oznaczający kaprała, miał zatem do czynienia z dowódcą.

– Odłóż broń i gadaj szybko, co tu zaszło! – rozkazał Lux.

Klein dla podkreślenia wagi rozkazu postąpił krok naprzód i szturchnął Francuza bagnetem w pierś. Ten wreszcie rzucił szablę.

– Dopadliśmy trzech papistów, którzy próbowali wywieźć z miasta cenne skarby. Nie chcieli pozwolić się przeszukać, musieliśmy zatem im pomóc – spokojnie wyjaśnił żołnierz. –

Karczmarz stanął w ich obronie, więc i jemusią oberwało. Dopadłem go w kuchni, gdy chwycił za tasak do mięsa. Jego pomagier zdążył, niestety, zwiać. Opuśćcie muszkiety, przyjaciele. Usiądźmy, pogadajmy. Patrzcie, teraz to wszystko jest nasze. Całe zasoby oberży, kilka beczek wina, a i worki, które nieśli zakonnicy. Ten młody miał przy sobie starą księgę, na pierwszy rzut oka było widać, że jest warta krocie. Sprzedamy ją Żydom i podzielimy się łupem. Co ty na to, sierżancie?

Klein opuścił broń, ale reszta legionistów, nieznająca francuskiego, ciągle trzymała muszkiety wymierzone w piechurów ze sprzymierzonej armii.

Kazik stał bez ruchu, bijąc się z myślami. Wiedział, że trafiła mu się okazja do solidnego zarobku. Właśnie o tym marzył, gdy porzucał dom w poszukiwaniu przygód i skarbów. Tylko że wyobrażał sobie wojenne zdobycze nieco inaczej – z pewnością nie miały być efektem wymordowania grupy zakonników. Już raz przymknął oko na grabież i mord rodziny posiadaczy ziemskich pod Rimini, przyjął nawet za to pieniądze. Efekt był taki, że złoto rozeszło się błyskawicznie, a wyrzuty sumienia męczyły go do tej pory. Tak samo ciążyły mu liry, które dostał od Rolewicza za rachowanie jego złodziejskich łupów. Niemal fizycznie czuł ich ciężar w kieszeni, momentami zdawały się palić go żywym ogniem. Tak samo będzie, jeśli zgodzi się na układ z Francuzami. Stanie się takim draniem jak Rolewicz. Zwykłym bandytą, niegodnym noszenia polskiego munduru.

– Wymordowaliście mnichów, by zwyczajnie ich ograbić, co? – mruknął, coraz bardziej rozgniewany.

– Można tak powiedzieć. – Wzruszył ramionami francuski kapral. – A co w tym złego? Wszak my tu jesteśmy panami i robimy, co chcemy. Nie będziemy przymierać głodem, gdy cholerne klechy taszczą wory pełne złota.

– Brać ich! – wycedził Lux po polsku.

Klein spojrział na niego zaskoczony.

– Jesteś pewien? – mruknął. – No dobra, ty tu dowodzisz.

Sam pchnął Francuza, czym zmusił go do odwrócenia się, a potem wygiął mu ręce do tyłu, by je skrępować. Kilka konopnych sznurów patrolę nosiły ze sobą na wypadek, gdyby musiały przeprowadzić aresztowanie. Pozostali legioniści z radością ruszyli do wiązania jeńców, nie szczędząc im szturchnięć i kopniaków. Ci sprawiali wrażenie wpierw zaskoczonych, potem oburzonych, szczególnie ich kapral.

– Co robisz, człowieku?! Przecież tylko odbieramy, co nam się należy! – wykrzykiwał do Kazika. – Nie dostaliśmy żołdu od trzech miesięcy, karmią nas gorzej niż psy. Dowódcy za to kradną ile wlezie, wysyłają do Paryża wozy pełne bogactw. Musimy sami brać, co nam przysługuje za wojenny trud i znój. Bracia żołnierze, nie róbcie tego!

Warszawiak słuchał tego wewnątrznie rozdarty. Uspokoił się dopiero, gdy po wyjściu z karczmy spojrział na ciało zabitego brata Agostino. Mnich zmarł na skraju drogi, zastrzelony jak pies. Francuzi nie musieli tego robić, nie musieli nikogo zabijać.

Nad ciałem zakonnika klęczał jeden z legionistów, Madziar w polskim wojsku, Stefan Dziordzy z plutonu Kleina. Spokojny i cichy mężczyzna zdjął rogatywkę i ze złączonymi dłońmi modlił się gorąco za duszę zabitego. Sierżant w pierwszej chwili zamierzał go zrugać, że odprawiał modły, zamiast razem z resztą wziąć udział w akcji w karczmie, machnął jednak ręką. Może obecność natchnionego religijnie żołnierza pomogła bratu Agostino udać się w drogę do domu Pana?

Przed karczmą zebrał się spory tłumek gapiów, których musiał sprowadzić zbiegły pomocnik karczmarza. Lux spostrzegł z niepokojem, że większość z nich to mężczyźni. Wielu trzymało w rękach najróżniejsze, groźnie wyglądające narzędzia. Byli wśród nich uzbrojeni w motyki i siekiery pracownicy okolicznych winnic, miejscowi obwiesie z kijami, a także chmara dzieciaków i młodzieńców, ściskających kamienie oraz kostki wyrwane z bruku. Cały tłum szumiał podniesionymi z oburzenia głosami.

Legioniści ustawili związanych jeńców gęsiego i otoczyli ich ze wszystkich stron. Fizylierzy trzymali w rękach muszkiety gotowe do strzału, prócz Baumana i Biernackiego, którzy musieli targać wory odebrane zakonnikom i broń Francuzów. Kazik stanął na czele kolumny i pokrzepiony ciężarem ściskanej w dłoniach broni, ruszył energicznym krokiem przed siebie. Tłum zafalował, ale się nie rozstał. Drogę blokowali młodzi bandyci z kijami.

– Z drogi! – wrzasnął Kazik po włosku. W duchu modlił się, by ze strachu nie zaczął mu się łamać głos.

W odpowiedzi poleciał w jego stronę kamień, przed którym w ostatniej chwili zdołał się uchylić. Z groźną miną wymierzył muszkiet w zgromadzonych i pociągnął za spust, w porę podrywając broń w górę, by nikogo nie trafić. Huk wystrzału i chmura dymu podziały na wzburzonych gapiów jak zimna woda. Rozpierzchli się z pochylonymi głowami. Sądziło, że zaraz zaczną strzelać pozostali żołnierze. Sierżant ruszył szybko przed siebie, muszkiet trzymał w gotowości do ataku bagnetem.

Po chwili zagłębili się w jednej z ciasnych uliczek. Szli bardzo szybko. Lux z racji długości nóg wysunął się do przodu i pozostali musieli podbiec, by go dogonić. Za nimi, w bezpiecznej odległości, przesuwali się wzburzeni mieszkańcy Zatybrza. Co parę chwil jakiś dzieciak zbliżał się biegiem i ciskał w żołnierzy kamieniem. W pewnej chwili taki pocisk trafił legionistę Dziordzę w plecy, ale ten nawet nie przeklął.

– Dokąd gnamy, Kaziu? – spytał zdyszany Stachowski.

– Niedaleko, za murem miejskim, jest Zamek Świętego Anioła. Może uda się nam do niego dotrzeć, zanim baury^[27] rozszarpią nas na strzępy.

Z daleka dostrzegli owalną, potężną budowlę, wzniesioną przez starożytnych jako grobowiec cesarza Hadriana. Teraz tuż pod jej zwieńczeniem wyraźnie odcinały się otwory strzelnicze, a na szczycie kaplicy wnosił się posąg anioła z mieczem. Tuż obok zwiśla smętnie w bezwietrznym powietrzu francuska flaga. Kazik przyspieszył jeszcze bardziej, więc na most Świętego Anioła wpadli zdyszani i zziązani, jak stado ogarów po długim polowaniu.

W połowie mostu dogonił ich konny oddział. Lux najpierw odetchnął z ulgą, a potem stęzał ze zgrozy. To nie była rzymska kawaleria, jak się spodziewał, ale francuscy strzelcy konni w znajomych zielonych mundurach i czarnych czakach. Na widok legionistów prowadzących skrępowanych rodaków ściągnęli wodze.

– Cóż to takiego? – spytał jadący przodem blondyn. Zanim Kazik zdążył cokolwiek odpowiedzieć, Francuz rozpoznał fizyliera i odruchowo sięgnął do szabli. – To ty, kopnięty Polaku! Znów się spotykamy!

„Mam tego dość” – pomyślał zmęczony i do granic rozdrażniony młodzieniec.

– Co to ma znaczyć?! – ryknął do Antoine’a. – Jestem sierżant Kazimierz Lux z Drugiego Batalionu Pierwszej Legii Polskiej! Uważaj na słowa, szeregowy!

– Antoine de Villard, Dziewiętnasty Regiment Strzelców Konnych. – Płytko ukłonił się blondyn.

„Szlachcic w republikańskiej kawalerii – zauważył warszawiak. – Za czasów króla pewnie służyłby w kirasjerach, gwardii albo huzarach i byłby oficerem. To dlatego taki narwany, musi się nieustannie popisywać”.

– Ciekawi mnie, sierżancie, dlaczego prowadzicie francuskich piechurów skrępowanych? – Mimo przywołania do porządku strzelec zastawił Luxowi drogę wierzchowcem.

– Przyłapałem ich na rabunku i morderstwie czterech cywili – odparł Polak, zgrzytając zębami ze złości. – Staną przed sądem, zgodnie z prawem wojennym.

Antoine wykrzywił twarz w grymasie pogardy.

– Coś podobnego, cholerne Polaczki wysyłają na zatracenie naszych żołnierzy. Wy będziecie uczyć nas wojaczki? A nie pora wam aby do kościoła albo zalec plackiem przed jakim świętym posągiem? Może zostawcie wojenne prawo nam, a sami zajmijcie się całowaniem po rękach księży i lizaniem po tyłkach biskupów?

– Mam mu przypieprzyć? – lodowatym tonem spytał Stachowski. – Zakład, że jednym walnięciem wysadzę go z siodła? O dzban wina.

– Przyjmuję – powiedział Bauman z tyłu kolumny.

Kazik przełknął ślinę. Zastanawiał się, czy sam nie powinien dźgnąć Francuza bagnetem. Wokół już jednak zgromadziło się kilkunastu konnych, którzy odcięli fizyliera od drogi na zamek. Kawalerzyści otwarcie trzymali w rękach karabinki jazdy lub opierali ręce o rękojeści szabel.

– Ratujcie, przyjaciele! – odezwał się skrępowany kapral, czym dołał oliwy do ognia.

– Doprowadzę ich do aresztu, to mój obowiązek – przemówił polski sierżant. – Zróbcie nam przejście, to rozkaz!

– Rozkazywać to sobie możesz swoim zapchlonym kompanom, a nie francuskiemu wojsku. – De Villard pochylił się w siodle, by wycedzić to Luxowi prosto w twarz.

Powietrzem wstrząsnął łomot werbli. Przez otwarte wrota zamku wymaszerowała w rytm wybijany przez dobosza cała kompania fizyliarów z Trzeciego Batalionu Drugiej Legii.

– Polenty nasze kochane – westchnął Klein na widok żółtych wyłogów na mundurach piechurów. – Chyba uratowali nam dupy.

Rzeczywiście, na widok kolumny polskiego wojska Antoine zawahał się i po przemyśleniu sprawy odstąpił, by zrobić przejście. Skinął na kompanów i po chwili kawalerzyści pomknęli przed siebie. Minęli nadchodzących żołnierzy bez oddania im honorów.

– Chyba się udało – westchnął Kazik. – Jestem kłębkiem nerwów. Zabieram was dziś do karczmy, chłopaki. Choćbym miał na kolanach prosić Rolewicza o pozwolenie.

Odpowiedział mu rehot zmęczonych, ale zadowolonych legionistów.

5 prairiala VI roku ery republikańskiej (24 maja 1798 roku)



Dawno już zapadł zmrok, gdy Kazik doczłapał do swojej kwatery w klasztornej celi. Na szczęście major Zeydlitz kończył dziś sprawowanie opieki nad ich kompanią i od jutra miał powrócić do obowiązków dowódcy Trzeciego Batalionu. Przez kilka dni jego władania Lux uwijał się jak w ukropie. Od pobudki przed świtem aż do zachodu słońca musiał wzorowo pełnić regulaminową służbę, a na dodatek nienagannie przy tym wyglądać. Poczł się w pewnym momencie niczym blaszany żołnierz z pozytywki, maszerujący w miejscu mechanicznym krokiem. Świecił przykładem pod bacznym okiem Zeydlitza, który niestety dobrze go zapamiętał i gonił do roboty na okrągło, bez chwili wytchnienia. Z pewnością za byle drobiazg postawiłby młodego sierżanta przed legionowym sądem, ale na szczęście odrobinę złagodniał, gdy dowiedział się, że to właśnie Kazik ujął kilku francuskich rabusiów.

– Jeszcze zrobimy z ciebie żołnierza, Lux – zwrócił się do niego łaskawie w trakcie porannego przeglądu stojącej na baczność kompanii. – Masz zadatki, ale długa droga przed tobą. Trzeba cię ugnieść niczym glinę, ukształtować na nowo, a potem wypalić w ogniu dyscypliny i regulaminów.

Był to jedyny raz, kiedy zwrócił się bezpośrednio do warszawiaka, zwykle wydawał rozkazy przez porucznika Turkiewicza lub kapitana Bilinga. Nie raczył zauważać prostych żołnierzy i pospolitować się jakimikolwiek kontaktami z nimi. Cała kompania, razem z oficerami, odetchnęła z ulgą, gdy Zeydlitz wreszcie oznajmił, że nie ma czasu dłużej się z nimi cackać i do powrotu Chłopickiego będą podlegać tylko szefowi batalionu, Forestierowi. Na koniec jeszcze, po manewrach w parku, zagonił Kazika na wieczorny patrol wokół dzielnicy.

Lux włócił się po schodach klasztornego budynku. Miał wrażenie, że stopy zaraz zajmą mu się żywym ogniem. Czuł każdy mięsień, a do tego po całym dniu przemarszów i manewrów wysechł na rzemień. Z pewnością krew zmieniła mu się w żyłach w suchy proszek, a wszystko przez cholerne słońce, które z każdym dniem prażyło coraz mocniej. Kamienne miasto nagrzewało się stopniowo niczym piec chlebowy. Jeszcze dekada^[28] i nie da się tu wytrzymać!

W celi zastał Rolewicza rozwalonego w łóżku z butelką wina w garści. Zasalutował mu, trzaskając drewnianymi obcasami i przeklinając w duchu. Miał nadzieję, że bandzior będzie już spał. Zamiast tego leżał ze zmrużonymi oczami i paskudnym uśmieszkiem na gębie. Nie wiadomo, co mogło strzelić mu do zapijaczonego łba. Młodzieniec mógł spodziewać się po

nim wszystkiego, łącznie z tym, że zaraz oberwie bez powodu. Na wszelki wypadek rozbierał się, nie odwracając do starszego sierżanta tyłem.

– Dał ci w kość ten Zeydlitz, bardziej niż ja. – Rolewicz uniósł się na posłaniu i wyszczerzył zęby. – Jeszcze tydzień i zamęczyłby nie tylko ciebie. Sześciu chłopaków musiałem odesłać do lazaretu, mdleli i rzygali. Doktor powiedział, że za długo maszerowali w słońcu. Najgorsze, że przez te dni i ja musiałem powstrzymać się przed wypadami w miasto.

Mrugnął, sugerując Kazikowi, że chodzi o łupieżcze lub złodziejskie wyprawy.

– No, nie bój się mnie już tak bardzo. – Sięgnął po kubek i napełnił go winem. – Masz, napij się.

Chłopak się zawahał, choć dałby się pokroić za łyk jakiegokolwiek napoju.

– Pij, gnoju! Ze mną się nie napijesz?! – W jednej chwili podoficer wybuchł i zrobił się czerwony na twarzy.

– Straszny z pana raptus, panie starszy sierżancie – Lux ostrożnie próbował rozładować sytuację.

Przyjął kubek, z niepokojem patrząc na dłoń Rolewicza. Bandyta pazury miał długie i czarne, a do tego brunatne plamy na skórze. Bez wątplenia musiały to być ślady krwi, której nie chciało mu się nawet zmyć. Niedawno zatem kogoś skatował lub zamordował.

Z rosnącą niepewnością warszawiak wziął kubek i spróbował napoju. Nie mógł się powstrzymać i wychylił całe naczynie jednym haustem. Zakrztusił się, zaczął kaszleć i prychać, czym wzbudził wesołość zbira. Tak bardzo go rozbawił, że otrzymał kolejną porcję wina.

– Mówiłem ci, że się polubimy? Nie jestem aż takim potworem, jak się wydaje. To, że czasem strasznie się wkurwiam, to rodzinna przypadłość. Mój ojczulek, niech smaży się piekło po wsze czasy, był taki sam. – Rolewicz pociągnął bezpośrednio z butelki, a potem rozparł się wygodnie. – Szczególnie wściekał się po gorzale, a i rękę miał wtedy ciężką, naprawdę ciężką. Nie był tak łagodny jak ja dla was. Raz tak sprął mojego młodszego braciszka, że połamał mu gnaty. Wezwali my balwierza, ale wiele nie zdziałał. Piotruś dołączył do grona aniołków, a taki był niewinny i grzeczny. Ojciec odsiedział za to rok w wieży, potem wrócił jeszcze gorszy. Nieraz spałem gdzieś pod płotem, bo bałem się wrócić do chałupy. Na szczęście kiedyś skurwiel nachlał się i rozgniewał tak bardzo, że krew go zalała i na miejscu padł trupem. Całe szczęście, że sam skapiał, bo bym go własnoręcznie zadusił.

Kazik usiadł na swoim posłaniu i przytakując, słuchał zwierzeń starszego sierżanta, który chaotycznie opowiadał o swoim życiu. Najwięcej o tym, jak z biedy wstąpił do wojska i bił się w Insurekcji Kościuszkowskiej. Widział nawet, jak w czasie bitwy Naczelnik został ranny i dostał się do niewoli. Na wspomnienie tej chwili szczerze się rozplakał. Lux zaczynał zasypiać na siedząco, kiedy Rolewicz nagle się ożywił.

– Nie myśl sobie, że zapomniałem o towarzyszach, którzy wtedy ze mną walczyli –

powiedział. – Myślisz, że kradnę, by sobie napchać kieszenie, nachlać się i trwonić złoto na dziwki? W Polsce zostało kupa naszych chłopów, którzy nie mogli wyruszyć na tę wojenkę. Mam druhow, których ruskie armaty i kozackie szable pozbawiły nóg lub rąk. Siedzą teraz pod kościołami jako dziady proszalne i żebrzą o kawałek chleba. Zostawiłem w kraju dawnych żołnierzy, którzy pozakładali rodziny i muszą nakarmić głodne dziadki, by te nie poumierały z głodu. A tu bogactwa pełno, wystarczy sięgnąć. Znaczącą część złota z łupów wysyłam do Polski, pomagam biedakom, z którymi niegdyś dzieliłem żołnierską niedolę. Tylko o tym nikomu pary z gęby, jasne?!

– Tak jest, panie starszy sierżancie.

– Wy, szlachcice, gównie wiecie o biedzie i trudach boju. – Drab pociągnął ostatni łyk i cisnął pustą butelkę w kąt celi. – Idziecie na wojenkę, by zbierać zaszczyty i order, robić kariery, bogacić się i szukać sławy. W dupie macie głodujący lud, zarówno ten, który cierpi w kraju przez was niszczeniem, jak i ten, który został w ojczyźnie. Nic nie wiecie o prawdziwej biedzie, o tym, jak to jest zasypiać z pustym brzuchem bez nadziei, że następnego dnia będzie co do gęby włożyć. Cóż dla was wojaczka, gdy grzejecie dupy przy sztabie, a w polu walczą za was chłopcy takie jak ja? Bohaterzy z bożej łaski. I nie kiwaj głową, cymbale! Nie jesteś inny! Szczycisz się tym, żeś złapał francuskich rabusiów, a wiesz choć, kim oni byli? Może kradli z głodu, może gdzieś we Francji ich biedna diatwa czeka, kiedy ojciec przyśle jaki gorsz lub wróci z wojenki? I się nie doczeka, dzięki tobie, bohaterze.

– Odsiedzą swoje w kajdanach i wrócą – bąknął Lux niepewnie.

– Ha! Sąd nad nimi odbył się dziś wieczorem. Nie słyszałeś, boś gonił z patrolem. Jutro rano nasi grenadierzy rozstrzelają ich na placu Świętego Piotra. – Rolewicz oskarżycielsko wymierzył brudny paluch w Kazika. – Zadowolony jesteś?

Młody sierżant pobladł w jednej chwili. Liczył się z tym, że rabusie dostaną wyroki śmierci, ale dopóki te słowa nie padły, nie przyjmował tego do wiadomości. Wyobrażał sobie, że egzekucji dokonają Francuzi z rzymskiego garnizonu. A teraz Polacy naprawdę będą mieli na pieńku z żabojadami. Może jednak aresztowanie rabusiów było fatalnym błędem?

Pogrążył się w zadumie. Nie wiedział już, co o tym wszystkim myśleć. Zło i dobro mieszało się ze sobą, zlewało, tworząc same niejednoznaczności. To, co wydawało mu się ewidentnie zgniłe i zepsute, wcale nie musiało takie być. Nawet to bydlę, Rolewicz, mógł okazać się świętym człowiekiem, który próbuje swoimi metodami pomagać bliźnim. A postępowanie Kazika wobec morderców, zasadniczo słuszne i zgodne z regulaminem, doprowadzi do egzekucji oraz zaognienia i tak trudnych relacji z Francuzami.

Może Editta, osoba prawdziwie szlachetna i mądra, pomoże mu się uporać z rozterkami? Musi czym prędzej się z nią zobaczyć.

Rozmyślenia przerwało mu chrapanie Rolewicza. Nie pozostało zatem nic innego, jak rzucić się na siennik i czym prędzej zasnąć. Niedługo dobosz zacznie bić sygnał na pobudkę.

8 prairiala VI roku ery republikańskiej

(27 maja 1798 roku)



Editta wyglądała bardzo młodo w zwiewnej, prostej sukience, niewiele różniącej się od strojów noszonych przez zwykłe rzymianki. Kreacja nawiązywała trochę do wzorców antycznych, miała lekko bufiaste rękawy, a pod piersiami zawiązaną wstęgę, ściągającą materiał i podkreślającą biust. Gdy hrabina szła u boku Kazika, wyglądała jak jego rówieśnica, szczególnie że humor miała szampański i co chwila wybuchała śmiechem. Lux z przyjemnością zauważył, że nawet szlachetnie urodzone Włoszki mówiły głośno i często się śmiały, do tego na całe gardło, zupełnie inaczej niż dziewczęta z Polski, wychowywane na ciche i skromne.

Po trwającym – przynajmniej dla zniecierpliwionego i rozpalonego do granic warszawiaka – w nieskończoność spacerze kobieta wreszcie skierowała kroki w stronę domu. Z każdą pokonaną uliczką młody sierżant czuł rosnącą euforię. Spojrzenia i uśmiechy hrabiny wydawały mu się coraz bardziej zmysłowe i zachęcające. W garści kurczowo ścisnął francuską książkę, niczym oręż przed nadchodzącą bitwą. Mieli wszak skończyć lekturę komedii miłosnej i Lux liczył, że odbędzie się to w łóżu.

Niespodziewanie z bocznej uliczki wypadła rozwrzeszczana czereda brudnych i wychudzonych uliczników. Otoczyli idącą parę. Choć żaden z dzieciaków nie miał więcej niż dziesięć lat, Kazik odruchowo chwycił za rękojeść tasaka. Dopiero po chwili uświadomił sobie, że broń nie nadaje się do użycia, bo ostrze szabelki jest w połowie złamane, a nosi ją jedynie z obowiązku. Nie zgłosił zniszczenia broni – trochę ze strachu przed reakcją zbrojmistrza, a trochę ze wstydu, że dał ją sobie w tak idiotyczny sposób uszkodzić. Na szczęście okazało się, że ze strony dzieci nie było żadnego zagrożenia, po prostu chciały wylewnie i żywiołowo powitać damę. Hrabina uspokajała je z uśmiechem, przy czym niepewnie i z wyraźnym zmieszaniem zerknęła na Polaka. Potargała czupryny kilku wyrostkom, a potem kazała im zmiatać.

– Co to było? Skąd one cię znają? – spytał zdumiony sierżant.

– Och, po prostu lubię dzieci i zdarzyło mi się uczestniczyć w organizowaniu akcji dobroczynnych na rzecz rzymskich sierotek. Czy uważasz, że to coś złego?

– Ależ skąd! To bardzo szlachetne, podziwiam cię coraz bardziej, o pani. Kolejny dowód na to, jak wielkie i dobre masz serce. – Ukłonił się i ucałował hrabinę w dłoń.

Uśmiechnęła się, mile zaskoczona jego szarmanckim zachowaniem.

Ku jeszcze większemu zaskoczeniu Luxa kawałek dalej Editta zatrzymała się przed budynkiem wyglądającym na bardzo stary. Jego portyk był podtrzymywany przez ciężkie kolumny. Schodki prowadzące do środka nosiły ślady wytarcia przez miliony stóp, które przez setki lat po nich wchodziły. Budowla była więc bez wątpienia miejscem publicznym, często odwiedzanym przez rzymian.

– Dokąd idziemy? – spytał zdumiony Kazik. Obawiał się, że może to być starożytna biblioteka lub miejsce równie w tej chwili niepożądane.

– Chcę, abys czytał mi dziś długo i dogłębnie, musimy zatem najpierw doprowadzić cię do odpowiedniego stanu. Nie miej mi tego za złe, to starożytna tradycja. Rzymianie chętnie uczęszczali do przybytków takich jak ten, chcę zatem, byś i ty poddał się stosowanym tutaj tradycyjnym zabiegom.

Warszawiak nerwowo przełknął ślinę. Zaczął się spodziewać starożytnych rytuałów – tajemnych i z pewnością bezbożnych. Dziwiło go to tym bardziej, że Editta wydawała się osobą głęboko religijną. A może jednak chodziło o coś innego? Czym zatem mogły być owe „tradycyjne zabiegi”? Chyba jednak niczym złym i niezbyt tajemniczym, skoro do dziś je stosowano.

W środku powitał ich mężczyzna w białej koszuli, z którym hrabina zamieniła kilka słów. Ukłonił się i przyjął od damy monetę, a potem wskazał młodzieńcowi drogę.

– Nie śpiesz się, będę czekała na ciebie w domu – z uśmiechem powiedziała arystokratka.

Młody sierżant został poprowadzony korytarzem o ścianach pokrytych kolorowymi kafelkami ułożonymi w barwne wzory. W nozdrza uderzył go zapach wonności i olejków eterycznych, poczuł także wilgoć i rosnące ciepło. Przewodnik wprowadził go do sali z wieszakami i szafkami, po czym kazał mu się rozebrać. Wręczył mu też niewielki biały ręczniczek. Kazik zaczął się domyślać, gdzie się znalazł, i poczuł falę rosnącego wstydu. Hrabina przyprowadziła go do łaźni! Zatem wydawał się jej brudny i śmierdzący.

W pierwszej chwili zacisnął pięści ze złości, ale szybko pohamował gniew. Rzymianie mogli mieć inne zwyczaje dotyczące higieny, w Polsce zaś, z racji klimatu, zbyt częste kąpiele groziły śmiercią od przeziębień. Wzruszył zatem ramionami i zdjął rogatywkę. Odpiął z niej trójkolorową kitę i starannie umocował ją wewnątrz czapki. Musiał na nią uważać, legioniści zakładali je tylko na uroczyste okazje lub oficjalne warty i służby. Zwykle nosili delikatną ozdobę w środku rogatywki. Odpiął złote guziki granatowej kurtki mundurowej, rozwiązał czarny halsztuk pod szyją, zdjął koszulę i białe czechczery. Przepasał się ręcznikiem i ruszył za czekającym na niego rzymianinem.

Po chwili znaleźli się w dużej sali z basenem pełnym gorącej wody. W powietrzu unosiły się chmury pary wodnej, a kafelki podłogi okazały się diabelnie śliskie od wilgoci. Lux rzucił ręcznik na posadzkę i całkiem goły zanurzył się w wodzie. Nigdy jeszcze nie brał tak gorącej kąpieli. Miał wrażenie, że za chwilę się ugotuje.

– Jesteśmy w *caldarium* – oznajmił przewodnik. – Spędzisz tu pół godziny. Ciepła woda rozszerzy pory twojej skóry, ukrwi ją i ujędrni. A przede wszystkim oczyści.

Polak skinął głową na znak, że przyjmuje to do wiadomości. Potem, wzorem jednego z kąpiących się niedaleko mężczyzn, na chwilę cały się zanurzył. Ze zgrozą dostrzegł, jak woda wokół barwi się od odłóżającego płatami brudu. Kilka kolejnych minut przechadzał się więc w basenie, burząc wodę, by nikt nie spostrzegł tej wstydlivej przypadłości. Po kolejnych kilku minutach poczuł się dziwnie odprężony i senny, gorąco dotarło do jego mięśni i zaczęło wypędzać z nich napięcie i zmęczenie. Wzorem innych obecnych w łaźni zasiadł na podwodnym stopniu zanurzony po piersi. Tkwił tak bez ruchu, delektując się płynącym coraz wolniej czasem. Polał sobie głowę i z rozbawieniem dostrzegł pływające wokół martwe wszy.

Kiedy przewodnik znów się pojawił, Kazik nie miał siły wyjść z basenu, więc mężczyzna musiał podtrzymać go pod ramię.

„Ugotowałem się jak moje wszy” – półprzytomnie pomyślał sierżant.

Znalazł się w nieco chłodniejszym pomieszczeniu, gdzie wylądował na stole. Silne ręce zaczęły go nacierać olejem i rozmasowywać mięśnie. Nieświadomie zaczął mruczeć i jęczeć. Nigdy nie przeżył podobnego odprężenia, czuł się, jakby rozebrano go na części i złożono na powrót – nowego, wypoczętego.

„Nacierają mnie jak kurczaka przed pieczeniem – pomyślał. – Pewnie zaraz włożą do pieca”.

Zamiast tego masażysta ujął drewniany nożyk i zaczął skrobać nim Kazika centymetr po centymetrze, zbierając olej razem z naskórkiem. Lux nie odważył się nawet drgnąć, ruszył się dopiero, gdy rzymianin kazał mu się zbierać. Nie był to koniec zabiegów, zaprowadzono go teraz do *frigidarium* – basenu z zimną wodą. Chłopak wszedł do niej z oporami, przekonany, że po tym z pewnością się rozchoruje. O dziwo, zimna ciecz zaczęła przywracać mu wigor, usuwając miękkość mięśni i rozleniwienie, które ogarnęło go w cieplejszych częściach łaźni. Po chwili pływał od końca do końca basenu, tnąc wodę energicznymi ruchami.

Na koniec skroplono go wonnościami i zaprowadzono do szatni. Nie znalazł w niej jednak munduru, a jedynie leżącą w jego miejscu książkę i złożone cywilne ubranie: spodnie, koszulę i sandały.

– Gdzie mój mundur? – spytał gniewnie.

– Zgodnie z poleceniem pani hrabiny został zabrany do czyszczenia – odparł masażysta.

– Chryste Panie, chyba go nie upiorą?! – młodzieniec zmartwiał ze zgrozy.

Pranie munduru mogło osłabić nici i zmniejszyć intensywność barwy materiału. Nie wiadomo, jak długo legioniści będą czekali na kolejną wymianę uniformów, musieli zatem we własnym zakresie przedłużać ich żywotność.

– Nie. Parą wodną zostaną usunięte z niego owady. Zostaną również zacerowane rozdarcia – spokojnie odparł łaźnieniczy.

Kazik ubrał się więc z cywilny strój, jak się okazało za mały – nogawki były za krótkie, tak samo jak rękawy koszuli. Wypadł na ulicę, rozglądając się nerwowo. Gdyby teraz dopadli go Francuzi, z pewnością aresztowaliby jako dezertera. Szybkim krokiem ruszył do pałacyku hrabiny. Czuł dziwną lekkość i rozpierającą go energię. Nie tylko był nieprzyzwoicie czysty, lecz także odpoczął bardziej, niż gdyby przez tydzień leżał plackiem.

Drzwi otworzyła mu wielkooka służąca, ta sama co poprzednio. Lux uśmiechnął się do niej i zaczął się zastanawiać, czy Editta ma tylko jedną pokojową. Poprowadziła go pustymi salami wprost do buduaru. Mrugnął dziewczynie na pożegnanie i zamknął za sobą drzwi.

Hrabina leżała w łóżu z baldachimem, ubrana w skąpą jedwabną podomkę, odsłaniającą nogi. Uśmiechała się lekko, mrużąc oczy. Chłopak podszedł na uginających się z podniecenia kolanach. W obu rękach ścisnął książkę.

– Na czym skończyliśmy lekturę? – spytała.

– Nie pamiętam – bąknął niepewnie. – Mogę zacząć od początku.

– Chyba nie mamy aż tyle czasu. Mówiłeś, że wieczorem musisz się zameldować w koszarach.

Skinął potakująco głową i niedbale rzucił książkę na blat gotowalni, między flakoniki z perfumami. Sekundę później był już w łóżku i całował usta pięknej kobiety. Drżącą ręką rozchylił jej szlafroczek i sięgnął do pełnych piersi. Drugą ręką nerwowo szarpał guziki własnej koszuli. Editta pomogła mu się rozebrać i sama zrzuciła okrycie. Młodzieniec zanurzył się w niej gwałtownie i łapczywie, badał jej ciało dłońmi i językiem. Pachniała niczym róża, a skórę miała gładką i gorącą. Ku swemu zaskoczeniu zauważył, że zarówno nogi, jak i wzgórek łonowy ma gładko wygolone. Nigdy wcześniej nie zetknął się z takim sposobem dbania o higienę, ale nie przejmował się za bardzo tym dziwactwem, brał hrabinę taką, jaka była.

Próbował jak najszybciej wsunąć się między jej nogi, wedrzeć się w nią gwałtownie, by zaspokoić nagromadzone żądze. Powstrzymała go stanowczym gestem, a potem zademonstrowała pieszczoty, o jakich mu się nie śniło. Szeptąca mu do ucha rozkazy i instrukcje, a on wypełniał je, poznając tajemnice *ars amandi*.

Nie spodziewał się, że dane mu będzie zgłębić w Wiecznym Mieście wiedzę tego rodzaju. Życie znów go zaskoczyło.

11 prairiala VI roku ery republikańskiej (30 maja 1798 roku)



Codzienną musztrę na placu z dnia na dzień oglądało coraz więcej gapiów. Kazik z ciekawością zerkał, czy nie ma wśród nich Editty, ale szybko doszedł do wniosku, że damie nie uchodziłoby łączyć za wojskiem. Wśród ciekawskich wypatrzył za to sporo dziewcząt, niektóre bardzo ładne. Rzymianki coraz przychylniej patrzyły na Polaków, gdyż mieszczenie od niedawna zaczęli okazywać jasnowłosym olbrzymom z Północy sympatię. Rośli barbarzyńcy zachowywali się bardzo grzecznie i byli religijni, a dzięki ich zdecydowanej postawie w mieście zrobiło się znacznie bezpieczniej. Nie kradli, przynajmniej nie bezczelnie i jawnie jak Francuzi, i nie bili przechodniów, tylko czasem nie płacili w karczmach za wino, które mocno uderzało im do głowy. Ten drobiazg nie psuł jednak stale polepszającego się obrazu polskiego wojska.

Kiedy kompania schodziła z placu, by odmaszerować do koszar, grupa młodych włoskich „patriotów” zaczęła śpiewać *Carmagnolę*, włoski odpowiednik rewolucyjnej *Marsylianki*. Kazik przyłączył się do nich, ale zaraz umilkł, spiorunowany wściekłym spojrzeniem Rolewicza. Starszy sierżant chodził ostatnio rozgniewany, bo odkąd Francuzi zaczęli mieć Polaków na oku, nie udało mu się ani jedna zbójcka wyprawa.

Idący na czele kompanii porucznik Turkiewicz zapomniał o zwyczajowej sztywności, pomachał do roześmianych Włosek i wyszczerzył zęby w uśmiechu. W odpowiedzi dziewczyny chórem zaintonowały piosenkę, a że, jak to Włoszki, głosy miały mocne i donośne, pieśń rozbrzmiała nad całym placem:

- *La libert  d`Italica, che tando deve a voi Bravi Polacchi...*
- Co one śpiewają, Kaziu? – spytał idący obok Klein.
- „Wolność włoska, co swoje istnienie zawdzięcza wolnemu Polakowi” – gładko przetłumaczył młody sierżant. – To chyba piosenka ułożona na naszą cześć.

Kapral uśmiechnął się i posłał dziewczynom całusa.

– Wszystko widzę – warknął Rolewicz. – Lux, stulić gębę. Aha, po powrocie do klasztoru masz się zgłosić do majora Chłopickiego.

– Rozkaz. – Kazik skinął głową.

Całą drogę powrotną rozmyślał w nerwach, czego też może chcieć od niego srogi major. Chłopicki wrócił z Loreto przed czasem i objął swoją kompanię, ale żołnierzom się jeszcze

nie pokazał, całe dnie przesiadywał w sztabie na Kapitolu. Warszawiak podejrzewał, że major spędza wieczory w kantine, w której zbierali się oficerowie, by pograć w bilard i opić się wina. Tam też z nudów skakali sobie do gardeł, co zwykle kończyło się pojedynkami. Mógł też zajmować się sprawami loży masońskiej, jako że był wysoko postawionym w rycie dostojnikiem. Chłopak pół roku wcześniej przysłużył się ich sprawie, demaskując generała La Hoza, który zdradził nie tylko republikę, lecz także swoich braci masonów. Od tamtej pory Chłopicki z uwagą przyglądał się Luxowi, widząc w nim potencjalnego kandydata na członka stowarzyszenia.

Wciąż z muszkietem na ramieniu warszawiak wszedł po ciągnących się w nieskończoność schodach Pałacu Senatorskiego i zasalutował stojącym przed wejściem wartownikom. Musiał następnie zameldować się dowódcy warty, wielkiemu grenadierowi z Pierwszego Batalionu, i czekać, aż zostanie poproszony do sztabu. Wreszcie przemaszerował monumentalnym korytarzem pałacu, zajętego na siedzibę sztabu i kasyno oficerskie. Oglądał z otwartymi ustami antyczne rzeźby ozdabiające korytarz i rzeźbione plafony w suficie. Milczący grenadier zaprowadził go pod drzwi jednego z gabinetów i energicznie w nie zastukał.

Kazik wszedł do środka i wyprężył się na baczność, widząc dwóch mężczyzn. Chłopicki siedział przy biurku, pochylony nad papierami. Lux bał się tego młodego, ale srogiego oficera o pociągłej twarzy okolonej bokobrodami i ostrym nosie, nadającym jej nieprzystępny wyraz. Nad biurkiem majora pochylał się drugi z obecnych, dobry znajomy młodzieńca, doktor Jakub Hoffman. Medyk należał do tej samej loży masońskiej co Chłopicki i jego obecność mogła sugerować, że stało się to, czego warszawiak się obawiał – wolnomularze znów wmanewrują go w jakąś intrygę.

Przez dłuższą chwilę nie zwracali na niego uwagi, sierżant stał zatem bez ruchu i cierpliwie czekał. Wreszcie Chłopicki spojrzał na niego ostrym, budzącym grozę spojrzeniem.

– Ach, sierżant Lux łaskawie przybył – mruknął. – Słyszałem, że w Rzymie nie próżnujesz i wykazujesz zwykłą dla siebie aktywność.

– Pełnię służbę zgodnie z regulaminem...

– Nie chodziło mi o wojaczkę. Słyszałem, że zawiązujesz bliższe więzi z miejscowymi, a konkretnie z pewną damą. – Usta majora wykrzywił uśmiezek.

Kazik poczuł ciarki na grzbiecie. Masoni wiedzieli, z kim spotyka się nic nieznaczący podoficer... Wszędzie mieli szpiegów? Sierżant spojrzał podejrzliwie na doktora Hoffmana. Czyżby ten dobrotliwy Żyd, który pozornie próbuje mu ojcować, tak naprawdę tropił go i śledził?

– Zdarza mi się towarzyszyć w spacerach pani Valenti. Ale tylko po służbie, w wolnych chwilach – podkreślił Lux.

– Tym się właśnie zajmujecie w wolnych chwilach: piciem po karczmach, rżnięciem w karty lub uganianiem się za kieckami. A do Instytutu Militarnego Legionów nie ma komu się zapisać. W Collegio Romano otworzono katedrę języka francuskiego, można posłuchać

o literaturze, nieco się wykształcić. Nie, wy wolicie trwonić czas na głupoty. – Major pokręcił z niesmakiem głową.

– Ale, z drugiej strony, przebywanie w towarzystwie damy z wysokiego rodu to też forma kształcenia – wtrącił Hoffman. – Pani Valenti jest z pewnością niezwykle kulturalną i doskonale wykształconą damą.

Chłopicki niedbale machnął ręką.

– Panie doktorze, proszę mi nie opowiadać facecji. Wszyscy wiemy, że chodzi o jedno i z pewnością nie o kulturę. Ale nie to jest teraz ważne. Liczy się dla nas, że ta dama należy do niedawno zlikwidowanej rzymskiej arystokracji. Zna masę wpływowych osób w tym mieście. – Dowódca wstał od biurka i zaczął przechadzać się po gabinecie.

Wreszcie wydał rozkaz „spocznij” i pozwolił sierzantowi zdjąć ciężki muszkiet.

– Chcecie, bym ją szpiegował? – spytał Lux niepewnie.

– Niezupełnie. Chcemy, byś zrobił z niej szpiega, który będzie działał dla nas wśród rzymskich wyższych sfer, skrycie sprzyjających papieżowi – odparł major.

– Ehm, mam ją zwerbować? – jęknął zmieszany chłopak, bowiem wyobraził sobie reakcję uduchowionej, delikatnej Editty na propozycję służby Legionowi.

– Zaoferowanie żołdu raczej nie wchodzi w grę – odparł major z niesmakiem. – Masz ją w sobie rozkochać i nakłonić do wypełniania twoich zachcianek.

– Nie wiem, czy nie przeceniamy umiejętności Kazia, jest wszak tak młody – wtrącił nieco zmieszany Hoffman.

– Jestem przekonany, że sobie poradzi. To warszawski spryciarz, w dodatku mający niemal magiczny wpływ na kobiety. – Na ustach Chłopickiego znów pojawił się lekki uśmiech. Młodzieńcowi zdawało się nawet, że mrugnął do niego porozumiewawczo. – Słuchaj, Lux, nie interesuje mnie angażowanie jej w jakieś wojskowe i polityczne szpiegostwo, po prawdzie chodzi o jedną sprawę, bardzo ważną dla Legionu. Mam nadzieję, że zależy ci na nim, co?

Sierzant zawahał się na chwilę. Już kilka miesięcy temu zrozumiał, że Legion jest dla niego domem i rodziną, za którą w razie potrzeby winien oddać życie. Choć, oczywiście, zrobiłby wszystko, by uniknąć takiej ostateczności. Z drugiej strony wystawianie na szwank czci kobiecej, wykorzystywanie damy, a do tego łamanie jej i sobie serca było bardzo dużym wyrzeczeniem. Skalałby honor szlachcica i żołnierza. Cóż jednak mógł zrobić? Jeśli odmówi masońskiemu mistrzowi, kariery w armii nie zrobi, za to szybko skończy w jakimś rzymskim zaułku z garotą zaciśniętą na szyi lub sztyletem w plecach.

– Służba, panie majorze! – ryknął, wyrażając entuzjazm i gotowość oddania się pod rozkazy nawet najbardziej godzące w honor.

– Słyszałeś, że w Rzymie przechowywane są bardzo cenne dla nas pamiątki po królu Janie?

– Ktoś wspominał o szabli Sobieskiego, ale nic więcej nie wiem – bąknął zaskoczony.

– To nie tylko szabla. Po zwycięstwie pod Wiedniem nasz wielki król przesłał papieżowi

Innocentemu XI zdobytą chorągiew Mahometa, a po bitwie pod Parkanami kolejny turecki sztandar i swoją szablę. Dowiedzieliśmy się, że dziś te skarby znajdują się nie w Rzymie, a w Loreto. Generał Dąbrowski zażyczył sobie, byśmy je odebrali. To przedmioty niezwykle dla nas cenne, pamiątki z czasów świetności naszej armii, symbol sprawności i potęgi polskiego oręża. Musimy je zdobyć z powodów prestiżowych i propagandowych. Będą niezwykle przydatne jako prezenty dla sprzymierzonych władców, a może zawędrują z nami do ojczyzny? Nie wiem dokładnie, co generał zamierza z nimi uczynić, ale zostałem upoważniony do podjęcia działań, by je zdobyć. *À tout prix*^[29]. Wysłałem kapitana Trzeszkowskiego do Loreto, by delikatnie, nie podburzając fanatyzmu miejscowej ludności, odebrał te święte dla nas skarby. Miałem mu towarzyszyć, ale sprawy loży wezwały mnie z powrotem do Rzymu. – Major przechadzał się po pomieszczeniu z rękami złożonymi za plecami. – Przedwczoraj kapitan przysłał gońca z listem. W kaplicy udało mu się znaleźć jedną turecką chorągiew. Zaiste imponującą, mierzącą siedem kroków długości i cztery szerokości, uszytą z karmazynowego jedwabiu przetykanego wielbłądzim włosiem. Ma wyhaftowany złotem miecz janczarski i pogańskie napisy, podobno w materię jest też wpleciony włos z brody Mahometa. To prawdziwie potężny islamski artefakt.

Kazik aż zagwizdał z wrażenia – i zaraz zdębiał ze zgrozy, gdy zorientował się, co nieświadomie zrobił, ale major nie zwrócił na to uwagi.

– Niestety, w Loreto nie ma ani śladu drugiej chorągwi ani, co gorsza, szabli – zmartwionym głosem ciągnął dowódca. – Ta szabla jest dla nas warta więcej niż wóz pełen tureckich chorągwi. Święta broń najwaleczniejszego z naszych władców, rozumiesz? Musimy ją znaleźć! Poruszyłem wszystkie sznurki w rycie, zamierzam poprosić o pomoc sprzymierzonych wolnomularzy z Mediolanu, ale to potrwa. Udało nam się wybadać, że szablę odebrał niedawno papieski wysłannik, i wiele wskazuje, że znajduje się ona w Rzymie.

– Arystokratyczni przyjaciele Editty mogą coś o niej wiedzieć. – Warszawiak domyślił się wreszcie swojej roli.

– Właśnie! – Chłopicki wymierzył palec w sierżanta. – To oni mogą ją mieć. Niech twoja kochanica wybada sprawę, i to jak najszybciej.

Lux wyprężył się na baczność. Odetchnął w duchu. Nie musi jednak nakłaniać hrabiny do czynów niegodnych jej czci. Poszukiwania zaginionej, zardzewiałej broni to wszak nic uwłaczającego. Pewnie nikogo poza Polakami specjalnie nie obchodzi kawał bezwartościowego żelastwa, a szabla spokojnie pokrywa się kurzem w kolekcji starej broni jakiegoś rzymskiego arystokraty. Będzie mógł otwarcie i bez obaw porozmawiać o tym z Edittą.

– Aha, sprawa jest tajna, rzecz jasna – dodał Chłopicki.

– Oczywiście. Może pan na mnie polegać. Przyniosę panu tę szablę – rzekł Kazik w przyпіływie fantazji i pewności siebie.

Dowódca spojrzał na niego ostro, gdyż podejrzewał kpinę, ale widząc poważną minę

podkomendnego, pokręcił tylko głową.

– Sierżant będzie potrzebował nieco więcej czasu na spotkania z hrabiną, by porządnie ją w sobie rozkochać – przytomnie zauważył Hoffman. – Musi go pan chyba zwolnić z części obowiązków.

– Ano racja – mruknął major i podrapał się po brodzie. – Zrobimy tak... Zgłosisz się na ochotnika jako uczeń do Instytutu Militarnego Legionów. Co prawda jest to szkoła wojskowa przeznaczona dla oficerów, ale jako dobrze rokującego podoficera mam prawo cię do niej delegować. Przekażę rozkaz kapitanowi, że zostajesz destynowany^[30] na żaka i masz zwolnienie z wieczornych ćwiczeń i służb. Będziesz stawiał się w Instytucie, ale nie na wszystkich lekcjach.

– Jasne – Lux skwitował z uśmiechem.

Coraz bardziej podobała mu się ta misja. Skoro masoni nie zawsze się truli i mordowali, lecz także zajmowali romansami i zapewniali swoim konfratrom mniejszą liczbę służb, to może jednak postarać się o wstąpienie do loży? Będzie to musiał przemyśleć, może gra jest warta świeczki?

– A co z wydatkami? – spytał w przypiływie bezczelności. – Będę potrzebował na drobne prezenciki dla hrabiny, jakieś materialne dowody miłości...

– Mam dla ciebie wspaniałą nowinę. – Uśmiechnął się major. – Nowym gubernatorem Rzymu został generał Étienne Jacques Macdonald^[31], który w swej łaskawości i szacunku dla Polaków zdobył dla nas, z niemałym trudem, należne uposażenie. Dostaniecie lada dzień cały miesięczny żołd! Będziesz mógł się pokazać swojej grandesie^[32], jak należy.

– Ach tak – westchnął rozczarowany sierżant.

– Możesz przekazać tę wiadomość kompanii. I jeszcze jedno. Gdyby porucznik lub starszy sierżant pytali, po co cię wezwałem, masz im mówić, że chciałem ustalić z tobą, jako dawnym furierem, komu trzeba przydzielić nowe buty. Generał Macdonald zorganizował dla Legionu osiemset par buciorów i nie starczy dla wszystkich. A teraz wynocha.

Dowódca zakończył odprawę i odwrócił się do biurka, by znów pochylić się z doktorem nad papierami. Kazik zasalutował sprężyście jego plecom i odmaszerował.

15 prairiala VI roku ery republikańskiej

(3 czerwca 1798 roku)



W niedzielę nie było wykładów w legionowej szkole wojskowej, nie odbywały się też zwykła musztra i manewry. Kazik szykował się już do wymknięcia się z koszar – wcześniej starannie odkurzył swój niedawno wyparzony i pocerowany mundur – ale w drzwiach zatrzymał go Rolewicz, od którego tradycyjnie śmierdziało kwaśnym winem. Spiorunował Luxa złym spojrzeniem przekrwionych oczu i wydarł się na niego wściekle. Nie podobało mu się, że młody sierżant wszedł w jakieś komitywy z majorem Chłopickim i został przez niego uhonorowany pozwoleniem na studiowanie sztuki wojennej razem z oficerami.

– Cholerne szlachetki, liżecie się nawzajem po jajach, co? – wycedził i boleśnie szturchnął chłopaka paluchem w pierś. – Uważasz, że zostaniesz oficerem wcześniej ode mnie? Bo przyszedłeś na świat w herbowej rodzinie? I to jest sprawiedliwe? Jakiś zasmarkaniec, chudy jak kij, nieumiejący nawet dobrze się bić, wacha się z oficerami i pewnie liczy, że niedługo paletują go na jednego z nich. A takiego! Słyszysz? Po moim trupie! – Pchnął mocno warszawiaka, aż ten zatoczył się na ścianę. – Nie dość, że opieprzasz się wśród sztabowców i migasz od roboty, to jeszcze masz czelność wymykać się do miasta, do jakiejś dzierlatki? Myślisz, że nie wiem? Pogadamy jeszcze, zobaczysz. Wskażesz mi, gdzie mieszka, a wtedy wpadniemy tam z chłopakami i wyczyścimy jej hrabiowski skarbiec. Pokażemy jej, że o wiele lepiej rozłożyć nogi przed prawdziwym chłopem niż zasmarkanym szlachetką.

Lux zagotował się ze złości i nie bacząc na dławiący strach, skoczył na draba. Próbował trzasnąć go pięścią w zęby, ale zdawałoby się kompletnie pijany Rolewicz wykonał zwinny unik i grzmotnął młodzieńca pięścią w brzuch. Chłopak zgiął się wpół i wypuścił całe powietrze z płuc. Starszego sierżanta jakby to uspokoiło.

– No, już dobrze, cymbale. Bodziesz, ale jak młody baranek. Jeszcze musisz się wiele nauczyć. I ja nauczę cię znacznie więcej niż te pajace z Instytutu. A teraz zabieraj muszkiet. Idziesz na patrol w zastępstwie sierżanta Majewskiego. Zaniemógł, biedaczek. Spieprzaj, no już. Możesz wybrać sobie fizylierów, bo legioniści Majewskiego także chorzy.

Kazik złapał broń i ciągle zgięty, wytoczył się na korytarz.

– A o hrabinie jeszcze pogadamy. Ja nie żartuję – rzucił za nim Rolewicz.

Chłopak schodził po schodach, dygocząc ze złości i bezsilności. Majewski i jego piechurzy, czyli banda Rolewicza, jego zaufani grasanci. Kazik dostał za nich służbę z czystej

złościwości, starszy sierżant chciał mu po prostu natrzeć uszu.

Udał się do jednej z klasztornych cel, w której kwaterowało dwunastu fizyliarów z kapralem. Czterech żołnierzy siedziało na posadzce, rżnąc w karty, a reszta im kibicowała. Kapral Klein trzymał pulę, garść denarów. Słyszając, że ktoś nadchodzi, zgarnął je odruchowo, ale na widok Luxa rozluźnił się i mrugnął do niego. Legioniści nie okazali honorów starszemu stopniem, za to przywitali go radośnie i po przyjacielsku. Kazik uśmiechnął się do nich wesoło. Chyba bardziej odpowiadało mu bycie dobrym druhem niż surowym i groźnym sierżantem.

– Bauman orznął Kury z połowy żołdu – wyjaśnił Klein. – A my się zakładamy, czy zrobi ich w kolejnej partyjce mariasza.

– Może się dosiądziesz, sierżancie? – spytał uradowany z wygranej Żyd.

Młodzieniec tylko pokręcił głową, udając, że nie widzi niczego złego w jawnym łamaniu regulaminu zabraniającego gry na pieniądze i wszelkiego hazardu. A potem oznajmił im grobowym głosem, że potrzebuje plutonu ochotników na patrol. Stachowski demonstracyjnie popukał się w czoło, reszta parsknęła śmiechem, ale kiedy rozczarowany Kazik odwrócił się do drzwi, Kury odłożyli karty, a cały pluton zaczął zbierać się do wyjścia.

Po paru minutach wymaszerowali z koszar, salutując dwóm znudzonym wartownikom. Lux nie dostał szczegółowych wytycznych, jaki rejon Rzymu ma patrolować, postanowił zatem wybrać się na dłuższy niezobowiązujący spacer i szerokim łukiem ominąć najniebezpieczniejsze dzielnice miasta. Zagłębili się rażno w wąskie uliczki Rzymu, by jak najszybciej zniknąć Rolewiczowi z oczu. Stachowski zaczął wesoło pogwizdywać, a Klein zaczepiał każdą mijaną dziewczynę, wypróbowując na nich swój włoski, którego właśnie się uczył. Młode rzymianki nie były już tak nieprzystępne jak przed kilkoma tygodniami. Wiedziały, że ze strony Polaków nic im nie grozi, odpowiadały więc fizyliarom uśmiechami, a niektóre śmiało wdawały się w wymianę pozdrowień i żartów. Kazikowi szybko poprawił się humor, zdążył nawet pogodzić się z tym, że nie odwiedzi dziś Editty.

Przeszli przez całe miasto, aż do Porta del Popolo, gdzie sierżant z namaszczeniem zameldował się dowódcy warty. Będzie miał dzięki temu dowód, że naprawdę przeprowadził patrol, a nie zaszył się z plutonem w karczmie na cały dzień. Niepiesznym krokiem przechadzali się wokół rozległego placu, rozciągającego się za bramą. Warszawiak kłaniał się grzecznie spacerującym przechodniom, wyglądającym na zasobnych i szacownych mieszczan, i zamaszyście salutował dziewczętom. W powietrzu unosiły się zapachy świątecznych potraw, Rzym wydawał się przyjacielski i spokojny niczym wieś w niedzielę.

Upał stopniowo narastał i młody sierżant zaczął ulegać namowom piechurów, którzy marudzili, że pić im się chce i pora wychylić po małym kubku chłodnego wina. W uliczkach odchodzących od placu znajdowała się niejedna oberża o szeroko otwartych drzwiach, która przyciągała chłodnym półmrokiem wnętrza.

Skierował już kroki w stronę najbliższej karczmy, gdy do jego uszu dotarł dochodzący od

strony bramy stłumiony łomot werbli. Do placu zbliżało się jakieś wojsko – i to z hałasem mającym przyciągnąć gapiów.

– Czekajcie – Lux powstrzymał żołnierzy. – Co to może być?

– Pewnie legion rzymski będzie się popisował – stwierdził Klein. – Defilady i stroszenie piórek, w tym są dobrzy. Któż to może być inny? Francuzów została ledwie garstka, a nasi na dziś nic nie planowali, o ile mi wiadomo.

Wartownicy przy bramie wyprężyli się na baczność i zaprezentowali broń, gdy pod kamiennym łukiem przejechał konny oficer w zielonym mundurze. Wszyscy polscy fizylierzy, jak na rozkaz, wyciedzili przekleństwa lub pogardliwie splunęli na bruk, gdy zobaczyli jadącą za nim kolumnę znajomych strzelców konnych.

– A jednak to żabojady – mruknął Stachowski. – Co też te sukinsyny knują?

Za kawalerzystami przemaszerowało przez bramę czterech francuskich doboszy, łomocząc w jednym rytmie. Od dudnienia, które odbijało się echem od ścian domów, Kazikowi aż ciarki przeszły po grzbiecie. Rytm wydał mu się agresywny i złowróźbny jednocześnie. Nagle zamarł ze zgrozy, bo oto w bramie pojawiła się grupa francuskich piechurów eskortujących mężczyznę z rękami skrępowanymi z tyłu. Pochód zamykał pojedynczy pluton piechoty w błękitnych mundurach.

– Jasna cholera, to przecież Stefek Dziordzy – westchnął warszawiak, który rozpoznał więźnia.

Fizylier, do niedawna służący w jego kompanii, był ubrany jedynie w białą koszulę i wojskowe czechczery. Szedł spokojnie, z wysoko podniesioną głową. Lux przygryzł wargę. Stefek zaginął trzy dni temu i zgodnie z regulaminami informacja o tym trafiła do wszystkich placówek wojskowych w mieście, także do francuskich. Polacy podejrzewali, że piechur, po otrzymaniu żołdu, zabalował w jakimś burdelu i pojawi się, gdy tylko dojdzie do siebie. To się zdarzało i nie było niczym nadzwyczajnym. Dostałby karę aresztu, zebrał cięgi i po jakimś czasie wrócił w szeregi, tymczasem wyglądało na to, że dopadły go żabojady i prowadziły na tradycyjne miejsce straceń.

– Za mną! Szybko – rozkazał Kazik, gdy tylko otrząsnął się ze zdumienia.

Raźnym krokiem ruszył przed siebie. Za plecami słyszał łomot buciorów maszerującego plutonu. Zamierzał przeciąć Francuzom drogę, zanim dotrą pod ścianę, gdzie zwykle rozstrzeliwano przestępców.

– Może założymy bagnety? – podsunął Stachowski.

– Chyba nie chcesz się bić z półszwadronem strzelców konnych? – warknął Klein. – Roznieśliby nas jedną szarżą.

– No to jak odbijemy Stefka? – spytał któryś z braci Kura. – Może weźmiemy oficera jako jeńca?

Sierżant myślał intensywnie, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Wiedział tylko, że nie może dopuścić do użycia przemocy, bo skończyłoby się to fatalnie. Ruszył

naprzeciw oficerowi, zastąpił Francuzom drogę i pomachał uniesioną ręką. Przełknął ślinę, walcząc ze strachem. W prowadzącym pochód rozpoznał kapitana Precheura, który niedawno dowodził pacyfikacją klasztoru.

– Z drogi, żołnierzu! – krótko rozkazał mu oficer.

– Pan wybaczy, kapitanie, ale jestem zmuszony zapytać, dokąd prowadzicie jednego z moich podwładnych! – stanowczo stwierdził Kazik, nie ustępując ani na krok.

– On nie jest już twoim podwładnym, sierzancie – odparł strzelec. – Odkąd zdjął mundur i porzucił służbę, nie jest żołnierzem, tylko dezenterem. I prowadzę go tam, gdzie trafiają wszyscy dezenterzy.

Lux przeklął w myślach. Wiedział, że próba rozstrzelania jego kompana to kolejny akt walk pomiędzy Francuzami a Polakami. Mszczą się za stracenie przez polskich grenadierów francuskich grasantów. Zatem walka szła na całego i nie będzie pobłażania. Z żadnej ze stron. Jeśli ustąpi choćby o krok, żabojady zabiją więźnia i będzie to pstryczek w nos dla polskiego Legionu. Najgorsze, że robili to zasadniczo zgodnie z prawem i Kazik miał związane ręce.

– Wydaje mi się, że to nieporozumienie, kapitanie – stwierdził drżącym głosem. – Zaszła jakaś pomyłka. Ten żołnierz musi zostać przesłuchany przez kogoś mówiącego po polsku.

– Ależ on został przesłuchany z udziałem tłumacza, księdza z waszego kościółka. – Uśmiechnął się Precheur.

W tej samej chwili do kapitana podjechał Antoine de Villard i z krzywym uśmiechem wpatrywał się w warszawiaka. Strzelec zaplótł blond włosy w harcap, który opadał mu z przodu na ramię. Wyglądał w siodle jeszcze dostojniej i groźniej niż dowódca, od razu znać w nim było arystokratyczną krew i wysrane z mlekiem matki wielkopańskie maniery.

– Czy mam usunąć tego intruza? – spytał. – Przeszkadza nam w wykonaniu wyroku.

Kazik kątem oka spostrzegł, że jego pluton zbija się w zwarty szyk, jakby szykował się do odparcia ataku kawalerii.

– Czy mogę zobaczyć dokument z wyrokiem sądu polowego? – Lux nie rezygnował. – Nie jestem przekonany, czy polski żołnierz podlega francuskiej jurysdykcji. Jesteśmy wszak armią wspierającą Republikę Cisalpińską...

– Która jest marionetką Republiki Francuskiej – wtrącił de Villard kpiącym tonem.

– Odstąpcie, sierzancie – spokojnie dodał kapitan Precheur. – Dezenter sam się przyznał do winy. Nic nie możecie już zrobić.

W odpowiedzi Polak groźnie zmarszczył brwi i oparł dłoń na rękojeści ułamanego tasaka, którym mógł co najwyżej pogrzebać sobie w zębach. Rozmowa, do której podszedł niepewny swoich racji, utwierdziła go w przekonaniu, że musi zrobić wszystko, by ratować kompana.

Antoine chwycił wodze lewą ręką i ze zgrzytem dobył szabli. Młody sierżant spojrzał na niego wyzywająco, jakby zapomniał, że cięcia zadanego z siodła – i to przez wytrawnego jeźdźca – nie powstrzymałby, nawet gdyby jego tasak znajdował się w jednym kawałku.

– Kaziu, przestań, proszę – niespodziewanie odezwał się Stefan. – Ja naprawdę zdezerterowałem. Złapali mnie ukrywającego się na plebani jednego proboszcza, planowałem z jego pomocą wymknąć się z Rzymu. Chciałem przyłączyć się do rebelli^[33].

Lux uniósł powoli ręce, by pokazać Villardowi, że jednak nie zamierza walczyć. Spojrzał ze zgrozą na Węgra.

– Co cię napadło, do diabła? Chciałeś dołączyć do papistów?

– W obronie wiary – przytaknął fizylier. – Nie mogłem znieść tego, co wyprawiają republikanie w świętym mieście. Złupili i zlikwidowali ponad trzydzieści klasztorów i Bóg wie ile kościołów. Mordują i beczeszczą święte miejsca. Zapłacą za to, ale już nie z mojej ręki. Pan Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Warszawiak chrząknął, czym dał znak plutonowi, by ustąpił strzelcom z drogi. Werble dudniły nieustannie, wbijając mu się rytmem w czaszkę. Ciągłe był oszołomiony postępowaniem Madziara z polskiego Legionu, choć doskonale pamiętał, że ten miał zwyczaj modlić się przy byle okazji i niemal obsesyjnie podkreślać swoją religijność.

– Postąpiłem tak, jak należało. Chciałem wystąpić w obronie wiary – powiedział Dziordzy z łagodnym uśmiechem. – Odchodzę w zgodzie z własnym sumieniem. Żegnajcie, wiarusy!

Lux zasalutował kapitanowi strzelców i zszedł mu z drogi. Jedyne, co mu teraz pozostało, to z ponurą miną przyglądać się dalszym działaniom Francuzów. Fizyliery mruczełi niezadowoleni, a Stachowski klął całkiem głośno, dopóki kapral Klein go nie uciszył.

Tymczasem Stefan minął ich z uniesioną głową i wzrokiem wbitym w niebo, gdzie właśnie się wybierał. Kiedy piechurzy postawili go pod ścianą, pokiereszowaną już wielokrotnie muszkietowymi kulami, łagodnie się uśmiechał. Wokół zebrał się tłum gapiów. Włosi chyba wiedzieli, że polski żołnierz umiera dlatego, że nie mógł znieść profanowania miasta, gdyż patrzyli na niego jak urzeczeni. Starsze kobiety zaczęły głośno płakać, ktoś modlił się po włosku. Nieco skonfundowani strzelcy konni pokrzykiwali na falujący z oburzenia tłum. Przechodzący staruszek poklepał Kazika po plecach w geście poparcia. Węgier odmówił zasłonięcia oczu i rozanielony patrzył w chmury. Modlił się przy tym bezgłośnie.

Werble zagrzmiały szybciej i ucichły. Kapitan wydał krótki rozkaz i gruchnęła salwa. Lux spojrział z nienawiścią na Antoine`a, który odpowiedział mu pogardliwym spojrzeniem. Młody sierżant znów nieświadomie zacisnął dłoń na rękojeści tasaka.

22 prairiala VI roku ery republikańskiej (10 czerwca 1798 roku)



Wiem, kto ma szablę Sobieskiego – powiedziała Editta, opierając brodę na piersi Kazika.

Żołnierz leżał w hrabiowskim łóżu i jedną ręką leniwie masował kochankę po plecach. Jeszcze nie ostygł po miłosnym uniesieniu, w lędźwiach czuł palące gorąco, gasnącą powoli energię. Dyszał ciężko po wysiłku, w ustach miał smak kobiety, a nozdrza wypełniał mu jej zapach. W pierwszej chwili zatem jej słowa nawet do niego nie dotarły. Dopiero gdy kochanka je powtórzyła, poruszył się gwałtownie i usiadł na łóżku.

– Kto?

– A co mi za to dasz? – spytała z figlarnym uśmiechem.

Położyła się na plecach i przeciągnęła niczym kotka. Lux uśmiechnął się szeroko, z przyjemnością podziwiając jej urodę. Z każdym dniem podobała mu się coraz bardziej i coraz częściej dręczył się obawami, że wkrótce przyjdzie rozkaz wymarszu i będzie musiał ją opuścić. Nie mógł wszak pojąć Włoszki za żonę, nie byłby w stanie z podoficerskiego żołdu zapewnić godnego życia przywykłej do zbytków damie.

– Nieba ci przychylę, o bogini – odparł całkiem szczerze. – Dam ci wszystko, czego tylko zażądasz!

– Tak bardzo zależy ci na szabli?

– To żelastwo nic dla mnie nie znaczy, po prostu obiecałem komuś, że zrobię, co w mojej mocy, by trafiła do naszego generała. – Niedbale machnął ręką. – Tobie dam wszystko, czego sobie zażyczysz, bo zwyczajnie cię kocham, pani.

Uklonił się na tyle, na ile pozwalały mu łóżkowe warunki, a potem pocałował Editte w wyciągniętą dłoń. Przejechał ustami po nadgarstku i wewnętrznej stronie przedramienia, aż dotarł do łokcia. Hrabina zachichotała jak podlotek.

– Chcę ciebie, Casimiro – szepnęła całkiem poważnie.

– Masz mnie przecież.

– Chcę ciebie na zawsze. Słyszałam, że sekretarz Konsulatu, pan Bassal, zaoferował Polakom odstąpienie ziemi wokół Rzymu i przejście waszej formacji na żołd rzymski. Może wasz generał się zgodzi i zostanieie tu na stałe?

– Zamieszkałabyś ze mną w kolonii wojskowej? – Kazik pokręcił w zadumie głową. –

Bardzo bym chciał zasypiać i budzić się przy tobie, opiekować się tobą i cię chronić, obawiam się jednak, że nic z tego nie będzie. Kilka miesięcy temu sztab planował zająć Wyspy Jońskie i utworzyć na nich polską kolonię, ale generał się nie zgodził. Jest wierny Francji i zrobi, co każą zabójcy, a ci gotowi wysłać nas choćby na koniec świata, jeśli okaże się, że tam będziemy im potrzebni. Nie mogę zatem złożyć ci przysięgi, kochana, choć bardzo bym chciał. Póki jednak jesteśmy razem, zrobię wszystko, czego zapragniesz. Czego ci brak? Powiedz tylko.

Milczała dłużej chwilę, jej twarz zrobiła się poważna. Wreszcie podniosła się z łóżka i nałożyła jedwabną podomkę. Otworzyła szufladę gotowalni i wyciągnęła z niej kilka kawałków materiału. Gdy Kazik je rozłożył, okazało się, że są wykonane z bardzo delikatnego i z pewnością cennego materiału. Spojrzał pytająco na kochankę, a ta uśmiechnęła się smutno.

– Kupiłam je zaraz po ślubie z Alberto – powiedziała. – Miały być z tego beciki dla naszego dziecka. Zawsze bardzo lubiłam dzieci, jak pewnie zauważyłeś.

Pokiwał głową. Rozwrzeszczana banda oberwańców i sierot nieraz dopadała ich w trakcie spacerów, traktując hrabinę niczym dobrą znajomą. Poza tym dostrzegł, jak zmienia się wyraz twarzy Editty zawsze, gdy mijają matkę z dzieckiem.

– Chcesz, bym dał ci dziecko? – spytał niepewnie.

– Gdyby to tylko było możliwe. Niestety, nie ma na to szans, Casimiro. Wszystkiego próbowaliśmy, Alberto kazał nawet przyrządzać dla mnie potrawy z jąder zajęczych i świńskich, które są ponoć dobre na niepłodność. Kąpałam się w wywarach z rozmarynu, miesiącami zażywałam zioła i specyfiki z dalekiej Azji. Nic to nie dało, nikt nie potrafi mi pomóc.

Młodzieniec ujął jej dłoń, a po chwili wahania przytulił Editę do piersi. Zdawało mu się, że na jego nagi tors kapnęła łza.

– Jest jedna szansa, ostatnia – powiedziała. – Patronem ciężarnych i kobiet pragnących potomstwa jest święty Dominik. Ja także nosiłam na brzuchu święty pasek, wstęgę, której długość bierze się, przykładając materiał do obrazu z Sosiano, przedstawiającego świętego. Nie zostałam jednak obdarzona łaską. Niedawno dowiedziałem się, że w Rzymie znajduje się relikwia Dominika, bawełniany sznur, którego używał za życia do przepasywania habitu. Każda kobieta, która jakiś czas oplata go wokół brzucha, staje się brzemienna. Nie zdarzył się przypadek, by to się nie wydarzyło.

– Niełatwo zdobyć tę relikwię? – domyślił się Kazik. – Powiedz tylko, gdzie jej szukać?

– Nie trzeba jej szukać, została zajęta przez Francuzów razem z innymi, dla republikanów bezwartościowymi, przedmiotami kultu. Udało mi się dowiedzieć, że sznur razem z pozostałymi relikwiami przekazano do dyspozycji rzymskiemu senatowi i obecnie spoczywa pod kluczem w skarbcu. Swobodny dostęp do niego ma dowódca Gwardii Narodowej, generał Bartolomeo Bona Speziale di Marino.

– Chcesz, bym go odwiedził i spróbował zdobyć dla ciebie ten sznur?

– Nie, czekaj – syknęła, a jej oczy błysnęły z emocji. – Jeszcze nie, najpierw muszę dowiedzieć się o nim, czego tylko się da. Mówią, że to straszny sknera, zatem niełatwo będzie go przekupić, a ja i tak nie dysponuję niczym wartościowym. Z pewnością ma jednak jakiś słaby punkt i dowiem się jaki.

Chłopak uśmiechnął się i pocałował ją w usta. Odpowiedziała namiętnie i agresywnie, wpijając się w niego i wsuwając mu język między zęby. Objął ją i przyciągnął do siebie, ale powstrzymała go stanowczym gestem. Była gorąca, a mięśnie miała napięte.

– Nie pora na to, musisz teraz odzyskać szablę polskiego króla – przypomniała. – Przechowuje ją konsul Angelucci, przewodniczący republikańskiego senatu. Mieszka w pałacu niedaleko Kapitolu. Jeśli weźmiesz grupę żołnierzy, wtargniesz do jego domu i zażadasz zwrotu, powinien się wystraszyć i oddać ci broń. Nie oddawaj jej od razu swemu generałowi, chciałabym ją zobaczyć. Zrobisz to dla mnie? Przyniesiesz mi tę szablę?

Nie mógł się powstrzymać, by nie całować jej nadal, po szyi i wgłębieniu obojczyka, po piersiach i brzuchu. Przez mgłę pożądania ledwo docierały do niego słowa kobiety. Czuł takie oszołomienie, że nawet nie pomyślał o tym, by spytać, czemu zażyczyła sobie obejrzeć starą broń. Popychany i ponaglany, przerwał pieszczoty i ubrał się niechętnie. Wybiegł przed pałacyk, nadal rozgorączkowany i podniecony. Ruszył szybkim krokiem, by zgodnie z radą, a właściwie poleceniem kochanki, zabrać pluton kaprała Kleina i poprowadzić go do siedziby konsula. Zdobędzie tę szablę, choćby miał obdzierać oficjela ze skóry.

* * *

Do bramy klasztoru dotarł akurat, gdy ostatnie promienie słońca znikły za dachami domów i plac przed koszarami pogrążył się w półmroku. Zasalutował wartownikom i już miał przekroczyć bramę, gdy jeden ze strażników zastąpił mu drogę. Po chwili pojawił się dowódca warty, sierżant Sawicki, dobry znajomy Kazika. Wąsaty, mocno przysadzisty jegomość o czerwonym nochalu sugerującym upodobanie do mocnych trunków, uśmiechnął się szeroko i kazał chłopakowi odpiąć i oddać tasak.

– Czemu, panie Ryśku? – spytał zdumiony Lux.

– Kazali mi cię zgarnąć – wesoło odparł stary wiarus. – Znów coś narozrabiałeś, Kaziu, oto cały ty. Nie bój się, zasiadam w legionowym sądzie jako podoficer najlepiej otrzaskany w regulaminach. Wiesz, że sam łamałem je tyle razy, że nie mają dla mnie żadnych tajemnic. – Mrugnął konfidencjonalnie, a młody sierżant skinął twierdząco głową. Rzeczywiście, poznał Sawickiego w kompanijnej celi, gdzie ten wylądował za pijaństwo i bójkę. – Zatem wiesz, że nie pozwolę zrobić ci nic złego. Dzisiejszą noc i może kilka kolejnych spędzisz jednak w twierdzy.

Zanim warszawiak zdążył dowiedzieć się czegokolwiek ponadto, został przekazany patrolowi, który miał go odprowadzić do aresztu. Ze zgrozą spojrzął na sierżanta

Majewskiego, szczerbatego draba i prawą rękę Rolewicza, oraz na jego patrol składający się z Chudego, Komosy, Pyszczonego i Joachima, najbardziej szemranych typów w kompanii. Legioniści, złośliwie go szturchając i popychając, odprowadzili szybko w kierunku głównej ulicy. Kazik chciał nawet poprosić Sawickiego o przekazanie informacji o szabli Sobieskiego, ale powstrzymał się, gdy przypomniał sobie obietnicę złożoną Editcie.

Przeszli niemal połowę Corso, gdy Majewski nagle skręcił w boczny zaułek, śmierdzący moczem i nieczystościami. Chłopak próbował protestować, ale Pyszczonego pchnął go mocno i zmusił do wejścia w ciemny kąt. Majewski wyszczerzył połamane zęby i bez ostrzeżenia trzasnął Luxa pięścią w brzuch. Młodzieniec jęknął i zgiął się wpół.

– Jako że i tak szczętniesz w lochu, wywozają cię w kajdanach do więzienia w Bolonii lub, co pewniejsze, rozstrzelają, postanowiliśmy zająć się twoją damulką – powiedział sierżant, a jego draby zarechotały radośnie. – Tobie i tak już nic po niej, a nam się przyda. Gadaj teraz, jak dostać się do jej pałacu, ile hrabina ma służby i pachółków? Kiedy kładą się spać, czy ryglują drzwi, czy także wejście od kuchni?

Kazik warknął głucho i przełamując ból, wyprostował się, a potem splunął Majewskiemu w twarz. Natychmiast spadł na niego grad ciosów i kopniaków, odruchowo więc zwinął się w kłębek i próbował ochronić rękoma głowę. Obwiesie przeskadzali sobie nawzajem, poza tym warszawiak miał za plecami ścianę, żaden cios nie okazał się zatem specjalnie bolesny.

– Wystarczy – warknął sierżant. – Znalazł się bawidamek cholerny. Nie rznij bohatera, gadaj, co ta dziwka ma cennego i w której komnacie trzyma resursy^[34], a oszczędzisz nam roboty, sobie i jej zaś bólu. Nie chcesz chyba, byśmy ją przesłuchiwali? Wiesz, jak Pyszczonego lubi bawić się swoim nożykiem? Tylko marzy, by pociąć nim hrabiowskie cycuszki, a byłoby ich szkoda, nie uważasz?

– Pani Valenti należy do starego rzymskiego rodu. Jej domu pilnuje kilku byczków, zresztą i tak na noc zawierają drzwi na kilka skobli. Okna na dole są zakratowane, a od tyłu wejść się nie da, bo kucharka sypia przy kuchni i zawsze się zamyka – gładko skłamał chłopak.

– Hm – mruknął z zadumą Majewski. – Wiesz, Lux, ni w ząb ci nie wierzę. Coś mi się widzi, że musimy porządnie ci wpieprzyć, byś zaczął gadać.

– Intraty żadnej i tak z tego mieć nie będziecie – warknął Kazik. – Nic wam nie powiem, a na rabunku pani Valenti połamanego solda nie zarobicie. Jej pałac złupili już Francuzi lub republikanie, diabli wiedzą, nie pytałem. W większości komnat zalega tylko kurz na gołych ścianach.

Sierżant pokręcił głową z niesmakiem, za to Komosa złapał warszawiaka za brodę i spojrzał mu głęboko w oczy. Na gębie piechura czerwieniły się liszaje, widoczne nawet w półmroku, w dodatku śmierdźiał jeszcze gorzej niż zaśmiecony zaułek, w którym stali. Lux wzdrygnął się z obrzydzenia.

– Prawdę gada – zawyrokował Komosa. – Kłamcę poznam po ślepiach.

Wyprawdzili Kazika z uliczki i popędzili szybkim krokiem, niemal truchtem, w kierunku

północnej bramy. Już po kilkunastu minutach nieco zdyszany patrol dotarł do wrót Zamku Świętego Anioła i przekazał Luxa warcie, na szczęście złożonej z Polaków, grenadierów Pierwszego Batalionu. Potężne chłopcy zaprowadziły go pogrążonymi w ciemnościach korytarzami do śmierdzącej pleśnią i wilgocią celi. Lux z westchnieniem usiadł na kupie słomy mającej służyć za posłanie, po czym rozmasował bolące po pobiciu żebra.

Nie miał pojęcia, za co trafił do aresztu, ale zbytnio się nie bał. Gdyby uwięziono go za współpracę z grasantami, w lochach siedzieliby również kompani Rolewicza z nim samym na czele, te dranie natomiast nadal cieszyły się wolnością i planowały kolejne kradzieże. Poza tym chłopak nie popełnił żadnego przestępstwa, a w dodatku miał poparcie majora Chłopickiego i całej jego masońskiej bandy. Możliwe zatem, że przymknięto go przez pomyłkę i rychło zostanie uwolniony.

Starannie odłożył rogiatywkę na bok, zdjął kurtkę mundurową i przykrył się nią po wymoszczeniu posłania w słomie. Przynajmniej nie będzie musiał wstawać przed czwartą, o bladym świcie. Odpocznie sobie w spokoju i porządnie się wyśpi. Jedyne, co go dręczyło, to obawa o Editę. Miał nadzieję, że Majewski mu uwierzył i grasanci Rolewicza znajdą sobie inny obiekt grabieży. Uspokojony tą myślą, zapadł w mocny sen.

23 prairiala VI roku ery republikańskiej (11 czerwca 1798 roku)



Ranek obudził Kazika zgrzyt otwieranych drzwi. Poderwał się, gdy zobaczył wchodzących do celi grenadierów. Przez chwilę poczuł ukłucie niepokoju. A co, jeśli przyszli, by wyciągnąć go i zaprowadzić na plac straceń? Na wszelki wypadek ukłonił się im grzecznie i założył kurtkę.

– Przeprowadzka, sierżancie – oznajmił jeden z wielkoludów. – Macie wysoko postawionego opiekuna, co? A może to wasz dowódca się o was troszczy?

Lux wzruszył ramionami. Nie rozumiał, dlaczego ma się cieszyć z przeprowadzki do innej celi. Żołnierze poprowadzili go wilgotnym korytarzem, a po chwili stromymi schodami w górę. Z piwnic pięli się po kolejnych poziomach wielkiego zamku coraz wyżej i wyżej. Przez otwory okienne wpadały promienie słońca i pachnące wiatrem świeże powietrze. Wreszcie otworzono przed aresztantem drzwi celi i wpuszczono go do środka. Znalazł się w przestronnym, jasnym pomieszczeniu zaopatrzonym w dwa łóżka z materacami i stolik, a przede wszystkim w duże, zakratowane okno. Na parapecie, z książką w ręku, siedział uśmiechnięty major Wierzbicki, dawny dowódca młodzieńca.

– Co pan tu robi, majorze? – zdumiał się Lux.

– Po pierwsze, witaj, Kaziku, w naszej wspólnej celi. Po drugie, robię to samo co ty, znaczy, odsiaduję swoje – oznajmił oficer.

– Przymknęli pana? Za co, na litość boską?

Piotr Wierzbicki wydawał się warszawiakowi wzorowym oficerem, rycerzem bez skazy, zdyscyplinowanym i honorowym, a w służbie zawsze gotowym i pilnym. Dobrze traktował żołnierzy i był przez nich lubiany, kiedyś nawet, z własnej inicjatywy, dał chłopcu kilka lekcji szermierki, by uchronić go przed niechybną śmiercią w pojedynku.

– Ach, za bardzo zaprzyjaźniłem się z Grabińskim i Haumannem...

– To ci oficerowie, co wylecieli z Legionu?

– Spiskowali przeciw Dąbrowskiemu i musieli zmienić formację. Służą teraz bezpośrednio pod generałem Bonaparte. Zastanawiam się właśnie, czy dobrze zrobiłem, pozostając w Legionie. Mogłem razem z nimi popłynąć za morze. – Major odłożył książkę i odwrócił się do okna.

Kazik stanął przy nim i aż westchnął z zachwytu. W dole roztaczała się panorama

Wiecznego Miasta z wijącą się błękitną wstęgą Tybru. Oficerska cela zdecydowanie różniła się od ciemnego i wilgotnego lochu, w którym spędził noc. Przez okno wpadały powiewy ciepłego włoskiego wiatru, niosąc zapachy wolności i nadchodzącego lata. Aż chciałoby się odlecieć na nim w dal, gdzieś hen, gdzie oczy poniosą. Najlepiej za morza, do dalekich krajów, gdzie czekały przygoda i łupy do zdobycia.

– Ale za co właściwie pana przymknęli? Za przyjaźń z wrogami Dąbrowskiego? – Lux otrząsnął się z marzeń.

– Jenerał mnie nie lubi, jeszcze bardziej niż ja jego. Dąbrowski potrafi być mściwy i małostkowy, a wrogów niszczy bez skrupułów – westchnął Wierzbicki. – Kazał mnie przymknąć niby za karygodne łamanie regulaminów, a naprawdę za to, że wziąłem udział w intrygowaniu przeciw niemu. To ostrzeżenie i zachęta, bym zdecydował się złożyć dymisję i iść do diabła. Pewnie szykuje moje stanowisko dla któregoś ze swoich przydupasów albo synalka. Ledwie się szczeniakowi wąs sypnął, a już zrobił go kapitanem, teraz pewnie chce awansować gówniarza na majora, ale wszystkie stanowiska są chwilowo obsadzone.

Chłopak słuchał tego z zaskoczeniem. Nic nie wiedział o intrygach w kadrze oficerskiej i toczących ją sporach. Nie miał pojęcia, że w kantynie, przy partyjkach bilardu, w oparach alkoholu i fajkowym dymie, toczyły się nieustanne starcia polityczne, tworzyły się i rozpadały frakcje, a nawet zawiązywały spiski. Młody sierżant zaczął się zastanawiać, czy jego aresztowanie nie było związane z tymi rozgrywkami. Może Chłopicki zadarł z kimś ważniejszym i jego protegowani trafiali właśnie za kratki?

– Ciekawe, za co mnie wsadzili, bo jakoś nikt nie raczył mnie o tym powiadomić – mruknął do siebie.

Wierzbicki niespodziewanie klepnął go w plecy i uśmiechnął się szeroko.

– Wpakowali cię do aresztu na życzenie Francuzów. Ponoć kapitan strzelców konnych złożył na ciebie skargę. Utrudniałeś mu wykonywanie obowiązków i podburzałeś tłum do wystąpień przeciw Francji. To poważne oskarżenie, ale wszyscy wiedzą, że tylko próbowałeś ocalić naszego chłopca przed rozstrzelaniem. Posiedzisz tu jakiś czas, aż awantura przycichnie, i spokojnie wrócisz do służby.

– Albo trafię przed sąd polowy – mruknął Kazik.

– Ten areszt właśnie chroni cię przed sądem. Major Chłopicki kazał wsadzić cię do paki, by ocalić twoje dupsko przed Francuzami. – Major usiadł na swojej pryczy i wyciągnął się wygodnie. – Przechowają cię tu kilka dni, korzystaj więc z chwil wypoczynku. Mam parę książek, przestudiujemy sobie wspólnie prace teoretyków wojskowości, podszlifujemy francuski i włoski.

– Muszę powiadomić pewną damę o grożącym jej niebezpieczeństwie – jęknął młodzieniec.

– To nie wchodzi w grę. Korespondować nie możemy, generał na to nie pozwolił. Pewnie boi się, bym nie intrygował przeciw niemu z więzienia. Musisz mieć nadzieję, że twoja panna sama sobie poradzi. Ładna? Ach, pewnie, inaczej byś się tak nie przejął.

Lux usiadł ciężko na swoim łóżku i ściągnął buty. Zaczął rozwiązywać onuce, by korzystając z okazji, dać odpocząć nogom. Wyglądało na to, że rzeczywiście będzie musiał pogodzić się z losem.

– Dadzą nam coś do jedzenia? – spytał, przyglądając się swoim stopom.

– Wczoraj było risotto, to taki ryż ugotowany w rosole, z kawałkami wołowiny i włoskim serem. *Quello è buon gusto*^[35]! Na śniadanie przynoszą jedynie chleb i mleko, ale obiad robi rzymski kucharz. Uwięzionym oficerom dają to samo co kadrze dowodzącej zamkiem. Skąpią tylko wina, ale wczoraj dałem kilka soldów wartownikowi i dostałem całą butelkę. Czekają nas wspaniałe wakacje, Kaziu!

Lux odpowiedział uśmiechem. Optymizm Wierzbickiego był zaraźliwy.

27 prairiala VI roku ery republikańskiej (15 czerwca 1798 roku)



Po zmroku ulice szybko pustoszały i jedynym dźwiękiem niosącym się po rzymskich zaułkach był stukot podeszew wojskowych buciorów. Patrole legionistów, którym trafiły się nocne służby, przechadzały się niespiesznie, niezbyt chętnie zaglądając w zaułki i omijając ciemniejsze i węższe uliczki. Mimo że Polacy cieszyli się zaufaniem i sympatią mieszczan, nadal wielu rzymian pozostawało wrogo usposobionych wobec wszelkich republikańskich wojsk. W ciemności na głowy piechurów mogła spaść cegła lub wylać się wiadro śmierdzących pomyj.

Częste patrole rewidowały każdego spotkanego po zmroku przechodnia, sprawdzając, czy ten nie łamie surowego zakazu posiadania broni. Przy okazji samą obecnością przepędzały wszelkiego autoramentu rabusiów i złodziei, zgarniały także pijanych rozrabiaków wychodzących z karczm. Jeden z patrolowych plutonów zachowywał się jednak inaczej niż pozostałe, śmiało maszerował w najbardziej mroczne uliczki, stąpając przy tym cicho i tylko czasem odsłaniając latarenki z pełgającymi wewnątrz płomykami świeczek.

Starszy sierżant Rolewicz prowadził swoją bandę pewnie i bez strachu, jak przystało na zawodowego grasanta. Prócz tasaka u pasa nosił sztylet i nóż w cholewce buta, ponadto każdy z jego podwładnych był wyszkolonym i zaprawionym w boju zabijaką. Niczego zatem nie musieli się obawiać, to raczej spotkani papiści powinni drzeć przed nimi ze strachu.

Przemykając bocznymi i wąskimi uliczkami, rychło dotarli na tyły pałacu rodu Valenti. Rolewicz kazał żołnierzom ustawić muszkiety w kozioł, by nie zawadzały w robocie, i jako pierwszy przesadził kamienny murek otaczający posesję. Znalazł się w zaniedbanym ogrodzie, porośniętym na wpół uschniętymi krzakami i starymi agawami. Przycupnął, nasłuchując uważnie, ale wewnątrz budynku panowała całkowita cisza. W żadnym z okien nie paliło się światło, zatem mieszkańcy spali w najlepsze.

Po chwili do dowódcy dołączyli sierżant Majewski i kolejno pozostałe bandziory. Żaden nie pobrząkiwał uzbrojeniem, nie wydał też jakiegokolwiek dźwięku. Nie czekając na polecenia, zwinnie przemknęli pod ścianę budynku, dotarli do werandy i drzwi prowadzących z pałacu na ogród. Komosa odsłonił niesioną latarnię, by oświetlić Chudemu zamek u drzwi. Ten chwilę kręcił w nim zagiętym gwoździem, wystawiając język w grymasie skupienia. Zamek wreszcie trzasnął i drzwi się otworzyły.

Rolewicz wkroczył do środka z obnażonym sztyletem w ręku. Noże i sztylety pojawiły się

także w garściach pozostałych grasantów. Mieli przykazane, by w trakcie napadów nie używać wojskowych tasaków, mogących zostawić rany charakterystyczne dla ciężkiej wojskowej broni. Poszkodowani mieli wyglądać na zamordowanych przez zwykłych, miejscowych bandytów. W razie natknięcia się na kogoś śpiącego, ogłuszali go i wiązali, starszy sierżant nie życzył sobie niepotrzebnego rozlewu krwi.

Rozglądając się po pustym salonie, Rolewicz uśmiechał się do siebie. Prócz cennych łupów liczył na miłe spotkanie z piękną hrabiną, którą widział kiedyś na placu. Weźmie ją jako pierwszy, a gdy już porządnie się zabawi, pozwoli pohasać chłopcom. Potem, niestety, trzeba będzie uciszyć ją na wieki. Kazik na otarcie łez dostanie trochę lirów ze zdobytych łupów, co jeszcze bardziej zwiąże go z szefem bandy. Po tej nocy Lux będzie odpowiedzialny za współudział w napadzie, gwałcie i morderstwie. To przecież on wystawił grasantom panią Valenti. Uda się więc upiec dwie pieczenie na jednym ogniu – zdobyć łupy i ostro się zabawić, a ponadto uwikłać młodego sierżanta w śliską sprawę i na zawsze związać go z drużyną grabieżców.

– Niech to szlag, Komosa miał chyba rację – mruknął Majewski. – Lux nie kłamał, ten pałac jest ordynaryjnie pusty.

Sierżant wrócił właśnie z szybkiego rozpoznania po sąsiednich pomieszczeniach. Wszystkie sale i pokoiki zostały już wcześniej opróżnione, wyrwano nawet świeczniki ze ścian i ściągnięto kandelabry.

Przywódca rabusiów splunął ze złością na podłogę. A cóż to miało znaczyć? Przecież Lux przychodził do tej bogatej ladacznicy, a hrabina nie mogła wszak mieszkać w pustym pałacu, musiała gdzieś spać, w coś się ubierać. Z pewnością ma tu przynajmniej buduar, a w nim szkatułę z biżuterią. Bez tego żadna dama obyć się nie może.

– Komosa i Joachim ze mną na piętro – zakomenderował krótko. – Wy sprawdźcie dół i kuchnię. Gdzieś tu powinna mieć pokój służka, z którą widziano hrabinę. Możecie ujeździć pokojówkę. Potem zróbcie z nią to, co z każdym świadkiem.

Z radosnym chichotem Pryszczaty rzucił się na poszukiwania dziewczyny, a po chwili dołączyła do niego reszta. Rolewicz z dwoma drabami pomknął na górę, gdzie musiała znajdować się hrabiowska sypialnia. Z rosnącym niepokojem starszy sierżant rozglądał się po pustych korytarzach i zerkał do opróżnionych komnat. Wyglądały, jakby nikt nie wchodził do nich od miesiący. Wreszcie znalazł pokój z ogromnym łóżem ozdobionym baldachimem. Sypialnia była jednocześnie buduarem wyposażonym w szafę i zdobioną gotowalnię z owalnym lustrem.

Już w progu polski grasant zorientował się, że w łóżu nikt nie śpi. Materac był przykryty jedynie prześcieradłem, u wezłowania leżało kilka poduszek. Joachim dopadł szafy, a Komosa gotowalni.

– Pusto, zupełnie pusto – stwierdził Rolewicz. – Tu nikt nie mieszka.

Identyczną informację przyniósł z dołu Majewski. Nie znaleźli żadnej służącej ani jej

sypialni. Kuchnia była od dawna nieużywana, pozbawiono jej nawet szafek na naczynia. Z pieca wyrwano miedzianą blachę do gotowania, nikt od miesięcy z niej nie korzystał. Na kuchennym parapecie znaleźli tylko dwie filiżanki i kilka talerzyków oraz blaszany dzbanuszek do parzenia kawy. Majewski wręczył go zadumanemu hersztowi, który spojrzał na sierżanta ze złością i cisnął naczyniem o podłogę.

– Co to wszystko ma znaczyć? – warknął. – Kim jest ta dziwka udająca hrabinę?

Majewski rozłożył bezradnie ręce. Rolewicz bez słowa ruszył do wyjścia. Przez Luxa całkiem zmarnowali tę noc.

1 messidora VI roku ery republikańskiej (19 czerwca 1798 roku)



Kazika wypuszczono tego samego dnia co Wierzbickiego. Obaj wyszli z twierdzy we wspaniałych humorach, wypoczęci i zadowoleni z życia. Luxa tylko nieznacznie męczyła troska o Editę, ale major tyle razy go uspokajał, że młody sierżant przywykł już do myśli, że kochance nic złego stać się nie mogło. Powoli zatem szli przez miasto, a podczas przechadzki Wierzbicki namawiał młodszego kolegę, by ten koniecznie stawił się w Instytucie Wojskowym, bo ponoć w tym tygodniu miał pojawić się w mieście legendarny kapitan z Drugiego Legionu, weteran i zabijaka, Jakub Bogusławski, zwany Piekielnikiem. Już od dawna obiecywał, że da młodym oficerom kilka lekcji szermierki. Uczenie się od wojaka, który własnoręcznie zaszlachtował kilkadziesiąt osób, było zdecydowanie innym doświadczeniem niż czytanie starych traktatów o walce białą bronią. Lux obiecał, że się pojawi, i pożegnał się ze swoim dawnym dowódcą.

Pognał do koszar, gdzie udało mu się zastać kapitana swojej kompanii, Antoniego Bilinga. Młody oficer przywitał sierżanta serdecznie i z uśmiechem, a potem pogratulował mu wzorowej postawy w sporze z Francuzami. W nagrodę za to, że dla dobra Legionu, a do tego dzielnie i bez słowa skargi przesiedział w ciemnym lochu ponad tydzień, dał mu dwa dni wolnego i kazał iść odpocząć. Warszawiak miał na końcu języka wyznanie, że nie siedział w lochu, a w bardzo przyzwoitej celi z widokiem na miasto, w dodatku karmiono go najlepiej, odkąd pamiętał, ale stwierdził, że nie ma co przesadzać ze szczerością. Skoro dowódca twierdzi, że ucierpiał i należy mu się nagroda, niechaj tak będzie.

W klasztorze zastał jedynie Biernackiego, który dopiero wrócił z lazaretu po ciężkiej biegunce, a do tego trzech innych legionistów, również świeżo wypuszczonych ze szpitala. Pozostała część wojska albo pełniła służbę w mieście, albo uczestniczyła w codziennych manewrach w parku. Korzystając z okazji, że nigdzie w pobliżu nie ma Rolewicza, Kazik kazał czterem piechurom zabrać broń i towarzyszyć sobie w ważnej misji. Lwowiak był rozczarowany, że nie dane mu będzie pobyczyć się na pryczy, ale posłusznie zabrał się do wykonania rozkazu i nawet poganiał pozostałych trzech rekonwalescentów.

Z klasztoru San Francesco Romana do Kapitolu mieli niedaleko i na miejsce dotarli po kilku minutach marszu. Lux zatrzymał się przed jednym z pałaców – jak większość tego typu rzymskich budowli przytłaczającego rozmiarami, licznymi zdobieniami i kolumnami zdobiącymi fasadę. Sierżant załomotał do drzwi i gdy pojawił się w nich służący, zażądał

natychmiastowego widzenia z konsulem Angeluccim. Lokaj kazał im czekać i znikł w głębi budynku.

– Załóżcie bagnety – rozkazał Kazik. – Możliwe, że trzeba będzie pewnemu jegomościowi napędzić stracha.

Okazało się, że konsul jest gotów poświęcić parę minut podoficerowi dzielnej polskiej armii, więc żołnierze zostali wprowadzeni do środka. Lokaj jednak stanowczo kazał pozostać eskortie przy drzwiach i dalej poprowadził samego dowódcę patrolu. Lux poczuł się pewniej, gdy pomyślał, że wysoko postawiony urzędnik boi się odmówić jakiemuś podoficerowi i ze strachu przyjmuje go bez gadania. Już układał sobie w głowie groźby, którymi zasypie oficjela.

„Jeszcze dziś, kochana, zdobędę dla ciebie tę szablę. – Uśmiechnął się do swoich myśli. – A jutro oddam ją Chłopickiemu, za co ten przyjmie mnie do łoży masońskiej. Potem zostanie już tylko zbieranie profitów”.

Wyobrażał sobie, że Angelucci przyjmie go w swoim gabinecie, pełnym przepychu i zbytków, równie bogato wyposażonym jak cały pałac. Służący wszakże zaprowadził Kazika do holu, w którym pod ścianami ustawiono proste ławy. Siedziało na nich kilku ubogich mieszczan, w tym jeden zasuszony staruszek wyglądający na proszalnego dziada i obdarty żebrak o ręce zawiniętej w szmatę przesiąkniętą krwią. Zanim sierżant zdążył się zdziwić ich widokiem, został wprowadzony do gabinetu.

W środku znajdował się stół z porozkładanymi błyszczącymi narzędziami chirurgicznymi i miską, w której moczyły się szmaty. Na półkach błyszczały w słońcu buteleczki i flakoniki, a wokół roztaczał się apteczny zapach ziół i chemikaliów. Angelucci, posiwiały, wysoki mężczyzna w surducie, smarował właśnie maścią poparzoną rękę pulchnej kobiety w średnim wieku. Zerknął na Polaka przelotnie i wrócił do zabiegu. Lux ze zdumieniem zorientował się, że konsul rzymskiego senatu jest lekarzem i to czynnie prowadzącym praktykę. W jednej chwili domyślił się, że republikański parlament został wybrany spośród zwykłych mieszczan, a nie arystokratów. Medyk tylko zajął pałac należący do jakiegoś wygnanego księcia lub biskupa i robił w nim to, co dotychczas, czyli przyjmował pacjentów.

– Przeprowadziliście rannego, oficerze? – zapytał gospodarz, nawet nie patrząc na przybyłego. – Myślałem, że wojsko ma swoich medyków?

– Ja nie w tej sprawie, konsulu. Przyszedłem odebrać własność należącą do Polaków.

– Ode mnie? Nie mam nic należącego do was. – Urzędnik zerknął na Luxa niepewnie.

– Ponoć odebraliście papistom szablę, którą przed wiekami król Sobieski przekazał Ojcu Świętemu – powiedział Kazik z nietęgą miną.

– Ach, chodzi o ten stary miecz! Tak, pamiętam. Przejęliśmy skarbiec zostawiony przez papieża, znaczy wszystko, czego nie zabrali Francuzi. Niestety, wiele tego nie było. Ani lira, mówiąc wprost, tylko kilka starych pamiątek, jakieś bezwartościowe bibeloty i ta niepozornie wyglądająca broń.

– Czy mógłbym ją odebrać? Ma dla nas ogromną wartość sentymentalną.

– Wiem, wiem. Chcieliśmy zrobić niespodziankę generałowi Dąbrowskiemu i podarować mu ją z okazji rocznicy zdobycia Bastylia. – Lekarz zakończył zabieg i zaczął tłumaczyć pacjentce, jak ma dbać o ranę.

Młodzieniec zaczął się wiercić niespokojnie, ale nie przerywał doktorowi. Wreszcie kobieta wyszła, a sierżant został nagrodzony uwagą konsula. Angelucci spokojnie wycierał ręce w brudną szmatę, przyglądając się młodzieńcowi.

– Święto Francuzów jest dopiero za tydzień i po prawdzie niewiele dla nas znaczy. Chcemy, by broń jak najszybciej trafiła w nasze ręce. Czy mogę otrzymać ją od razu?

– Ależ to niemożliwe. – Medyk wzruszył ramionami. – Znajduje się w skarbcu, a ja nie mogę niczego z niego wyjmować bez zgody senatu. Skoro jednak tak bardzo zależy wam na pośpiechu...

– Tak? – W Kazika wstąpiła nadzieja.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by jutro zyskać konsensus co do przekazania tej pamiątki i jak najszybciej wręczyć ją Dąbrowskiemu. A teraz przepraszam, bo czeka jeszcze kilkoro chorych i muszę uwinąć się z nimi przez zachodem słońca.

Złapał żołnierza pod ramię i grzecznie, choć stanowczo wyprowadził go za drzwi. Chłopak znalazł się na zewnątrz, zmieszany i zły. Zabrał czekających na niego piechurów i odprowadził ich z powrotem do koszar. Potem sam wymknął się z klasztoru i niesiony tęsknotą, pomknął jak na skrzydłach do pałacyku rodu Valenti. Kupił po drodze trochę ciętych kwiatów i zastukał kołatką w drzwi. Odpowiedziała mu cisza.

3 messidora VI roku ery republikańskiej (21 czerwca 1798 roku)



Twoja hrabina robi cię w konia – oznajmił Rolewicz.

Kazik spojrzał spode łba na starszego sierżanta. Zbierał się właśnie do wyjścia z kwatery, zamierzał udać się na wykład do Instytutu. Szczotkował w pośpiechu mundur, by nie wyjść przy oficerach na ostatniego łajzę. Miał nadzieję nie spotkać przełożonego przed wyjściem, ale ten najwidoczniej z własnej inicjatywy przyszedł tu za nim.

– Byliśmy u niej kilka dni temu. Nocą – dodał starszy sierżant.

Lux aż zatrząsł się ze zgrozy. Upuścił szczotkę i odwrócił się gwałtownie do bandziora.

– Nie bój się, nic jej się nie stało. Nie zastaliśmy cholery, śladu po niej nie było. Pałac jest całkiem opustoszały, nikt w nim nie mieszka – kontynuował Rolewicz. – Znaczy, twoja dzierlatka tylko udaje wielką damę, przyjmując cię na pokojach. Tak naprawdę nie ma grosza przy duszy. Pewnie jest starzejącą się dziwką, która próbuje chwycić na haczyk takiego przystojniaczka jak ty. Może myśli, że będziesz akuratną partią? Szlachcic, dobrze ułożony i z perspektywami...

– Co też pan opowiada – mruknął chłopak. – Pani Valenti często wyjeżdża do swojej chorującej ciotki, którą się opiekuje. Staruszka mieszka w małej posiadłości pod Rzymem i tyle. Pałac Editty jest pusty, bo złupili go Francuzi, nie ma w tym żadnej tajemnicy.

– Znaczy radzisz, byśmy powtórzyli odwiedziny, kiedy hrabina wróci? – Przywódca łupieżców uśmiechnął się krzywo.

Kazik złapał za rękojeść tasaka, ale w porę się pohamował.

– Nalegam, by raczył pan dać jej spokój – wycedził, gotując się z wściekłości i strachu jednocześnie. – Nic na niej nie zarobicie, bo jest osobą bardzo skromną, a jak wspomniałem, została już ograbiona.

– Jednym słowem, włoscy arystokraci to gołodupcy – westchnął grasant. – Żabojady obrobili ich do czysta, dla nas nic nie zostało. Dobra, możesz sobie używać z tą niby-hrabinią, ile dusza zapragnie, niech ci będzie. Nie tkniemy jej. Ostrzegam cię jednak, że to oszustka. Wyczuwam takie dziwki na odległość. Wykorzystuje naiwnego szczeniaka, może wpakować cię w sakramenckie kłopoty. Kopnij ją w dupsko, dobrze ci radzę.

– Cóżes się pan nagle zrobił taki troskliwy? – warknął młodzieniec.

– Bo mi na tobie zależy, Kaziu. – Rolewicz pokręcił głową. – Popatrz, nawet nie

rozkwasiłem ci gęby, choć podnosisz na mnie głos. Taki jestem dziś dobry. Rękę do ciebie wyciągam. Przyłącz się do mojej drużyny, a będę się tobą opiekował niczym rodzony ojciec.

– Poszerza pan wpływy? Chce przerobić kompanię na bandę zbójników? Bóg zapłać, ale nie piszę się na to. Robię dla was rachunki, ale nie przyłożę ręki do napadów i kradzieży.

– Nawet w zbożnym celu? – zdumiał się starszy podoficer. – Większość zysków przeznaczam na pomoc braciom żołnierzom i ich rodzinom, wiesz przecież.

Chłopak machnął ręką i ruszył do drzwi. Skulił się odruchowo w oczekiwaniu na cios lub kopniaka, do których już zaczynał się przyzwyczajać. Tym razem jednak Rolewicz chyba rzeczywiście miał dobry humor.

– Jak sobie chcesz, ale pamiętaj, że możesz na mnie liczyć. Gdy wpakujesz się w jaką kabałę, pomogę.

– Jasne – mruknął Kazik i opuścił celę.

Na wszelki wypadek zbiegł czym prędzej po schodach. Nie chciał ryzykować, że starszy sierżant nagle zmieni zdanie i rozmowa skończy się tradycyjną awanturą. Pomaszerował różnym krokiem w stronę Kapitolu. Dzisiejszy wykład miał zaszczyścić swoją osobą kapitan Bogusławski, w związku z tym zajęcia przeniesiono na wewnętrzny dziedziniec pałacu Senatorskiego. By się do niego dostać, chłopak musiał zameldować się dowódcy warty i oczekiwać na pozwolenie. Kiedy wreszcie udało mu się wejść do środka, wszyscy oficerowie już czekali.

Zasalutował im z daleka, do nikogo konkretnego, tylko ogólnie, regulaminowo strzelił też obcasami, na co nikt zresztą nie zwrócił uwagi. Nie był jedynym podoficerem uczęszczającym do wojskowej uczelni, tego zaszczytu dostąpiło jeszcze dwóch sierżantów z kompanii strzelców i jeden grenadier. Wszyscy zebrani, niezależnie od szarży, byli ludźmi bardzo młodymi, najstarszy z nich nie miał nawet dwudziestu sześciu lat. Lux ukłonił się grzecznie majorowi Wierzbickiemu i kapitanowi Bilingowi, czyli swoim dowódcom – dawnemu i obecnemu. Obaj podali mu rękę jak równemu sobie.

Warszawiak musiał przyznać, że dobrze się czuje w ich towarzystwie. W przeciwieństwie do prostych legionistów ci dwaj byli kulturalni i doskonale wykształceni. Mógł z nimi porozmawiać na tematy, o których chłopcy z plutonu nie mieli bladego pojęcia. Przygarnęli go jak swojego i zaprosili do rozmowy w oczekiwaniu na przybycie niezwyklego wykładowcy. Ku zaskoczeniu Kazika okazało się, że dwaj intelektualiści, kwiat Legionu i odrodzonej polskiej armii, rozmawiają jednak o tym samym co chłopaki z szeregów, czyli o urokach włoskich niewiast. Wierzbicki bez żenady opowiadał o cycuszkach swojej rzymskiej przyjaciółki, niejkiej Camilli, córki kaletnika i senatora w jednej osobie. Biling chwalił natomiast posągowe uda i biały jak najszlachetniejszy marmur tyłeczek bogini, którą widział w osobie Giuseppiny, siostrzenicy członka magistratu, poznanej w czasie prośzonej kolacji u oficjalisty. Lux zauważył, że obaj używają co prawda bardziej gładkiego języka niż chłopcy z plutonu i nie szczędzą literackich porównań nawiązujących do klasyki, ale tak samo jak

u prostych legionistów ich ulubionym tematem rozmów są dziewczynki.

Nie zdążył dołączyć się do rozmowy, a chciał pochwalić się poznaniem tajników *ars amandi*, na wieść o których obaj oficerowie z pewnością zrobiliby wielkie oczy, bo właśnie na dziedziniec wkroczył oczekiwany z takim niepokojem kapitan Bogusławski.

O Piekielniku słyszał każdy legionista. Szlachcic z Litwy zaczynał karierę jako dragon króla Stanisława, a potem bił się pod rozkazami Naczelnika. Osiągnął mistrzostwo w sztuce posługiwania się bronią, co w połączeniu z wybuchowym charakterem czyniło z niego niezwykle groźnego rębajłę. W Legionach zasłynął jako śmiertelnie niebezpieczny pojedykowiec i nieprzejednany obrońca honoru Polaków. Legendą stała się jego przygoda, kiedy czterech francuskich oficerów postanowiło zabawić się w karczmie, rzucając w kapitana kulkami chleba. Wyzwał wszystkich na pojedynek. Pierwszych trzech zabił, a ostatniego, który z płaczem błagał o litość, tylko okaleczył, jednym strzałem z pistoletu dziurawiąc mu oba kolana.

Kazik spojrział ponad głowami oficerów na wchodzącego na dziedziniec i z trudem powstrzymał jęk rozczarowania. Wyobrażał sobie Piekielnika jako wielkiego draba, zdolnego zawijać hufnale wokół palców albo ukręcać łby bykom, jednak zamiast olbrzyma zbliżał się ku zgromadzonym niepozorny jegomość, mogący zmieścić się Luxowi pod pachą. Bogusławski był czterdziestolatkiem z rzadkimi włosami i komicznym wąsikiem, do tego ubranym po cywilnemu, w zwykłą koszulę. Pod pachą targał spore zawiniątko, z którego wystawały rękojeści drewnianych i prawdziwych szabel. Rzucił tobole na ziemię i mrugając w nerwowym tiku, spojrział na młodzieńców.

Nic dziwnego, że ciągle musiał się pojedykować, bo sprawiał wrażenie śmiesznego fajtlapy, który aż prosi się o kopniaka w tyłek. Warszawiak patrzył na niego z niedowierzaniem, niepewny, czy to naprawdę ów słynny zabijaka. Dopiero gdy spojrzenie Bogusławskiego spoczęło bezpośrednio na nim, uwierzył, że ma do czynienia z Piekielnikiem. Szare oczy przeszyły go lodowatym, budzącym grozę spojrzeniem. Spojrzeniem zawodowego zabójcy.

Kapitan chrząknął, a potem się przedstawił. Mówił początkowo niepewnie, jakby speszony liczną widownią, ale szybko się ośmielił i gestykułując, zaczął przechadzać się przed szeregiem słuchaczy. Opowiadał o różnych technikach szermierczych i sposobach walki białą bronią, z którymi miał do czynienia. Spytał, czy również w Pierwszym Legionie jest popularna szkoła mediolańska, a gdy usłyszał potwierdzenie, ze smutkiem pokiwał głową.

– Rozumiem, że wy, młodzi, uczycie się wojennego rzemiosła na obczyźnie i korzystacie z dostępnej tutaj wiedzy. Włoska szermierka dopiero odradza się po długich latach niebytu i ponoć z roku na rok zyskuje na wartości. Hm, może i jest ciekawa, ale uwierzcie, że daleko jej do polskiej szkoły walki – powiedział.

– Walki szablą – śmiało wtrącił kapitan Laskowski, wysoki chudzielec o wesołym usposobieniu. – Bo polska szermierka obejmuje tylko szablę, nie zna popularnej na Zachodzie szpady.

– Wiem, że żabojady namawiają was do przejścia na szpadę. – Bogusławski pokiwał głową. – Ponoć nawet przysłali wam nauczyciela. Jeśli chcecie, proszę bardzo, bawcie się w dżganie szpilkami jak upudrowali perukarze albo inne pludry i harcapy^[36]. Nie będę wam zatem mieszał w głowach, zabieram się i wracam do swoich.

Schylił się po przyniesione szable, ale Laskowski jako pierwszy rzucił się, by go powstrzymać. Klęknął przed Piekielnikiem i zaczął błagać o przebaczenie. Wtórował mu cały chór zawiedzionych głosów, którym gość, rzecz jasna, uległ.

Sięgnął do zawiniątka i wyciągnął z niego długą, ciężką szablę. Wzniósł ostrze, by zaprezentować je słuchaczom.

– Chcecie wiedzieć, dlaczego wolę szablę od szpady? – rzucił zaczepnie. – Polska szabla przez wieki ewoluowała i to w niezwykle ciekawy sposób, bo na terenie Rzeczypospolitej ścierały się wpływy zachodnioeuropejskie z azjatyckimi. Nasi przodkowie bili się zarówno z Niemcami, jak i z Tatarami czy Turkami. Musieli dostosować broń i technikę boju do walki z jednymi i drugimi. Z biegiem lat powstawały różne rodzaje polskiej szabli – zygmunówki, batorówki, węgierki, karabele, ormianki, kościuszkówki, z łańcuszkiem, z krzyżykiem, z furdymmentem, multany, czeczugi i indyczki. Z największą dumą Polacy jednak zawsze szczylicili się szablami husarskimi – z zamkniętą rękojeścią i paluchem. Taką właśnie szablę mam w dłoni. – Oficerowie poruszyli się, każdy chciał z bliska obejrzeć słynną broń. – To najlepsza szabla na świecie, łączy w sobie cechy broni zarówno zachodnioeuropejskiej, jak i orientalnej. Dobrze robiący taką szablą Polak potrafi poradzić sobie zarówno z osmańskim mistrzem szabli, jak i z angielskim szpadzistą.

– Pokonał pan dziesiątki przeciwników tym ciężkim żelastwem – znów odezwał się Laskowski. – Sukces osiąga pan, stosując siłę, szybkość czy fechtując z wykorzystaniem jakichś specjalnych staropolskich tajników, sztychów i parad?

– Owszem, istnieją polskie cięcia, ale wcale nie są tajne, kiedyś każdego szlachciurę uczono cięcia Rejowskiego czy referendarskiego. Dobrze by było, abyście i wy je, panowie, poznali, zaraz zresztą poćwiczymy. Ponoć Polacy najbardziej w składaniu się szablą lubią machać na krzyż, znaczy stosują błyskawicznie następujące po sobie cięcia, od lewego boku po skosie i natychmiast od prawego, o tak. – Szabla Piekielnika błysnęła, odbijając słońce, i ze świstem zatoczyła skośny krzyż. – Wykonane szybko i z wprawą może być bardzo skuteczne. Osobiście wolę natarcia zwodzone i coś, za co kocham polską szablę: łukowe cięcie z nadgarstka, które doskonale się tą bronią wykonuje. W ten sposób.

Wyprostowana ręka kapitana niemal się nie poruszyła, drgnął tylko nadgarstek, ale ostrze zatoczyło błyskawiczny okrąg i spadło na głowę niewidocznego przeciwnika.

– Potrzebuję manekina do zademonstrowania natarć – mruknął Bogusławski i omiół wzrokiem zgromadzony tłumek. Jego spojrzenie zatrzymało się na Kaziku. – Ty! Duży i chudy. Nadasz się w sam raz. Nie bójcie się, sierzancie, wystąpcie śmiało.

Lux chrząknął, markując zaskoczenie i zmieszanie, po czym zatrzymał się naprzeciw

Piekielnika. Poczłł się niepewnie, gdy tak stał przez rębajłł, ale ten potraktował go zupełnie bezosobowo, demonstrujłł na nim kierunek cięć rozróznianych w polskiej szkole szermierczej.

– Podstawa to cięcia głęboke albo, inaczej mówiąc, rdzenne – oznajmił kapitan i skierował ostrze w czoło chłopaka. – Wbrew!

– Wpion! – Ostrze szabli błysnęło i dotknęło krocza Luxa.

– Odlew! Wręb! – Ciosy spadły po skosie kolejno na prawy i lewy bark sierżanta.

– Włęg! Wpierś! – Pacnięcia doszły prostopadle w żebra z dwóch stron.

– Podlew! Nyżkiem! – Cięcia pomknęły od dołu, pod żebra młodzieńca.

Kolejne były ciosy z boków na twarz i na uda. Kazik stwierdził, że prócz nazewnictwa niczym się nie różnią od cięć mediolańskiej szkoły walki, którą miał okazję nieco liznąć.

– Pytacie, w jaki sposób wygrałem w tylu pojedynkach? – Piekielnik uśmiechnął się do oficerów. – Pokazane przed chwilą ciosy stosuję, by zakończyć starcie, zabić przeciwnika. Ale kluczem do sukcesu nie jest żadne z cięć rdzennych ani ich kombinacja. Zwycięstwo osiąga się, pozbawiając wroga możliwości obrony poprzez atak na jego rękę. To cała tajemnica. Wpierw skaleczyć drania, by nie mógł ani się bronić, ani atakować, a potem dokończyć głębokim cięciem.

Spojrzał na Kazika i skinął mu głową.

– Wyciągnij tasak i unieś go do obrony – rozkazał.

Luxa załłła fala gorąca, czuł, jak na policzki wypływa mu rumieniec wstydu. Jęknął bezradnie, gdyż nie miał pojęcia, jak wybrnąć z niewygodnej sytuacji.

– Rusz się, chłopcze – mruknął kapitan i zmroził go ponaglającym spojrzeniem.

Chłopak z westchnieniem sięgnął do pasa i wyciągnął rękojeść tasaka z ułamanym w połowie ostrzem. Pierwszy wybuchnął śmiechem Laskowski, po chwili dołączyli do niego kolejni młodzieńcy. Wierzbicki pokręcił z naganą głową, a kapitan Biling zrobił się czerwony ze złości, sierżant był wszak jego podwładnym i hańba poniekąd spadała też na niego.

– Przydarzył mi się niefortunny wypadek i uszkodziłem broń – mruknął czerwony ze wstydu warszawiak.

– Gdzieżeś wetknął to ostrze, hę? – Bogusławski nie sprawiał wrażenia rozbawionego. – Przy okazji, panowie, zobaczcie, jak słabej jakości białą broń dostają nasi piechurzy. Stal bardzo poóledniego gatunku, niedostatecznie nawęglona, a przez to krucha i mało giętka. Nie nadaje się do szermierki, wystarczy skrzyżować ją z lepszym ostrzem i pęka niczym szkło. Do tego włoski tasak, przez konstrukcję rękojeści i proste ostrze, może posłużyć jedynie do zadawania cięć zamachowych z łokcia lub ramienia. Wykluczona jest jakakolwiek finezja, praca nadgarstkiem i zwody. To broń rzeźników, do rąbania mięsa. Musisz, chłopcze, wystarać się o porządną szablę, a to, póki co, nada się nam do lekcji.

Kazik uniósł więc rękojeść z ułomkiem ostrza, a Piekielnik zademonstrował na nim serię

ciosów kluczowych do rozstrzygnięcia pojedynku, mierzących w dłoń przeciwnika. Znow padły polskie, ale egzotyczne dla większości młodzieńców określenia: wkiść, wręcz, wlew, włącz. Potem Luxowi została oszczędzona hańba i Bogusławski polecił mu schować tasak, za to podnieść drewnianą szablę ćwiczebną, zwaną palcatem. Sam również taką ujął, a oficerom kazał podzielić się na pary i wyciągnąć własną broń. Młodzieńcy dobyli oręża i dwójkami otoczyli nauczyciela.

Piekielnik demonstrował kolejno zasłony statyczne i natarcia, szczególny nacisk kładąc na swoje ulubione, zwane bezpośrednim. Polegało ono na szybkim wyprostowaniu ręki, połączonym ze zrobieniem dźwigni z nadgarstka i kciuka. Niestety, nie wszystkie szable nadawały się do tego rodzaju ataku, natomiast polska broń została stworzona właśnie z myślą o nim. Takie natarcie było niezwykle szybkie, zadawało się je bez zamachu, a spadało na przeciwnika niczym uderzenie pioruna. Kazikowi pięć razy z rzędu nie udało się go sparować i obrywał palcatem w czoło, aż zaczęło mu huczeć w czaszce, a łzy pociekły po policzkach. Tej lekcji miał nie zapomnieć do końca życia, ale dzięki niej znacznie wydłużył swoje dni na tym świecie.

Potem przyszła kolej na cięcia zamachowe, łukowe i krojące, młyńce i sztychy. Tych ostatnich kapitan radził unikać w otwartej bitwie, bowiem ostrze mogło uwięznąć między żebrami przeciwnika. Lux, kiedy otrząsnął się z oszołomienia, wpadł w zachwyt nad natarciami zwodzonymi, w których ostrze docierało do zasłony przeciwnika i zanim w nie uderzyło, zmieniał kierunek, spadając na nieosłoniętą część ciała. Ćwiczył je z taką pasją i energią, aż Bogusławski, opędzający się przed jego atakami niczym od natrętnej muchy, nagroził go lekkim uśmiechem.

Zdecydowanie trudniejsze okazały się wiązania broni przeciwnika, podbijanie jej i uniki. Szczególnie uniki, połączone z jednoczesnym atakiem, wymagały wielu żmudnych ćwiczeń i ogromnego doświadczenia, którego rzecz jasna nie dało się zdobyć podczas jednej lekcji. Na żebra młodzieńca posypał się zatem grad ciosów, ale tym razem zadawanych przez Piekielnika nieco lżej. Widocznie sierżant zaskarbił sobie jego uznanie zacięciem i zaangażowaniem.

Największą sztuką, która znow przyciągnęła uwagę wszystkich ćwiczących, było przeciw-tempo i obrona przed nim. Stosowano je, gdy adwersarz brał zbyt szeroki zamach lub poruszał się za wolno, a polegało na ugodzeniu go, zanim dokończy atak. Szablistom zalecało się stosowanie przeciw-tempa do bicia w rękę wroga ze wszystkich kierunków, musieli też nauczyć się obrony przed nim, bo szpadziści wykorzystywali je jako najlepszą metodę na szablistów. Bogusławski kazał im ćwiczyć je codziennie, razem z całymi sekwencjami natarć i zasłon.

Wreszcie lekcja się skończyła, choć nie dla oficerów. Kapitan kazał im powtarzać, czego się nauczyli, bo następnego dnia każdego przeegzaminuje i nie będzie żałował palcata. Kazik ledwie wykrzeszał z siebie siłę, by powłóczyć nogami. Bolały go obite żebra, a na głowie miał ponabijane guzy. Dysząc ciężko, ukłonił się grzecznie Piekielnikowi i podziękował mu za lekcję, a ten łaskawie zwolnił go z dalszego treningu, bo i tak nie było dla niego pary.

Lux ofiarował się ponieść jego szable, na co oficer skwapliwie przystał. Po chwili obaj opuścili dziedziniec i skierowali kroki do kwatery Bogusławskiego. Kapitan, wyraźnie pobudzony możliwością dzielenia się z młodzieżą swoimi umiejętnościami, pokazał jeszcze warszawiakowi, jak ma poprawić chwyt rękojeści i jak ustrzec się przed upuszczeniem broni. Spytał go nawet łaskawie, czego jeszcze chciałby się dowiedzieć.

– Nie wie pan, czy generał Dąbrowski dostał od rzymskiego senatu pewną szablę? – nieśmiało spytał sierżant.

– Tak, wczoraj. Byłem tego świadkiem. Rzymski konsul przekazał mi ją osobiście. – Oficer pokiwał głową. – Cudowna broń, piękna robota. Widać, że nosił ją król wojownik. Ciekawi cię ta szabla?

– Pewno – bąknął Lux niepewnie, rozczarowany, że wszystko stracone i nie dane mu było wykazać się jej zdobyciem ani przed Chłopickim, ani przed Edittą. Przepadła zatem szansa na dostanie się w szeregi masonów i okazja, by spełnić zachciankę kochanki. Wyjdzie na nieudacznika zarówno przed majorem, jak i hrabiną.

– To karabela – oznajmił Piekielnik, nieświadom rozterek sierżanta. – Z arabskiego znaczy to tyle, co „atakować w imię Boga”. Domyślasz się zatem, że polscy płatnerze stworzyli je na podstawie wzorców tureckich. Dopieścili jednak tę broń i polska karabela bojowa jest najlepsza ze wszystkich. Rękojeść ma zwykle w kształcie głowy ptaka, a karabela Sobieskiego – oczywiście orła. Doskonale leży w ręku, a gdy ją weźmiesz w garść, czujesz, jakby stawała się przedłużeniem ciała. Nie ma kosza, a jelec zwykle krótki, czasem nawet zagięty ku ostrzu, ale to bez znaczenia. Przez rękojeść jest doskonała do cięć łukowych z nadgarstka, można więc robić nią cuda, jak się patrzy. Karabele należące do królów zwykle były ozdobne, ale że tę Sobieski zabierał na wyprawy wojenne, wykuto ją tak, by przede wszystkim sprawdzała się w boju. Choć posiada też cechy broni paradnej. Ma również w sobie coś niezwykłego, a mianowicie wydrążoną wewnątrz ostrza komorę, w której pływa żywe srebro. Gdy zamachniesz się tą szablą, płynny metal przelewa się i zmienia środek ciężkości, ku pióru, dzięki czemu ostrze spada z ogromną siłą. Prawdziwe cacko, mówię ci.

Kazik przytakiwał, kiwając głową, ale miał te rewelacje głęboko w nosie.

– Szkoda tylko, że broń jest niekompletna, właściwie Dąbrowski dostał sam brzeszczot. Znikła gdzieś piękna pochwa i wspaniała rękojeść. Generał od razu odesłał szablę do zbrojmistrza, by dorobiono brakujące części. Będzie to nas nieco kosztowało, bo wypada, by rękojeść była złocona, godna królewskiej szabli.

Sierżant drgnął, gdy dotarła do niego ta informacja. Nie wiedział jeszcze w jaki sposób, ale mogła okazać się istotna.

– Odesłano ją do płatnerza czy do złotnika? – spytał.

– Zbrojmistrz przekazał ją złotnikowi, bo napraw nie wymaga, jedynie zdobień. Zdaje się, że chodziło o rzemieślnika, który jest członkiem senatu. Jak mu tam? Pagani? Ponoć to słynny jubiler.

Warszawiak pokiwał głową, starając się zapamiętać nazwisko. Po dojściu do kwater odmeldował się i wrócił na dziedziniec. Oficerowie nadal ćwiczyli, choć doszło do sprzeczki i dwóch poruczników ruszyło na siebie z pięściami. Jeden z nich okazał się piszczącym falsetem porucznikiem Turkiewiczem. Część młodzieńców chciała kibicować bójce, część próbowała rozdzielić walczących. Panował harmider i zamieszanie. Kazik, obserwując awanturę, z rozbawieniem stwierdził, że ćwiczenia kadry niezbyt różnią się od ćwiczeń zwykłych piechurów. Potem dołączył do ogólnego zamieszania.

13 messidora VI roku ery republikańskiej

(1 lipca 1798 roku)



Niedzielną mszę odprawiono w samo południe, a wiernych wezwało na nią długie i donośne bicie dzwonów. Potężny dźwięk przetoczył się po wzgórzach departamentu Circeo, dotarł aż do Forsinone. Wzbudził tam popłoch wśród nielicznej republikańskiej załogi pilnującej ratusza i wiernych Francji merów miasta, bowiem od dawna kościelne dzwony służyły niezadowolonym Włochom do zwoływania się, kiedy trzeba było chwycić za broń. To, że ksiądz z kościoła w Ferentino kazał tak długo ciągnąć za wszystkie trzy sznury dzwonów na wieży, było okazaniem buty i jawną prowokacją, znakiem, że nie boi się republikańskich żołnierzy. Pozbawione francuskiego wsparcia oddziały młodej Republiki Rzymskiej zamiast wyruszyć, by rozpedzić nielegalne zgromadzenie buntowników, przestraszone zamknęły się za bramami miasta.

Stojący przed kościołem, w cieniu starego buka, oficer armii neapolitańskiej, pułkownik Cimone, patrzył z uśmiechem na tłum wiernych, który nie zmieścił się w świątyni i rozlał po całej okolicy. Papistów nieustannie przybywało, ciągnęli pylistymi drogami, szli na przełaj przez lasy i nieużytki porośnięte suchymi, kolczastymi krzewami. Chłopi z okolicznych wiosek i uciekinierzy, którzy ukrywali się przed republikanami po lasach, schodzili się ze wszystkich stron, przyciągani biciem dzwonów niczym ćmy światłem ogniska.

Cimone'a cieszył ten śmiały pokaz siły i pewności siebie. Przyjął podany przez kapitana Fontanę kubek białego, chłodnego wina i z przyjemnością pociągnął tęgi łyk. Zdjął z głowy trójrozny, zielony kapelusz z piórem i zaczął się nim wachlować. Rozpoczęły się lipcowe upały, które dodatkowo dadzą w kość Francuzom, plugawiącym swą obecnością italską ziemię.

Ze świątyni wyszła procesja, prowadzona przez kościelnego z krzyżem w dłoniach. Za nim kroczyli ministranci, energicznie potrząsając dzwonkami. Najstarszy z nich niósł aspersionum i kadzielnicę. Ksiądz szedł dumnie, z podniesioną głową, a jego oblicze jaśniało powagą i siłą. Zatrzymał się przed oczekującym go mężczyzną w cywilnej kamizelce, ale za to w wojskowych butach do konnej jazdy i z szablą u pasa. Generał La Hoz ukłonił się klerykowi, a zgromadzeni za nim buntownicy uklękli i pochyłili głowy. Duchowny pobłogosławił oficera i namaścił jego czoło znakiem krzyża. Potem buntownicy rozwinęli przyniesione sztandary, a ksiądz kolejno skropił je wodą świeconą, przy czym głośno odmawiał modły. Kiedy powstańcy rozwinęli chorągwie i oczom zebranych ukazały się

wyhaftowane na nich krzyże i postaci Matki Boskiej, cały tłum runął na kolana, a wiele kobiet wybuchło płaczem ze wzruszenia. Pułkownik Cimone opróżnił kubek i uśmiechnął się do kapitana Fontany. Doskonale! Mieszkańców mieli po swojej stronie, oddanych ciałem i duszą. Nie mogli zatem przegrać.

– Irytuje mnie ten La Hoz – oznajmił po dłuższej chwili przyglądania się generałowi, który jako jedyny nie ukląkł, a stał dumnie, prezentując swe szlachetne oblicze.

– Jest świetnym oficerem, ludzie go szanują – zauważył Fontana.

– To Cisalpińczyk, powinien działać na północy i tam organizować kolejne powstanie – cierpko stwierdził pułkownik. – Podczepił się pod nas, chce zasłynąć jako zwycięzca, który przegnał bezbożników z Państwa Kościelnego. A ta chwała nam się należy, Neapolitańczykom. To my wyekwipowaliśmy buntowników, nasi oficerowie ich szkolili, cały zryw został przygotowany za nasze pieniądze, nawet te sztandary uszyto na osobiste polecenie królowej Marii Karoliny.

– La Hoz służy Neapolowi, jego meldunki od miesięcy trafiają do królowej. Maria Karolina mu ufa.

– Ale ja mu nie ufam – mruknął Cimone. – Poproś go tutaj, kapitanie.

Fontana poprawił mundur i wszedł w modlący się tłum. Szanował cisalpińskiego generała, cenił go za doświadczenie i niezwykle poświęcenie, które okazał ojczyźnie. Sam chyba nigdy nie zdecydowałby się poświęcić dla kraju dosłownie wszystkiego – rodziny, majątku i honoru. Uważał więc, że dowodzenie słusznie należy się La Hozowi i nie ma tu nikogo, kto mógłby go zastąpić.

Najgrzeczniej, jak mógł, poprosił oficera o chwilę rozmowy i zaprowadził go w cień drzewa, gdzie nonszalancko oparty o pień stał Cimone.

– Panie La Hoz d`Orlz, dlaczego nie ma pan na sobie neapolitańskiego munduru? – bez przywitania spytał pułkownik.

– Nie jestem żołnierzem Neapolu – odparł oficer.

– Wydawało mi się, że reprezentuje pan nasze tajne służby, czyżbym się mylił?

– Współpracuję z nimi, owszem, ale nie jestem neapolitańskim funkcjonariuszem – odparł Cisalpińczyk.

– A kim, jeśli można wiedzieć? – Cimone obrzucił go pogardliwym spojrzeniem. Zatrzymał wzrok na przybrudzonych spodniach i zakurzonych, zniszczonych butach.

– Powiedzmy, że obserwatorem i wojskowym doradcą, a przede wszystkim obrońcą ojczyzny. Zgodziłem się bezinteresownie wspierać działania królowej, ale nie jestem jej poddanym.

– Jakim zatem prawem występuje pan jako dowódca powstańców? Czemu przywłaszczył pan sobie to stanowisko?

– Mam największe doświadczenie wojskowe spośród wszystkich buntowników, jestem

generałem Legii Cisalpińskiej...

– Był pan generałem, panie La Hoz. Był. – Pułkownik podszedł do arystokraty. Dłoń oparł na rękojeści rapiera. – Nie wstąpił pan do armii Neapolu, nie ma pan zatem prawa używać stopnia generała w operacji wojskowej, którą kieruje Królestwo. Jesteśmy wdzięczni za pana pomoc przy szkoleniu powstańców i służbę wywiadowczą, ale nie możemy pozwolić, by dowodził pan buntem.

Przysłuchujący się rozmowie Fontana drgnął niespokojnie. Nie rozumiał zachowania zwierzchnika i jego niechęci do d’Orlza. Armia neapolitańska powinna się cieszyć, że tak wybitny dowódca chce walczyć po jej stronie. Obrażanie go było działaniem na szkodę Królestwa. Poza tym generał zasłużył na nagrody i pochwały, a nie odsunięcie od dowodzenia.

– To akcja mająca dla nas ogromne znaczenie polityczne, a także propagandowe i prestiżowe. Zależy nam, by wszyscy widzieli dowodzących powstańcami oficerów neapolitańskich w mundurach Królestwa – kontynuował pułkownik. – Skoro nie chce go pan założyć, muszę przekazać dowództwo komu innemu. Od dziś kierownictwo operacji przejmuje kapitan Fontana.

La Hoz skinął głową, dając znak, że przyjmuje dymisję do wiadomości. Na jego twarzy nie malowały się żadne uczucia. Odwrócił się i odszedł w kierunku miasteczka. Fontana stał oszołomiony, zupełnie zaskoczony niespodziewanym awansem.

– Formowanie oddziałów zostało zakończone – zwrócił się do niego Cimone. – Proszę przeprowadzić ich dyslokację zgodnie z instrukcjami, które zaraz panu przekażę. Potem będzie pan oczekiwał na rozkaz rozpoczęcia operacji.

– Ale jak... – zająknął się kapitan.

– Niech się pan otrząśnie, do cholery – mruknął pułkownik. – Powinien się pan cieszyć, ten awans to początek wielkiej kariery. Jeśli bunt zakończy się sukcesem, może pan liczyć na coś więcej niż ordery, pewnie nawet niedługo przeskoczy mnie pan szarżą. Będę uczestniczył w starciach jako obserwator, ale całość dowodzenia jest w pańskich rękach. Gratuluję, kapitanie.

Fontana uściskał wyciągniętą dłoń, a potem zasalutował sprężysto. Przyjął dokumenty, które Cimone wyciągnął z torby leżącej pod drzewem, a potem szybko się odmeldował. Czym prędzej ruszył za oddalającym się La Hozem. Dostrzegł go przy stajni, zajętego poprawianiem końskiego rzędu na swoim wierzchowcu.

– Panie generale, proszę zaczekać – dopadł go kilkoma susami.

– Nie jestem generałem, sam pan słyszał... – rzucił arystokrata przez ramię.

– Mam do pana prośbę... Niech pan nie odchodzi. Zrobi mi pan zaszczyt, zostając członkiem powstańczego sztabu jako cywilny doradca. Bardzo sobie cenię pańską wiedzę i doświadczenie, potrzebuję pana mądrości. Nie tylko ja, wszyscy jej potrzebujemy, cała ojczyzna. Nie może pan odejść przez urażoną dumę, jedynie z powodu chamskiego zachowania jednego nadętego oficera.

D'Orlz westchnął i się wyprostował. Pogładził konia po szyi i odwrócił się do kapitana. Spojrzał w oczy młodzieńca i nie dostrzegł w nich zakłamania czy obłudy, a raczej szczerą prośbę.

– Dobrze. Zostanę jako pański doradca – oznajmił. – Proszę przygotować dla mnie powstańczy kotylion.

15 messidora VI roku ery republikańskiej

(3 lipca 1798 roku)



Editta obróciła w dłoni dojrzałego, wielkiego pomidora i wbiła w niego zęby. Sok trysnął obfitą strugą wprost na jej sukienkę, na co zareagowała parsknięciem śmiechu. Kazik przyglądał się temu z erotyczną rozkoszą. Miał ochotę wziąć ją w ramiona i spić smak pomidora wprost z jej ust. Niestety, znajdowali się na środku targu pełnego ludzi i publiczne okazywanie czułości nie wchodziło w grę. Pożerał ją więc wzrokiem, stojąc grzecznie dwa kroki dalej. Hrabina spostrzegła jego palące spojrzenie, wyciągnęła rękę z pomidorem i kazała mu spróbować. Ugryzł więc ten sam owoc, niesamowicie aromatyczny i nagrany słońcem.

Poszli dalej wzdłuż kramików z owocami i warzywami. Editta kupiła także mąkę, jaja i miód. Targowała się przy tym zawzięcie i siłą głosu przekrzykiwała przekupki. W jatce Lux wybrał kilka przepiórek, wyglądających na całkiem świeże, a kochanka zapłaciła za nie po kolejnych przekomarzeniach ze sprzedawcą. Wreszcie koszyk niesiony przez młodego sierżanta zapełnił się wiktuałami i mogli ruszyć w drogę powrotną do pałacu. Hrabina wróciła z prowincji dopiero wczoraj i jej służąca nie zdążyła jeszcze uzupełnić zapasów. Nie przejmując się konwenansami, niedawna arystokratka osobiście wybrała się na zakupy, w dodatku w towarzystwie żołnierza okupacyjnej armii. Na szczęście rzymianie przyzwyczaili się już do Polaków i nawet ci najbardziej oddani papieżowi nie okazywali im niechęci. Co więcej, na widok granatowego munduru przechodnie coraz częściej się uśmiechali, szczególnie kobiety, które lubiły choćby popatrzeć na rosnących młodzieńców. Kazik czuł się więc w tłumie zupełnie swobodnie. Wiedział, że nikt mu tu nic nie zrobi. Polacy mogli obawiać się jedynie mrocznych uliczek Zatybrza, bo tam z pewnością samotny żołnierz zostałby pchnięty sztyletem w plecy.

Idąc w stronę domu pani Valenti, minęli patrol francuskiej piechoty. Żabojady nie zatrzymały warszawiaka, choć żołnierze obu sojusznicznych armii zwykle nie przepuszczali okazji, by wzajemnie sobie dokuczyć. Piechurzy byli jednak zbyt zmęczeni upałem i prowadzący ich podoficer wykrzesał z siebie siły jedynie na wyzywające splunięcie sierżantowi pod nogi. Lux zazgrzytał zębami, ale nie zareagował na zaczepkę.

– Myślałam, że wszyscy Francuzi opuścili Rzym – powiedziała Editta.

– Niestety, nie wszyscy. Została sztab generała Saint-Cyra, pół tysiąca piechoty i dwa szwadrony jazdy. Żabojady nie porzucą Wiecznego Miasta, na wszelki wypadek starają się

mieć nas na oku – mruknął Kazik.

– Boją się, że jednak przyjmiecie ofertę Konsulatu, osiedlicie się pod miastem i przejdziecie na rzymski żołąd – przytomnie stwierdziła hrabina.

– Mają nas za skrytych sprzymierzeńców papieża, nie mogą znieść religijności naszych żołnierzy. Myślą, że kiedy tylko spuszczą nas z łańcucha, natychmiast przyłączymy się do papistów.

– Mają rację? – Dama ujęła go pod ramię.

Wzruszył tylko ramionami, ale po chwili odpowiedział:

– Składaliśmy przysięgę Republice Francuskiej, a nasi oficerowie są wręcz obłąkańczo honorowi. Czego jak czego, ale przysięgi nie złamię. Choćby zabojady posłali nas do samego piekła, zesłali na pewną śmierć lub kazali zanurzyć się po uszy w gnojówce, rozkaz zostanie wypełniony. Nikt nie musi obawiać się naszej zdrady.

– A ty? Też jesteś tak wierny?

– Zależy czemu. Nie interesuje mnie poświęcenie życia w interesie Francji i postaram się zrobić wszystko, co się da, by uniknąć podobnej głupoty – odparł ponuro. Po chwili spostrzegł wymowne spojrzenie towarzyszki. Zatrzymał się i ucałował jej dłoń, a następnie przycisnął do piersi. – Oczywiście tobie pozostanę wierny na wieki. Spełnię każde twoje życzenie, ukochana.

– Chcę mieć dziecko.

– Już o tym rozmawialiśmy – westchnął. – Dałbym ci je, gdybym mógł.

– Rozmawiałam z generałem Bartolomeo Bona Speziale di Marino w sprawie mego uzdrowienia.

– Da ci tę relikwię?

Editta ze smutkiem spuściła wzrok i pokręciła głową.

– Co powiedział? Czego chce w zamian?

– To pazerny drań, przywłaszczył sobie kilka cennych przedmiotów i twierdzi, że te nigdy nie trafiły do republikańskiego skarbcza. Zasugerował jednak, że gdybym ofiarowała mu coś bardzo cennego i niezwykłego, sznur świętego Dominika by się odnalazł.

Kazik pogładził ją po głowie i ucałował w czoło. Nie przychodziło mu do głowy nic, czym mógłby przekupić chytrego rzymianina.

– Di Marino ma jedną pasję, o której wszyscy wiedzą – powiedziała hrabina. – Kolekcjonuje zabytkową broń, paradne miecze, ozdobne sztylety, szpady, rapiery, nawet jatagany. Pomyślałam o szabli polskiego króla i spytałam go, czy zaspokoiłaby jego wymagania. Powiedział, że byłaby ozdobą kolekcji i w zamian za nią dałby mi, co tylko bym chciała.

Lux zasępił się, a po chwili pokiwał głową.

– Zdobę ją dla ciebie – powiedział. – To jednak może potrwać...

– Nie wpakujesz się przez to w kłopoty? – spytała z troską.

– Ukradnę ją w taki sposób, by nie wpaść. Dlatego potrzebuję czasu na przygotowania.

Z powagą spojrzała mu w oczy. Stali tak w ciszy i trzymali się za ręce. Wreszcie kobieta pocałowała go w usta, ignorując przyglądających im się z oburzeniem przechodniów.

– Kocham cię – powiedziała.

Kazik miał wrażenie, że unosi się w powietrzu. Pragnął z całych sił krzyknąć z radości.

19 messidora VI roku ery republikańskiej

(7 lipca 1798 roku)



Doktor Hoffman starannie przeliczył monety, które układał w kupki – osobno solidy, osobno liry i trochę francuskich liwrów. Drzwi jego kwatery, a zarazem gabinetu otworzyły się i do środka zajrzał Kazik. Lekarz skinął, by chłopak wszedł, po czym zgarnął do woreczka zaoszczędzony trzymiesięczny żołd. Sierżant rozejrzał się po pomieszczeniu, przestronnej komnacie na tyłach klasztornej kaplicy, w której mnisi przechowywali oczekujące pogrzebu ciała zmarłych. Gabinet znajdował się w sutenerze, czyli do połowy tkwił pod ziemią, co w połączeniu z grubymi murami średniowiecznej budowli zapewniało tu niemal piwniczny chłód. To dlatego medyk, mimo panującego na zewnątrz upału, siedział w swoim błękitnym surducie.

Na półkach, przymocowanych bezpośrednio do muru, stały liczne flakoniki z medycznymi specyfikami, z których Hoffman sam sporządzał leki. Jako syn żydowskiego aptekarza z Warszawy doskonale się na tym znał. Prócz farmaceutyków w koszach na ziemi stały porwane szarpie i zwinięte w rolki pasy płótna na bandażu. Opatrunki czekały na nadchodzącą bitwę, podobnie jak leżące w misce narzędzia chirurgiczne, wśród których najwięcej było groźnie wyglądających pił do cięcia kości i błyszczących lancetów. Amputacja kończyn nadal pozostawała podstawową metodą leczenia ran postrzałowych.

– Jestem gotowy, idziemy – oznajmił medyk i głęboko schował woreczek z oszczędnościami.

Chłopak puścił go przodem. Na własną prośbę miał służyć doktorowi jako ochrona w czasie marszu przez miasto. Wprawdzie suma, którą niósł Hoffman, nie była szczególnie duża, ale lekarz nie czuł się pewnie w tłumnych, wąskich uliczkach Wiecznego Miasta, gdzie nie brakowało rzezimieszków. Lux nie przejmował się takimi drobiazgami, jednak na wszelki wypadek zabrał muszkiet, a by wyglądać groźniej, nałożył na lufę bagnet.

– Dziękuję, Kaziu, że chciało ci się mi towarzyszyć. Upał dziś jak w ostatnim kręgu piekła – westchnął doktor, zakładając na łysą głowę dwurożny kapelusz.

– Przyznam panu, że ciekawi mnie osoba senatora Paganiego – szczerze odparł młodzieniec.
– To ponoć wybitny złotnik.

– Nie tylko. To mistrz obróbki metali. Pochodzi ponoć z Wenecji, gdzie zaczynał karierę od pracy przy formowaniu ołowiu do wytwarzania witraży. Potem zajmował się zarówno

jubilerstwem, zegarmistrzostwem, jak i płatnerstwem. Niestety, jego usługi są diabło kosztowne.

Opuścili teren koszar i skierowali się w zachodnie rejony miasta. Kazik zawędrował tu kilkakrotnie w czasie patroli, lubił znajdujące się tam rozległe place przed wielkimi pałacami i kontrastujące z nimi ciasne ryneczki z zabytkowymi fontannami.

– Chciałem pokryć narzędzia jakimś metalem szlachetnym, nie dla ozdoby, ale by chronić je przed rdzewieniem, *bien entendue*^[37] – żalił się medyk – lecz koszty byłyby zbyt wysokie. Wystarczyło jedynie na wykonanie ich według projektu, z dobrze nawęglonej stali, i na porządne wypolerowanie. Przynajmniej szybko nie zardzewieją.

– Dlaczego major Chłopicki nie załatwił panu funduszy, wszak te narzędzia mają potem służyć Legionom? – zauważył Lux.

– Tak, ale ja sam je wymyśliłem i zaprojektowałem, przez nikogo o to nieproszony. To coś zupełnie nowego – pochwalił się Żyd. – Legiony nie mają funduszy, by finansować badania nad moimi wynalazkami. Gdybyśmy mieli takie resursy, zbudowałbym dla Legionu flotę okrętów podmorskich, szwadron balonów do rozpoznania z powietrza i ostrzału, a także, oczywiście, moje nowe instrumenty.

– Marny nasz los – westchnął chłopak. – Rzadko mamy w kabzie srebro czy złoto.

– Nie jest tak źle. Jako chirurg drugiej klasy otrzymuję żołd podporucznika, mogłem z niego coś odłożyć. Wystarczyło na stworzenie solidnych prototypów. Ach, powiem ci coś w tajemnicy. Sam generał Dąbrowski zabiega, by namaścić mnie na naczelnego chirurga Pierwszej Legii. Interweniował w tej sprawie u generała Macdonalda.

– Ha! Gratuluję, panie doktorze! – Młodzieniec szczerze się ucieszył.

Hoffman był świetnym medykiem i naukowcem, ale przez upór Cisalpińczyków ciągle piastował najniższe stanowisko wśród wojskowych lekarzy. Jego stopień odpowiadał szarży podporucznika, a przy awansie na głównego chirurga Legionu zostałby wywindowany aż do stanowiska odpowiadającego generałowi brygady. I otrzymywałby przysługujące generałowi wynagrodzenie, dwudziestokrotnie większe niż dotychczas.

– Gdy do tego dojdzie, pokryję z własnego żołdu jeszcze niejednego wynalazek, który będzie służył Legionom.

Lux uśmiechnął się do szlachetnego Żyda. Szczerze podziwiał jego mądrość, choć miał go trochę za dziwaka, szczególnie gdy doktor zaczynał gadać językiem masonów, prawiąc komunały o potrzebie szerzenia Światła wśród ludu, by rozwiać mroki ciemnoty, które ogarnęły prostaczków pod rządami Kościoła i arystokracji. Walkę z głupotą ludzką Kazik uważał za stratę czasu, oczywiście wszak było, że nie da się nauczyć pisać i czytać wszystkich chłopów i całej miejskiej biedoty – a jeśli nawet, to po co? Nie ma tylu książek, by dla wszystkich wystarczyło, zresztą trudno sobie wyobrazić, że po harówce do nocy jakiś chłopina usiądzie przy świeczce i będzie studiował myśli Platona.

Tak czy inaczej, chłopak poczuł pałący wstyd, gdy uświadomił sobie szlachetność

Hoffmana, który wyrzekał się wszelkich przyjemności i poświęcał każdy grosz dla Legionu. Szczególnie bolesne dla warszawiaka okazało się skonfrontowanie postawy medyka z własną. Przecież tylko po to udawał się teraz z lekarzem do złotnika, by zaplanować kradzież ważnego dla Legionu przedmiotu. Z drugiej strony, gdy przypomniał sobie Edittę i gorąco rozlało mu się w piersi, natychmiast zapomniał o wyrzutach sumienia. Dla ukochanej gotów byłby zabijać. Co tam jakaś cholerna zardzewiała szabla!

Pogrążył się w rozmyślaniach i niemal nie zauważył, gdy minęli plac Czterech Fontann i stojącą przy nim zabytkową operę Teatro delle Quattro Fontane. Lubił to miejsce, raz nawet zawędrował tu z hrabiną i razem śmiali się z obnażającej kamienną pierś starożytnej bogini. Hoffman poprowadził go dalej, aż na rozległy plac przed pałacem Barberinich. Kazik myślał, że senator Pagani urządził sobie pracownię w tym wielkim, imponującym gmachu, ale doktor skierował kroki na pobliski Piazza Barberini – z obowiązkową w Rzymie wielką fontanną. Plac otaczały liczne domy, nawet czteropiętrowe, o popękanych fasadach.

Senator mieszkał w jednej z zaniedbanych i brudnych kamienic, a warsztat miał w oficynie wciśniętej głęboko w tył podwórka, tuż obok stajni i kurnika. Cały wewnętrzny dziedziniec kamienicy upstrzony był ptasim guanem, w którym bawiła się sfera półnagich dzieciaków. W gorącym powietrzu unosiły się miazmaty z pobliskiego dołu kloacznego, do którego złotnik dodatkowo musiał wylewać jakieś chemikalia służące do trawienia metali, o czym świadczył niezwykle gorzkawy smród. Kazik poczuł się, jakby znalazł się w Warszawie i znów był dzieckiem. Szczególnie rozczulił go widok kur i feeria zapachów bijących z dziury. Zupełnie niczym w rodzinnym mieście.

Senator przywitał ich przed pracownią. Okazał się roslym mężczyzną w średnim wieku, o łysym szczycie głowy, okolonym czarnymi włosami. Nosił brudny fartuch, poplamiony różnobarwnymi cieczami i czarnym smarem. Zaprosił gości do środka. Wchodząc, Lux obrzucił ukradkowym spojrzeniem okna oficyny i drzwi, a szczególnie ich zabezpieczenia. Okien chroniły kraty, a drzwi były solidne i zaopatrzone w żelazny zamek. W dodatku na dziedziniec wychodziły okna kamienicy, przez co podwórko musiało być stale obserwowane. Ciche i szybkie włamanie nie wchodziło zatem w grę.

Ernesto Pagani kazał się im rozgościć, szerokim gestem prezentując niezwykłą rupieciarnię. Podłogę zastawiały pozbijane z nieheblowanych desek skrzynie, pełne najróżniejszego żelastwa, gwoździ i hufnali, ćwieków i nitów, sprężyn i kół zębatych z wieżowych zegarów oraz małych kredensowych zegarków. Znajdował się tu piec, na którego blasze w kotłach wypełnionych kwasami trawiły się metale, co potęgowało i tak przejmujący smród. W kącie stało kilka różnych rozmiarów kowadeł i imadeł, pogrzebaczy i szczypiec. Pod sufitem smętnie wisiało wypchane ptaszysko, nieco wyliniąle i poszarzałe od żrących oparów. Przy stołach siedziało trzech czeladników, którzy pucowali i szlifowali wykonane już produkty: błyszczącą figurkę wyglądającą na kopię antycznej rzeźby, okute brązem puzderko i ramę zwierciadła. Sierżant oglądał to wszystko, mrugając z zaskoczenia i od szczypiącego w oczy smrodu. To nie żaden złotnik, ale zwykły tandeciarz! Przynajmniej tak nazywano w Warszawie

trudniących się tym fachem.

– Oto pana instrumenty – oznajmił mistrz doktorowi i pokazał mu zawiniątko.

Położył je na stole i starannie rozpakował, jakby w środku znajdowała się porcelana. Oczom przybyłych ukazały się lśniące narzędzia chirurgiczne. Szczypce o bardzo długich, ząbkowanych ramionach, łyżeczka o wąskiej ręczce, szczypce zakończone owalnymi łyżeczkami i podobne ustrojstwa, które zupełnie nie ciekawiły Kazika. Hoffman za to podziwiał je, oblizując się z zachwytu. Brał kolejno, ważył w rękach, po czym oglądał pod światło. Lux znów zaczął rozglądać się po pomieszczeniu.

– Czy prace nad królewską szablą szczęśliwie posuwają się do przodu? – spytał bezczelnie.

– A owszem. – Mistrz Pagani spojrzał na niego ciekawie. – Dorobiłem już rękojeść. Czekam na złote i srebrne płatki, którymi ją pokryję. Nie zacząłem jeszcze pochwy, bo nie miałbym jej czym ozdobić.

– Czyli to jeszcze potrwa?

– Co najmniej miesiąc – poważnie odparł rzemieślnik. – To bardzo żmudna i trudna robota. Wykonanie samej rękojeści zajęło mi masę czasu.

– Moglibyśmy zobaczyć tę szablę? Nigdy jeszcze jej nie widziałem, a tyle się o niej mówi.

– Ach, pewno. – Gospodarz uśmiechnął się przyjaźnie. – Wiem, że jest dla was niczym relikwia. Proszę, sierzancie, ze mną.

Okazało się, że do precyzyjnych prac nad cennymi okazami tandeciarz i metalurg w jednym ma osobne pomieszczenie. Po przejściu krótkim korytarzykiem otworzył wielkim kluczem kolejne ciężkie drzwi i wpuścił Kazika do, tym razem czystej, pracowni. Na stole miał rozłożone jakieś błyszczące cuda wyglądające na mechanizm pozytywki. Obok, starannie poukładane, leżały delikatne narzędzia do precyzyjnych prac. Liczne szafki były wypełnione pudełkami, w których błyszczały kolorowe kamyki oraz srebrne i złote druciki. Szabla leżała w jednej ze skrzynek, zawinięta w filc. Ostrze znajdowało się w skórzanej, prowizorycznej pochwie. Nie było już samym brzeszczotem, mistrz zaopatrzył je w rękojeść z głową orła i prosty, krótki jelec.

Lux udawał, że podziwia broń, ale łypał na wszystkie strony, szczególnie w kierunku okna, w którym nie było krat.

– Nie boicie się kradzieży? Co by się stało, gdyby to cacko zginęło? – spytał senatora.

– Zamki w drzwiach są solidne jak sztaby w zamkowych wrotach. – Pokręcił głową złotnik i jowialnie się uśmiechnął. – A okno znajduje się wysoko nad rynsztokiem, który pełni funkcję fosy. Nawet jeśli ktoś by go pokonał, nie wdrapie się po gładkiej ścianie. Nie martwcie się, żołnierzu, ta szabla jest u mnie bezpieczniejsza niż w skarbcu na Kapitolu.

Kazik podrapał się w głowę, podziękował za pokazanie broni i wyszedł z warsztatu. Hoffman przekazał należność za narzędzia i tuląc je do piersi, dołączył do chłopaka.

– I co, zadowolony jesteś z wycieczki? – spytał zaszępionego Luxa.

– Pewno – bąknął sierżant.

Uświadomił sobie, że sam nie zdobędzie szabli. Będzie musiał poprosić o pomoc specjalistów w rozbójniczym fachu. Wolałby tego uniknąć, ale jeśli nie wykradnie żelastwa, nie zachowa miłości Editty. Serce młodzieńca biło w piersiach jak oszalałe. Na samą myśl, że mógłby stracić ukochaną, pękało z bólu.

21 messidora VI roku ery republikańskiej (9 lipca 1798 roku)



Kompanię prowadził starszy sierżant Rolewicz, a nie, jak zazwyczaj podczas manewrów, któryś z poruczników. Wyglądało na to, że dziś żołnierzom upiecze się mozolne formowanie szyków, ćwiczenie kroków i ataków na wymagowanego przeciwnika. Zamiast muszkietów legioniści dostali trochę narzędzi do prac ciesielskich i zwoje lin. Pomaszerowali z tym nietypowym wyposażeniem do Villi Borghese, w której parku odbywały się zwykle większe manewry.

Kazikowi od dwóch dni nie udało się przydybać starszego sierżanta samego. W dodatku stary zbój przygruchał sobie jakąś babę i chodził do niej na noce. Nie wiadomo, jak się z nią dogadywał, gdyż nie znał włoskiego. Widocznie złapał trochę języka jak większość żołnierzy. Z jednej strony nocne nieobecności bandyty cieszyły młodzieńca, bo nie musiał się obawiać pijackich awantur, z drugiej – akurat teraz potrzebował pomocy tego przeklętego drania.

– Słuchajcie, cymbały! – donośnym głosem oznajmił Rolewicz, gdy już dotarli na miejsce. – Będziemy budować drewnianą twierdzę i drabiny do jej zdobywania. Stworzymy ją na podstawie tamtego budynku. – Wskazał stojącą samotnie gospodarczą szopę, służącą ogrodnikom. – Mury mają być niezbyt wysokie, gdzieś na półtora sążnia^[38], od wewnątrz z parapetami dla obrońców. Całość ma pomieścić jakiś tyśiąc chłopów, więc budowla musi być dość duża. Tu mam plany. Lux, chodź no tutaj, będziesz mi pomagał je odczytać.

Kazik wystąpił z szeregu i odebrał papiery od starszego sierżanta. Nie miał bladego pojęcia o budownictwie, nic mu nie mówiły szkice, ale przynajmniej rozumiał podane obok wymiary.

– Skąd weźmiemy drewno? – spytał.

– Mieli je przywieźć dziś rano – burknął Rolewicz. – Spóźniają się, makaroniarze cholerni. No dobra, mamy zatem wolne. Kompania, spocznij! Rozejść się! Można kurzyć! I żeby mi wszyscy byli w zasięgu głosu, bo nogi z dupy powyrywam, jak który nie stawia się na wezwanie!

– Będziemy ćwiczyli zdobywanie miasta? – zaciekawiał się warszawiak.

– A ja wiem? – Drab wzruszył ramionami. – Kazali, to budujemy. Mam nadzieję, że przyślą tu jeszcze jedną kompanię z oficerem o doświadczeniu saperskim. Skąd mam wiedzieć, jak się buduje drewniane twierdze?

Odwrócił się, by odejść pod najbliższe drzewo i uciąć sobie pod nim drzemkę, bo

w głowie czuł ciężar po wypitym nocą winie, ale Lux poprosił go o chwilę rozmowy.

– Ostatnio chyba nie idzie panu zdobywanie łupów, mam rację?

– Przecież sam wiesz, wszak prowadzisz moje rachunki – burknął Rolewicz.

– A co pan powie o złotniku, który ma warsztat pełen świecidełek? – spytał młodzieniec konfidencjonalnym tonem. – W środku miasta, wystarczy iść i brać.

– Ech tam, złotnicy trzymają skarby we własnych chałupach, pilnie strzeżonych. Może i byśmy mogli się tam wdrzeć, ale trzeba by wymordować służbę i poddać właściciela badaniu, by wskazał klucze do skarbcza. Potem trzeba wszystkich wyciąć, by nie zostawiać świadków. Nie możemy sobie pozwolić na taki mord, wyszłaby z tego straszna chryja. Ostatnio zrobiło się cholernie ciasno w Rzymie, Francuzi łążą za nami i bez przerwy patrzą na ręce. Tylko czekają, aż wytniemy jakiś numer. Zbyt niebezpiecznie dziś na takie rajdy, sprawców szukaliby bardzo starannie i mogliby odnaleźć. Takie numery robimy tylko w czasie zamieszek, zdobywania miasta, kiedy wszędzie trup ściele się gęsto. – Starszy sierżant westchnął z żalem. – Ale staraj się dalej, Kaziu. Jeszcze z ciebie zrobimy grasanta.

– Nie trzeba będzie nikogo mordować. Ten warsztat stoi w osobnym budynku, w którym nikt nie mieszka. Problemem jest tylko pokonanie dwojga drzwi z solidnymi zamkami. Trzeba to zrobić cicho i szybko. Pracownia stoi na dziedzińcu kamienicy.

Rolewicz obrócił się na pięcie i stanął przed chłopakiem. Jego przekrwione, zapijaczone oczy spojrzały przytomniej i z rosnącym zainteresowaniem.

– Skąd wiesz, że złotnik nie zabiera cacek ze sobą do domu?

– Rozmawiałem z nim. Jest przekonany, że warsztat to niezdobyta twierdza. Poza tym, ma tego zbyt wiele, by codziennie nosić skarby w tę i z powrotem. Prócz cennych bibelotów ma tam też składowisko tandety.

– Zaczyna się robić ciekawie – stwierdził bandyta. – Chodź no tutaj, wszystko mi opowiesz.

– Dacie radę otworzyć solidne żelazne zamki?

Starszy sierżant parsknął w odpowiedzi. Skierował się w cień, gdzie wypytał Kazika o liczne szczegóły. Szczególne wrażenie wywarła na nim informacja, że złotnik jest rzymskim senatorem. Trochę go to zmartwiło, bo skoro ofiara jest oficjelem, może dopilnować, by przeprowadzono szczegółowe dochodzenie. Z drugiej strony świadczyło to, że jest cenionym i znanym rzemieślnikiem, zatem ma w warsztacie sporo kosztownych cacek. Rolewicz zastanawiał się głośno, czy gra jest warta świeczki, ale pod wpływem opowieści młodzieńca skłaniał się do przeprowadzenia włamania.

Rozmowę przerwało im przybycie kolejnego oddziału. Legioniści, którzy odpoczywali na ziemi, poderwali się na równe nogi. Kazik poczuł falę gniewu, gdy zobaczył w oddali zielone mundury i czarne czaka na głowach nadchodzących. O dziwo strzelcy konni szli w większości piechotą, prowadząc konie pociągowe wlokące ciężkie wozy.

– Co te żabojady wiozą? Drewno? – zdumiał się Lux.

– To nie żabojady, bałwanie. To nasi artylerzyści – odparł Rolewicz. – Wiozą drewno

i zdaje się, że armaty.

Na polanę wtoczyły się jaszczyki amunicyjne załadowane pniaczkami i deskami, przyjechały też trzy działka na prolonżach^[39]. Legionowa artyleria tradycyjnie nosiła zielone barwy i czapki z okrągłymi dnami, co upodabniało ją do francuskich formacji. Żołnierzy prowadził niespełna trzydziestoletni kapitan Jakub Redel. Rolewicz zameldował mu się regulaminowo i przekazał dowodzenie nad budową.

– Dobrze, żeście nie zaczęli – mruknął oficer, który przeglądał właśnie plany twierdzy. – Patałach, który to projektował, zapomniał o stanowiskach artyleryjskich. Muszą być na tyle mocne, by utrzymać armatę i wytrzymać odrzut po wystrzale.

Kazik patrzył na niego zdumiony. Domyślał się, że twierdza będzie służyła do ćwiczeń w szturmowaniu umocnień. Ale po co w niej stanowiska artyleryjskie?

– Bierzcie się za oczyszczanie terenu. Wyciąć te krzaki i tamte – zakomenderował kapitan. Rolewicz skinął na warszawiaka.

– Słyszałeś. Bierz swoich chłopaków i usuńcie żywopłot. Ja zajmę się tamtymi krzewami.

Lux popatrzył z żalem na misternie ukształtowane kule bukszpanów, które ogrodnicy starannie przycinali przez długie lata. Wzruszył jednak ramionami i poszedł wykonać zadanie. Odruchowo sięgnął nawet do tasaka, który najczęściej służył piechurom do cięcia faszyny lub takich prac, jak właśnie zlecona. Zatrzymał się jednak w pół kroku, gdyż coś sobie przypomniął.

– Panie starszy sierżancie, jeszcze jedno. Wskażę wam zakład złotnika, ale pod jednym warunkiem...

– Patrzcie go, szczeniak będzie mi tu warunki stawiał – mruknął bandyta. – Czego chcesz, gadaj!

– Zabierzcie mnie ze sobą na tę robotę. I pozwolicie wybrać jeden przedmiot z rabunku.

– Dobra. – Grasant łaskawie skinął głową. Obrzucił młodzieńca podejrzliwym spojrzeniem, o nic więcej jednak nie zapytał. Niech się młodzik uczy. Po takiej robocie nie będzie miał już wyjścia i na zawsze zostanie jego sługą. Kolejny krok do zorganizowania całej siatki łupieżców. Starszy sierżant już widział siebie jako oficera kontrolującego całą kompanię rozbójników. Nigdy więcej nie dotknie go głód ani bieda, a starość spędzi spokojnie, tyjąc i trwoniąc złoto.

– Kiedy przeprowadzimy grabież? – lekkim tonem spytał chłopak.

– Psyt! – Rolewicz spiorunował go wzrokiem. – Ciszej, do jasnej cholery. Powoli. Jeśli robota jest grubsza, trzeba odpowiednio się przygotować. Wyślę chłopców, by obserwowali cel, musimy sprawdzić, jakie zwyczaje ma ten złotnik. Kiedy zamyka zakład i czy nie wraca do niego po zmroku. W tym czasie ja przygotuję kryjówkę na łupy i umówię pasera. Daj mi kilka dni. A teraz nie stój jak ciele, tylko bierz się do wykonania rozkazu. Już, spieprzaj!

Sam też musiał zająć się robotą. Artylerzyści zwałali drewno z wozów, a piechurzy Luxa,

poganiani przez młodego sierżanta, rychło zabrali się do wycinki żywopłotu. Rolewicz machnął na sierżanta Majewskiego i wskazał mu krzewy do usunięcia. Potem klnąc i złorzecząc, pogonił legionistów do zwawszej pracy.

Kazik zdjął rogatywkę i kurtkę mundurową, po czym złapał za siekierkę, jedno z przyniesionych narzędzi. Zabrał się do energicznego rąbania, by rozładować rozpierającą go energię. Zdobędzie szablę i uszczęśliwi Edittę. Dopnie swego i nikomu nic złego się nie stanie. Z pewnością wszystko skończy się szczęśliwie.

26 messidora VI roku ery republikańskiej (14 lipca 1798 roku)



Mimo że nadeszło popołudnie, upał wcale nie zelżał. Żar lał się z nieba na stojące we wzorowym szyku polskie oddziały, które zajmowały niemal całą długość placu Del Popolo. Do dzisiejszego dnia żołnierze przygotowywali się przez cały tydzień, mundury mieli więc w idealnym stanie, czarne buty wyczyszczone, a kity na rogatywkach puszyste i wyszczotkowane. Naoliwiono nie tylko muszkiety, lecz także złote guziki w mundurach i założone na broń bagnety. Cały Pierwszy Legion Polski błyszczał więc i migotał w słonecznym blasku, wzbudzając podziw licznie zgromadzonych rzymian.

Na polecenie generała Saint-Cyra uroczystości związane z rocznicą zburzenia Bastylji miały być huczne i bogate, tak by zadziwić mieszkańców Wiecznego Miasta. Przeznaczono na nie ogromne zasoby pieniężne, choć od początku miesiąca nie wypłacono jeszcze żołnierzom żołdu. Legioniści byli więc nieco poirytowani, gdy obserwowali, jak kwatermistrze rozdają mieszczanom wino. Kazik też nie był zachwycony, bo jego trzos świecił pustkami, przez co chłopak został zmuszony do zaciągnięcia długu u kapitana Wierzbickiego i doktora Hoffmana. Okazało się, że miłość do hrabiny niezwykle nadwyręża skromny żołnierski trzos. Drobne prezenciki i upominki dawno wyczyściły mu kieszenie.

Stał bez ruchu na skrzydle kompanii, obok porucznika Turkiewicza, i starał się o niczym nie myśleć. Musiał stoczyć ze sobą walkę, by nie zemdleć z gorąca. To byłby straszny wstyd. Przecież żaden z legionistów nie okazał najmniejszej słabości. Lux spojrzął z ukosa na Turkiewicza, który co chwila ocierał chusteczką pot spływający po czole. Porucznik najwyraźniej nadal stosował olejek do ciasta jako perfumy, gdyż bił od niego wyraźny cytrusowy zapach. Ciekawe, czy udało mu się zdobyć przyjaciółkę? Warszawiak nieco w to powątpiewał.

- Czego się na mnie gapisz, Lux? – mruknął oficer.
- Bulon na rogatywce się panu poluzował.
- Dzięki. – Porucznik skinął głową i szybko poprawił ozdobę. – O, chyba wreszcie ruszamy.

Rzeczywiście, kapitan Biling na znak dany przez majora Chłopickiego wyszedł przed szereg.

- Kompania w prawo zwrot! – ryknął w tej samej chwili, co kapitanowie pozostałych

kompanii.

Dwa tysiące polskich żołnierzy obróciło się jednocześnie, przez co łomot ich buciorów przetoczył się niczym grom po rozległym placu. Rozpoczęła się uroczysta defilada, którą honorowo mieli otworzyć Polacy. Kazik szedł, pilnując kroku całego szeregu, ale ciągle zerkał na zachwycony tłum gapiów. Wreszcie ją dostrzegł. Stała wmieszana w czeredę obdartych dzieciaków, a jedno z nich, najmłodsze, trzymała na rękach. Pokazywała szczeniakowi Luxa, a potem sama do niego pomachała. Chłopakowi przyjemne gorąco rozlało się w pieszczach, uśmiechnął się do kochanki. Poczł jakąś dziwną rzewność i wzruszenie, gdy zobaczył ją z dziećmi. Utwierdził się w postanowieniu, że zrobi wszystko, by ją uszczęśliwić.

Editta machała mu, dopóki nie zniknęła jej z oczu, a potem z uśmiechem obserwowała maszerujących Polaków, w większości rosłych, młodych i przystojnych. Za nimi przez plac przeszły kolumny armii rzymskiej w biało-czarnych mundurach, złożonej z byłych żołnierzy papieskich i ochotników o republikańskich przekonaniach. Rzymian było jednak znacznie mniej niż Polaków, w dodatku gorzej wyszkolonych. Brakowało im dowódców, bo wszyscy z Gwardii Papieskiej uciekli do Neapolu. Zastępowali ich polscy oficerowie nadliczbowi.

Pomiędzy kompaniami rzymian jechały karoce z konsulami i senatorami w pysznych paradnych strojach. Niejeden ubrał się w starożytną togę, by nawiązać do świetności dawnej Republiki Rzymu. Hrabina ze smutkiem rozpoznała wśród bogatych powozów własną landarę, którą musiała niedawno sprzedać. Potem jej uwagę przyciągnęli zamykający pochód Francuzi w błękitnych mundurach i jeźdźcy w zielonych. Pochód oddalił się przy łomocie werbli i stukocie buciorów w stronę placu Weneckiego, gdzie zawrócił i skierował się ku bramom miasta, by podążyć do przygotowanego na wielki festyn parku Borghese. Tam też ruszył cały tłum, złożony chyba z połowy mieszkańców miasta. Editta zebrała wszystkie dzieci i ruszyła w przeciwnym kierunku, do klasztoru dominikanek, gdzie już na nią czekali.

Kazikowi humor nieco się poprawił, tak jak i większości legionistów. Entuzjazmu ludności, okazującej im sympatię, nie dało się traktować obojętnie. Widok śmiejących się dziewczyn, machających przechodniów i wrzeszczących dzieciaków, goniących za mundurowymi, musiał wprawić wszystkich w pogodny nastrój. Do parku dotarli więc ze śpiewem na ustach, a dobosze, zamiast bić jednostajny rytm, akompaniowali *Mazurkowi Dąbrowskiego* dudniącemu potężnym głosem z setek gardeł.

W parku ustawiono żołnierzy w czworobok, z Polakami tworzącymi środek, oskrzydłonymi z jednej strony przez Francuzów, a z drugiej przez rzymian. W samym centrum zgrupowania ustawili się włoscy oficjele, francuscy komisarze i sztaby wszystkich trzech formacji. Następnie odbyły się nieodzowne przemówienia, które rozpoczął generał Saint-Cyr. Lux słuchał go jednym uchem, nie zrobiło na nim wrażenia nawet to, że Francuz chwali służbę polskich oddziałów. Czekał z niecierpliwością na ukoronowanie defilady, czyli zapowiedzianą przez dowódców grę wojenną.

Wreszcie podano komendę „spocznij”, a widzowie rozmieścili się za ogrodzonym wstęgami terenem z drewnianą twierdzą pośrodku. Okazało się, że nie będzie ona służyć do codziennych

ćwiczeń i manewrów, a zbudowano ją do przeprowadzenia tej jednej gry, ku uciechu gawiedzi i sztabowców. Kazik, zgodnie z otrzymanym wcześniej poleceniem, zebrał od kaprali wszystkie bagnety, sam też musiał zdjąć swój. Przekazał broń Rolewiczowi, który wpakował ją do przygotowanej wcześniej skrzyni. Kazał Luxowi odliczyć po dziesięć ćwiczebnych patronów z samym prochem dla każdego legionisty kompanii. Podobna krzątanina trwała we wszystkich polskich oddziałach, tymczasem Francuzi i rzymianie skierowali się ku twierdzy. Nawet strzelcy konni porzucili wierzchowce i zajęli stanowiska za drewnianymi murami.

Nad blankami powiewały barwne chorągiewki, imitujące sztandary, które Polacy mieli zdobyć. Zadaniem Francuzów i Włochów było do tego nie dopuścić. Do dyspozycji mieli ślepe naboje, a także trzy armaty. Przygotowania trwały pełną parą, grenadierzy Pierwszego Batalionu już ustawili się w środku, by poprowadzić główne uderzenie. Fizyliery jeszcze się krzątali, licząc ładunki. Tymczasem orkiestra legionowa usadowiła się na przedpolu i zaczęła rżnąć skoczne mazurki, kujawiaki i krakowiaki, by dodać animuszu atakującym.

– Czekaście! – Kapitan Biling podbiegł do Rolewicza. – Jest nowy rozkaz. Proszę odebrać żołnierzom także tasaki. Złóżcie je przy skrzyniach.

Starszy sierżant zasalutował posłusznie, ale Kazikowi nie udało się powstrzymać przed komentarzem:

– Boją się, byśmy ich naprawdę nie wycięli?

– Generał obawia się, byście nie potraktowali tej zabawy zbyt poważnie – przytaknął kapitan. Łaskawie nie uznał uwagi warszawiaka za kwestionowanie rozkazu. – Powtórzcie żołnierzom, że mają tylko odpychać ich muszkietami, żadnego bicia kolbą, żadnego kopania i walenia pięściami. Macie ich tylko zepchnąć.

– Jak mamy ich zepchnąć, gdy będziemy stać na drabinach? – zirytował się chłopak.

– Stul pysk, Lux! – warknął Rolewicz. – Leć zbierać tasaki. Już cię tu nie ma.

Biling pokręcił głową, gdy patrzył na drewniane mury. Nadszedł wieczór i cienie wydłużyły się w promieniach zachodzącego słońca. Mury wydawały się przez to jakoś niepokojąco wysokie. Francuzi już zajęli miejsca na parapetach i w oczekiwaniu na Polaków drażnili ich gwizdami i wyzywającymi okrzykami. Legioniści spoglądali w ich stronę z rosnącą wrogością.

– Będzie naprawdę wesoła bitka, panie kapitanie. – Rolewicz uśmiechnął się do oficera.

– Mam nadzieję, że nie będzie poległych – westchnął młodzieniec. – Generał życzy sobie, byśmy zdobyli tę twierdzę. Mamy pokazać Francuzom i rzymianom, na co nas stać.

– Zdobędziemy. – Starszy sierżant niedbale splunął na ziemię, jakby informował przełożonego o nieistotnej błahostce.

Wreszcie fizyliery pozbyli się niebezpiecznego uzbrojenia i zajęli swoje miejsca. Dziesięć kompanii Drugiego Batalionu ustawiło się na lewym skrzydle, na wprost murów obsadzonych przez znienawidzonych strzelców konnych. Rolewicz skinął na Kazika.

– Weź swoich łapserdaków i złapcie drabiny – rozkazał. – Będziecie szli za kompanią. Na

mój znak podbiegniecie do murów i przystawicie drabiny. Masz dopilnować, by twoi ludzie trzymali je z całych sił, gdy nasi będą wchodzić.

– Nie będę szturmować w pierwszym szeregu? – spytał rozczarowany chłopak. – Mam trzymać drabinę?

– Zaraz cię prasnę w pysk, gnoju – cicho warknął starszy sierżant. – Za dużo gadasz. Zabieraj dupę w troki i leć wykonać rozkaz! – Ostatnie słowa wykrzyczał, a jego twarz błyskawicznie nabrzmiała purpurą wściekłości.

Lux posłusznie przewiesił muszkiet przez plecy i ruszył, po drodze wołając kaprała Kleina. Dziesięciu legionistów opuściło szereg, a ten natychmiast zasklepił się bez śladu. Po chwili warszawiak z kompanami targali drabiny, by stanąć na tyłach, pomiędzy dobozami a fizylierami. Krzyś, obracający w palcach pałeczki perkusyjne, skinął mu głową, a Kazik uśmiechnął się do niego cierpko. W czasie prawdziwej bitwy pewnie by się cieszył z zadania pozwalającego nie stać w pierwszym szeregu narażonym na największy ostrzał, tylko schować się za plecami kolegów, ale w pokazowej, pozorowanej bitwie wolałby popisać się przed patrzącymi sztabowcami. Może dostałby jaką nagrodę? Dodatkowy żołd i kilka dni urlopu. To by było coś! Niestety, z drabiną w garści zbyt wiele nie zwojuje.

Orkiestra przestała grać skoczne mazurki. Dobosze, na znak tamburmajora, zaczęli walić w bębny niepokojącym, jednostajnym rytmem. Legion zastygł w bezruchu, muzyka wdzierała się w umysły piechurów, wypierając z nich wszelkie myśli. Znikały strach i rozterki, wszelkie wahania i niepotrzebne rozważania. Liczył się jedynie rytm, w którego takt należało maszerować. Kolumny stawały się jednym organizmem, pozbawionym uczuć i ukierunkowanym tylko na wykonywanie rozkazów. Na parcie do przodu, na walkę.

Francuzi nie przestawali prowokować Polaków. Śmiali się i wołali głośno.

– Co oni krzyczą? – spytał Anzelm Kura i poprawił drabinę od pachą.

– Że jesteśmy rozmodlone dziewice i pora nas rozprawiczyć – gładko przetłumaczył kapral Klein. – Pokażą nam, jak się biją prawdziwi mężczyźni, i skopią nam dupska.

– Nazywają nas także bigotami, wsiowymi głupkami, dewotami liżącymi księżom jaja. I dzikusami, pierdzącymi ustami w plugawym języku – dodał Kazik głośno.

– Zapłacą za to, bydlaki – wycedził z wściekłością Stachowski. Sięgnął za pas i wyciągnął krótki nożyk o hakowatym ostrzu do podcinania gałęzi. – Zaszlachtuję dziś jakiegoś sukinsyna w zielonym mundurku. Na pamiątkę Stefka Dziordzy.

Kazik też czuł rosnącą irytację i złość. Na blankach wypatrzył płowy warkocz Antoine'a de Villarda. Strzelec stał obok swego kapitana, Dominique'a Precheura. Obaj sprawiali wrażenie szczerze rozbawionych i pewnych siebie. Żabojady pokazywały Polakom coraz bardziej obsceniczne gesty, pluły i wrzeszczały, jeden nawet rozpiął spodnie i zaprezentował gołe pośladki.

– Przygotować się do salwy plutonami! – rozkazał major Chłopicki, który przejeżdżał konno wzdłuż szeregów.

Żołnierze bez rozkazu natychmiast sięgnęli do rogów z prochem i podsypali panewki.

– *Tuy!* – wrzasnął piskliwie porucznik Turkiewicz, powtarzając rozkaz, który przetoczył się wzdłuż kompanii.

Pierwszy szereg klęknął posłusznie, legionisci z drugiego podnieśli muszkiety nad głowami kolegów i wymierzili w przeciwników. Zapadła cisza. I wtedy sierżanci kolejno, od lewego skrzydła, zaczęli powtarzać rozkaz:

– Pal!

Całym parkiem wstrząsnęła ogłuszająca salwa. Powtarzana przez kolejne plutony, zdawała się przetaczać w nieskończoność. Chmura dymu nie zdążyła się rozwiać, gdy porucznicy rozkazali powstać.

– Gotuj się do palby! Broń do nabijania! – pisał Turkiewicz.

Nagle gruchnęły armaty zainstalowane w murach twierdzy. Porucznik skulił się odruchowo, schował głowę w ramionach. W Polaków uderzyła chmura dymu i sieknęły w nich porwane, płonące kawałki pakuł. Żołnierze nie przerwali nabijania, nic sobie nie robiąc z wrogiego ostrzału ślepa amunicją. Wykonywali automatycznie sekwencje tysiące razy powtarzanych ruchów. Skończyli ładować, nim minęło pół minuty.

– Kompania krokiem małym^[40] naprzód marsz! – rozkazał kapitan Biling.

Szeregi Polaków zaczęły się powoli przesuwać w kierunku twierdzy. Gawieź ryczała jak szalona, dopingując legionistów, Francuzi klęli i wygrażali im z murów twierdzy, strzelali ślepakami, a kanonierzy ładowali armaty. Dobosze łomotali w bębny, orkiestra zaczęła grać jakiś rewolucyjny utwór, porywający do boju, rozpalający i tak rozgrzane już emocje. Dym snuł się chmurami, wyciskając łzy i zmuszając do kaszlu, ale nikt nie zwracał na to uwagi.

Padł rozkaz do zatrzymania się i kolejnej salwy, potem nabijania i znów podjęcia marszu. Powolny atak i nieustanne palby miały zabawiać publiczność i zademonstrować poziom wyszkolenia Polaków, którzy w normalnych warunkach już pewnie wdzieraliby się na mury. Tymczasem przesuwali się powoli, za to równo, powtarzając idealnie zgrane w czasie salwy. Słońce już zaszło i w półmroku błyskały ognie z rozgrzanych luf muszkietów.

Kazik dał się porwać emocjom i razem ze swoimi drabiniarzami darł się wniebogłose, obrzucając Francuzów wyzwiskami. Potrzasał przy tym drabiną, wygrażał strzelcom pięścią i klął na czym świat stoi, aż zaczął chrypieć z wysiłku. Wreszcie zbliżył się Rolewicz i uciszył ich soczystym przekleństwem.

W końcu nadeszła długo oczekiwana chwila. Przed kompanię wyszedł kapitan Biling i uniósł szablę.

– Drabiny naprzód! – ryknął. – Kompania biegiem do ataku!

Lux runął ze swoimi do szalonej galopady, mijając szeregi fizylierów. Na ich głowy posypały się śmieci, brudne pakuły, gałęzie, zgnieciona manierka, stary but – co tylko Francuzom wpadło w ręce. Warszawiak zapał swoją drabinę o ziemię i razem z klęczącym Biernackim podparli ją ramionami. Na stopniach drabiny załomotały buciory fizylierów.

Żołnierze wspinali się, zaciskając zęby ze złości.

Pierwszy, który znalazł się na samej górze, oberwał kolbą muszkietu, trzymanego przez francuskiego strzelca za lufę niczym maczuga. Legionista poleciał w dół z rozkwaszoną twarzą i grzmotnął z jęknięciem o ziemię tuż obok Kazika. Sierżant ze zdumieniem patrzył na fizyliera, leżącego bez ruchu, z nienaturalnie wygiętą nogą. Żabojady nie bawiły się w grzeczne spychanie przeciwników, ale lały na poważnie, ile wlezie.

Po chwili spadł kolejny strącony. Ten przynajmniej nie oberwał tak mocno. Klnąc wściekle, natychmiast poderwał się na nogi. Fizylierzy zaczęli sypać się z drabin jak ulęgałki. Jedni jęczeli, trzymając się za uszkodzone kończyny, inni natychmiast wracali na szczeble, by ponowić atak. Wkrótce nikt nie udawał, że będzie spychał wroga, ale młócił przed sobą muszkietem, próbując dosięgnąć przeciwnika, nim sam zaliczy pchnięcie. Nad przekleństwa i ogólną wrzawę wzbily się krzyki ciężej rannych.

– Na litość boską, nie uda się – sapał lwowiak. – Dostaniemy łomot.

Kazik spojrział na trzymającego sąsiednią drabinę Kleina.

– Chyba trza obmyślić jakiś grecki sposób^[41] – stwierdził kapral, marszcząc brwi w umysłowym wysiłku.

Lux rozejrzał się półprzytomnie. Wokół panowały piekielny harmider i zamieszanie. Nagle jeden ze spadających legionistów złamał kilka szczebli w drabinie Kleina, przez co stała się bezużyteczna. Warszawiak spojrział na Stachowskiego, który przestał podtrzymywać własną drabinę i z nożykiem w garści próbował wepchnąć się pośród atakujących.

– Pluton do mnie! – rozkazał Kazik.

Puścił drabinę, a ta, obciążona kilkoma wspinającymi się piechurami, ani drgnęła.

– Janek, chodź no z tym nożem! – Lux pomachał do Stachowskiego. – Kapralu, weźcie żerdzie połamanej drabiny!

Przebiegł chyłkiem pod samym murem i przycupnął w wybranym miejscu, bezpośrednio pod stanowiskiem jednej z armat.

– Zrobimy breszę^[42] w murze – oznajmił zaciekawionym żołnierzom. – Janek, przetnij te liny!

Wskazał awanturnikowi wiązania łączące belki. Mur zbudowano, wkopując w ziemię ociosane pniaczki i łącząc je ze sobą linkami. Armatę podtrzymywały grube belki, ale pomiędzy nimi zbudowano płotek z lichych sosenek. Stachowski domyślił się, o co chodzi, i zakrzywionym kozikiem błyskawicznie poprzecinał łączenia. Kazik napał na jedną z belek, ale ta ani drgnęła.

– Suń się, chuderlaku – prychnął któryś z braci Kura.

Po chwili obaj bliźniacy, krępe chłopcy przywykłe do ciężkiej roboty, oburącz popchnęły jeden z elementów muru. Belka przechyliła się i utworzyła szparę.

– Teraz dźwignia, żerdzią! – rozkazał Lux.

– A po co? Pchniem tak kolejne i zara będziemy mieli przejście – burknął Antoni Kura.

– To sposób naukowy, durniu – syknął sierżant. – Tak będzie szybciej i łatwiej. Nie słyszałeś, co mówił Archimedes? Dajcie mi punkt podparcia, a podniosę Ziemię.

– Kto taki? To jaki święty?

Lux odepchnął chłopca i wsadził żerdź w powstałą szparę. Razem z Biernackim i Stachowskim pociągnęli ją do siebie i przechylona belka do końca wyskoczyła z ziemi. Bracia Kura uwiesili się na sąsiedniej i ciężarem ciała pociągnęli ją ku sobie. Po chwili usunęli i trzeci pniak, robiąc przejście, przez które mógł przejść człowiek.

– Wołajcie wiarę! – rzucił Kazik i zdjął z pleców muszkiet, by jako pierwszy ruszyć do ataku.

Stachowski wyprzedził go jednak i wepchnął się do środka przed nim. Po chwili znaleźli się pod stanowiskiem artyleryjskim, jeszcze przez nikogo niedostrzeżeni. Przycupnęli w oczekiwaniu na resztę. Gdy zebrał się już cały pluton i do otworu zaczęli wpychać się kolejni fizylierzy, Lux poderwał się i z rykiem wybiegł na plac wewnątrz twierdzy. Dopadł drabinki prowadzącej na parapet, gdzie uwijali się obrońcy, ale zanim zdążył wspiąć się na nią, skoczył na niego francuski strzelec i zwałił go z nóg. Przewalali się w piachu, muszkiet Polaka poleciał gdzieś na bok. W ruch poszły pięści. Młody sierżant oberwał bolesny cios prosto w usta, po czym warcząc i plując krwią, pozwolił się porwać gniewowi. Bolesne lekcje udzielone przez Rolewicza nie poszły na marne. Prał przeciwnika, tak jak zwykł to robić starszy sierżant – zadając szybkie, bezlitosne ciosy. Zgruchotał Francuzowi nos i roztrzaskał usta, aż ten legł krzyżem i zaczął wrzeszczeć, że się poddaje.

Kazik poderwał się i złapał porzucony muszkiet. Przez dziurę w umocnieniach wlewał się potok fizylierów, kawałek dalej grenadierzy wdarli się po drabinach na mur i spychali obrońców z parapetu. Stachowski szalał wśród strzelców konnych, młóćąc muszkietem na lewo i prawo, wreszcie ściął ciosem jeden z proporczyków, podniósł go i triumfalnie uniósł nad głowę.

Śmiejąc się, Lux pognał go wesprzeć, ale drogę zastąpił mu kolejny Francuz w zielonym mundurze. Zderzyli się, muszkiet przeciw karabinkowi kawalerii. Naparli na siebie, naprężając mięśnie. Dopiero wtedy sierżant spojrział w twarz przeciwnika i rozpoznał w nim Antoine'a de Villarda.

– Znowu ty – mruknął zaskoczony.

Francuz wykorzystał zaskoczenie przeciwnika i kopnął go w kostkę. Polak syknął z bólu i wymierzył cios kolbą, który strzelec jednak sparował. Lżejszy karabinek, choć krótszy, okazał się lepszy do zadawania szybkich pchnięć. Zanim sierżant zdążył zablokować atak przeciwnika, kolba karabinka trafiła go w brzuch. Lux zgiął się wpół i runął na ziemię. De Villard stanął nad nim z triumfalnym uśmiechem i zamachnął się, by roztrzaskać leżącemu głowę.

Chłopak wstrzymał oddech w oczekiwaniu na śmierć. Antoine uniósł oburącz broń i wtedy

ściął go z nóg mały, chudy fizylier, który uderzył w niego całym ciężarem ciała.

– Bauman – stwierdził Kazik z zaskoczeniem.

Żyd z Sochaczewa, który wstąpił do Legionów po tym, jak rodacy wyciągnęli go ze zdobytego papieskiego więzienia, nie miał doświadczenia wojennego, ale nadrabiał je wrodzonym sprytem. Po uderzeniu we Francuza przeturlał się i zanim tamten zdążył wstać, na leżąco kopnął go piętą w bok głowy. Strzelec padł twarzą ku ziemi i więcej się nie ruszył.

Warszawiak wstał, jęcząc i podpierając się muszkietem. Uścisnął rękę Baumanowi, który powiedział z uśmiechem:

– Kiedy byłem chłopakiem, mój sąsiad, Mosze zwany Wrzodem, trzymał w obejściu starą, złośliwą maciorę. Świnia często wyłamywała deski lub furtkę i ruszała na Sochaczew w poszukiwaniu przygód. Bały się jej wszystkie dzieciaki, bo bydlę było złośliwe i złe do szpiku kości. Szło przez wieś niczym pędzący tur, depcząc wszystko na swej drodze. Gdy się jej kto nie spodobał, goniła go i gryzła. Raz dopadła mnie i przewróciła w błoto. Chrząkając, rzuciła się, by mnie pożreć, tedy kopnąłem ją jak tego zabojada, w bok głowy. Miałem na nogach chodaka z drewnianą podeszwą, a w panice przygrzmociłem jej z całych sił. Padła trupem na miejscu. Com ja potem dostał za lanie od ojczulka, który musiał Mosze zapłacić za szkodę, dupsko mnie tydzień bolało. Ale na podwórku byłem bohaterem przez długie lata. Nikt do mnie nie fikał, bali się kopniaków Majera!

Kazik słuchał wspomnień Żyda, rozglądając się i próbując dojść do siebie. Dopiero po dłuższym czasie udało mu się w pełni wyprostować. Tymczasem Stachowski i reszta plutonu Kleina oczyścili cały parapet na swoim odcinku, grenadierzy zaś młócili rzymian, aż ci rzucili się do ucieczki. Trwało obalanie na ziemię najdzielniejszych obrońców. Twierdza została zdobyta.

Bauman zabrał się dyskretnie do przetrząsania kieszeni nieprzytomnego strzelca de Villarda, ale Lux powstrzymał go z gniewem. Sam zaskoczył się tą idiotyczną postawą, przecież było to zachowanie w pełni usprawiedliwione, on też potrzebował pieniędzy i nie powinien gardzić francuską sakiewką. Stwierdził jednak, że Francuz z nim wygrał, poza tym był szlachcicem, więc zasługiwał na odrobinę szacunku.

– Nie przejmuj się – pocieszył rozczarowanego Majera. – Teraz czeka nas wyżerka i dzień odpoczynku. Zorganizuję ci garniec przedniego wina.

Potem powlókł się do bramy, bo przed twierdzą dobosze grzmieli już *assemble*^[43]. Bitwa się skończyła.

29 messidora VI roku ery republikańskiej (17 lipca 1798 roku)



Lazaret w klasztorze rozrósł się tak, że zajął wszystkie pomieszczenia na parterze i część cel na piętrze. Lux i Rolewicz musieli ustąpić swojej kwatery rannym podoficerom, co Kazik przyjął nawet z ulgą i przeniósł się do klitki, gdzie gnieździł się pluton kaprała Kleina. Choć ciasno, przynajmniej było tu wesoło i to nawet mimo że żołnierzom pieniądze dawno się skończyły i w karty różnili całkowicie trzeźwi. Biernacki i Bauman na całego oddali się krawiectwu i łatali rozdarcia w mundurach swoich kolegów – efekty gry wojennej. Poza tym cały pluton odniósł tylko lekkie rany.

Kazik też nie mógł się skarżyć na stan zdrowia. Opuchlizna z rozkwaszonych ust zaczęła schodzić, a żołądek przestał boleć już dzień po bitwie. Dręczył go tylko rosnący niepokój o miłość Editty, którą tak bardzo bał się utracić. Podczas ostatniego spotkania hrabina nieśmiało zapytała go o postępy w zdobyciu szabli, ale nie miał się czym pochwalić. Rolewicz ciągle prowadził rozpoznanie i przygotowania do skoku, trzeba było czekać. Na domiar złego kochanka poprosiła młodzieńca o pomoc w zdobywaniu żywności. Ponoć bazyry i składy opustoszały, a ceny drastycznie skoczyły. Zamknięcie granicy z Neapolem zatrzymało dostawy zboża i oliwy, a chłopci w Republice Rzymskiej zaczęli odmawiać uprawy ziemi i dostarczania żywności do miast, bo i tak byli ograbiani przez armię francuską. W końcu Wieczne Miasto zaczęło głodować.

Lux udał się do kompanijnego furiera, który objął po nim schedę jako roznosiciel pokarmu, ale ponury jegomość był straszliwym służbistą, do tego absurdalnie uczciwym i nie sposób było nic od niego wydobyć. Znajomi kwatermistrze też rozłożyli ręce, bo armia także musiała zacisnąć pasa i liczyć się z przydziałami żywności. Bez wręczenia solidnej łapówki nie było szans na otrzymanie dodatkowych porcji lub choćby odrobiny mąki. Co gorsza, pieniędzy nie było za bardzo skąd zdobyć. Chłopak przestał już myśleć o prezencikach dla Editty. Teraz martwił się o to, by miała co włożyć do garnka.

Po południu poczłapał do największej sali lazaretu, czyli klasztornej kaplicy. Świątynię zapełniały posłania z żołnierzami mającymi połamane nogi i żebra. Wśród poszkodowanych krzątało się dwóch lekarzy – oprócz Hoffmana także doktor Kinzel, niespełna trzydziestoletni medyk z Warszawy. Obaj skończyli właśnie obchód i razem szli w kierunku kwater. Lux przyszedł, by wyprosić kolejną pożyczkę u zaprzyjaźnionego medyka, choć ten wszystkie oszczędności wpakował w nowe narzędzia, a obecny żołd pewnie już mu się skończył.

W desperacji Kazik postanowił jednak spróbować szczęścia. Młody sierżant przez chwilę zastanawiał się, czy poprosić o wsparcie także młodszego lekarza, ale ledwie co znał Kinzela, więc domyślał się, że spotka się z odmową.

– Co tak stoisz i wzdychasz? – Ktoś szturchnął go w ramię.

Nie musiał się odwracać, by poznać, kto to taki. Piskliwy falset i zapach cytrusów jasno wskazywały rozmówcę.

– Jestem w opałach, panie poruczniku – odparł, odwracając się do Hipolita Turkiewicza.

Niski chudzielec poruszył cienkim wąsikiem i uśmiechnął się do młodzieńca.

– Czego narzekasz, wszak nic ci nie jest. – Wskazał na leżących pokotem rannych. – Drogo kosztowało nas to zwycięstwo. Dwóch chłopców pochowano dziś rano, a tych tutaj, liżących rany, jest prawie trzystu. A to nie wszystko, na balu dla oficerów doszło do licznych nieporozumień i pojedynków. Na szczęście żaden Polak nie zginął.

– Nie chodzi mi o stan zdrowia, a rozterki sercowe...

– Masz jakąś przyjaciółeczkę? Ach, ty szczęściarzu – mruknął porucznik. – Mnie nie pomogła nawet pomada do włosów ani te wspaniałe perfumy, które mi sprawiłeś. Rzymianki nie chcą gadać po francusku, a z mojego włoskiego tylko się śmieją. Przyjdzie mi skapieć, uschnąć z tęsknoty za miłością w mieście pełnym piękności. Co za los!

Warszawiak znów westchnął ciężko, by podkreślić ból duszy, który i jego dręczył.

– No czego dyszysz? Co z tą twoją dziewczką?

– Cierpi z głodu, a ja nie mogę jej pomóc – odparł wprost. – Nie dostaliśmy żołdu w tym miesiącu.

– Jak to z głodu? – zdziwił się Turkiewicz.

– Całe miasto głoduje, żywność straszliwie podrożała. Moja ukochana nie jest zbyt zasobna, tak po prawdzie ledwie wiąże koniec z końcem. Obiecałem się nią opiekować, a nie mogę dotrzymać słowa. Taki ze mnie szlachcic? Psi syn pozbawiony honoru, od początku miał pan rację co do mojej osoby.

– Daj spokój, Kaziu – zmieszał się oficer. Wolałby nie wracać do początku ich znajomości, gdy miał ochotę zamordować Luxa. – Nie przesadzaj, taki zły nie jesteś. Porządny z ciebie żołnierz. Czekał, niech sprawdzę. – Sięgnął do kieszeni spodni i grzebał w niej jakiś czas, potem zajrzał pod poszewkę kurtki mundurowej i wreszcie wyciągnął z niej okazałą złotą monetę. Z namaszczeniem wręczył ją chłopakowi. – Masz całego liwra. Oddasz, gdy będziesz mógł. Idź kupić pannie coś do jedzenia. I uściśnij ją ode mnie.

Lux aż podskoczył z wrażenia, a potem, ku zaskoczeniu porucznika, porwał go w ramiona i uściśnął mocno. Ranni przyglądali się ze zdumieniem dwóm obejmującym się żołnierzom, ale nikt się nie zaśmiał.

– Pędź! – Turkiewicz odepchnął go wreszcie. – Spytaj tej swojej ślicznotki, czy nie ma jakieś samotnej przyjaciółki, jeśli nie będzie to dla ciebie problemem.

– Ależ skąd!

– Aha, podaj mi adres jegomości, u którego kupiłeś te perfumy. Właśnie mi się kończą i chciałbym nowy flakonik.

Kazik gnał już do wyjścia, ale ostatnie słowa zatrzymały go w pół korku.

– Ech, ale to daleko poza murami miasta. Niech się pan nie kłopotczy, przyniosę panu perfumy. Najszybciej, jak się da.

Wypadł z klasztoru niczym burza, nie oglądając się na oficera, który wzruszył ramionami i zabrał się do wyszukiwania symulantów wśród leżących na pryczach, bo po to właśnie przybył do szpitala.

Lux zaś nie kłopotał się, skąd zdobyć perfumy, wszak olejek do ciast powinno mu się udać dostać w najbliższej cukierni.

6 thermidora VI roku ery republikańskiej

(24 lipca 1798 roku)



Miejscowość Veroli rozciągała się na jednym ze wzniesień należących do masywu Monti Ernici. Otaczały ją malowniczo ciągnące się w dal sady oliwne i owocowe, na horyzoncie zaś majaczyły zielone szczyty kolejnych wzniesień masywu. Sielskiej, sennej scenerii od lat nie zakłócały dymy pożarów ani kurzawa ciągnąca się za maszerującym wojskiem. Prezydent miasta, Giovanni Franchi, nade wszystko cenił sobie właśnie ten spokój i wiejską atmosferę, dostępne jedynie w miejscinach położonych na dalekiej prowincji, z dala od szlaków handlowych i strategicznych twierdz. Był co prawda mężczyzną energicznym i pełnym zapału – to właśnie on kierował republikańskim buntem w prowincji, to on przewodził miejscowym „patriotom” – ale kiedy uhonorowano go wysokim stanowiskiem, jakoś minęła mu ochota do aktywnego szerzenia idei wolności i równości. Szybko polubił dostatek i luksusy przysługujące prezydentowi. Także jego dwaj synowie, Giulio i Patrizio, błyskawicznie przeistoczyli się z miejscowych rozrabiaków w szlachetnych młodych patrycjuszy.

Dziś całą rodziną przyjmowali na obiedzie rzymskiego senatora, a właściwie edyla, Vittoria Zaccaleniego. Zasiedli do stołu w budynku ratusza przylegającego do Piazza Mazzoli e San Andrea, centralnego punktu miasta. Synowie prezydenta usadowili się po obu stronach gościa, by grzecznościowo usługiwać mu przy stole. Jeden napełnił senatorowi kielich winem, drugi podsunął miseczkę z kandyzowanymi owocami. Edyl sprawiał wrażenie zadowolonego z gościnności, szczególnie gdy poczuł aromat gotującego się sosu do pasty. Smażone mięso i pomidory, do tego czosnek i zioła. Aż ślina wypełniła mu usta. Machinalnie pogładził się po brzuchu, a potem pociągnął tęgi łyk wina.

Prezydent Franchi z uwagą przyglądał się gościowi. Jego uwadze nie umknęły złote pierścienie na grubych paluchach edyla ani zdobiący szyję jedwabny halsztuk z perłą. Senator bez wątplenia pochodził z rzymskiej szlachty, przywykł do bogactwa oraz luksusów i zachowywał się w ich otoczeniu równie naturalnie jak ryba w wodzie. Świadczyło to o tym, że jest jedynie farbowańcem, który przeszedł na stronę republiki po upadku Państwa Kościelnego, by nie stracić majątku i wpływów. Jeśli jednak karta się odwróci i papież odzyska Rzym, pan Zaccaleni bez wahania zmieni barwy. Pewnie dlatego senat wysłał go na inspekcję na niebezpieczne zadupie.

– Tak jak myślałem, nic złego się u was nie dzieje – stwierdził edyl. – Na ulicach

spokojnie, drzewko wolności rośnie sobie na rynku. Ptaszki ćwierkają, słoneczko świeci. Życ, nie umierać.

– Księża ciągle jątrzą, ale szybko ich uspokajamy – powiedział Giulio.

– Tak? A w jaki sposób?

– Wpierw grzecznie, po prośbie, potem sugerujemy, by klecha wyniósł się z naszej prowincji – odparł Patrizio. – Jeśli nie chce słuchać, chłopaki biorą go w obroty w jakimś ciemnym zaułku. Gdy i to nie pomaga, łomot powtarzają codziennie. Już trzech klechów i jednego mnicha żeśmy tak sprowadzili na drogę cnoty.

– Niedobrze, że używacie przemocy wobec duchownych. – Edyl pokręcił głową. – Lejecie tylko wodę na młyn ich propagandy.

– Ale dzięki temu w Veroli nie ma ani jednego papieskiego buntownika – zauważył prezydent Franchi. – Ci, którym nie podobają się republikańskie rządy, wynieśli się w góry.

Gdzieś zaczął bić dzwon. W tej samej chwili służka wniosła wazę pełną parującej pasty. Spaghetti pachniało tak obłędnie, że senator nie mógł oderwać od niego oczu, nie zwrócił więc uwagi na dziewczkę, bardzo młodą i ładną. Za to jeden z synów prezydenta bez oporów złapał ją za pośladek. Dziewczyna zacisnęła zęby i spiorunowała go wściekłym spojrzeniem, ale nie odważyła się na nic ponadto. Kiedy za pomocą dwóch łyżek nakładała gościowi makaron na talerz, odezwał się kolejny dzwon. Bracia rechotali, pozerając służkę wzrokiem. Kiedy wyszła, spierali się przez chwilę, który odwiedzi ją dziś w nocy.

Po chwili wszyscy zabrali się do jedzenia, tylko prezydent niespokojnie zerkał w stronę okna. Dzwony nie milkły, były już co najmniej trzy lub cztery. Ich dźwięk dobiegał także z oddali, z którejs z wiosek otaczających miasteczko.

– Czy oni poszaleli? – mruknął Franchi i wstał od stołu.

Podszedł do okna i aż jęknął ze zgrozy. Plac zapełniał się ludźmi, kilku wznosiło okrzyki. Wszyscy mieli żółto-czerwone lub filetowo-żółte kotyliony, czyli w barwach Państwa Kościelnego albo Neapolu. Większość z nich była uzbrojona w muszkiety z nałożonymi bagnetami. Szybko dołączali do nich mieszkańcy miasta, w tym kobiety i bose dzieciaki. Na czele czeredy szli mnisi w habitach i ksiądz, trzymający uniesiony krucyfiks.

– Co tam się dzieje, tato? – spytał Giulio.

– To bunt – jęknął poblady prezydent. – Armia papieża wróciła.

Jeden z mnichów trzymał w garści siekiere. Doskoczył z nią do drzewka wolności i trzema wprawnymi ruchami zrąbał symbol republiki, znieawidzone piętno francuskiej dominacji. Gdy to zrobił, wybuchła wrzawa radości. Franchi spostrzegł, że żołnierze republikańscy pilnujący bramy ratusza zrzucają dwurożne kapelusze i dołączają do powstańców.

– Musimy uciekać – wysapał przerażony edyl, który również oderwał się od obiadu i doczłapał do okna.

– Wrota są zaryglowane – stwierdził Patrizio. – Umkniemy przez służebne wejście w kuchni. Szybko.

Zbiegli po schodach na parter. Prezydent zatrzymał się tam, spoglądając w korytarz prowadzący do wejścia. Śliczna służąca właśnie zdjęła sztaby i otworzyła drzwi, wpuszczając powstańców. Odwróciła się i wskazała im uciekających.

– A to dziwka – syknął Giulio.

Nic więcej jednak nie dodał, bo drzwi kuchenne rozwarły się gwałtownie i wpadła przez nie czereda buntowników z zakonnikiem na czele. Republikanie znaleźli się w potrzasku. Wszyscy podnieśli ręce, poddając się napastnikom. Szarpani i okładani pięściami, zostali wywleczeni na plac przed ratuszem. Po chwili z okien budynku poleciały podarte dokumenty, które opadały niczym wielkie płatki śniegu. Tłum tymczasem rozwinął kościelną chorągiew i śpiewał jakąś pobożną pieśń. Prezydent, jego synowie i edyl niczym trofea zostali poniesieni nad wyjącą czeredą, a w końcu rzućni do stóp przywódców buntu.

Calalono, niepozorny ziemianin z Ferentino, spojrział pytająco na księdza Giuseppe Trino. Oczy duchownego płonęły boskim ogniem, cała jego postać promieniała uniesieniem i religijnym natchnieniem. Ciągłe wymachiwał krzyżem, krzyczał i pluł, mierzył nim w leżących na bruku jeńców.

– Zabić bezbożników! – wrzasnął ktoś z tłumu.

– Tak! Ułóżcie stos, a uśmiercimy ich w sposób, w jaki dawniej niszczone heretyków i podobne plugastwo. Ogień, choć nie ocali ich dusz, trochę oczyści je z grzechów.

– Litości! – pisnął Zaccaleni. – Jestem katolikiem! Co niedziela chodzę do kościoła, pomagam księżom w Rzymie! Byłem przeciwny likwidacji zakonów!

– Milcz! – syknął duchowny.

Na jego rozkaz dwaj mnisi postawili grubasa na nogi, trzymając go z obu stron. Trino zmierzył go płonącym spojrzeniem jasnych oczu. Senator zrozumiał, że ma do czynienia z fanatykiem, w dodatku ogarniętym szałem. Taki ktoś nie spocznie, dopóki nie nasyci się krwią.

– Nie kłamię. Zawsze pozostawałem wierny Kościołowi i Ojcu Świętemu – energicznie dodał przybysz z Rzymu.

– To czemuś wahał się z tymi bezbożnikami? Przez pychę i przywiązanie do bogactwa wyparłeś się wiary, psie – wycedził ksiądz. – Zdechniesz w męczarniach.

– Kapitan Fontana rozkazał hamować się z wymierzaniem zbyt okrutnych kar republikanom – wtrącił się Calalono. – Jestem za tym, by oszczędzić senatora. Potraktujmy go jako błędzącego grzesznika.

Ksiądz nie był zachwycony, ale po chwili namawiania przystał na propozycję. Udobruchał go widok błyskawicznie budowanego stosu. Prezydent wraz z dwoma synami, związani ciasno, zostali posadzeni na szczycie rupieci i mebli. Młodzieńcy wierzgali i kopali, broniąc się do utraty sił, za to Franchi pozostał spokojny i z godnością przyjmował nadchodzący koniec. Prosił tylko o litość dla swoich dzieci, ale mnisi pozostali głusi na jego słowa. Stos został sowicie polany oliwą, a jeden z zakonników zapalił pochodnię i wzniósł ją ku niebu.

– Patrz na ich śmierć, grubasie – wyszeptał Trino wprost do ucha edyla. – To będzie ostatni widok, jaki ujrzą twe świńskie ślepie.

– Co też ksiądz mówi? Przecież obiecaliście! – wierzgnął przerażony senator, ale mnisi trzymali go mocno.

– Nie zabiję cię, ale musisz odpokutować zdradę i przyłączenie się do bezbożników – odparł duchowny.

Skinął mnichowi z pochodnią. Ciśnięta z rozmachem żagiew, przy akompaniamencie ryku wzburzonego tłumu, pomknęła ku stosowi. Pacnęła w rozlaną oliwę, która od razu wybuchła żarłocznym ogniem. Płomienie rozrastały się szybko, w niebo strzeliła kolumna dymu. Prezydent Franchi tkwił nieporuszony, w myślach przeklinając się za zbytnią pewność siebie i zaślepienie. Jego dwaj synowie zaczęli wrzeszczeć, najpierw z przerażenia, potem z bólu. Ogień ogarnął ich szybko i nad kościelne śpiewy oraz okrzyki papistów wniósł się potworny krzyk ludzi płonących żywcem.

Ksiądz Trino patrzył na to coraz bardziej szalonym wzrokiem, wreszcie złapał edyla za włosy i szarpnął jego głowę w tył. W ręku duchownego pojawiła się łyżeczka. Wbił ją w oczodół senatora z tak wielką wprawą, jakby oślepianiem ludzi zajmował się od lat. Wyłupił Zaccaleniemu oboje oczu. Wrzask torturowanego był jeszcze głośniejszy niż krzyki płonących na stosie.

Calalono przyglądał się temu z mieszanymi uczuciami. Sam też drżał z nienawiści do republikanów, ale podobne akty przemocy uważał za przesadnie barbarzyńskie. Gdyby to od niego zależało, kazałby ich zwyczajnie powiesić. Tłum jednak potrzebował mocniejszych przeżyć, by odreagować poniżenie związane z francuską okupacją i nieudolnymi rządami republikanów. Buntownik patrzył więc spokojnie na szalejących zakonników, którzy zachowywali się jak średniowieczni inkwizytorzy. Nie reagował. Tak jak oni nie wiedział, że patrzy na początek powstania, które przejdzie do historii jako mnisia wojna.

8 thermidora VI roku ery republikańskiej (26 lipca 1798 roku)



Minęła już północ, ale w legionowych koszarach nikt jeszcze nie spał. Nadal trwała gorączkowa bieganina i panowało ogólne zamieszanie. Wieczorny rozkaz generała Dąbrowskiego, by z każdego batalionu wydzielono po jednej kompanii i natychmiast wyruszyły do wymarszu, spadł niczym grom z jasnego nieba. W ciągu kilku minut wyznaczono kompanie o niemal pełnych składach, czyli takie, które miały najmniej chorych i połamanych leżących w lazarecie, potem z prędkością błyskawicy rozdzielono między żołnierzy patrony z ładunkami i prowiant na dwa dni. Dowództwo grupy ekspedycyjnej objął major Zeydlitz, którego Dąbrowski chciał wypróbować w akcji. Wyniosły oficer, jak zwykle zadzierający nosa, usadowił się w siodle i na godzinę przed północą powiódł oddziały ku południowym bramom miasta.

Maszerujący nocą piechurzy pobudzili mieszczan i mnóstwo rzymian wyległo na ulice lub wyglądało przez okna. Wszyscy czuli, że na coś się zanosi. Legionistów, którzy pozostali w koszarach, kapitanowie uspokoili, że ekspedycja ma stanowić część ochrony rzymskiego komisarza, którego w trybie natychmiastowym desygnowano do departamentu Circeo. Doszły bowiem wieści o jakiś ruchawkach w kilku miasteczkach i wysyłano komisarza, by zbadał sprawę. Kilkuset żołnierzy francuskich i polskich miało mu towarzyszyć bardziej na postrach niż w celu prawdziwej walki. Na sam ich widok zbuntowani chłopci, jak zwykle, rozbiegną się po wsiach.

Kazik pomagał furierom pakować i rozdzielać prowiant dla legionistów wysłanych w teren, potem sporządził meldunek dla kwatermistrza batalionowego i po północy skierował się do celi. Na korytarzu czekał już na niego sierżant Majewski. Lux zatrzymał się na widok draba. Serce wypełniła mu nadzieja, ale gardło ścisnęły strach i podniecenie.

– Idziemy? Teraz? – spytał.

– Rolewicz wydumał, że lepsza okazja się nie powtórzy. – Bandzior skinął głową. – Panuje sakramenckie zamieszanie i nikt nie zauważy, jeśli na jakiś czas znikniemy z klasztoru.

Przemknęli przez dziedziniec ku budynkom gospodarczym, by opuścić teren zlikwidowanego zakonu niepozorną furtą w tylnej części muru. W wąskiej, śmierdzącej moczem i zgnilizną uliczce czekali już czterej grasanci: Joachim, Komosa, Pryszczaty i Chudy. Wszyscy mieli muszkiety, by przypadkowym przechodniom wydawać się nocnym patrolem. Przywitali Kazika mruknięciami, które w ciemnościach brzmiały jak warknięcia wilków

z watahy szykującej się do polowania. Po kilku minutach dołączył do nich sam herszt. Jako jedyny niósł latarenkę z oliwną lampką wewnątrz.

– Trzymaj, Lux. – Rzucił chłopakowi płócienny worek. – Będziesz ładował i targał łup. A wy, Pryszczaty i Chudy, macie jeszcze dwa. Joachim bierze linę. Idziemy.

– Będziemy maszerowali przez miasto z worami pełnymi fantów? – zdziwił się młody sierżant.

– Nic się nie martw, wasz dowódca ma łeb na karku i o wszystkim pomyślał. – Rolewicz wyszczerzył zęby w paskudnym uśmiechu. – Pasera mamy pod samym nosem, przejdziemy tylko kilka ulic i gotowe.

Ustawili się dwójkami, z przywódcą bandy na czele, i ruszyli w stronę zakładu Ernesta Paganiego. Szli niespiesznie, jak przystało na znudzony patrol, który czeka cała noc dreptania pustymi uliczkami. Kazik i Majewski nie zabrali muszkietów i szli zaraz za starszym sierżantem, który w pewnej chwili zaczął wesoło pogwizdywać. Humor wyraźnie mu się poprawił na samą myśl o okazji do solidnego napełnienia trzosa. Lux rozglądał się nerwowo, w każdym cieniu widząc Francuzów, którzy dybią, aby z byle powodu postawić Polaków przed plutonem egzekucyjnym. Niejeden raz zdarzyło mu się prowadzić nocny patrol, ale nigdy nie był tak zdenerwowany jak podczas tej zbójckiej wyprawy.

Ani się obejrzał, wyszli na plac Czterech Fontann, minęli wielki pałac i znaleźli się na placyku otoczonym rudarami. Skierowali się ku kamienicy zamieszkiwanej przez rzemieślnika. Rolewicz nie skręcił jednak w kierunku podwórka z oficyną, ale przeszedł dalej swobodnym krokiem. Za to Joachim niepostrzeżenie odłączył się od pochodu i wsiąkł w czarny otwór mijanej bramy. Starszy sierżant obszedł kamienicę wokół i zagłębił się w mroczny zaułek, przez który płynął rynsztok. W tej samej chwili zdmuchnął ognek latarki i oddziałek pograżył się w całkowitych ciemnościach.

Kazik potknął się kilka razy i przeklął przy tym przez zęby. Za głośno, więc dostał od Majewskiego kuksańca w bok. Grasanci poruszali się w ciemności niczym koty, nie wydając żadnych dźwięków, a do tego z gracją, zupełnie jakby widzieli w ciemnościach. Zatrzymali się na krawędzi rowu z rynsztokiem, naprzeciw budyneczku o płaskim dachu. Młodzieniec domyślił się, że znaleźli się na tyłach kamienicy, a konkretnie naprzeciw oficyny z warsztatem, zamykającej kwadrat podwórka.

– Jak się tam dostaniemy? – szepnął. – Ściana jest płaska, a dzieli nas od niej śmierdząca fosa.

Majewski syknął tylko w odpowiedzi i wymierzył mu kolejnego kuksańca. Legioniści zdjęli rogatywki i ustawili muszkiety w kozioł, szykując się do roboty. Wtem na dachu warsztatu pojawiła się czyjaś sylwetka, ledwie odcinająca się na czarnym tle nieba. Joachim zamachnął się i cisnął im linę. Jeden jej koniec przywiązał do komina oficyny, drugi, złapany przez Pryszczatego, został przymocowany do rachitycznego drzewka, które wyrosło na krawędzi rynsztoka. Kazik powstrzymał się tym razem przed komentarzem. Obserwował, jak Rolewicz

chwycił się oburącz liny i sprawdził jej napięcie, a potem zawiesił się na niej i mocno pracując rękami, szybko dotarł do dachu oficyny. Jednak nie wspiął się na niego, tylko kopnięciem wybił okno warsztatu, jedyne bez krat. Potem zsunął się w powstały otwór. Nie trzeba było zatem forsować masywnych zamków w drzwiach, a złodzieje i tak dostali się od razu do skarbcza. Lux bezgłośnie zagwizdał z podziwu.

Jako kolejny pomknął po linie Komosa, a za nim Pryszczyty. Inaczej niż ich dowódca używali nie tylko rąk do wspinaczki – objęli linę także nogami i przesuwali się po niej niczym gąsienice. Chudy szturchnął warszawiaka, by ruszał. Tymczasem Majewski wycofał się do wylotu zaułka i stanął na czatach. Chłopakowi nie pozostało nic innego, jak chwycić się liny i zwisając z niej, przesuwać wzorem Rolewicza. Zasapał się przy tym, ale jakoś, z mozołem i niebywałym wysiłkiem, dotarł do okna. Nogami wymacał krótki parapet i oparł się o niego. Potem, walcząc z przerażeniem, puścił się jedną ręką i chwycił nią framugę, przy okazji kalecząc się w palec o kawałek wybitej szyby. Kucnął i wśliznął się do środka.

Rolewicz rozdmuchał hubkę, którą miał w kieszeni, i rozpalił lampę. Pomieszczenie wypełnił blady, rozedrgany blask latarenki. Pryszczyty i Komosa buszowali już w pracowni, ładując ostrożnie do worów wszystko, co wydało im się cenne. Herszt przyświecał złodziejom i wskazywał przedmioty do zrabowania. Nikt z nich nie wydawał najmniejszego dźwięku, poruszali się w ciasnym warsztacie niezwykle zwinnie. Kazik stłumił wyrzuty sumienia i przyłączył się do rabunku.

Szablę znalazł niemal od razu, nadal leżała zawinięta w filc, a po rozpakowaniu okazało się, że ostrze ciągle tkwi w prowizorycznej skórzanej pochwie. Nie namyślając się więc ani chwili, przymocował ją do pendentu^[44], który został mu po wyrzuconym kilka dni wcześniej połamanym tasaku.

Nim minęło pół godziny, wypełnili trzy wory najróżniejszymi bibelotami, biżuterią, ozdobnymi zegarami i zdobionymi przedmiotami. Rolewicz syknięciem wydał rozkaz zakończenia operacji i po chwili grasanci kolejno opuścili pracownię. Wyznaczeni do niesienia worów musieli najpierw wyjść na zewnątrz, a potem, tkwiąc w oknie, przywiązać sobie ciężką jak kamień zdobycz do pasa. Powtarzana kolejno operacja trwała dłużej niż sam rabunek, aż wreszcie wewnątrz zostali tylko Kazik i Rolewicz. Starszy sierżant wskazał na przypasaną przez Luxa szablę.

– Na co ci ten stary brzeszczot? Będzie tylko przeszkadzał. Zostaw go, bo nie będziesz miał gdzie przywiązać wora – szepnął.

– Ale to jest mój skarb, po niego właśnie chciałem tu przyjść. Moja zapłata za robotę. Solidnie wykonana szabla, na miejsce tej, którą raczył mi pan złamać.

– Puknij się w swój szlachecki, durny łeb – wycedził herszt. Chłopak nie widział jego twarzy, ale obawiał się, że ta zaczyna robić się purpurowa. – Szabelka nie robi z ciebie oficera, nikt nie zwróci na nią uwagi. Za to jeśli zgubisz worek z łupem, osobiście obedrę cię ze skóry. Nie żartuję.

– Niczego nie zgubię. – Warszawiak złapał się framugi i wysłiznął na zewnątrz.

Kucnął w oknie i przyjął podany przez Rolewicza wór. Przytroczył go sobie obok szabli i dla pewności poprawił bandolier. Łupy ważyły tyle co koń z jeźdźcem, przynajmniej tak mu się wydawało. Zawisł na linie i odepchnął się od okna. Od razu bardzo boleśnie poczuł, że jest teraz chyba dwa razy cięższy. Przesunął ręce i ze zgrozą doszedł do wniosku, że nie da rady. Pod nim rozciągał się głęboki rów pełen nieczystości. Jeśli polecą w dół, pójdzie na dno jak kamień. Utonie w gnojówce, pełnej gówna i zgniłych odpadów. Sama wizja podobnej śmierci dodała mu sił, zaczął przesuwać się szybciej, dysząc przy tym ciężko. Lina wbijała się w omdlewające palce, szybko tracił czucie w rękach. Klął pod nosem na swoje zbyt wrażliwe na niewieście wdzięki serce, przez które ciągle pakował się w podobne kłopoty. Zanim dotarł w bezpieczne miejsce, stwierdził, że jest skończonym głupcem i żadna kobieta nie zasługuje na podobne poświęcenie. Wreszcie się puścił.

Wylądował ciężko na brzegu rynsztoka, przeturlał się przy tym przy upiornie głośnym akompaniamencie brzęku łupów. Ręce kompanów natychmiast postawiły go na nogi. Kazik był tak szczęśliwy z cudownego ocalenia, że w pierwszej chwili chciał ucałować Pryszzatego. Powstrzymał się jednak w porę i tylko poklepał go po ramieniu.

Po chwili dołączyli do nich Rolewicz z Joachimem. Ten ostatni zaparł się i oburącz szarpnął za linę. Zwoje obejmujące komin poluzowały się i węzeł puścił. Żołnierz z wprawą zwinął sznur i schował go do mantelzaka.

– Co się gapisz? – syknął do Luxa. – Służyłem w pruskiej marynarce. Nie takie węzły umiem zakładać.

Młodzieniec z podziwem skinął głową. Starszy sierżant wiedział, co robi, kompletując bandę. Miał w niej nożownika Pryszzatego, ślusarza-włamywacza Komosę i akrobatę-sztukmistrza Joachima. Ciekawe, jakie niezwykle umiejętności posiadali pozostali bandyci? Kazik zorientował się, że zaczyna podziwiać Rolewicza. Choć ten był draniem i gwałtownikiem, świetnie radził sobie z dowodzeniem ludźmi i intuicyjnie potrafił wykorzystać ich umiejętności. Gdyby powstrzymał złodziejskie skłonności, byłby wspaniałym oficerem. Chłopak stwierdził, że chyba nigdy mu nie dorówna.

Wracali w nieco innym szyku. Pochód prowadzili Majewski z Pryszzatym, którzy baczyli, by w ciemnościach nie wpakować się na francuski patrol czy zbyt ciekawskiego przechodnia. Reszta targała łupy, idąc jakieś pięćdziesiąt kroków za nimi. Zgodnie z obietnicą Rolewicza do pasera nie było daleko. Wkrótce stanęli przed drzwiami jakiegoś składu towarów i starszy sierżant energicznie załomotał w nie kołatką. Wrota otworzyły się natychmiast, gospodarz już ich oczekiwał.

Okazało się, że jest starym, zgarbionym Żydem, a towarzyszy mu osiłek z pejsami, w jednym ręku trzymający zapaloną latarnię, w drugim pistolet z odciągniętym kurkiem. Legioniści położyli wory we wskazanym kącie pomieszczenia, a Rolewicz zaczął pertraktacje. Rozmawiał z gospodarzem po niemiecku, przez co Kazik niewiele rozumiał. Starszy sierżant zażyczył sobie pokwitowania, ale Żyd nie chciał wziąć towaru w ciemno, musieli najpierw

sporządzić spis. Lux został wyznaczony do kontrolowania tego, co pisze zgarbiony staruszek, usiadł więc z nim przy stoliku. Osilek zapalił świece w menorze i pomieszczenie rozjaśniło się złotym blaskiem.

Warszawiak, ledwie znający kilka słów po niemiecku, wiele nie mógł skontrolować, ale tkwił przy lichwiarzu, podając mu kolejne zrabowane przedmioty. Trwało to niemiłosiernie długo, na zewnątrz zaczęło dzień, zanim skończyli. Żyd jednak nigdzie się nie spieszył, wszak zobowiązał się do wyceny i upłynnienia dóbr. W końcu sporządził dokument, który wręczył hersztowi bandytów.

Legioniści pomaszerowali szybkim krokiem w stronę wzgórza kapitolijnego, by zdążyć przed pobudką o czwartej. Kazik zapomniał o bólu pokaleczonych i poobcieranych o linę dłoni. Szedł z zadowoloną miną, myśląc wyłącznie o Editcie i o uwielbieniu, którym hrabina go obdarzy, gdy wręczy jej szablę. Ciężar świętego przedmiotu mile obciążał mu pas, nie pozwalając o sobie zapomnieć. Wysilek włożony w zdobycie broni z pewnością nie pójdzie na marne, to było pewne. Rozterki, które dręczyły go, gdy wisiał nad rynsztokiem, znikły bez śladu, zastąpione wizją gorącej i oddanej kochanki.

9 thermidora VI roku ery republikańskiej (27 lipca 1798 roku)



Brama klasztoru kusiła przechodzącego Kazika otwartymi skrzydłami, które kojarzyły mu się z szeroko rozłożonymi nogami ukochanej. Cały poprzedni dzień chodził po koszarach niczym lew zamknięty w klatce, półprzytomny ze zmęczenia po nieprzespanej nocy. Major Chłopicki wydał jednak rozkaz, by wstrzymać wszelkie wyjścia, bo sztab niecierpliwie oczekiwał gońców z departamentu Circeo. Wszyscy zgodnie twierdzili, że rewolta jest kolejną nic nieznaczącą ruchawką i zostanie błyskawicznie stłumiona, ale przyszły niepokojące wieści, że przyłączyło się do niej największe miasto w prowincji, Frosinone. Wiadomość ta zaniepokoiła Francuzów i rzymskich konsulów. Wyglądało na to, że powstanie rozlewa się, a oddziały buntowników rosną w siły, zamiast rozpierzchnąć się na samą wieść o maszerujących z Rzymu wojskach.

Kazika coraz bardziej paliła dyndająca u pasa szabla. To przez nią, niczym powtarzające się echo, wracały do niego wyrzuty sumienia. Na nic zdały się rozmyślenia o szczęściu z Edittą. Prawda była taka, że sprowokował ohydny kradzież, w której sam wziął udział. Skalał honor szlachcica i legionisty. I przywłaszczył sobie królewski oręż, który był narodową pamiątką.

Pozbyłby się broni jeszcze z innego powodu. Co prawda pan Pagani nie rozpętał jeszcze awantury z powodu kradzieży, ale było to tylko kwestią czasu. Wybuchnie wielka afera, okradziono wszak członka rzymskiego senatu, i z pewnością lada chwila rozpoczną się poszukiwania sprawców. Jeśli zostanie przyłapany z szablą Sobieskiego u pasa, zapłaci za to głową.

Wściekle kopnął cegłę, która wypadła z klasztornej muru i leżała w kącie. Uczucie do kobiety i potrzeba sprawiania jej radości mieszały mu się w głowie z palącym wstydem i strachem przed wpadką. Gdyby choć mógł wreszcie podarować jej to przekłętą żelastwo i uczynić szczęśliwą, może rozterki znikłyby bez śladu? Musiał wymknąć się z koszar, choćby na przekór rozkazom. Niestety, w bramie tkwili strażnicy, strzelcy z Trzeciego Batalionu, których nie znał. Nie miał więc szans, by ich przekonać do przymknięcia oka.

Kręcił się po dziedzińcu, choć wiedział, że w ten sposób rzuca się w oczy i kwestią czasu jest, gdy spostrzeże go Rolewicz, który zaraz wymyśli mu jakąś paskudną robotę, coś w stylu zorganizowania czyszczenia muszkietów całą kompanią lub zbiorowego cerowania mundurów. Żołnierze go za to znienawidzą, w dodatku kolejny dzień będzie zmarnowany. Już miał schować się w klasztorze, gdy spostrzegł dobosza Krzysia, który przebiegł przez bramę,

w locie machając strażnikom jakimś papierem z pieczęcią. Zanim trzynastolatek dopadł schodów prowadzących na górę, młodzieniec złapał go za ramię.

– Czekaj, bratku. Co tam masz? Jakim cudem strażę puściły cię bez gadania?

– Daj spokój, Kazik. – Chłopiec szarpnął się i wyrwał z uścisku. – Od rana ganiam jak ten głupi z listami. A to sztab pisze do doktora Hoffmana, a to do dowódcy placu, a to kapitan Biling pcha mnie na Kapitol z listem do majora Chłopickiego. I tak w kółko. Poszaleli przez ten bunt przy granicy z Neapolem. Wszyscy mają pełne gacie, a cała sprawa skupia się na mnie. Ogłupieć od tego można.

– Zatem wystarczy zostać gońcem. – Lux trzasnął się dłonią w czoło, zdumiony prostotą tego rozwiązania. – Słuchaj, przyjacielu, potrzebuję wydostać się stąd na godzinkę. Jeśli wyślą cię z kolejnym listem na Kapitol, pozwól mi go zanieść, a będę ci wdzięczny do końca życia.

Krzyś wzruszył ramionami, ale w głębi serca odetchnął z ulgą. Gonitwa po ulicach Rzymu w tym piekielnym upale nie należała do przyjemności, nawet nie marzył o tym, że ktoś zaoferuje mu wyręczenie w męczącym obowiązku. A tu ten wesoły, młody sierżant sam go o to prosi.

– Wie pan, chyba nie mogę tak po prostu, muszę zapytać kogoś wyższego stopniem...

– Ja jestem wyższy stopniem! – warknął Kazik.

– Ale służba gońca to mój zaszczytny obowiązek. Jakże mógłbym z niego zrezygnować, kiedy dzięki niemu mogę zwiedzić Wieczne Miasto i napatrzeć się na stragany ze smakołykami, na które nie mam ani denara...

– Czy ty aby nie pochodzisz z Krakowa, Krzysiu?

– Skąd pan wiedział, panie sierżancie?

Warszawiak pokiwał głową. Pewnie w dodatku malec był synem handlarza lub wędrownego kupca. Stąd i wrodzona operatywność, a do tego nastawienie na wyciąganie ludziom grosza z kieszeni w najmniej spodziewanych momentach.

– Kiedy tylko dostanę żołd, wypłacę ci całe dziesięć soldów, stoi? – Lux wyciągnął rękę do dobosza, a ten uściśnął ją z szerokim uśmiechem, zachwycony doskonałym interesem.

Kazik musiał jednak czekać aż godzinę, nim chłopak wrócił od kapitana, niosąc liścik z pieczęcią, której lak jeszcze nie zastygł.

– Do majora Chłopickiego – rzekł dobosz i znikł w głębi klasztoru, aby się gdzieś zaszyć i odpocząć.

Sierżant zasalutował wartownikom, zaprezentował pismo i szybkim krokiem oddalił się w kierunku Kapitolu. Zastanawiał się przez chwilę, czy nie cisnąć listu do rynsztoka, ale schował go do kieszeni. Może zanieś go adresatowi po wizycie u Editty? Skoro Chłopicki czeka na odpowiedź już godzinę, poczeka jeszcze jedną. To pewnie i tak nic pilnego. Kazik skrzył w boczną uliczkę i zadowolony z siebie pomaszerował do pałacyku pani Valenti.

Żałował, że nie może kupić jej bukietka lub słodyczy, ale postanowił zatrzymać złotą

monetę pożyczoną od Turkiewicza na coś znaczniejszego. Może udałoby się za nią dostać srebrny wisiołek z półszlachetnym kamykiem albo coś takiego? Rozejrzy się za tym, gdy będzie miał chwilę. Zadumany nad pomysłami, w jaki jeszcze sposób mógłby uszczęśliwić hrabinę, nie wiedzieć kiedy dotarł pod drzwi pałacyku. Na ich schodach siedziała służka Editty. Jak zwykle popatrzyła na niego szeroko otwartymi, sarnimi oczyma.

– Pani Valenti kazała mi tu czekać, na wypadek gdyby raczył ją pan odwiedzić – powiedziała i poderwała się na równe nogi. – Jej posiadłość została ostatecznie przejęta w ramach kontrybucji wojennych. Pani hrabina musiała się przenieść do wynajętego mieszkania.

Chłopak zdziwił się, ale tylko skinął głową. Gdzie on wcześniej miał oczy! Przecież Editta była nieustannie ograbiana przez cholernych Francuzów. Jej pałac dawno ogołocono, potem musiała zwolnić stangreta, kucharkę i służki, sprzedać kareta i inne ruchomości, aż wreszcie zabrano jej nawet dom. Młodzieniec zacisnął pięści, wściekły na tę jawną niesprawiedliwość. Jak oni śmieli okradać samotną, niewinną kobietę? Czym zawiniła poza tym, że urodziła się w szlacheckiej rodzinie i wyszła za hrabiego? Przeklęci, pazerni bezboźnicy!

Z tego wszystkiego przestał żałować, że okradł republikańskiego senatora. Tylko patrzeć, jak tacy jak on wprowadzą się do pałaców zagarniętych prawowitym właścicielom. Plugawi złodzieje, którzy mają wszystkich gadką o równości, wolności i braterstwie. Hipokryci i oszuści. Niech ich diabli!

Ogarnięty słusznym gniewem, szedł za drobnej budowy dziewczyną, kroczącą przed nim z opuszczoną pokornie głową, niczym jakaś zakonnica. Służka zawiodła go na tyły obdrapanego, straszliwie starego kościoła, wyglądającego jak pogańska świątynia przerobiona na katolicki kościół. Przy dwupiętrowym budynku, stojącym za świątynią, kręciły się zakonnice w białych habitach, próbujące zapanować nad czeredą oberwańców, którym rozdawały chleb.

Minęli wrzeszczące, wygłodzone dzieciaki, które uspokoiły się na widok mężczyzny w mundurze. Weszli po schodach. Służąca zaprowadziła Polaka pod drzwi i znikła bezgłośnie. Zastukał i wszedł do środka.

Editta siedziała przy stoliku z rozłożonymi na blacie przyborami do pisania, pochylona nad kartką, którą pokrywała równym, eleganckim pismem z literami o fantazyjnych zawijasach. Na widok młodzieńca uśmiechnęła się łagodnie. Sierżant spostrzegł, że kobieta twarz ma pobladłą, a oczy podkrążone ze zmęczenia. Natychmiast przypadł do niej i uklęknął, a potem ucałował jej dłonie.

– Jesteś chora, ukochana? – spytał.

– Nic mi nie jest, mój troskliwy Casimiro. To tylko zmęczenie, wszystko przez kłopoty. Moja chora ciotka jako zatwardziała papistka i arystokratka wroga ludowi została pozbawiona majątku i muszę przygotować dla niej schronienie w mieście. A wiesz, w jak trudnej sytuacji sama się znajduję.

Kazik pokiwał głową i zmarszczył brwi. Będzie musiał poprosić Rolewicza o pożyczkę. Starszy sierżant dysponuje wszak pokaźnym majątkiem. Lux nie wierzył, że bandzior odsyła wszystkie pieniądze do Polski, by wspomagać swoich dawnych towarzyszy broni, toczących teraz boje z biedą. Wedle rachunków zgromadził mnóstwo złota, które przechowywał dla niego zaufany lichwiarz. Trzeba tylko starego rozbójnika połechtać obietnicami, bo straszyć nie ma sensu, a może uda się z niego wycisnąć trochę grosza. Bez chwili zastanowienia młodzieniec wyciągnął z kieszeni złotego liwra i wsunął go w dłoń kochanki.

– Nie chcę, byś kłopotowała się tak przyziemnymi sprawami. Jesteś stworzona do rzeczy wielkich, do pisania poezji, do tego, by zostać muzą artystów, a nie ciućać nędzne grosze. Weź tę monetę, daj ją na zadatek za wynajem domu dla ciotki. W ciągu kilku dni postaram się zdobyć więcej złota. Znacznie więcej.

Odpowiedziała uśmiechem i odłożyła monetę na blat, obok powstającego pisma. Kazik podejrzewał, że to list do któregoś z przyjaciół jej świętej pamięci małżonka z prośbą o wsparcie. Serce ścisnął mu chłód. Bieda nie była mu obca, sam pochodził z bardzo ubogiej szlachty, ale nie mógł znieść myśli, że ktoś tak wspaniała jak Editta może przymierać głodem.

– Nie smuć się już tak, mam dla ciebie niespodziankę – powiedział z tajemniczym uśmiechem. Wiedział, że za chwilę oblicze kobiety się rozjaśni, i nie mógł się tego doczekać. – Udało mi się dotrzymać słowa. Zdobyłem dla ciebie szablę Sobieskiego.

Sięgnął do rzemyków u pasa i odplątał je jednym szarpnięciem. Potem ujął broń w skórzanej pochwie i ciągle na klęczkach, oburącz wręczył ją arystokratce.

– Oto ona. Prawdziwa i wspaniała – oznajmił. – Damasceńska stal, noszona przez polskiego króla w czasie bitwy o Wiedeń. Każdy kolekcjoner na pierwszy rzut oka rozpozna w niej bezcenne cacko.

Pani Valenti przyjęła broń, a przez jej twarz przemknęła kolejno cała paleta uczuć. Najpierw zaciekawienie, potem zdumienie, wreszcie skupienie. Ze zmarszczonymi brwiami obejrzała rękojeść w kształcie orlej głowy, wykonaną ze stali i czekającą na pokrycie złotem, oraz prowizoryczną, skórzaną pochwę.

– Co to ma być? – wycedziła, a jej głos drżał niepokojąco.

Wcale nie płonęła szczęściem, za to Kazik ze zgrozą zorientował się, że drży od gniewu zbliżającego się niczym niepowstrzymana lawina.

– Gdzie agatowa rękojeść? Blachy srebrne i złote, pokrywające pochwę? Gdzie sto siedemnaście szmaragdów i sto sześćdziesiąt jeden rubinów wielkich jak czereśnie? – Z każdym słowem podnosiła głos. – Na litość boską, co to jest? Miałeś mi przynieść bezcenną broń, a nie kawał starego żelastwa!

– Ale to jest właśnie ta szabla – niepewnie bąknął Kazik. – Właśnie taką przynieśli konsulowie generałowi Dąbrowskiemu. Właściwie sam brzeszczot, resztę ktoś ukradł. Pewnie Francuzi.

Editta cisnęła bronią w młodzieńca, poderwała się na równe nogi i wrzasnęła wściekle. Na

całe gardło, szarpiąc przy tym krótkie włosy. Chłopak skulił się, wbił głowę w ramiona. Czuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Oszalała. Zupełnie oszalała.

– Poświęciłam ci ponad dwa miesiące. Dwa miesiące ujarzmiania cholernego młodego barbarzyńcy, który miał przynieść mi królewski skarb – krzyczała mu prosto w twarz. – A on daje mi złotą monetę i stare, bezwartościowe żelastwo. O, ja nieszczęsna. Miałam dwa i pół tysiąca Polaków do wyboru, a trafiłam na kogoś takiego. Za co mnie tak doświadczasz, Panie?!

Ostatnie słowa wykrzyczała prosto w sufit. Kazik wstał z klęczek, trzymając w garści królewską broń, która boleśnie uderzyła go w pierś. Nie mógł uwierzyć w to, co się dzieje. O co jej chodzi? O te dwieście siedemdziesiąt szlachetnych kamyków? Rozkochała go w sobie, by ukraść dla niej szablę, ale nie chodziło o wymienienie jej na relikwię, ale wydłubanie zeń klejnotów oraz odarcie ze złota i srebra?

Fala żalu wypełniła umysł młodzieńca, serce zatrzepotało mu w piersi, a potem pękło. Chłopak nie czuł złości, nie oburzył się zachowaniem hrabiny, choć zdawał sobie sprawę, że został wykorzystany, że przez jej zachłanność stał się pozbawionym honoru złodziejem. Zamknął oczy, słuchając wrzasków miotającej się po komnacie kobiety, która w jednej chwili z dystyngowanej damy zmieniła się w przekupkę z targowiska. Gorąca włoska krew wzięła górę nad dobrym wychowaniem i śródziemnomorska ekspresja wystrzeliła z niej niczym lawa z Wezuwiusza.

Lux pochylił głowę i przypasał szablę, a potem odwrócił się i wyszedł. Za drzwiami niemal zderzył się z kilkoma zakonnicami i służką o sarnich oczach, które z przerażeniem nasłuchiwały awantury. Zakonnice rozpierzchły się niczym stado spłoszonych białych gołębi, a Kazik przeszedł między łopoczącymi w panice habitami, nic nie widząc i nie słysząc. Oczy wypełniły mu się łzami.

* * *

– Gdzieżeś był, do jasnej cholery?! – rozdarł się na całe gardło Rolewicz.

Warszawiak przeszedł właśnie przez bramę koszar, na których dziedzińcu aż kłębiło się od gorączkowo krążących legionistów. Nie było widać żadnego oficera, ale wśród ustawiających się w kolumny piechurów uwijali się sierżanci i kaprale. Kazik nawet nie próbował zasłonić się przed pięściami Rolewicza, który ruszył na niego niczym szarżujący dzik. Na szczęście bandzior jakimś cudem powstrzymał się przed publicznym wymierzeniem kary i tylko potrząsnął mu kułakiem przed nosem.

– Major wydał rozkaz, by wszyscy siedzieli na dupie, cymbale. Nie mogłeś wytrzymać jednego dnia, by nie wymknąć się do tej makaroniarskiej dziewczki? Jesteś żołnierzem czy kundlem czującym sukę w rui? Tak ci się ta cipa rzuciła na głowę? – Stopniowo się uspokajał. – Moja kompania jest zawsze najlepsza, a jej podoficerowie bez zarzutu, jasne? Dzięki temu

nikomu nie przychodzi do głowy, że możemy zajmować się czymś na boku. Jeśli więc chcesz ze mną pracować, musisz być najlepszym sierżantem, jak to tylko możliwe. Nie będę znosił łamania rozkazów, do jasnej cholery.

– Proszę o wybaczenie, panie starszy sierżancie – westchnął zrezygnowany Lux. Było mu wszystko jedno, Rolewicz mógł go tu na miejscu rozsiekać. Może tak byłoby lepiej?

– Cóżes tak zwiesił nos na kwintę? – mruknął herszt grasantów.

– Miał pan rację co do mojej przyjaciółki. Nie była ze mną szczerą – wydusił z siebie młodzieniec.

– Trzeba było słuchać mądrzejszego, oszczędziłbyś sobie bólu. – Rolewicz pokręcił głową. – Te baby wpędzą cię kiedyś w taką kabałę, że się nie wywiniesz, mówię ci. Za bardzo kochliwy jesteś, chłopaku.

Kazik opuścił głowę i wbił wzrok w czubki butów. Musiał toczyć ze sobą nieustanną walkę, by się nie rozbeczeć. Na szczęście przełożony szybko wybił mu rozterki z głowy, zasypując całą litaniją poleceń, które powinny zostać wykonane – najlepiej natychmiast i wszystkie jednocześnie. Kompania miała za chwilę wymaszerować śladem ekspedycji Zeydlitza i postarać się ją dogonić. Okazało się, że siły buntowników są znacznie większe, niż się spodziewano, i nadęty major może wpaść w pułapkę. Lux miał więc sporządzić recypisy^[45] z rozdania amunicji i prowiantu na drogę, sprawdzić stany w plutonach, a gotowe dokumenty z listą obecności oddać starszemu sierżantowi. Nie pozostało mu zatem nic innego, jak galopem rzucić się do roboty.

Było wczesne popołudnie, gdy wreszcie kompanie wymaszerowały z koszar. Kazik wpadł w dobrze znany rytm, gdy na ramionach poczuł ciężar plecaka i ciężkiego, jakby był z ołowiu, austriackiego muszkietu. Kolumny, liczące w sumie czterystu legionistów, ustawiły się przed jaszczykami. Miejsce na czele kompanii zajął kapitan Biling. Dalej ustawili się ludzie wesołego i lubianego kapitana Laskowskiego. Dobosze zaczęli grać jednostajny, marszowy rytm. Mieli tak bębnić do wyjścia wojska za mury Wiecznego Miasta, by rzymianie mogli podziwiać oddziały maszerujące we wzorowym szyku.

Warszawiak pobladł ze zgrozy, gdy na placu pojawił się jadący konno Chłopicki, by przejąć dowodzenie nad ekspedycją. Młody sierżant właśnie uświadomił sobie, że z tego wszystkiego nie dostarczył mu listu od kapitana. Przeklął własne niedbalstwo i głupotę. Wściekły major nie zawaha się wymierzyć mu sprawiedliwości, a rękę miał ciężką. Może powinien sam mu się zameldować i oddać list? Tylko jak wytłumaczy, że go nie przyniósł, kiedy należało?

Zanim Lux zdecydował się coś zrobić, padł rozkaz wymarszu i piechurzy ruszyli różnym krokiem w kierunku południowych bram miasta. Kazik stwierdził, że właściwie ma w nosie, co mu zrobią, skoro i tak już stracił zarówno honor, jak i serce. Najlepiej będzie, jeśli polegnie w boju. Może przynajmniej w ten sposób zmyje część win.

Oparł rękę na rękojeści szabli i aż podskoczył z wrażeń, gdy przypomniał sobie o feralnej broni. Niech no przy jego trupie znajdą zaginioną szablę! Ciała nie pochowają w poświęconej

ziemi, a zostawią na bitewnym poboju, by je psy zżarły i rozwłóczyły. To będzie sprawiedliwy koniec gnidy i głupca, którym był.

Pogrążony w ponurych rozmyślaniach, dręcząc się hańbą i płonąć wstydem, nawet nie zauważył, gdy opuścili Rzym. Maszerowali brukowanym traktem pamiętającym czasy pierwszych chrześcijan. Kolejne kilometry pokonywał coraz bardziej otepiały, gapił się bezmyślnie pod nogi lub w plecy idącego przed nim żołnierza. Pot zalewał im oczy, powietrzem nie poruszał nawet najmniejszy wietrzyk. Fizyliery coraz częściej sięgali po manierki, aż Rolewicz ryknął, by oszczędzali wodę, bo nie ma czasu na postoje. Zanosilo się, że będą szli bez przerwy, by zdążyć z pomocą majorowi Zeydlitzowi.

Gnali więc kolejne godziny, aż cienie się wydłużyły, a słońce litościwie zaczęło opuszczać się ku horyzontowi. Kazik po raz kolejny dławil się łzami na wspomnienie wdzięków i haniebnej zdrady Editty. Momentami miał ochotę ją zamordować, kiedy indziej chciał rzucić się biegiem i błagać ją o litość. Biłby ją, prał bez skrupułów, a chwilę później robiło mu się niedobrze na myśl, że mógłby choć ponieść na nią głos. Miał nadzieję, że podstępna dziwka zdechnie z głodu, a za moment zastanawiał się, czy jednak nie prosić Rolewicza na kolanach o pożyczkę, którą w całości by jej przekazał. Obiecał sobie, że rzuci się do ataku na bagnety z odsłoniętą pierś, by zginąć jak najszybciej, a potem dumał, czy zdarzy się okazja do zdobywania łupów. Może w bogatych mieszczańskich domach znajdują się kamienie szlachetne, których tak bardzo potrzebowała pani Valenti?

Wreszcie padł rozkaz do postoju. Panował już półmrok, więc gospodarstwo, przy którym się zatrzymali, wyglądało jak czarne zamczysko. Ze wskazanych zagród i stodół, gdzie mieli nocować, wyszli jacyś żołnierze. Kazika nie obchodziło, kto to taki, ale gdy okazało się, że strzelcy konni z 19. Regimentu Jazdy, od razu się ożywił. Jeszcze bardziej zdumiał się, gdy ujrzał majora Chłopickiego zawzięcie dyskutującego z kapitanem Precheurem, któremu towarzyszył strzelec Antoine de Villard.

– Czy ja śnię? – warknął na głos warszawiak. – Gdziekolwiek się ruszę, spotykam tych sukinsynów.

– Może wreszcie nadarzy się okazja, by któregoś posunąć kozikiem pod zebra? – rozmarzył się Stachowski, którego za zdobycie murów w czasie gry wojennej znów awansowano na gefrajtra.

Chłopicki wrócił do swoich z niepyszną miną, ogłosił coś krótko kapitanom, zostawił konia ordynansowi i oddalił się w stronę głównych zabudowań. Kapitan Biling wezwał podoficerów i przekazał im wieści:

– Będziemy spali na ziemi, w krzakach przy drodze. Francuzi zajęli zabudowania i nie zamierzają zrobić nam miejsca, choć jest ich tylko jeden szwadron i kilkunastu kanonierów artylerii konnej. W dodatku dowództwo nad wyprawą przejmuje generał Girardon, który właśnie wezwał naszego majora.

Sierzanci rozeszli się do oddziałów, Kazik również pogadał chwilę ze swoimi fizylierami,

wysłuchał steku wyzwisk, którymi ci obrzucili żabojadów, a potem narzekań na niewdzięczność sprzymierzonych i żołnierski, podły los. Wyruszyli w marsz bez żołdu i markietanek, które teraz mogłyby sprzedać im wino i ugotować coś ciepłego do jedzenia. Lux nie miał nawet ochoty dołączać się do narzekań. Wyjął z plecaka zimowy płaszcz mundurowy, uwalnął się na ziemi i zawinął w nakrycie, kładąc pod głową bezcenną szablę Sobieskiego. Nie było to ani wygodne, ani praktyczne, ale przez niezrozumiałe przecucie postanowił pilnować tej broni jak oka w głowie.

10 thermidora VI roku ery republikańskiej

(28 lipca 1798 roku)



Powstańcy wybiegli zza peryferyjnych zabudowań Ferentino całą czeredą, śpiewając, pokrzykując i potrząsając muszkietami. Nie brakowało wśród nich zakonników i chłopców w komzach, niosących kościelne sztandary. Cały rozentuzjzmowany tłum, żegnany przez pobladłe z przejęcia matki i żony, rozsypał się na łąkach otaczających miasto. Starożytna miejscowość leżała na wzgórzu, które odróżniało się od okolicznych zielonych wzniesień bielą domów i szarością murów, pnących się w górę kolejnymi piętrami, widocznymi z daleka jako nieregularne poziomy. Wieńczyła je potężna katedra. Uliczki, którymi wylewały się tłumy buntowników, prowadziły ostro w dół, wiły się po stokach wzgórza między domami i nikły wśród oliwnych gajów i sadów.

– Kilka miesięcy szkolenia, a zachowują się jak banda rozwydrzonych szczeniaków, a nie wojsko – z przekąsem zauważył generał La Hoz.

– Przemarszów w kolumnach nie ćwiczyliśmy, uznałem, że nie będą potrzebne, poza tym nie mieliśmy na nie czasu – niepewnie wytłumaczył się kapitan Fontana. – Ale za to niech pan spojrzy, jak wspaniale nadrabiają zaangażowaniem i energią. Są tak pełni zapału, że rozniosą Francuzów na strzępy.

Obaj oficerowie szli wmieszani w pędzący tłum. Pozwolili, by ten został poprowadzony na przygotowane wcześniej przez Calalono i szewca Prosperiego stanowiska obrony. Młody kapitan zaciskał dłoń na rękojeści pistoletu. Wiedział, jak ważny będzie dzisiejszy chrzest bojowy dla przebiegu zrywu. Na razie wszystko szło jak z płatką. Pełni pychy Francuzi przysłali do Anagni ledwie garstkę piechurów i zdawali się pozostawać zupełnie nieświadomi powagi sytuacji. Oby tak dalej, a powstańcy zgniotą ich samą przewagą liczebną. Głośny sukces był im niezwykle potrzebny. Jeśli się uda, do zrywu przyłączą się kolejne miasta, powstanie rozleje się na całe państwo, a królowa Maria Karolina przyśle dwa regimenty neapolitańskiego wojska, które czekały przy granicy na dobre wieści.

– Widziałem już taki żywiołowy entuzjazm. Niepoparty wyszkoleniem i doświadczeniem w boju, po jednej wrogiej salwie potrafi zmienić się w przerażenie i paniczną ucieczkę – mruknął, od rana będący wyraźnie nie w sosie, d’Orlz.

Generała coraz bardziej irytowało, że został zdegradowany do stopnia doradcy wojskowego i nie miał wpływu na decyzje podejmowane przez przywódców powstańczych. Ci zaś działali zupełnie bez planów, słuchając obłąkańczych majaczeń fanatycznych księży

i kłócąc się zawzięcie o każdą bzdurę. Udało mu się, choć dopiero po długich tyradach, wrzaskach i grożeniu buntownikom rychłą śmiercią, skłonić ich do wydelegowania dwóch setek mężczyzn z łopatami i siekierami, którzy pod okiem Neapolitańczyków przygotowali umocnienia na wzgórzach przed miastem. Kosztowało to La Hoza mnóstwo nerwów i boleśnie nadwyreżyło pokłady jego cierpliwości.

– Niech się pan rozchmurzy, generale! – Fontana starał się zarazić go optymizmem. – Ci ludzie nie są tchórzami, a ja zrobiłem wszystko, co się da, by przygotować ich do walki. Zobacz pan, jacy będą dzielni.

– Proszę zacząć ich rozlokowywać. – Arystokrata zatrzymał się na garbie niewielkiego wzniesienia, skąd mieli dobry widok na drogę prowadzącą z Anagni. – Pięć setek najlepszych strzelców w linii pagórków prostopadłej do traktu. I po pięciuset na obu flankujących wzgórkach, na których zbudowano umocnienia.

– Przyzna pan, że cieśle dobrze się sprawili? Proszę spojrzeć, dzięki użyciu krzaków w ogóle nie widać murków.

– To był dobry pomysł, kapitanie – La Hoz pochwalił kompana, który coraz częściej mu imponował. Łączył w sobie młodzieńczy entuzjazm z wojskowym talentem. – Reszta ludzi niech swobodnie ulokuje się za krzakami i drzewami w środku, niech pali wolnym ogniem, jak popadnie. Polacy pomyślą, że mają do czynienia ze zgrają durnych górali. Na mój znak ci górale mają zacząć się cofać, by podpuścić wroga do ataku. Wtedy Polacy znajdą się w kleszczach między strzelcami zabezpieczonymi fortyfikacjami. Wystarczą dwie, trzy salwy i wyślemy ich wszystkich na tamten świat.

– Francuzi spuścili na nas z łańcuchów swoje wierne pieski – syknął Fontana. – Sami nie zamierzają się pofatygować, by nas uspokoić? Szkoda. Liczyłem, że zasmakujemy dziś francuskiej krwi. A ci Polacy warci są w ogóle aż takiego wysiłku z naszej strony? Tego zastawiania pułapek, budowy umocnień? Przecież to tylko kondotierzy, zwykli najemnicy.

– Widziałem ich w boju. – Generał sięgnął do owalnego futerału u pasa i wyciągnął teleskopowo składaną lunetę. – Nawet sobie pan nie wyobraża, do czego są zdolni. To doskonale wyszkolone wojsko, a dodatku opętane jakąś chorobliwą mieszanką fatalizmu z honorem i przekonaniem o pełnieniu wyższej misji. Nie mogliśmy trafić na trudniejszego przeciwnika, ale zaraz sam ich pan zobaczy, bo chyba już nadciągają.

D'Orlz przyłożył lunetę do oka i wbił spojrzenie w drogę do Anagni, nad którą unosił się tuman pyłu. Kapitan Fontana natychmiast rzucił się, by wydać rozkaz dyslokacji wojsk.

* * *

Major Józef Zeydlitz kiwał się w siodle, starając się nie zasnąć. Do miasteczka dotarli późną nocą, potem odbyła się narada z komisarzem i przesłuchanie mieszczan. Położył się nad ranem tylko po to, by zaraz wstać i szykować się do kolejnego marszu. W Anagni zostawił

komisarza i trzystu pięćdziesięciu francuskich piechurów z 12. Półbrygady Liniowej, których przejął w Rzymie. Sam z trzema kompaniami legionowymi ruszył, by zająć Frosinone. Cieszył się, że udało mu się pozbyć żabojadów. Nie znał ni w ząb ich języka i nie mógł się dogadać z oficerami bez pomocy tłumacza. Głupio mu było ciągle prosić o pomoc towarzyszących mu kapitanów, Downarowicza lub Pokrzywnickiego.

Obaj wspomniani prowadzili idących przodem grenadierów, rosłych skurczybyków, których sam widok zwykle wystarczało, by zbuntowani chłopcy uciekali w popłochu. Major liczył na to, że tak też stanie się tym razem, na wszelki wypadek pchnął jednak przodem, w postaci awangardy, kilku strzelców z Trzeciego Batalionu. Tak tylko, by mieć spokojne sumienie. Zwinni, doświadczeni w myślistwie malcy powinni zlokalizować ewentualne zagrożenie.

Mimo ostrożnych założeń i tak podskoczył w siodle, gdy gdzieś z karłowatego lasu przed nimi gruchnął strzał, a po chwili kilka kolejnych. Zaklął pod nosem i pogonił konia, śmiało wyjeżdżając na przód kolumny. Z lasu wypadło biegiem czterech legionistów z żółtymi wyłogami mundurów.

– Mamałygom chyba ktoś pięty przypalił – stwierdził któryś z grenadierów. – Gnają, jakby ich diabli gonili.

Tymczasem za plecami cofającej się awangardy zagrzmiało jeszcze kilka strzałów. Major pokręcił głową niezadowolony. Frosinone już było widać – białoszary masyw na najwyższym wzniesieniu. Miał już miasto niemal na wyciągnięcie ręki.

– W poprzek całego traktu roi się od buntowników... Zalegają za drzewami i pod każdym krzakiem... – zameldował zdyszany strzelec. – Będzie ich z kilka setek... może więcej...

Kapitan Downarowicz, poruszający się z grenadierami pieszo, zbliżył się do konia majora. Bez słowa spojrział pytająco na dowódcę.

– Atakujemy – chrząknął Zeydlitz. – Nie cofniemy się przecież przed bandą obwiesi. Rozszlachtujemy^[46] kompanie jak zwykle. Grenadierzy w środku, polenta lewe skrzydło, zieloni^[47] prawe. – Odwrócił się w siodle, by słyszeli go wszyscy podoficerowie. – Kompanie formować czworograny!

Na drodze natychmiast się zakłębiło. Strzelcy zbiegli na jedno pobocze, fizyliery na drugie, a w środku zostali grenadierzy. Kolumny marszowe natychmiast zbiły się w podłużne czworoboki. Na prawym, przednim rogu każdego stanął kapitan, który miał za plecami sierżanta. Porucznicy znaleźli się po przekątnej i zamykali każdy tylny róg czworoboku.

– Nabij!

– Włóż bagnet!

– Kompania, naprzód marsz!

Padły kolejne komendy. Nim minęło pół minuty, trzy kolumny polskiego wojska szły przed siebie równym krokiem. Niedługo wyszły na garb pagórka i zaczęły schodzić w dół rozległej doliny, porośniętej pojedynczymi drzewami i kępami krzaków. Zeydlitz, który trzymał się nieco z tyłu, spostrzegł na przeciwległym wzniesieniu, na drodze do Frosinone, samotnego

mężczyznę. Stał z uniesionymi rękami i bez wątpienia przyglądał się Polakom przez lornetę. Major poczuł ukłucie niepokoju.

– Kompanie szyk *un bataille!* Na podwójny odstęp, marsz! – wrzasnął z całych sił, pchnięty podświadomym impulsem.

Legioniści, nie zwalniając kroku, przetasowali się i ustawili w linie, każda złożona z trzech szeregów. Do tego rozsunęli się, by zrobić podwójne przerwy. Czworoboki wyciągnęły się, stały się mniej zwarte. Teraz miały mniejszą siłę przebicia podczas ewentualnego szturm, za to większą siłę ognia, bo strzelać mogli żołnierze z pierwszych dwóch szeregów. Kilka sekund później rozpoczęła się fazyliada. Liczne krzaki i kępy położone naprzeciw Polaków pokryły się, przy akompaniamencie huk, chmurkami dymu z luf muszkietów. Kule zagwizdały w powietrzu, a były ich dziesiątki. Z każdym krokiem Polaków wzgórze zdawało się ożywać. Grzmiało coraz mocniej, dudniło już z setek luf, które wyrzucały z siebie kłęby dymu z palonego prochu.

Któryś grenadier zgiał się wpół i upuścił broń, po chwili zwałił się w trawę strzelec z sąsiedniej kolumny. Polacy nie zostali zmasakrowani, bo rozproszony szyk utrudniał trafienie, poza tym buntownicy zaczęli palić, zanim atakujący znaleźli się w zasięgu skutecznego ostrzału. W dodatku wielu z nich jeszcze nie najlepiej posługiwało się muszkietem i podrywało lufę, wypuszczając kule wysoko nad głowami przeciwników.

Wreszcie buntownicy musieli wstać, by nabić broń, dzięki czemu ukazali się oczom Polaków. Zeydlitz ze zgrozą spostrzegł, że jest ich co najmniej trzy tysiące i wcale nie uciekają w popłochu. Zamiast tego szykowali się do kontynuowania ostrzału. Legioniści znaleźli się już na tyle blisko, że salwa z tak wielkiej masy luf mogła ich solidnie przerzedzić.

– W tyraliery! – krzyknął major.

Piechurzy jakby czekali na ten rozkaz. Natychmiast się rozproszyli, czworoboki rozsypały się po całej łące, zwały ze sobą w jedną luźną gromadę. Polacy zaczęli też strzelać i, jak się szybko okazało, znacznie skuteczniej od buntowników. Kilku powstańców runęło w trawę z dziurami w brzuchach czy głowach lub z krzykiem zwinęło się i złapało za przestrelone ręce albo nogi. Teraz legioniści zaczęli chować się za drzewkami i w zagłębieniach terenu. Nim rozległy się muszkiety papistów, niemal wszyscy dobrze się ukryli.

Zeydlitz wycofał się galopem, bo wokół niego zafurkotały kule. Jakimś cudem żadna go nie trafiła. Za to dostrzegł wreszcie to, czego się obawiał, a co wyczuł intuicyjnie – umocnienia w postaci drewnianych płotów, doskonale zamaskowanych krzakami. Z pewnością czaiły się za nimi kolejne tysiące powstańców, którzy czekali, aż Polacy znajdą się między ich fortyfikacjami. Planowali więc wciągnąć Legion w zasadzkę, pozorując odwrót rozproszonych po dolinie sił. Jak na potwierdzenie tych domysłów strzelający spomiędzy krzaków papiści zaczęli zbierać rannych i zabitych, by zaraz potem małymi grupkami pognać w stronę miasta.

Major spał konia, pochylił się w siodle i pognał w sam środek strzelaniny. Musiał powstrzymać swoich kapitanów, zanim ci wydadzą rozkaz ataku. Gorący wiatr, pachnący

siarką z palonego prochu, uderzył go w twarz i wycisnął łyzy. Koń mknął między dołami, przeskakiwał nad kępami roślin, aż wreszcie oficer znalazł się pomiędzy klęczącymi i leżącymi legionistami.

– Kompanie, nazad! – wrzasnął i zamachał ręką. – Nazad!

Oficerowie i sierżanci powtarzali jego rozkaz, okraszając go przekleństwami i pilnując, by odwrót nie zmienił się w bezładną ucieczkę. Downarowicz wydał grenadierom rozkaz do nabijania i gdy fizyliery cofali się truchtem, wąsacze na komendę wymierzili broń w kłębiących się buntowników i wypalili w nich salwę. Położyli trupem kilku najbardziej rozgorączkowanych papistów. To powstrzymało powstańców przed rzuceniem się do ataku na bagnety. Zrozumieli, że nawet kroczący w tył wróg potrafi dotkliwie kąsać.

Zeydlitz wyjechał z powrotem na drogę, klnąc pod nosem. Niewiele brakowało, a wpakowałby ludzi w śmiertelną pułapkę. Zdjął rogatywkę i wsadził palec w przestrzelinę. Kula minęła jego głowę o włos. Z westchnieniem nałożył czapkę, ciesząc się w duchu, że choć nie zwyciężył, to przynajmniej przeżył i ocalił ludzi.

Spojrzał jeszcze raz na człowieka z lunetą w oddali, ale nie dostrzegł go w tumie Włochów kłębiących się na drodze. Tylko patrzeć, jak się zorganizują i ruszą w pościg. Mieli przecież kilkunastokrotną przewagę liczebną.

– Musimy się stąd zabierać i to szybko – rzekł do kapitana Downarowicza. – Kompanie podwójnym krokiem marsz!

Legioniści ruszyli z powrotem do Anagni, czując na plecach palące spojrzenia powstańców, które zmuszały ich do ciągłego odwracania się za siebie. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że w każdej chwili może runąć na nich tłum wściekłych buntowników. A wtedy na nic zda się wyszkolenie i odwaga. Zginą co do jednego.

Zeydlitz też nerwowo zerkał przez ramię. Zaczął modlić się w myślach, by zdążyli dotrzeć do Anagni, zanim papiści uderzą. W mieście Polacy mieli możliwość ufortyfikowania się w zabudowaniach i szansę obrony do czasu przybycia wsparcia. Major zachodził w głowę, skąd wzięło się tu tak wielu dobrze uzbrojonych buntowników i dlaczego żądni republikańskiej krwi powstańcy jeszcze nie ruszyli do ataku?

* * *

Generał La Hoz rzucił się biegiem w kierunku nadchodzącej procesji. W panującym zamieszaniu powstańcy zupełnie go nie słuchali, a kapitan Fontana znikł gdzieś w tłumie. Zawieruszyli się także inni neapolitańscy oficerowie. Chmara buntowników podnieconych strzelaniną i przegnaniem wroga śpiewała i śmiała się, upojona wygraną. Młodzi ludzie potrząsali muszkietami, starzy kreślili na piersi znak krzyża, wznosząc w podzięcie oczy ku niebu. Od strony miasta maszerowała procesja z licznymi kościelnymi chorągiewami, prowadzona przez tłum zakonników w najróżniejszych habitach. Wygnani z Rzymu i z kilkuset

rozwiązanych prowincjonalnych zakonów, skupili się w tym najbardziej przeciwnym zmianom departamencie. Szkoda, że nie było z nich żadnego wojennego pożytku.

D'Orlz wolałby, żeby duchowni zostali w kościołach i modlili się o pokój, a nie przeszkadzali mu w robocie. Zamiast tego w mnichów wstąpił bojowy zapał i pchali się właśnie między powstańców, nad którymi i tak trudno było zapanować. Generał miał ochotę rwać włosy z głowy. Doprowadzało go do szału żywiołowe rozluźnienie w szeregach buntowników i zupełny brak wojskowej dyscypliny. Gdyby to on dowodził chmarą papistów, ich armia stałaby karnie w kolumnach, czekając na rozkazy, zamiast wpadać sobie w ramiona lub klękać przed nadchodzącymi klechami.

Wreszcie generał dojrzał w tłumie ziemianina w słomianym kapeluszu, niepozornego Calalono. Dopadł go kilkoma susami, brutalnie rozpychając się łokciami w tłumie.

– Gdzie jest kapitan Fontana? – wrzasnął, łapiąc Calalono za ramię. – Musimy natychmiast zebrać ludzi i ruszyć do ataku!

– Teraz? To nie pora na świętowanie? – zdziwił się szeroko uśmiechnięty rolnik. – Ludzie są zmęczeni upałem. Chcą się napić wina. O, oberżysta Trent już jedzie z wozem pełnym beczek!

– Musimy wykorzystać sytuację, przeprowadzić kontratak i rozbić wroga! – La Hoz miał ochotę udusić zadowolonego z siebie mężczyznę. – Inaczej stracimy szansę na odbicie Anagni. Co będzie, jeśli Polaków wesprą Francuzi?

– Rozbijemy ich, jak tych przed chwilą. – Przywódca buntowników wzruszył ramionami. – Ależ się pan przejął! No dobra, zaraz zbiorę chłopców i przegadamy, czy nie puścić się w pogoń. To może wszak być niezła zabawa. Zaraz, zaraz... Prosperi! Di Cola! Chodźcie no tutaj, musimy pogadać!

Generał z westchnieniem lustrował zbierający się sztab powstańców. Prosperi był chudym szewcem, mrużącym słabe oczy, a di Cola młodym chłopcem stajennym w niemożebnie brudnej koszuli. Po chwili dołączył do nich upudrowany jegomość w błyszczącym jedwabiem surducie, Francesco Patughelii – lokalny szlachcic wspierający powstanie. Na całe szczęście z tłumy wypadł też kapitan Fontana, bezskutecznie próbujący ustawić bandy w kompanie. Ludzie rozleźli mu się na wszystkie strony, część się modliła lub spowiadała zakonnikom, inni dopadli do wozu oberżysty, który szczerze rozdawał wino.

D'Orlz uniósł rękę, by przyciągnąć uwagę sztabu. Siłąc się na spokój, zaczął tłumaczyć, dlaczego jak najszybciej powinni przeprowadzić uderzenie. Mówił o wykorzystaniu elementu zaskoczenia, potrzebie odniesienia głośnego sukcesu, którym byłoby wyzwolenie Anagni i wycięcie uciekających Polaków. Każda chwila zwłoki zmniejszała przewagę buntowników.

Kątem oka spostrzegł, że podszedł do nich ksiądz w towarzystwie jakiegoś ponurego typu z krzyżem na piersi. Duchownego znał – to był nieufnie nastawiony do niego ksiądz Giuseppe Trino, towarzyszył mu zaś niejaki Vincenzo Spaziani, zwany Canonico. Ten drugi, awanturnik udający zakonnika, zasłynął z nawoływania do bezlitosnego mordowania republikanów. Trino

przerwał La Hozowi w pół słowa. Mówił ochryplym od krzyków, ale donośnym głosem, w którym niepokojąco drżało szaleństwo:

– Dziś już koniec z rozlewem krwi. Resztę dnia spędzimy na modlitwie! Wpierw odprawimy mszę za dusze naszych poległych braci, potem kolejną, dziękczynną, by podziękować Panu na niebiesiech za cudowne zwycięstwo! – Ksiądz obrócił się, bo wokół zaczęli zbierać się buntownicy, słuchający go niczym wyroczni. – Niepewna gonitwa po bezdrożach za cofającym się wrogiem nie ma sensu, skoro i tak łaska pańska jest z nami. Nie wiemy, czy w Anagni nie czekają na nas tysiące Francuzów. Musimy wysłać ludzi, by zbadali pozycje wroga. Poczekajmy na wieści z sąsiedniego miasta, zanim zaczniemy kontynuować wojnę.

– Nie ma czasu! – eksplodował generał, którego pokłady cierpliwości właśnie się skończyły. – Teraz albo nigdy, zrozumcie to, ludzie! Jeśli mnie posłuchacie, odniesiemy błyskawiczne zwycięstwo, którego tak potrzebuje nasza ojczyzna. W walce z regularną armią musimy być szybcy i drapieżni. Atakować błyskawicznie niczym spadający jastrząb, szarpać wroga i znikać, by uderzyć natychmiast gdzie indziej, najlepiej w naj słabszy punkt. Przeciwnik ujawnił właśnie swoją słabość, odsłonił się. Został zaskoczony, nie spodziewał się nas w takiej sile. Trzeba to wykorzystać!

Canonico podszedł do oficera, uśmiechając się pogardliwie.

– Bóg chce, byśmy się dziś modlili, bracia! – zagrzmał do tłumu. – Musimy umocnić się w wierze, a Ferentino będzie naszą twierdzą. Poczekajmy tu na przybycie ochotników z Frosinone, z Veroli, z Latrii! Jutrzejszego ranka może nas być dziesięć tysięcy, więcej niż Francuzów w całym Państwie Kościelnym i Republice Cisalpińskiej. Nic nam już nie zrobią, są za słabi, by nam zagrozić!

W tłumie rozległy się okrzyki poparcia, a Calalono i szewc Prosperi zaczęli potakująco kiwać głowami. Kapitan Fontana próbował poprzeć propozycję natychmiastowego ataku, ale został zakrzyczany przez bardziej krewkich powstańców. Generał uniósł ręce, by uciszyć zgromadzonych i kontynuować przemowę, ale ksiądz i Canonico natarli na niego z dwóch stron jednocześnie.

– Czemu tak rozpaczliwe pragnie pan nami kierować, co? – warknął Trino. – Który już raz próbuje pan mieszać nam w głowach? Nie potrzeba nam dowódców, którzy nas nie znają.

– Jesteś pan przybyszem z północy Italii, może więc lepiej wróć pan do siebie robić powstanie? – zaproponował Canonico. – My poradzimy sobie sami, wyzwolimy naszą ziemię spod obcego jarzma bez pomocy obcych.

– Generał La Hoz jest moim doradcą wojskowym i działa na zlecenie Królestwa Neapolu! – oburzył się kapitan Fontana.

– Ale my nie jesteśmy w Neapolu – zauważył typ z krzyżem na piersi. – Pan też nie masz tu wiele do gadania. Macie jedynie wspierać nas w walce doświadczeniem bojowym, z rządem poradzimy sobie sami!

– Nie wątpię – mruknął d’Orlz. – Szczególnie po zwycięstwie. Wtedy zawsze jest pełno chętnych do rządzenia, dzielenia łupów i obejmowania władzy.

Fontana machnął ręką ze złością i poprosił generała na bok.

– Niech ich diabli! Potyczkę spędzili za bezpiecznymi miejskimi murami, a gdy przyszli, od razu zapytali o jeńców, których mogliby spalić lub rozedrzeć na strzępy. Banda tchórzliwych fanatyków.

– Niestety, tacy zawsze mają największy posłuch. – La Hoz pokiwał głową. Ku własnemu zaskoczeniu szybko się uspokajał. – Chodźmy napić się wina, zanim młodzieńcy wszystko wychlają. Nie pozostało nam nic innego, jak zrobić, co się da, by hamować tych wariatów i doprowadzić walkę do zwycięstwa. Na szczęście zbyt wiele nie zostało jeszcze zaprzepaszczone.

11 thermidora VI roku ery republikańskiej

(29 lipca 1798 roku)



Zołnierze siadali bezpośrednio na bruku, ale tylko w cieniu rzucanym przez domy i piętrowe kamienice Anagni. Mimo że ledwo minęła dziesiąta rano, słońce zmieniło leniwe powiewy wiatru w suche fale gorąca, przypominające żar buchający z otwartego pieca chlebowego. Legioniści pozdejmowali rogatywki, część używała ich do wachlowania się. Większość żołnierzy nieregulaminowo porozpinała guziki mundurów, zzuła buty i porozwiązywała onuce, by dać odetchnąć ugotowanym stopom.

Wyruszyli w drogę o trzeciej nad ranem i maszerowali szybkim tempem przez siedem godzin bez chwili wypoczynku. Na miejscu zastali strzelców z korpusu majora Zeydlitza, przyczajonych z bronią gotową do strzału na płaskich dachach domów wychodzących na trakt do miasta. Sam dowódca wybiegł z kwatery, gdy usłyszał nadchodzące oddziały, i po raz pierwszy patrzył na legionistów nie z surową pogardą i lekceważeniem, ale z wyraźną ulgą i radością. Jeszcze bardziej mu ulżyło, gdy dowiedział się, że dowodzenie przejmuje francuski generał, Antonio Girardon, który przyjechał na czele szwadronu strzelców konnych.

Kazik rozsiadł się między przyjaciółmi z plutonu kaprała Kleina i wyciągnął blaszaną manierkę. Zostało w niej kilka łyków obrzydliwie ciepłej wody, w dodatku już zalatującej stęchlizną. Pomny przestrogi doktora Hoffmana, z trudem powstrzymał się przed jej wypiciem, wylał ją za to na rozgrzaną i zakurzoną głowę.

Z jednej strony warszawiaka leżał jęczący Bauman, a z drugiej rozłożyli się bliźniacy Kura. Krępe chłopcy sapały z wycieńczenia, ale żaden się nie skarżył. Lux z trudem powstrzymał się przed marudzeniem, choć nogi bolały go jak diabli, dorobił się kilku obtarć na stopach, a w gardle czuł zalegający grubą warstwą suchy pył. Dałby się pokrajać za kilka łyków zimnego trunku. Nawet wspomnienie kwaśnego, młodego wina, które przysługiwało żołnierzom w ilości kielicha mediolańskiego dziennie, spowodowało, że zachciało mu się płakać. Szkoda, że w polowych warunkach nie było co liczyć na kwatermistrzów.

Powinien wziąć się w garść i poszukać studni z wodą dla oddziału, ale nie miał siły się ruszyć. Wolał siedzieć na ciepłym bruku i marzyć o rychłej śmierci. Nikt dłuższy czas się nie odzywał, nawet weseli zwykle chłopcy byli zbyt zmordowani marszem, by podjąć zwyczajowe żarty i błahe dysputy. Tkwili bez ruchu, próbując dojść do siebie po dwudniowej galopadzie.

Oficerowie znikli we wnętrzu ratusza o grubych murach, z pewnością zapewniających

przyjemny chłód. Przez rynek stępem przejechał szwadron strzelców w zielonych mundurach, ale tym razem Francuzi darowali sobie złośliwości i zignorowali zmęczonych Polaków. Po chwili z dachów poschodzili polscy strzelcy z Trzeciego Batalionu i uformowali kolumnę marszową. Razem z francuskimi kawalerzystami mieli za chwilę wyruszyć w kierunku Ferentino jako rozpoznanie i straż przednia. Prowadził ich osobiście generał Girardon, pewny siebie jegomość w średnim wieku z dwurożnym kapeluszem na głowie i imponującymi, ciężkimi epoletami na ramionach.

– Och, nie – jęknął gefrajter Stachowski. – Awangarda już rusza. Znaczy, że dadzą nam godzinę lub dwie i pogonią za nimi.

– Szykuje się porządna bitka – stwierdził Anzelm Kura ze stoickim spokojem. – Zatem pora na ostatnią fajeczkę przed ubijaniem Bogu ducha winnych braci katolików.

Wyciągnął własnoręcznie wystrugany cybuch, który nabił resztkami tytoniu ze smętnie pustego woreczka. Potem wygrzebał z kieszeni hubkę, a z patrontasza jedną z zapasowych skałek do muszkietu. Dobył także bagnetu z pochwy u pasa i uderzając o żelastwo krzesiwem, zaczął krzesać iskry. Hubka jednak nie chciała się zapalić. Legioniści obserwowali jego przeciągające się wysiłki w milczeniu.

– Nie pali się, zły znak – stwierdził brat palacza.

– Bo zamokła, kurwa jedna – warknął rozsierdzony Anzelm. – Od potu. Gówno tam, a nie zły znak.

– Mówię ci, że kiedy przez bitwą dzieje się coś takiego, to pewnikiem omen – upierał się Alojzy. – Pamiętasz tego kapitana, co to poległ w pierwszym naszym szturmie pod Wenecją? Przed bitwą własna kobyła go ugryzła, potem wiatr strącił mu czapkę z głowy prosto pod kopyta, a kiedy prowadził nas do ataku, pistolet mu nie wypalił, bo proch na panewce zamókł. Toć oczywiste było, że mu los nie sprzyja. Same złe omeny, jak pragnę zdrowia.

– A co to ma wspólnego z moją hubką, ty durny baranie?! – Anzelm ryknął na brata, czym przyciągnął uwagę wszystkich legionistów na rynku.

– Przeca to jawny znak niebios, byś się nie pchał dziś do pierwszej linii! Kiej ci zaś czarny kot drogę przebiegnie, wiadomo, że spotka cię nieszczęście, tak? Wszędzie są znaki od losu, wystarczy się jeno rozejrzeć. Pękł ci dziś rano flintpas, wlałeś na szlaku w kolczaste krzaki, gdy się chciałeś odlać, a tera zamokła ci hubka. Masz dziś pecha, pacanie!

– Pecha? Ac mam ci pokazać, kto ma dzisiaj pecha? Przyfasolić ci w pysk?

– Głupek. Trza odczynić zły los, przegonić go zaklęciem. Tak nasza babka mówiła, już nie pamiętasz, co trza zrobić?

– Gusła mam czynić? Skakać i spluwać przez lewe ramię? Chcesz mnie na pośmiewisko wystawić? Czekaj, zaraz z tobą zatańczę.

Bracia wstali jak na zawołanie, patrząc na siebie gniewnie. Gorąco i zmęczenie, zamiast ich ostudzić, tylko dołało oliwy do ognia, nic już chyba nie docierało do rozgrzanych głów. Kazik zorientował się, że zaraz skoczą na siebie z pięściami. Tylko bójki mu brakowało do sumy

kłopotów. Za wszczęcie awantury w czasie operacji wojennej dwaj krewcy chłopci stanęliby przed plutonem egzekucyjnym.

– Różnie to bywa z wiarą w rzeczy nadprzyrodzone – odezwał się w ostatniej chwili. – Na polskich wsiach mówią, że nie wolno jeść posiłków w czasie burzy, bo się kusi los. Zawsze uważałem to za bzdurę, ale któregoś dnia do Szpitala Dzieciątka Jezus przywieźli młodą kobietę, która przyrządziła obiad i podała go chłopu w czasie burzy. Piorun wałnął przez komin, gdy siedli do posiłku. Chłopa tylko ogłuszyło, babie osmaliło głowę, oślepiło i odebrało mowę. Mówili, że w ciągu chwili zestarzała się o dwadzieścia lat.

Wstał i stanął między bliźniakami, patrzącymi na niego z ciekawością.

– To szczerą prawdą. Są na ziemi rzeczy niezrozumiałe dla nauki – wtrącił się Bauman. – W Sochaczewie dokuczała nam kiedyś okropna susza, było gorąco jak dzisiaj, tylko że przez wiele dni. Woda w Bzurze niemal całkiem wyschła, zasiewy szlag trafił, jabłonie zaczęły usychać i zanosilo się, że zimą wioska będzie cierpieć głód i biedę. Wtedy pewna wiedźma, która mieszkała za opłotkami, powiedziała, że to przez piórowate. Kiedy kur jest w jednym miejscu za dużo, przestaje padać deszcz, a ziemia wysycha. Tak mówi ludowa mądrość. Początkowo nie chcieliśmy dać wiary słowiańskim bajdom, ale rabbi machnął ręką i rzekł, że warto spróbować. Wzięliśmy się do roboty, a w zamieszaniu pod nóż poszły wszystkie koguty, kury, kaczki i gęsi. Poukręciliśmy łby kurczakom i młodym przepiórkom. Aniśmy się obejrzieli i wszystkie pierzaste w okolicy zostały ubite.

– I co? – spytał Stachowski.

– Nocą lunęło jak z cebra i lało przez kilka dni bez przerwy. Woda z rzeki wylała na pola i wypłukała to, co nie zdążyło wyschnąć. Wiatr połamał drzewka w sadach i zerwał dachy w sześciu chałupach. Utopiły się trzy krowy pasące się na łące, a woda porwała stado kóz należących do Mosze, syna Szai.

– Matko Boska – przeżegnał się poblądły z wrażenia Anzelm.

– Potem wiedźma rzekła, że to przez nas, durnych Żydów, bośmy wymordowali cały drób, a mieliśmy jedynie zmniejszyć jego pogłowie – zakończył Majer.

Kazik z trudem powstrzymał się przed uśmiechem, klepnął Anzelma w plecy i pokiwał z powagą głową.

– Odczyń lepiej pecha, a ja w tym czasie poszukam wam czegoś do picia. No, nie ma się na co gapić – podniósł głos, zwracając się do legionistów, którzy zbliżyli się w oczekiwaniu na widowisko w postaci bijatyki. – Zajmijcie się sprawdzeniem broni, bo niedługo pewnie wyruszymy w dalszą drogę.

Razem z Kleinem pozbierali manierki chłopaków z plutonu i we dwóch wyruszyli w głąb miasteczka w poszukiwaniu czegoś do picia. Lux, któremu humor znacznie się poprawił, zamierzał postarać się o wino, które najlepiej gasiło pragnienie wywołane italskim słońcem. Po drodze minęli wjeżdżającego na rynek doktora Hoffmana, siedzącego na grzbiecie osiołka. Podróżował w towarzystwie dwóch innych legionowych chirurgów, również warszawskich

Żydów, Rittera i Kinzela. Medycy pozdrowili piechurów i skierowali się do ratusza.

Hoffman przed wejściem przywitał się ze stojącym w cieniu majorem Chłopickim. Surowy oficer z uśmiechem przyglądał się wygłupom legionistów. Anzelm Kura skakał właśnie na jednej nodze, kręcąc się wokół własnej osi i spluwał przez lewe ramię. Fizylierzy śmiali się i klaskali mu na zachętę.

– Cóż to za zabawa? – spytał lekarz.

– Zasługa naszego młodego sierżanta – odparł oficer. – Udało mu się powstrzymać bójkę i zamienić ją w nieszkodliwą krotoczwilę. Ma chłopak naturalny talent dowódczy, z którego nie zdaje sobie jeszcze sprawy. Żołnierze chętnie go słuchają, a do tego jest lubiany.

– Zupełne przeciwstawieństwo Zeydlitza – zauważył Hoffman.

– Szef batalionu nie musi być lubiany, ważne, by budził respekt. Lux jednak nie jest sztabsoficere, a sierżantem. Pełni funkcję łącznika między kadrą dowódczą a prostymi żołnierzami. I w tej roli sprawdza się coraz lepiej. Intuicyjnie wyczuwa, jak radzić sobie z ludźmi, powinien również sam nauczyć się, gdzie jest dopuszczalna granica w poufałości z piechurami i że nie wolno mu zaniedbywać własnego rozwoju. Jeśli jej nie wyczuje i za bardzo zwiąże się ze zwykłym wojskiem, na zawsze zostanie sierżantem. Świetnym i bardzo cennym dla armii, ale nienadającym się na oficera.

– Kimś jak starszy sierżant Rolewicz?

Chłopicki tylko skinął głową. Cenił Rolewicza, żelazną ręką trzymającego kompanię, ale nie przepadał za nim. Stary wojak miał w sobie coś odpychającego, zbyt wiele prostactwa i zwierzęcej brutalności. Nie pasował do kadry, zarówno wykształceniem, jak i obyciem. Nie zanosilo się, by kiedykolwiek dostąpił zaszczytu przypięcia oficerskich epoletów.

* * *

Generał La Hoz po raz trzeci z rzędu lornetował teren u podnóża miasta. Ferentino, dzięki temu, że leżało na wzgórzu i otaczały je średniowieczne mury, było doskonale przygotowane do obrony. Wystarczyło rozlokować buntowników na blankach, obsadzić nimi bramy i obrona była przygotowana. Poniżej miejskich murów znajdował się jeszcze pagórek pokryty umocnieniami z drewna, a za nim most na niewielkiej rzeczce. Polacy i Francuzi będą zmuszeni pokonać obie przeszkody, nim dotrą do murów. Na umocnieniach, w postaci płotów z belek i zwalonych na boki wozów, kłębiło się od byłych żołnierzy Państwa Kościelnego pod dowództwem kapitana Fontany. Most obstawiały dwie setki powstańców na czele z Calalono. Przeciwnik powinien solidnie się wykrwawić na tych zaporach. A potem wyszczerbi sobie zęby na murach. Miasto powinno się zatem utrzymać.

Arystokrata drgnął, gdy na pobliskiej wieży kościelnej niespodziewanie uderzono w dzwon. Znaczyło to, że czujki dostrzegły nadchodzącego przeciwnika. Wreszcie. Najpierw nie sposób było przekonać powstańców do przeprowadzenia kontrataku, a następnego dnia do

cierpliwości i ufortyfikowania miasta. Wzmocnieni napływającymi nieustannie ochotnikami buntownicy palili się do ataku na zajęte przez republikanów Anagni, ale zgodnie z obawami generała Polacy doczekali się posiłków i sytuacja nieco się zmieniła. Teraz lepiej było nie ryzykować walki z nimi na otwartym terenie. Bezpieczniej przyjąć ich u bram miasta, na swoich warunkach. Powstańcy kipieli z niecierpliwości, więc pojawienie się wroga nawet d'Orlz przyjął z ulgą.

Dowodzący obrońcami bramy szewc Prosperi ukłonił się oficerowi grzecznie, gdy ten wychodził za mury. Po drodze generał minął kolejną procesję prowadzoną przez księdza Trino, tym razem niewielką, złożoną głównie z zakonników i kilku starych kobiet. Pochód obszedł umocnienia na pagórku, które zostały poświęcone, a obsadzający je powstańcy pobłogosławieni ręką duchownego i skropieni wodą święconą. Teraz, gdy bezboźnicy pojawili się na drodze do miasta, Trino szybkim krokiem skierował się za bezpieczne mury. Oczywiście zignorował La Hoza, który uchylił przed nim kapelusza.

– Chyba mają kawalerię? – Generał stanął obok kapitana Fontany.

– Szwadron strzelców konnych – odparł oficer z uśmiechem. – Do tego jedna polska kompania piechoty. Siły jeszcze mniejsze niż wczoraj.

– To tylko awangarda, która ma zrobić rozpoznanie przed bojem. Nie przystąpią na poważnie do szturm, pewnie skończy się na wymianie ognia. Znów wystraszymy ich przewagą liczebną.

– Może tym razem poprowadzić kontrnatarcie? Chłopcy aż się do niego palą.

– Lepiej nie, ich kawaleria marzy, byśmy wychylili się zza umocnień – odparł d'Orlz. – Lepiej niepotrzebnie nie wykrwawiać pana żołnierzy, to jedyni zawodowi wojacy, którymi dysponujemy.

Przy dźwiękach trąbki francuscy jeźdźcy z kolumny przeformowali się w dwuszereg. Po chwili polscy piechurzy zeszli z drogi i rozsypali się w tyralierę. Bez chwili zwłoki zaczęli się wspinać po pochyłości pagórka, poganiani okrzykami oficerów, wydawanymi w dziwnym słowiańskim języku. La Hoz i Fontana cofnęli się za ostatnie umocnienia na szczycie wzniesienia.

Kapitan dał znak i zagrzmiała pierwsza salwa. Jak na komendę Francuzi spięli konie i pognali galopem, mijając maszerujących w luźnym szyku Polaków. Podjechali na odległość nie większą niż dwadzieścia kroków do pierwszej linii umocnień i wymierzili ze swoich krótkich karabinków. Wypalili do buntowników salwę i pogalopowali w dół, zanim Włosi zdążyli nabić broń.

– Cholera, mamy kilkunastu postrzelonych – warknął Fontana – a Polacy nawet jeszcze nie zaczęli do nas pukać.

– Idą w luźnym szyku i nasze salwy nie zrobią na nich wrażenia, za to ułatwią robotę strzelcom konnym, którzy będą wykorzystywali przerwy w nabijaniu przez nas broni, by podjechać i wypalić z bardzo bliska – spokojnie powiedział generał. – Dlatego proszę wydać

rozkaz wolnego strzelania.

Kapitan skinął głową i wykrzyczał polecenie. Polacy, gdy znaleźli się w zasięgu ognia, zwolnili, zaczęli klękać za krzakami, kłaść się za większymi kamieniami, chować w dziurach i nierównościach terenu. Mierzyli bez pośpiechu, dokładnie i pewnie. Po ich pierwszych strzałach La Hoz schylił się i schował za pochyłym murkiem z belek. Rozległy się krzyki bólu i jęki ciężko rannych, nawoływania pomocy i przekleństwa, niestety tylko po italsku.

– Schowaj się pan, do diabła! – Generał pociągnął młodszego oficera za rękaw. – To nie byle fizyliery, a pieprzeni strzelcy, uzbrojeni w nowoczesne karabiny.

– Walą do nas jak do kaczek – syknął ze złością Fontana. – Musimy zaatakować, inaczej wystrzelają mi ludzi.

Obaj wiedzieli, że gwintowana broń w rękach setki doświadczonych żołnierzy po pewnym czasie zmasakruje obrońców. Strzelcy celni, jak Polacy nazywali wojaków posługujących się precyzyjnymi karabinami, byli wyszkoleni właśnie do takiego sposobu walki. Na nic zda się przytłaczająca przewaga liczebna powstańców.

– Nie możemy ruszyć na bagnety, niech pan nie zapomina o kawalerii, która tylko na to czeka – warknął La Hoz.

Przeklął w myślach spryt wrogiego dowódcy. Widział go, siedzącego na koniu Francuza w dwurożnym kapeluszu założonym w poprzek, w stylu *en bataille*. Żabojad idealnie wykorzystał atuty niewielkich sił, którymi dysponował. Zgodnie z przewidywaniami Fontany coraz więcej powstańców cofało się w kierunku miasta – pod pozorem wnoszenia z pola bitwy rannych towarzyszy. Ogromne siły obrońców szybko przez to topniały.

– Musimy cofnąć się za most – westchnął d’Orlz. – Pierwsza linia obrony jest stracona.

* * *

Major Zeydlitz z zadowoleniem patrzył na polskich strzelców, triumfujących na zdobytym pagórku. Udało się odepchnąć znaczne siły buntowników bez żadnych strat własnych. Choć trudno w to uwierzyć, wśród Polaków nie było poległych ani ciężiej rannych. Papiści bronili się zajadle i z fanatycznym poświęceniem, ale nie mieli szans w wymianie ognia z doskonałymi strzelcami.

Wjechał konno na szczyt zdobytego wzniesienia i łaskawie skinął głową dowodzącemu strzelcami kapitanowi Borowskiemu. Potem spojrzął w dół na strumień płynący pod miejskim wzgórzem i na niewielki most przez niego przerzucony. Kłębiło się na nim od powstańców. Nad ich głowami powiewały sztandary z Matką Boską, a powietrzem wstrząsało dudnienie dzwonów. Teraz należałoby poczekać na przybycie głównych sił. Zeydlitz obrócił się w siodle i ze zmarszczonymi brwiami spojrzął na drogę. W oddali unosił się tuman kurzu, wzbijanego przez maszerujące wojsko. Za pół godziny powinno dołączyć około tysiąca żołnierzy.

Niespodziewanie na pagórek wjechał też francuski generał. Uśmiechnął się do Zeydlitza,

wskazał miasto i coś powiedział. Major przeklął brak zdolności językowych i lenistwo, przez które nigdy nie nauczył się francuskiego. Odpowiedział zatem wymuszonym uśmiechem i wzruszył ramionami. Generał powtórzył wypowiedź, tym razem głośniej. Potem dodał jeszcze pytanie, wreszcie westchnął. Wskazał na uformowaną karnie kolumnę polskich strzelców, a potem na most.

– *Polonais, allez voir*^[48]!

Tego Zeydlitzowi nie trzeba było tłumaczyć. Domyślił się, o co chodzi. Miał zdobyć most, nie czekając na przybycie większych sił. Zasalutował i zeskoczył z siodła. Rzucił wodze młodemu żołnierzowi, którego miał za ordynansa, i szybkim krokiem podszedł do kolumny wojska. Po raz pierwszy spojrzał uważnie w twarze żołnierzy. Strzelcy sprawiali wrażenie zadowolonych i pewnych siebie. Przeniósł wzrok na kapitana Borowskiego, trzydziestolatka o dużym doświadczeniu bojowym, w dodatku ponoć lubianego przez podkomendnych.

– Podchodzimy linią *en bataille*, dajemy salwę, potem robimy zwartą kolumnę do ataku na bagnety – krótko zaordynował całą taktykę. – Mamy zdobyć ten mostek, natychmiast.

Kapitan wydał rozkaz nabicia broni, rozwinął szyk i ustawił się na prawym skrzydle. Zeydlitz wahał się chwilę, a potem stanął z drugiej strony, w pierwszym szeregu. Miał okazję, by zmasać hańbę wczorajszej porażki. Wypada choć spróbować, przynajmniej nie zginie z plamą na honorze. Dobył szabli, wskazał most i ruszył do ataku jako pierwszy.

Zanim dotarli do mostu, w twarz uderzyła go chmura dymu z powstańczej salwy. Oczy wypełniły się łzami i przez chwilę major nic nie widział. Któryś ze strzelców krzyknął i osunął się na kolana. Potem padła polska salwa, zakotłowało się i zwarta kolumna, z basowym pomrukiem gniewu wyrywającym się z gardeł, ruszyła do ataku na bagnety, ciągnąc ze sobą majora Zeydlitza.

* * *

Kazik zapomniał o zmęczeniu, żyły wypełnił mu żar nadchodzącej bitwy. Podniósł głowę, wyprostował się, maszerując coraz raźniejszym krokiem. Zresztą wszyscy żołnierze z kompanii jakby ożyli, gdy usłyszeli powtarzające się palby i krzyki, poczuli zapach palonego prochu i zobaczyli porozrzucane na pagórku i małym mostku trupy buntowników. Przed atakującymi Polakami wznosiło się kamienne miasto, którego mury co chwila rozbłyskiwały wystrzałami. Dzwony biły nieustannie, werble tłukły wściekły rytm. Rozbudzeni fizylierzy, którzy dopiero dotarli pod Ferentino, byli gotowi dołączyć do ataku.

– Stój! Do nogi broń! Spocznij! – niespodziewanie rozkazał kapitan Biling. – Pora na rasztag^[49].

Kolumna się zatrzymała, żołnierze z westchnieniem ulgi zdjęli muszkiety z ramion i oparli je kolbami o ziemię. Kapitan pognał do zbierającego oficerów majora Chłopickiego. Zanosiło się na dyskusje sztabowców przed podjęciem ataku na miasto. Kazik ochłonał po pierwszej

chwili uniesienia i krytycznie przyjrzał się średniowiecznym murom. Rzeczywiście, szturm z marszu byłby trochę bez sensu, bo piechurzy nie mieli ze sobą drabin. Brama natomiast wyglądała na solidną i dobrze obsadzoną. Zanim porąbaliby ją siekierami, poległoby mnóstwo legionistów.

– Lux, do mnie! – rozległ się znajomy, chrypiący głos, od którego chłopakowi ciarki przeszły po plecach.

Przez ostatnie dwa dni marszu miał Rolewicza z głowy, bo stary bandzior był zajęty pełnieniem obowiązków i nie czepiał się swoich ulubieńców. Czego teraz chciał ten straszny człowiek? Warszawiak opuścił szyki i zameldował się hersztowi, stojącemu w pewnym oddaleniu od kolumny. Towarzyszył mu drugi dryblas, sierżant Majewski.

– Wygląda na to, że będziemy szykować się do szturmowania – oznajmił Rolewicz swoim dwóm sierżantom. – Ta kanalia, Zeydlitz, otworzył drogę do miasta i zaraz będzie proponował buntownikom kapitulację. Ać, patrząc na to, jak machają chorągwiami, drą mordy i nam wygrażają, odpowiedzą mu raczej kopniakami.

Kazik zmarszczył brwi, wytyczając wzrok. Nielubiany, nadęty major podjechał konno do bramy w towarzystwie któregoś z oficerów mówiących po włosku. Rozpoczęły się krótkie paki. Po pierwszych zdaniach wykrzyczanych przez tłumacza powietrzem wstrząsnął huk wystrzałów i bramę zasłoniły kłęby dymu z luf muszkietów. Zeydlitz spiął konia i galopem, ścigany szyderstwami oraz obelgami, oddalił się na bezpieczną odległość.

– Świetnie – ucieszył się Rolewicz. – Tera przyjdzie pewnie nasza kolej. Kiedy wędzemy się do miasta, trza będzie szturmować budynki, wybuchnie zamieszanie, dzięki któremu dojdzie do tradycyjnych mordów i grabieży. To dla nas wymarzona okazja. Nadarzy się szansa, by złupić także kościoły, ale z tym ostrożnie, chłopcy, bo za bluźnierczą grabież rozstrzelają nas na miejscu.

Młodzieniec patrzył na starszego sierżanta z mieszaniną niesmaku i zakłopotania. Rolewicz miał go już za zaufanego grasanta, członka swojej bandy. Chłopak nie miał pojęcia, jak się teraz wycofać. Jeśli powie, że nie interesują go kradzieże, a jedyna, której się dopuścił, była konsekwencją głupiej, szczeniackiej miłości, tylko oberwie w łeb i zostanie przywołany do porządku przez mającego ciężką rękę brutala. Przytakiwał więc, a wewnątrz gotował się z obrzydzenia do bandytów i samego siebie.

– Rozmawiałeś już ze swoimi chłopcami, Lux? – Rolewicz wskazał skinieniem głowy przyjaciół Kazika. – Można im ufać? Nie będą pleść jak przekupki na targu?

– Pewno, że nie będą – niepewnie bąknął młody sierżant.

– Dobra. Dzielimy się, jak widziałeś w rachunkach: ja zajmuję się upłynnieniem przyzu i bezpieczeństwem, biorę więc połowę na fundusz prywatnego korpusu weteranów, któremu finansowo patronuję. Resztę dzielimy po równo, chyba że który się miga lub tchórzy, wtedy dostaje w nagrodę sztyletem pod żebro, jasne? – tłumaczył starszy sierżant. – Powiedźcie swoim, by nie łaszczyli się na zbyt duże kłamoty ani żadne rupiecie. Bierzemy tylko

najcenniejsze rzeczy, świecidełka, złoto, lichtarze, a z kaplic przedmioty liturgiczne. Pakować na dno plecaków, a jeśli się zapełnią, wywalać gacie i zimowe płaszcze. Jeśli któryś z chłopaków zostanie ranny, zapełnimy mu plecak fantami, żeby pojechały z nim wygodnie, na wozie, do Rzymu. W ten sposób przemycimy część łupów. To samo robimy, gdy któryś z nas padnie trupem... znaczy, naszpikujemy go łupami.

– A jeśli znajdzie je któryś z doktorów lub noszowych? – spytał Kazik.

– Gównu znajdzie – warknął Majewski. – Nie będą grzebać rannemu czy trupowi w plecaku i kieszeniach, a jeśli tak się stanie, będą mieli z nami do czynienia. Zastraszy się takiego wydaniem w łapy francuskiego sądu polowego i zwerbujecie do naszej zbójczej kompanii.

Lux przełknął ślinę. Plugawy interes Rolewicza zaczynał się rozwijać. Będzie rósł w siłę z każdym zdobytym miastem. Chłopak zaczął się poważnie zastanawiać, czy nie zaryzykować i nie powiadomić o wszystkim masonów. Tylko jak wytłumaczyć swój udział w tym wszystkim i kradzież królewskiej broni, która obciążała mu nie tylko pas, lecz także sumienie?

Odruchowo położył dłoń na rękojeści karabeli, choć dotychczas starał się unikać nawet myślenia o niej, a co dopiero mówić o dotykaniu. Za bardzo przypominała mu o Editcie i własnej naiwności. Najchętniej cisnąłby żelastwo w krzaki, miał ku temu okazję setki razy w czasie marszu, ale za nic nie potrafił się na to zdobyć.

– Pewnie w boju się rozdzielimy – kontynuował Rolewicz. – Jeśli do tego dojdzie, a potrzebna będzie pomoc, miejcie przy sobie dobosza. Niech bije sygnał na capstrzyk, to będzie znak, że moi łupieżcy mają ruszyć z odsieczą. Tak samo sygnalizujecie, gdy znajdziecie tyle łupów, że nie uda się ich wam samym wynieść. Wtedy pomyślimy nad zorganizowaniem transportu. Można ładować skarby na wózek do przewozu trupów i przywalić ciałami. Ale o to będziemy się martwić, gdy przyjdzie co do czego.

Warszawiak przytakiwał, nerwowo zagryzając wargi. Miał już tego wszystkiego serdecznie dość. Najgorsze, że nie widział sposobu na ucieczkę z matni, w którą sam się wpakował. Wszystko przez zbytnią wrażliwość na niewieście wdzięki. Jeśli jakimś cudem wydostanie się z tego bagna, poprzysięgnie przed świętym obrazem, że nigdy nie dotknie kobiety. Nawet nie spojrzy na zbyt powabną niewiastę. Chuć będzie zaspokajał zimnymi kąpielami, głodzeniem się i biczowaniem.

W roztargnieniu spojrzał ponuro na przejeżdżających obok jeźdźców. To był generał Girardon, do którego właśnie podjechał kapitan strzelców w towarzystwie swego przybocznego. Lux zmierzył się wzrokiem ze zniechęconym Francuzem, na którego nieustannie się natykał. Ten, widząc spojrzenie piechura, pogardliwie wyduł usta.

* * *

Kapitan Dominique Precheur zsalutował sprężyście dowódcy, który odpowiedział niedbałym machnięciem. Generał oderwał się właśnie od lornetowania miasta i dla odmiany

popatrzył do tyłu, na nadciągającą baterię artylerii konnej, a potem na szwadron strzelców w zielonych mundurach. Później przeniósł spojrzenie na adiutanta kapitana i uśmiechnął się do niego przyjacielsko.

– Kogo ja widzę! Toż to młody de Villard! Jak się masz, drogi chłopcze? Co tam u ojca?

– Wszystko w porządku, generale, dziękuję za troskę. Często wspomina wasze przygody w „białych mundurach”.

Girardon pokiwał głową z uśmiechem. Młodzieniec miał wycucie i zamiast wspomnieć o wspólnej służbie w królewskim wojsku, nawiązał do noszonej za Ludwika barwy umundurowania piechoty. To brzmiało znacznie delikatniej w republikańskiej armii, która zdecydowanie odcinała się od rojalistycznej przeszłości. Zresztą z tego właśnie powodu ojciec Antoine’a przeszedł w stan spoczynku, a jego syn nie dostał zaszczytu otrzymania szlifów oficerskich. W dawnych czasach po prostu kupiłby patent, który z racji szlacheckiego urodzenia i tak mu się należał. No cóż, czasy się jednak zmieniły i by awansować w republikańskiej armii, nie wystarczył pełen trzos i szlachezny rodowód. Ten ostatni nawet bardzo przeszkadzał.

– Cieszę się, że staruszek radzi sobie jakoś poza armią – dodał generał, podziwiając doskonałą postawę młodego jeźdźca. – A jak ty sobie radzisz jako kawalerzysta? Widziałem, że zrobiliście kilka ładnych szarż.

– To była tylko zabawa – skromnie odparł Antoine. – Ustrzeliliśmy kilkunastu papistów bez strat własnych. Było to proste jak strzelanie do dzikich kaczek.

– Ach, polowania w normandzkich lasach twojej rodziny to było coś. – Girardon uśmiechnął się do wspomnień. – No dobrze, wróćmy jednak na ziemię. Pan wybaczy, kapitanie, że uciałem sobie pogawędkę z pańskim podkomendnym. Czeka nas zdobywanie miasta.

– Mogę kazać konnym atakować pieszo, by zwiększyć siły szturmowe – zaproponował Precheur.

– To nie będzie potrzebne. Zamierzam oszczędzić wam wysiłku. – Dowódca pokręcił głową. – Zdobędziemy to miasto wyłącznie siłami polskiego wojska. Po pierwsze, szkoda mi francuskich żołnierzy, gdy pod ręką mam kondotierów. Po drugie, chcę ich wypróbować. Mówi się, że skrycie sprzyjają papistom.

– To banda bigotów, która modli się przy każdym spotkanym krzyżu. – Kapitan skinął głową. – Mają jednak wielu oficerów o republikańskich przekonaniach i myślę, że będą ofiarnie bić buntowników.

– Chyba że szeregowie wojsko się zbuntuje i przejdzie na stronę powstańców – wtrącił Antoine. – Wszak to sami katolicy. Byłem świadkiem, jak polscy strzelcy żegnali się na widok kościelnych sztandarów powiewających na umocnieniach i murach Ferentino.

– Hm, to może być ciekawa bitwa. – Zasepił się Girardon. – Ustawię nasze trzy kompanie piechoty w linię za plecami Polaków. Wy stańcie na lewym skrzydle, chcę mieć was pod ręką.

W razie gdyby nasi polscy sprzymierzeńcy nagle zmienili stronę, podziękujemy im salwą prosto w plecy, a następnie waszymi szablami.

– Doskonały plan, generale – stwierdził Precheur.

– Proponuję, by kilku strzelców konnych stanowiło pana gwardię przyboczną – dodał Antoine. – Niech pan spojrzy na te zakazane gęby słowiańskich katolików. Lepiej, by w razie czego miał pan ochronę.

Dowódca spojrział we wskazanym kierunku, gdzie stało trzech rozmawiających ze sobą polskich sierżantów. Jeden z nich, wysoki, szczupły młodzieniec, sprawiał wrażenie sympatycznego i inteligentnego, za to dwóch jego towarzyszy rzeczywiście wyglądało jak wyciągniętych z rynsztoka.

– Proszę mi zostawić sześciu jeźdźców – westchnął generał. – Minęła już siedemnasta, dobrze byłoby do zachodu słońca spacyfikować Ferentino. Proszę podciągnąć tu artylerię konną, ułatwimy Polakom robotę.

* * *

Szawc Prospero stał na czele sporego tłumu mieszczan uzbrojonych w siekiery, sztylety i kije. Zgromadzili się za solidną, drewnianą bramą w oczekiwaniu na chwilę, gdy Calalono wyda rozkaz do otwarcia wrót i zaatakowania Polaków i Francuzów. Młodzi katolicy byli pełni zapału i chcieli jak najszybciej ruszyć na bezbożników, którzy zabijali księży i wygnali jak psa samego Ojca Świętego. Musieli tylko poczekać, aż republikanie ruszą do szturmowania i zostaną zmasakrowani ostrzałem obsadzających mury ludzi kapitana Fontany. Poszatkowanych huraganowym ogniem żołdaków da się łatwo wyróżnić. Może też uda się dopaść dowódców i wziąć ich do niewoli? Wtedy znów zapłoną stosy, które tak obiecuje ksiądz Trino.

Rzemieślnik zaczął przechadzać się wśród podekscytowanej młodzieży, coraz mocniej palącej się do wymierzenia sprawiedliwości bluźnierczym najeźdźcom. Poklepywał ochotników po ramionach, ścisnął spoczone ręce, dodając otuchy uśmiechem i dobrym słowem. Dziś mieli zasmakować krwi, nic dziwnego, że byli tak podekscytowani. Być może kilku z nich zostanie rannych lub zabitych..

Tymczasem doszły do jego uszu jakieś wściekłe okrzyki. To na placu przed bramą znów awanturował się generał La Hoz. Ten dumny Lombardczyk ciągle sprawiał wrażenie niezadowolonego. Teraz uparł się, by ufortyfikować domy stojące zaraz za wrotami i przerobić je na małe twierdze. Gdyby wróg wdarł się za bramę, można by razić z okien i dachów wbiegających do miasta legionistów. Calalono nie palił się ze spełnieniem propozycji generała, szkoda mu było niepotrzebnego wysiłku. Wreszcie z murów zszedł Fontana, zasugerował Calalono, by to on dowodził ostrzałem z umocnień, a sam zabrał się do ufortyfikowania wskazanych przez d'Orla budynków.

Prosperi machnął na to ręką. Całe szczęście, że ksiądz Trino i jego pomagier Canonico obserwowali oblężenie z wieży katedry stojącej na szczycie wzgórza i nie mogli uczestniczyć w sporze. Wszystkimi oszczędziło to niepotrzebnych nerwów, bo z pewnością doszłoby do kolejnej awantury z La Hozem. A tak generał sprawiał wrażenie udobruchanego, bo już po chwili kilkudziesięciu strzelców ulokowało się w oknach i na dachach sąsiadujących z bramą domów. Fontana przemieszał zawodowych żołnierzy z rozwiązanej Gwardii Papieskiej i rzymskiej armii z młodymi ochotnikami. Dzięki temu udało mu się stworzyć w miarę zwartą kolumnę najeżoną bagnietami, która miała czekać w głębi ulicy na rozwój wypadków. Prosperi dziwił się, po co te niepotrzebne zabezpieczenia, przecież republikanie w życiu nie sforsują bramy. Grube bale, z których ją zrobiono, bez problemów wytrzymają szturm kilku setek polskich żołdaków.

Wtem powietrzem wstrząsnął ryk gromu, a po chwili głuche dudnienie. Ziemia się zatrzęsała, z murów posypał się pył na buntowników zgromadzonych za bramą. Prosperi potrząsnął głową, na chwilę zupełnie ogłuszony. Piorun z jasnego nieba? Burza w biały dzień? Co to było, u diabła?

Kolejny grzmot zadudnił we wrota. Struga drzazg wystrzeliła z rozerwanych bel bramy wprost w młodych buntowników. Prosperi ścisnął w garści szablę, którą dostał od Neapolitańczyków jako jeden z przywódców powstania. Zrozumienie przyszło po długiej chwili, kiedy do uszu zaczęły wracać dźwięki – krzyki i płacz pokaleczonych odłamkami. Francuzi strzelali z armat prosto w bramę!

– Odsuńcie się od wrót! – wrzeszczał La Hoz. – Zabierać rannych i cofnąć się do domów.

Francuscy kanonierzy bardzo szybko ładowali swoje sześćofuntowe działa, bo zanim Prosperi zdążył pogonić wszystkich buntowników, kolejna kula gruchnęła w bramę. Przebiła się przez drewno i kilkakrotnie podskoczyła z głuchym dudnieniem na bruku. Zdażyła jeszcze pacnąć któregoś z biegnących młodzieńców w łydkę i paskudnie złamać mu nogę. Szewc pobladł w jednej chwili i biegiem rzucił się do ucieczki.

Następny pocisk rozdarł skobel, którym zaryglowano bramę. Siła uderzenia otworzyła oba skrzydła. Prosperi dobiegł do jednego z domów zamienionych w twierdzę, oparł się o ścianę i ze zgrozą patrzył na szeroko otwarte, potrzaskane wrota. Pył i dym zasłaniały to, co działo się na zewnątrz, ale szewc był przekonany, że za chwilę z tumanów wynurzy się jakiś żelazny potwór. Przecież niemożliwe było, by bez diabelskiej pomocy Francuzi tak szybko poradzili sobie z fortyfikacjami.

Znów rozległ się huk wystrzału. Kula pomknęła ze świstem i grzmotnęła w ścianę domu kilka kroków obok Prosperiego. W ogłuszającym ryku zrobiła w murze pokaźną wyrwę. Szewc wypuścił szablę z dłoni, osunął się na kolana i złapał za głowę. Hałas zupełnie go oszołomił. Nie na tyle jednak, by nie widział, jak kolejny pocisk z działa demoluje ścianę domu po przeciwnej stronie ulicy. W tej samej chwili obrońcy na blankach unieśli muszkiety i zaczęły palić. Zanim ponownie naładowali broń, przez rozerwaną armatnim ostrzałem bramę

wdarła się do miasta horda wrzeszczących Polaków.

* * *

Kazik biegł, kurczowo ściskając muszkiet. Starał się nie potknąć, by nie dźgnąć bagnetem piechura, który pędził przed nim. Jakims cudem masywna broń przestała być ciężka, znikły też bóle w obtartych stopach i nadwyrężonych mięśniach nóg. Z gardła wyrywał mu się krzyk, nieco zbyt wysoki i piskliwy, jakby wypełniony strachem, ale młody sierżant nie mógł go powstrzymać.

Nad głowami kolegów widział należącą do Chłopickiego rogatywkę z imponującą kitą. Major, z szablą uniesioną nad głową, prowadził legionistów do ataku. Z murów walili do nich buntownicy, kule świsnęły w powietrzu, z pacnięciem uderzały w ziemię, krzeszały iskry na bruku. Żadna jeszcze nie trafiła Luxa, choć z pewnością niewiele brakowało. Kilka susów i wpadnie w otwartą bramę, gdzie przez parę sekund będzie bezpieczny przed ostrzałem z góry.

Udało się! Przeskoczył przez trupa jakiegoś buntownika, na rozkaz kapitana Bilinga skręcił razem z kompanią w bok i się odwrócił. Kolumna rozciągnęła się trójszereg, a że warszawiak znalazł się w pierwszym, natychmiast klęknął. Oparł łokieć o kolano i podparł broń lewą ręką. Miał nadzieję, że wiatr nie zdmuchnął mu prochu z panewki.

– Pal! – wrzasnął kapitan.

Lux wymierzył w sylwetki widoczne na parapetach muru i pociągnął za spust. Starał się nie podrywać lufy, ale nie miał czasu na celowanie. Kolba kopnęła w ramię, w oczy błysnęła eksplodujący proch. Dym z salwy zasłonił mury, ale krzyki wskazywały na to, że ostrzał zebrał krwawe żniwo. Kazik natychmiast poderwał się na równe nogi i chwycił za stempel pod lufą.

– Nabij! – rozległ się rozkaz Rolewicza.

Młodzieniec sięgnął do patronasza i wydobył papierowy ładunek. Rozerwał go zębami i wsypał proch do lufy. Ładując, rozglądał się wokół. Wyglądało na to, że kompania w komplecie wdarła się do miasta. Bracia Kury ubijali ładunki w lufach identycznymi ruchami, Stachowski już skończył i chował stempel, Biernacki i Bauman szamotali się jeszcze z patronami, a kapral Klein łajał ich wściekłymi wyzwiskami. Z drugiej strony ulicy sprawnie kończyli nabijanie broni bandyci Rolewicza na czele z sierżantem Majewskim, dalej stał pluton kaprala Krawczyńskiego z porucznikiem Turkiewiczem na czele, ściskającym w garści pistolet.

Kompania Kazika dostała zadanie oczyszczenia murów, gdy tymczasem grenadierzy kapitana Downarowskiego ruszyli do ataku na kolumnę powstańców zamykających drogę w głąb miasta. Dobiegły z tamtej strony wrzaski mordowanych i zawodzenie rannych, widocznie grenadierzy nie bawili się w salwy i z bagnetami runęli na przeciwnika. Lux czuł dziwną miękkość w nogach, serce dudniło mu w piersi w rytm nieustannie łomoczących werbli. Kątem oka spojrzał na dobosza. Trzynastoletni Krzyś stanął z boku kompanii

i z zawziętą miną łomotał pałeczkami.

– Za mną, wiara! – rozkazał kapitan Biling i ruszył w kierunku schodów prowadzących na blanki.

Szyk rozsypał się natychmiast, i tak nie dało się go utrzymać w bezpośrednim starciu na wąskich parapetach i schodach. Ważne, by przec naprzód kupą i samym impetem uderzenia spychać obrońców. Warszawiak pomknął zatem w ciasnym tłumie legionistów i nie wiedzieć kiedy, znalazł się na blankach, popychając i samemu będąc popychanym. Ci, którzy byli z przodu, wściekle dźgali bagnetami buntowników i wciąż parli dalej. Kto mógł, strzelał, inni tłukli kolbami lub rąbali dobytymi tasakami. Co chwila w dół spadał zabity powstaniec lub z krzykiem był spychany przez ambrazury za mury miasta. Młody sierżant nie znalazł się nawet przez chwilę twarzą w twarz z wrogiem, cały czas pozostawał gdzieś w głębi tłumu. Wreszcie papiści zaczęli rzucać broń i skakać na daszki bud stojących pod murem lub błagać o litość.

Nie wiedzieć kiedy, mury zostały oczyszczone, a napierający na Kazika tłum rozrzedził się, a potem rozpiezchł. Żołnierze zajęli się przeszukiwaniem pokonanych lub zbiegali w dół, by dołączyć do grup oczyszczających miasto. Lux zatrzymał się i otarł pot z czoła. Przed dłuższą chwilę podziwiał pnącą się w górę panoramę Ferentino. Zewsząd dochodziły odgłosy walki, strzały, płacz, nawoływania. Chłopak ruszył wreszcie w kierunku schodów, bo z dołu machał do niego ponaglająco starszy sierżant Rolewicz.

Niespodziewany ruch przyciągnął jego uwagę. Jeden z niby zabitych buntowników, zwinięty pod murem, poruszył się i poderwał na równe nogi. Niepozorny mężczyzna w koszuli ozdobionej powstańczym kotylionem podniósł z ziemi szablę i przygarbiony, chyłkiem skierował się ku schodom prowadzącym w dół. Warszawiak złapał muszkiet i ruszył za nim. Dopadł go kilkoma susami, ale zanim zdążył dźgnąć w plecy, mężczyzna się odwrócił i nieporadnie zasłonił szablą. Kazik wyćwiczonym ruchem uniósł broń do pchnięcia i wymierzył w pierś przeciwnika. Ten, zamiast się bronić, rzucił szablę i błagalnie wznosił ręce.

– Poddaję się! Jestem Calalono, jeden z przywódców powstania! Nie zabijaj mnie, żołnierzu, z pewnością za takiego jeńca dostaniesz nagrodę!

Młodzieniec popatrzył w oczy buntownika.

– Masz szczęście, że rozumiem po włosku – warknął i złapał go za kark, a potem pchnął przed siebie.

* * *

Generał La Hoz cofał się razem z kolumną powstańców. Pokrzykiwał, dodając im otuchy, co chwila ładował pistolet i palił z niego w kierunku wroga. Zmusił też dwóch zakonników, by pokrzepiali walczących swą obecnością i głośną modlitwą. Potem udało mu się zagnać kilka młodych kobiet, by stanęły za plecami bojowników i śpiewały im pokrzepiające religijne

pieśni. To działało – bronili się zajadłe i z ogromnym poświęceniem, raz po raz odpierając ataki polskich grenadierów. Musieli jednak się cofać i zostawić za sobą kolejnych zabitych. Z okien domów wspierały ich pojedyncze strzały z myśliwskich fuzji, od czasu do czasu kobiety z najwyższych pięter próbowały wylewać na głowy wrogów wrzącą oliwę, a dzieciaki nieustannie rzucały w nich czym popadło, najczęściej kostkami bruku wyrwanymi z ulicy.

Wreszcie któryś z polskich wásaczy nie wytrzymał, wystrzelił do sfory dzieci i położył jedno z nich trupem. Wywołało to wrzask oburzenia w tłumie buntowników, a z bocznych uliczek wysypali się kolejni ochotnicy, dotychczas wahający się, czy uciekać, czy walczyć. Z wściekłością ruszyli na najeźdźców, strzelając i rzucając kamieniami. Kapitan Fontana natychmiast wykorzystał sytuację, rozkazał swoim strzelcom nabić broń do salwy. Sam stanął w pierwszej linii i mierzył do nadchodzących grenadierów z pistoletu. Uśmiechnął się do siebie. Jeśli, dzięki gniewowi ludu, uda się przełamać natarcie, można jeszcze zmienić wynik szturm na miasto i odeprzeć wroga. Najważniejsze, by zepchnąć tych upartych grenadierów.

La Hoz dołączył się ze swoim pistoletem do salwy. Dym na chwilę zasnuł całą ulicę. Nie zdążył się rozwiać, gdy wybiegła z niego równa kolumna piechurów, trzymających muszkiety precyzyjnie mierzące w powstańców. Gruchnęły strzały, a potem Polacy runęli na buntowników. Fontana cisnął swój pistolet w twarz najbliższego z przeciwników, a potem zamachnął się szablą. Rosły grenadier, który na niego pędził, sparował cięcie lufą muszkietu i natychmiast trzasnął Neapolitańczyka kolbą w twarz. Kapitanowi głowa odskoczyła, a on sam zachwiał się, oszołomiony. To wystarczyło, by bagnet pogrzyzył się w jego piersi. Grenadier pchnął go, obalił na ziemię i natychmiast zaatakował kolejnego papistę.

D'Orlz przeżegnał się, gdy zobaczył śmierć Fontany, dzielnego młodego człowieka, który zapowiadał się na świetnego wyższego oficera. Po chwili Polacy przełamali szyk buntowników i rozpoczęli krwawe żniwo, mordując wszystkich jak popadnie. Generał rzucił się do ucieczki razem z tłumem przerażonych ludzi. Widział, jak atakujący w biegu i bez litości zabijają dwóch modlących się zakonników, a potem szlachtują tasakami dziewczęta, które do końca nie przestały śpiewać religijnej pieśni. Później wściekli grenadierzy zaczęli strzelać do dzieciaków rzucających kamieniami, wreszcie ich kolumna rozpierzchła się, gdy z rykiem rzucili się mordować każdego, kogo zdołali dogonić. Wyłamywali drzwi domów, z których do nich strzelano i oblewano ich oliwą, a potem zabijali wszystkich znalezionych w środku.

La Hoz skręcił w boczną uliczkę i pobiegł w kierunku bramy prowadzącej na południowy zachód, do stolicy prowincji, miasta Frosinone. Tam zebrały się główne siły buntowników i tam była ostatnia szansa na odwrócenie losów tego fatalnie zaczynającego się zrywu. Bez przeszkód dobiegł do otwartej bramy, po drodze mijając uzbrojone grupy młodych powstańców, którzy zdecydowali się bić do końca. Niektórzy z nich pewnie nawet się łudzili, że jeszcze da się uratować miasto. Generał nie miał żadnych wątpliwości, że nie ma na to szans.

Starszy sierżant Rolewicz z daleka pogroził Kazikowi pięścią. Stał razem ze swoimi bandziorami w wylocie wąskiej uliczki prowadzącej w górę, w kierunku centrum miasta. Wokół kręcili się legionieści z kompanii, popychający przed sobą jeńców lub noszący rannych kolegów. Lux oddał Calalono w ręce kaprala Krawczyńskiego, który właśnie spędzał pojmanyh w jedną grupę. Dopiero potem skierował się do zdenerwowanego herszta grasantów, a ten splunął mu ze złością pod nogi.

– Po cholere pchałeś się na mury? Powinieneś zostać ze swoimi na dole, by z ziemi ostrzeliwać rebelli. Zanim nasi zleźliby z jeńcami, już byśmy mogli spokojnie i z czystym sumieniem się oddalić – rzekł z wyraźnie wyczuwalną irytacją w głosie. – A tera, zanim zbierzesz kompanów, miną wieki. Nie stój tak, tylko wołaj swoich i ruszamy na łowy!

Lux rozejrzał się w poszukiwaniu chłopców z plutonu Kleina. Jednocześnie zastanawiał się, jak tu wybrnąć z opresji. Ani mu w głowie było łupić mieszczańskie domy. Planował polec z honorem, a nie parać się ohydnyh procederem. Innym wyjściem było samobójstwo, czyli spluniecie Rolewiczowi w gębę i wygarnięcie mu całej prawdy. Nabrał już powietrza w płuca, by powiedzieć sierżantowi, co o nim myśli i aby się wypchał razem ze swoimi bandziorami, ale w tym momencie dojrzał machającego do niego Kleina.

– Kazik! Chodź no tu! Mamy rannego!

Odwrócił się na pięcie i podbiegł do kaprala. Ten wskazał mu braci Kura, taszczących, jeden za nogi, a drugi pod pachami, skulonego Staśka Biernackiego. Fizylier twarz miał ściągniętą grymasem bólu. Na widok pochylającego się nad nim Luxa uśmiechnął się blado.

– Jeden z nich miał pistolet – wycedził. – Strzelił mi prosto w kiszki. Już po mnie. Pochowajcie mnie w poświęconej ziemi, obiecaj mi to, sierżancie.

– Czekał, jeszcze nie kładź się do grobu – sierżant mówił lekkim tonem, choć doskonale zdawał sobie sprawę, że rany brzucha są uważane za nie do wyleczenia i przyjaciel ma niewielkie szanse na przeżycie. – Zaraz zaniemiemy cię do doktora Hoffmana, wiesz, że to dobry konował.

Skinął na swoją drużynę, która poza lwowiakiem zupełnie w ataku nie ucierpiała, i kazał ludziom, póki co, przenieść rannego na pobliski plac i położyć obok pozostałych poszkodowanych legionistów, czekających na wkroczenie do miasta medyków. Rolewicz pojawił się przed nim jak spod ziemi, a gębę miał czerwoną ze złości.

– Co robisz, niemoto? – warknął. – Rzućcie go byle gdzie, przecież nie ucieknie. A teraz w te pędy ruszajmy do roboty!

– A idź pan do diabła! – Kazik wrzasnął mu prosto w twarz. – Nie wybieram się na żaden rabunek, idę poszukać doktora Hoffmana. Dla Staśka liczy się każda chwila.

Starszy sierżant chwycił go oburącz za mundur i przyciągnął do siebie. Lux napiął mięśnie brzucha, przekonany, że zaraz zaliczy pięścią. Znał już dobrze zagrywki starego okrutnika i wiedział, jak ten potrafi bić. Zanim jednak Rolewicz wymierzył cios, na jego ramię spadła

ręka porucznika Turkiewicza. Niewysoki chudzielec z cienkim wąsikiem jak zwykle rozdarł się piskliwie:

– Co wyprawiacie, do jasnej cholery?! Dlaczego jeszcze nie zgromadził pan kompanii i nie zameldował mi strat, Rolewicz? A ty, Kazik, czemu nie robisz listy jeńców? Dobrze gadasz po włosku, to w podskokach bierz się do przesłuchań. Kapitan chciałby wiedzieć, czy nie złapaliśmy kogo znacznego.

– Nasza kompania nie dołączy do oczyszczania miasta z rebelli? – ponuro spytał herszt bandytów.

– Nie. Dostaliśmy zadanie zorganizowania lazaretu, aresztu i zabezpieczenia tyłów. Główną robotę wykonują teraz grenadierzy i strzelcy.

– Im, jak zwykle, trafiają się najlepsze kąski – mruknął pod nosem starszy sierżant.

– Jakie kąski? – zaskrzeczał Turkiewicz. – Wykonują najcięższe zadania, walczą w pierwszej linii. Prócz pochwały od dowódców nic za to nie dostaną.

– I prócz tego, co im wpadnie w ręce, a na szczycie wzgórza stoją katedra, pałac biskupi, ratusz i Bóg wie ile pałacyków notabli, wszystkie pełne złota – nie wytrzymał Rolewicz, zwykle w kontaktach z oficerami przymilny i grzeczny.

– O czym mówicie, starszy sierżancie? – oburzył się porucznik, urodzony idealista, niezwykle czuły na punkcie regulaminów i honoru. – Chyba się przesłyszałem? Mówicie o grabieży? Polski żołnierz miałby plądrować zdobyte miasto? Jesteśmy tu, by nieść pokój i ład, ratować porządnych ludzi przez bandami uzbrojonych wichrzycieli. Niedopuszczalne jest nawet sugerowanie, że moglibyśmy zniżyć się do poziomu zwykłych najemników, szukających zdobyczy i awantury. Polski żołnierz to rycerz z misją, którego duszę wypełniają szlachetne...

Kazik chrząknął nerwowo, bo zanosilo się na długą przemowę propagandową, które Turkiewicz niezwykle sobie upodobał i wygłaszał przy byle okazji. Porucznik przerwał i spojrzał na Luxa, wybity z rytmu.

– Proszę wybaczyć, ale muszę natychmiast wezwać doktora Hoffmana. Jeden z moich podkomendnych jest ciężko ranny – dobitnie oznajmił warszawiak, zasalutował i odmaszerował, zostawiając Rolewicza z porucznikiem pełnym zapału do kontynuowania pogadanki.

* * *

Francuskie dowództwo wkroczyło do miasta już po zapadnięciu zmroku. Generał przejechał przez szpaler piechurów w błękitnych mundurach, ciągle w otoczeniu sześciu strzelców konnych, stanowiących jego gwardię przyboczną. Potem, na placu za bramą, odebrał meldunek od majora Chłopickiego, który oddał mu dowództwo nad zdobytym miastem. Girardon porozmawiał chwilę z kapitanem Precheurem, którego jeźdźcy od godziny patrolowali ulice,

i zadowolony z usłyszanych wieści oznajmił, że komendę nad Ferentino przekazuje majorowi Zeydlitzowi, który ma tu utworzyć garnizon w sile dwustu żołnierzy. Następnie oznajmił, że reszta wojska razem z nim wycofa się do Anagni.

Natychmiast zaczęto walić w werble na *assemble*. Wśród odpoczywających polskich piechurów znów się zakotłowało, żołnierze podnosili się i nawoływali, by pośpiesznie ustawić się kompaniami w kolumny marszowe. Ranni zostali załadowani na dwa wozy niedawno zarekwirowane wraz z końmi w pobliskiej karczmie. Razem z dwudziestoma poszkodowanymi wpakowano także przejętą żywność i kilka beczek wina. Na końcu jechała dwukółka, na której złożono ciała sześciu poległych legionistów.

Przyglądającemu się krzątaniu Antoine'owi de Villardowi wydało się niezwykle, że zabitych Polaków było tak niewielu. Miasto zapłaciło bardzo wysoką cenę za bunt, w szturmie poległo mnóstwo ludzi, których trupy zapełniały ulice całymi dziesiątkami. Jeżdżąc po Ferentino, strzelec miał okazję oglądać skutki masakry, jaką legionieści urządzili rebeliantom. A było na co patrzeć, szczególnie że w kałużach krwi leżały także kobiety i dzieci.

Mimo że powstańcy walczyli zajadle i z niezwykłą ofiarnością, dzielnie broniąc się przed regularnym wojskiem, nie udało się im wyrządzić żadnych poważniejszych szkód w szeregach szturmującej armii. Wyglądało to tak, jakby muskietowy ostrzał nie czynił Polakom szkody, a tylko ich rozjuszał. To musiało znacząco wpłynąć na wynik starcia. Bitwa trwała krótko, a większa część powstańców, gdy zorientowała się, z jakim wrogiem przyszło im walczyć, po prostu uciekła.

Szwadron francuskich kawalerzystów miał zamykać kolumnę, czyli ustawić się za wozami z rannymi i zabitymi. Głównie po to, by chronić tyły zmęczonych piechurów na wypadek, gdyby buntownikom przyszła chęć natychmiast zemścić się na zdobywcach Ferentino. De Villard wątpił, czy po takiej porażce powstańcy potrafiliby szybko na powrót się skrzyknąć, ale rozkaz był rozkazem.

Młodzieniec przyglądał się ostatniej kompanii fizyliarów, która miała towarzyszyć wozom. Wreszcie wśród piechurów dojrzał znajomego Polaka, chudego typu z ciemnymi, długimi włosami i jasnymi oczami. Do dzisiejszego wieczoru miał ochotę zamordować tego pełnego buty barbarzyńcę choćby gołymi rękoma, ale zorientował się, że po tym, co widział w mieście, nie czuje nienawiści, a raczej mieszaninę odrazy i podziwu. Podjechał stępa do młodego sierżanta, który właśnie ruszył wraz z kompanią, niedbale opierając muskiet o ramię. Na widok zbliżającego się jeźdźca Kazik złapał za rękojeść szabli i groźnie zmarszczył brwi. Antoine ściągnął wodze, zatrzymał wierzchowca i uniósł rękę w pojednawczym geście.

– *Excellet travail*^[50] – powiedział, po czym zawrócił konia i odjechał, dołączając do szyku.

Lux podrapał się w głowę i po chwili namysłu wzruszył ramionami. Nie miał sił, by przejmować się nietypowym zachowaniem żabojada. Trochę martwił się, czy przy najbliższej okazji nie dostanie łomotu od Rolewicza, okropnie rozczarowanego tym, że przez młodego sierżanta nie udało mu się złupić choćby lira w zdobytym mieście. Był jednak zbyt zmęczony, by poważnie przejmować się zagrożeniem. W pierwszej kolejności musiał skoncentrować się

na tym, by doczłapać do Anagni i nie paść z wycieńczenia po drodze.

12 thermidora VI roku ery republikańskiej

(30 lipca 1798 roku)



Doktor Hoffman od rana miał ręce pełne roboty. Razem z dwoma młodymi chirurgami przygotował lazaret w zarekwirowanym przez wojsko budynku użyteczności publicznej, który okazał się rzymską łaźnią. Korzyść była z tego taka, że starożytne grube mury z kamienia zapewniały przyjemny chłód, a wyłożone kafelkami podłogi łatwo można było wmyć z krwi. Na szczęście powstańcy nie dysponowali armatami i żaden z rannych nie był pokiereszowany kartaczami, nikt też nie miał zmiażdżonych członków, kwalifikujących się do amputacji. Trafiły się za to paskudne otwarte złamanie po upadku z muru, rany cięte zadane szablami, jedno pchnięcie sztyletem, a poza tym same postrzelenia.

Trzech medyków sprawnie dało sobie radę z opanowaniem sytuacji, nikt im się nie wykrwawił przez zbyt długie czekanie na pomoc, a do tego żaden pacjent nie skonał w czasie transportu ani w nocy. To całkiem dobrze rokowało i znaczyło, że ranni to same silne chłopcy, które potrafią naprawdę wiele wytrzymać.

Po porannym obchodzie Hoffman wyszedł z łaźni wprost w słońce, które natychmiast zaczęło wściekle prażyć jego łysinę. Wcisnął więc na głowę piróg medyka i powędrował w głąb miasteczka. Poczul się nieswojo, gdy mijające go dwie stare kobiety wymamrotały mu w twarz włoskie przekleństwa, brzmiące niczym starożytne, pogańskie klątwy. Potem obdarty młodzieniec splunął mu prowokacyjnie pod nogi i wyzywająco spojrzął w oczy. Kilka kroków dalej o mało nie został oblany nieczystościami, którymi ktoś złośliwie chlusnął z okna. Wreszcie jakiś porządnie odziany mężczyzna podszedł i otwarcie zapytał, czy lekarz zechciałby zostać pułkownikiem w neapolitańskiej armii, bo on może mu to błyskawicznie załatwić. Natręt obiecywał ogromny żołd i liczne zaszczyty, a znikł dopiero wtedy, kiedy w wylocie uliczki pojawił się polski patrol.

Doktor powitał piechurów z ogromną ulgą, zaczynał się bowiem obawiać o własne życie. Jeszcze bardziej odetchnął, gdy okazało się, że to Kazik w towarzystwie Stachowskiego i Kleina. Cała trójka szła właśnie do lazaretu, by zapytać o zdrowie rannego kolegi.

– Dobrze, że macie trochę wolnego, bo przydadcie mi się do pomocy – rzekł medyk. – Staszek ma szansę się wylizać. Kula pistoletowa wyhamowała na mundurze, rozdarła mięsień i utkwiała kawałek pod nim. Nie weszła w trzewia, nie rozharatała otrzewnej i nie uszkodziła jelit. Przynajmniej tak mi się wydaje. Rana nie śmierdzi kałem, a krew jest jasna i czysta.

– Ale pocisk siedzi mu w bebechu? – upewnił się Stachowski. – To i tak już po nim. Lada

dzień zacznie gnić od środka.

– Niekoniecznie. Wyjmę kulę i spróbuję przemyć ranę. Biernacki nieźle się trzyma. Jeśli nie wda się ropna gorączka, będzie żył. – Uśmiechnął się Hoffmann.

– W czym zatem możemy pomóc? – spytał Kazik.

– Będziecie asystować w operacji, potrzebuję kilku silnych mężczyzn do trzymania pacjenta. Wcześniej jednak muszę coś zjeść...

– Mieszkańcy Anagni nie kwapią się z wydaniem żywności, właściwie nie chcą w żaden sposób współpracować – rzekł kapral Klein. – Mam wrażenie, że wszyscy to skończeni *furioso*^[51], dyszący rządzą zabijania. Nie brałbym od nich żadnego jedzenia, bo z pewnością je zatrują lub choćby naszpikują gwoździami.

– Odniosłem podobne wrażenie – mruknął doktor. – Gdyby nie wy, nie wiem, czy nie poczęstowano by mnie nożem w plecy, zanim dotarłbym do końca uliczki.

– Miejscowi chyba całkiem nas zniechcili po szturmie na Ferentino – wtrącił Lux. – Już rozniosły się opowieści o bestialstwie i zbrodniach dokonanych przez Polaków. Tylko patrzeć, jak te historie dotrą do Rzymu. Zaraz się zaczną ruchawki na ulicach, ale tym razem wymierzone przeciw nam, a nie Francuzom.

– Generał Girardon wiedział, co robi, wysyłając do szturmie tylko Polaków. Teraz makaroniarze będą traktowali nas mniej przyjaźnie – dodał Stachowski. – No a Francuzi przestaną się obawiać, że Legion przejdzie na żołd rzymski albo przyłączy się do powstańców.

Po chwili rozmowy lekarz zgodził się wrócić w asyście piechurów do lazaretu, a gefrajter Stachowski pognął do tymczasowych koszar, by zmusić furiera do przyniesienia żywności dla medyków i rannych. Znając charakter swojego żołnierza, Kazik nie niepokoił się o skutek jego namawiań. I miał rację, bo ledwie dotarli z medykiem do szpitala, dogonili ich poblądły furier z worem na plecach i depczący mu po piętach Stachowski. Pomocnik kwatermistrza mundur miał nieco poszarpany, jakby dopiero co stoczył gwałtowne starcie, poza tym bał się nawet spojrzeć w stronę gefrajtra. Zaskakująco szczodrze obdzielił wszystkich kilkoma bochenkami chleba przywiezionego jeszcze z Rzymu, serami, pomidorami, oliwkami i dwiema butlami wina.

– Doskonały napój dla rannych. Czerwone wino jest bardzo korzystne po utracie krwi, pomaga odzyskać siły – rzekł Hoffman i pociągnął łyk wprost z butelki. – Zgodnie ze starą zasadą medicusa Paracelsusa: „podobnym lecz podobne”. Straciłeś krew, to uzupełnij ją czerwonym winem.

Lekarz zabrał swoich dwóch młodszych kolegów, by towarzyszyli mu w posiłku, tymczasem Kazik z kompanami zwiedzili budynek. Młody sierżant z rozrzewnieniem wspomniawszy kąpiel w Rzymie, znów uświadomił sobie własny smród i zateśkniawszy do porządnej kąpieli, a nawet masażu. Oczy wypełniły mu się łzami, gdy przypomniał sobie miłosne zapasy, które po ablucjach zwykł uprawiać z Edittą. W Anagni nie mógł jednak marzyć o odprężającej i oczyszczającej kąpieli, w basenach nie było bowiem ani kropli wody, za to urządzono w nich

posłania dla rannych. Biernacki leżał na jednym z nich, z twarzą pobladłą i, mimo chłodu, wilgotną od potu. Zadowolony z troski, jaką okazali mu przyjaciele, rozwinął swe wcześniejsze ostatnie życzenie dotyczące pochówku i poprosił o obecność księdza, na dodatek odmawiającego modlitwę po polsku.

– Już pędzę do Rzymu po polskiego klechę – mruknął zirytowany Klein. Do Legionów przyłączyło się czterech polskich zakonników przebywających akurat w Wiecznym Mieście, ale żaden z nich nie uczestniczył w wyprawie.

– A jaki chcesz napis na katafalku? – spytał Stachowski z marsową miną. – Jakąś łacińską sentencję?

– *Hic sepultus iacet astutus et stulto*^[52] – zaproponował kapral Klein.

– Brzmi ładnie – z uznaniem westchnął Biernacki.

Kazik parsknął śmiechem, a potem oznajmił rannemu, że za chwilę odbędzie się zabieg usunięcia kuli. Lwowiak nie krył przerażenia, gdy dotarło do niego, że doktor zamierza grzebać mu w brzuchu. Próbował nawet wstać i uciekać, ale koledzy położyli go z powrotem, a później, protestującego, ponieśli razem z posłaniem do pomieszczenia, w którym miała nastąpić operacja.

Medyk przybył już po chwili, taszcząc torbę lekarską. Szybko sporządził jakiś specyfik, nalewając ciecz z małej buteleczki do kubka z winem. Biernacki wypił to i mlasnął z zadowoleniem, bo lek okazał się całkiem smaczny, choć dość mocny. Potem na polecenie Hoffmana koledzy przenieśli lwowiaka na stół, gdzie we trzech chwycili go mocno, by zupełnie unieruchomić. Kazikowi przypadły do trzymania nogi, więc po prostu przygwoździł je do blatu, kładąc się na nich całym ciężarem ciała. W tej samej chwili weszli do sali dwaj młodzi medycy, którzy stanęli z obu stron stołu. Operacja miała więc być także pokazem sztuki chirurgicznej.

– Nic się nie bój, ból nie będzie zbyt dokuczliwy, bo napiłem cię laudanum, opium rozpuszczonym w alkoholu – rzekł najstarszy chirurg, z pietyzmem układając narzędzia wyjęte z torby.

Lancety, nożyce, szczypce i piły wyglądały straszliwie nawet dla Kazika. Kojarzyły mu się z narzędziami tortur. Sam ranny na ich widok zaczął wrzeszczeć z przerażenia.

– Nie wierz się, bo mogę przebić otrzewną, a tego z pewnością nie przeżyjesz – twardo rzekł Hoffman. – Niedaleko rany masz również tętnicę brzuszную. Jeśli ją skaleczę, wykrwawisz się w ciągu pół zdrowaśki. Leż zatem bez ruchu.

Pacjent natychmiast się uspokoił, medyk odsłonił ranę, zdjął z niej przesiąkniętą krwią opatrunek, a potem przemył brzuch lwowiaka roztworem azotanu srebra. Szybkim, pewnym ruchem poszerzył zasklepiony otwór wlotowy, który natychmiast napełnił się płynącą obficie krwią.

– Matko Boska, kurwa mać! – ryknął Biernacki. – Przecież miało nie boleć!

– Nic takiego nie mówiłem – zdziwił się Hoffman. – Miało tylko boleć mniej. A teraz

uwaga, panowie, będziecie świadkami pierwszego w historii użycia narzędzia do wyciągania kul z rany. Mojego autorstwa.

Z dumą zaprezentował wszystkim szczypce z niezwykle cienkimi i długimi ramionami. Lux widział je już w warsztacie, który pomagał okraść. Spłonął zatem rumieńcem wstydu, palony gwałtowną falą wyrzutów sumienia. Medyk natomiast, wystawiając koniuszek języka, pochylił się nad omdlewającym ze zgrozy Biernackim i wetknął mu instrument w brzuch. Ranny wierzgnął, asystenci musieli mocniej go trzymać. Hoffman dłubał chwilę w ranie i wreszcie wyjął szczypce, na końcu których lśniła umazana krwią ołowiana kula.

Młodzi chirurdzy, Ritter i Kinzel, zaczęli bić brawo i gratulować starszemu koledze. Ten pokazał im jeszcze, jak niewielki jest otwór wlotowy rany, że nie nastąpił krwotok i stan pacjenta jest dzięki temu doskonały. Lekarze kiwali głowami i podziwiali nowe instrumenty, a tymczasem Biernacki zemdłał.

* * *

Dzień przeznaczony na odpoczynek wcale wypoczynkowy dla Kazika nie był, gdyż od porannej operacji sierżant nieustannie zajmował się wykonywaniem rozkazów. Najpierw porucznik Turkiewicz kazał mu rozpisac podwójne warty na najbliższe dwa dni, potem kapitan Biling wysłał go na patrol, na szczęście w obrębie miasta, wreszcie dopadł go Rolewicz, ciągle nie w sosie po nieudanej grabieży.

– Co miały znaczyć te fochy w czasie szturmu? – warknął. – Czemuś nie chciał iść na rabunek? Wiesz, ile mnie to kosztowało? Ile złota przeszło nam koło nosa? Biedujący w kraju dzielni weterani, kalecy i ich dzieci będą cierpieć głód! Przez to, że szlachetka Lux nie miał humoru na brudną robotę!

Z każdym słowem starszy sierżant rozpalał się coraz bardziej. Chłopak zacisnął zęby ze złości, serdecznie miał dość tego wściekłego szaleńca, jego wybuchów agresji, krzyków i bicia. Położył dłoń na rękojeści królewskiej karabeli. Po raz pierwszy po dotknięciu tej broni zamiast wstydu poczuł przypływ siły i pewności siebie. Zupełnie jakby duch starego króla dodał mu odwagi. Odruchowo wysunął ostrze na kilka palców z pochwy. Wręcz prosiło, by je dobył i rozplątał bandycie łeb.

– Dość tego – wycedził. – To przez pana podstępny wpakowałem się w grabieże. Nie chcę mieć już z nimi nic wspólnego! Od dziś koniec, proszę się do mnie nie zbliżać i nie nękać nagabywaniem na branie udziału w przestępstwach!

– Znalazł się honorowy szlachetka – wycharczał wściekły Rolewicz. – Już zapomniałeś, z jaką wielką chęcią namawiałeś mnie na rabunek rzymskiego złotnika i senatora, z jaką ochotą wiodłeś nas do jego pracowni i jak sam paliłeś się do kradzieży? A teraz śmiesz traktować mnie jak wrzód na dupie, bo ci się odwidziało? Bo jaśnie panicz stwierdził, że to jednak niehonorowo, że nie przystoi mu popospolitować się z kompanią złodziei? Słuchaj, gnojku,

będziesz robił, co ci każę, i to bez gadania. Jeszcze jeden taki numer jak w Ferentino i osobiście wypruję ci flaki. A teraz zjeżdżaj!

Gdzieś niedaleko zastukały na bruku końskie kopyta. Kazik spojrzął z ukosa i ujrzął przejeżdżającego majora Chłopickiego, któremu towarzyszył kapitan Laskowski. Natychmiast wsunął szablę z powrotem do pochwy i widząc spojrzenie majora, zasalutował mu sprężysto. Rolewicz zrobił to samo, lecz z nieco większą powściągliwością. Lux zorientował się, że oficerowie zmierzają w stronę pałacyku, w którym ulokował się generał Girardon, z pewnością na naradę wojenną. Zapowiadało się zatem, że niedługo legioniści znów wyruszą mordować powstańców. Może tym razem nadarzy się okazja, by znaleźć się z Rolewiczem sam na sam i ostatecznie z nim skończyć. Królewska karabela zdawała się wręcz prosić o jego krew.

15 thermidora VI roku ery republikańskiej

(2 sierpnia 1798 roku)



Canonico zastukał do drzwi komnaty, w której spał ksiądz Trino. Znajdowali się na terenie sanktuarium Madonna della Neve w samym sercu Frosinone. Duchowny dwa dni wcześniej został wybrany przez lud na nowego przywódcę powstania i miał poprowadzić udręczony naród do zwycięstwa nad najeźdźcą. Obecnie odpoczywał po ciężkim dniu, spędzonym na święceniu nowych sztandarów i sprawdzaniu umocnień, mających chronić miasto przed barbarzyńcami, by nie powtórzyła się tragiczna historia Ferentino. Ze zdobytego przez Polaków miasta udało mu się uciec, ale nie z tchórzostwa, a z troski o dobro zrywu. Ktoś przecież musiał dać nadzieję walczącym i przejąć dowodzenie po wziętym do niewoli Calalono.

Obecnie w mieście zebrały się główne siły powstańców, liczące ponad dziesięć tysięcy zbrojnych. Czekano na rozstrzygającą bitwę. Chcąc sprowokować Francuzów do nieprzemyślanych ruchów, Trino codziennie wysyłał oddział pod Ferentino, by ten pozorował szturm i dręczył niewielką polską załogę pilnującą zdobytego miasta. Najeźdźcy sprawiali wrażenie podenerwowanych, ale nie udało się sprowokować ich ani do ataku, ani do porzucenia posterunku. Tkwili tam uparcie, choć podobno ze zmęczenia ślaniali się na nogach.

Wczoraj goniec z Anagni doniósł, że do miasta wmaszerowały przybyłe z Rzymu dwie kompanie polskiej piechoty, co neapolitański doradca wojskowy, pułkownik Cimone, skwitował stwierdzeniem, że teraz Francuzi z pewnością się ruszą. Nikt jednak nie spodziewał się, że nastąpi to tak szybko.

– Wejść – dobiegło z celi.

Canonico wszedł do środka i bez zdziwienia zastał księdza Trino już ubranego i w każdej chwili gotowego do wyjścia. Duchowny klęczał właśnie przed wiszącym na ścianie krzyżem, oddając się porannej modlitwie. Na widok zaufanego przybocznego natychmiast ją zakończył i poderwał się z klęczek.

– Jakie wieści? – spytał krótko.

– O piątej rano polski major z większością żołnierzy opuścił Ferentino...

– Uciekli? – z nadzieją spytał duchowny.

– Wręcz przeciwnie, dołączyli do ponad tysiąca żołnierzy, którzy nocą wymaszerowali z Anagni. Teraz jest ich blisko półtora tysiąca i szybkim krokiem zmierzają w naszą stronę –

prędko odparł Canonico. – Ich awangarda powinna osiągnąć most na Cosie za jakieś pół godziny.

– Matko Boska, ale są szybcy – westchnął Trino. – Wezwij pułkownika Cimone, każ też bić w dzwony. Niech ludzie zajmą stanowiska w zamku i na murach.

Ksiądz sięgnął do stolika i porwał z niego różaniec o dużych, srebrnych paciorkach. Założył koronkę na szyję i pocałował krzyżyk. Potem wetknął w kieszeń sutanny skałkowy pistolet. Choć Francuzów i ich polskich piesków znów było wielokrotnie mniej niż powstańców, tym razem kapłan nie czuł pewności siebie. Widział już, do czego zdolni są polscy żołnierze, i zdawał sobie sprawę, że nie zawahają się zaatakować znacznie liczniejszych sił buntowników. Zatem do zwycięstwa potrzebowali teraz boskiego wsparcia.

– Odprawimy mszę w sanktuarium – zdecydował. – Skoro raz zdarzył się w tym mieście cud, musimy wierzyć, że dziś się powtórzy. Oby Maryja Panna miała nas w swojej opiece.

* * *

Cimone z niechęcią znosił towarzystwo La Hoza, ale były cisalpiński generał okazał się jedyną kompetentną osobą w powstańczych formacjach. Pułkownik tolerował zatem jego obecność na szanćcach, zezwolił mu też na swobodne poruszanie się po umocnieniach. Wignany arystokrata doradzał, jak przerabiać domy wysunięte przed linię murów na małe fortece, kierował też przygotowaniem do obrony zameczku strzegącego wejścia do miasta. Teraz, gdy na drodze pojawiły się oddziały wroga, spokojnie przechadzał się po blankach, poklepując i pocieszając zdenerwowanych powstańców.

Neapolitańczyk też wspiał się na mur i dobył lunety. Zamiast jednak przyłożyć ją do oczu, z niepokojem spoglądał na średniowieczne umocnienia, których uczepliły się liczne koślawe domki i budy miejskiej biedoty. Fortyfikacje były tak rzadko używane, że zdążyły porosnąć chałupinami, po których teraz będą mogli wspinać się szturmujący miasto. Z drugiej strony, właśnie dzięki temu było wiadomo, w których miejscach mur zostanie zaatakowany i gdzie należy skupić ogień najlepszych strzelców.

Francuzi będą musieli szturmować pod górę, choć wzniesienie, na którym tkwiło miasto, nie było tak strome jak wzgórze miejskie w Ferentino. Niestety, całe przedpole wypełniał skalny złom i rozrzucone bezładnie głazy, mogące służyć nadbiegającym jako osłony. Zabrakło czasu, by uporządkować esplanadę. Trudno, wszak i tak mieli znaczną przewagę liczebną. Gdyby jeszcze miasto dysponowało armatami! Niestety, na ten luksus pułkownik nie mógł liczyć.

Nagle w oddali rozległy się pierwsze strzały. Cimone podniósł lunetę do oka i przyglądał się kłębiącemu się na moście tłumowi. Nie zauważył zatem nadchodzącego La Hoza, który stanął obok i wziął się pod boki.

– Nie utrzymają mostu, nie dadzą rady w starciu ze zwartą kolumną zawodowego wojska – powiedział spokojnie.

– Francuzi ruszą na bagnety. – Pułkownik pokiwał głową, tłumiąc w sobie niechęć.

– To nie Francuzi, a Polacy. Ich wysyłają przodem, jako mięso armatnie. Niestety, ci barbarzyńcy z Północy są naprawdę groźni. Nasi niewyszkoleni ochotnicy nie mają z nimi szans. Zaraz powtórzy się historia z Ferentino. Polacy zepchną chłopców z mostu i otworzą sobie drogę do miasta. Dalej jednak nie pójdzie im tak łatwo. Nie podciągną armaty tak blisko, by rozwalić z niej bramę zamku. Zbyt strome podejście, dodatkowo kazałem rozryć drogę, przodki artyleryjskie już po niej nie podjadą. Będą musieli przypościć szturm na mury. Po tym kamienistym zboczu trudno będzie im się wspinać, a już z pewnością pójdzie to bardzo powoli. To da nam czas, by zmasakrować ich ostrzałem.

Pułkownik pokiwał głową.

– Nie widzę błędu w pana rozumowaniu, ale w Ferentino też nie popełniono błędu, a straciliście miasto w jednym szturmie.

– Połączyło się tam kilka fatalnych dla nas w skutkach czynników: spryt dowodzącego republikanami generała, brawura Polaków, a z drugiej strony brak wyszkolonego, zaprawionego w boju wojska. – La Hoz nie sprawiał wrażenia obruszonego sugestią, że utrata miasta mogła mieć związek z nieudolnym dowodzeniem. – Kiedy tylko Polacy przedarli się za mury, wybuchła panika i znaczna część powstańców, na czele z księdzem Trino, wzięła nogi za pas.

– Tym razem nic podobnego się nie stanie – warknął Cimone. – Moi oficerowie są w każdej powstańczej kompanii. Nie dopuszczą do bezładnej ucieczki, do porzucenia stanowisk. Nawet jeśli musieliby płazować po gębach panikarzy. Gdyby jednak Polacy wdarli się jakimś cudem na mury, będziemy walczyć o każdą ulicę i każdy dom.

D’Orlz pokiwał głową, a potem wskazał na wijącą się u stóp miasta rzekę Cosę. Grupy powstańców opuszczały właśnie stanowiska przy moście i pędziły w stronę miasta. Na przeprawie załopotał granatowo-biało-czerwony sztandar.

– Polacy właśnie zdobyli most – zauważył generał. – O, już przechodzą przez niego kolumny piechoty. Lada chwila zacznie się szturm na mury.

– Trzeba przyznać, że francuski generał narzucił ostre tempo – z niechętnym uznaniem stwierdził Neapolitańczyk. – Weźmie pan czynny udział w obronie?

La Hoz popatrzył na oficera, który niedawno pozbawił go oficjalnego dowództwa nad zrywem. Chwilę mierzyli się wzrokiem, wreszcie arystokrata stłumił w sobie gniew z powodu urażonej dumy.

– Kilkakrotnie oferowałem swoje usługi powstańcom i nadal jestem gotów walczyć z nimi ramię w ramię – powiedział.

– Świetnie. Proszę zatem wspomóc obsadę zamku. Potrzeba tam kogoś z wojskowym doświadczeniem, kto będzie wzorem odwagi i waleczności – zgrabnie skomplementował go pułkownik.

Generał skinął głową i odszedł w kierunku tylnej bramy zamku, widniejącej od strony miasta. Cimone obserwował go przez chwilę, a potem uniósł lornetę do oczu. Polacy ustawili się w trzy rozciągnięte kolumny. Pierwsza trzyszeregowa linia każdej z nich była złożona z roślących, wąsatych drabów. W pewnym odstępie za nimi stały szeregi niższych i drobniejszych żołnierzy. Szturm zatem mieli poprowadzić grenadierzy, mający za plecami fizylierów i strzelców. Francuzi stali jeszcze dalej, jako odwody. Tylko szwadron strzelców konnych pogalopował w stronę miasta, ale zaraz zawrócił, powitany ogniem z setek luf. Jeden z jeźdźców spadł z siodła i zaległ nieruchomo między kamieniami. Pierwszy trup i to Francuz – na dobrą wróżbę!

* * *

Kazik splunął w dłonie i potarł je o siebie. Chwycił muszkiet oparty kolbą o ziemię i przyłożył go do ramienia. Jeszcze raz spojrział na szereg, na którego końcu znajdowało się jego stanowisko. Żołnierze stali równo, jak przy niewidzialnej linii. Najbliższym sąsiadem Luxa był kapral Klein, a dalej kolejno prężyli się chłopcy z jego plutonu. Stanowili drugi szereg kolumny fizylierów, ustawionych za grenadierami kapitana Downarowicza. Przed nimi łomotał w bęben grenaderski dobosz, wysoki piętnastolatek, Jaśko. Niczym echo wtórował mu, tkwiący na swoim stanowisku za plecami fizylierów, Krzyś.

Powietrze wypełnił słodki zapach cytryn i pomarańczy – to przy Luxie ustawił się porucznik Turkiewicz. Jak zwykle, gdy był zdenerwowany, strzygł cienkim wąsikiem, łypiąc wokół wytrzeszczonymi oczami. Zamykał skrzydło kompanii, po skosie z kapitanem Bilingiem, stojącym na przeciwległym rogu kolumny. Wszyscy legioniści sprawiali wrażenie gotowych do walki. Rytm walących nieustannie werbli wbijał się w umysły, wypierając z nich wszelkie myśli. Żołnierze powoli wpadali w trans.

– Idziemy środkiem – oznajmił porucznik. – Prosto na ten cholerny mur. Bez drabin.

– Mamy wspinać się po chałupach – domyślił się Kazik. – Ciężko będzie.

Turkiewicz przytaknął nerwowo. Młody sierżant też czuł strach, ale zmieszany ze wstydliwą ulgą, gdyż wiedział, że stoi przed nim cały tłum grenadierów. Kule z blanków trafią najpierw w nich.

– Na lewym skrzydle kapitan Pokrzywnicki będzie osłaniał armatę, by podciągnąć ją na skuteczny zasięg – mówił oficer, głównie po to, by uspokoić samego siebie. – Kiedy się uda, francuscy kanonierzy zasypią obrońców kartaczami. To da nam szansę, by podejść do murów.

– A prawe skrzydło? – spytał Klein.

– To wiarusy kapitana Nadolskiego. Zaatakują zamek strzegący głównej drogi do miasta.

– Też bez drabin – zauważył warszawiak. – Jak zamierzają się do niego wedrzeć? Będą wspinać się po pionowej ścianie?

Turkiewicz machnął ręką.

– Cisza w szeregach! – wrzasnął nerwowo. – Nie zadawaj głupich pytań!

Żołnierze tkwili nieruchomo w oczekiwaniu na rozkaz do ataku. Przed nimi rozciągał się nierówny stok, a wyżej widniały stare mury z licznymi, przywierającymi do nich zabudowaniami. W mieście dudniły wszystkie dzwony, słychać było chóralny śpiew z gardeł dziesiątek zakonników i księży, którego nie zagłuszały nawet łomoczące werble. Nad głowami obrońców powiewały sztandary z wizerunkami Matki Boskiej.

– Co my robimy? – mruknął Anzelm Kura. – Będziem bić chrześcijan. Właściwie dlaczego?

– Taki rozkaz. – Jego brat wzruszył ramionami. – Nie myśl za dużo, bo z tego ino sromota.

Grenadierzy ruszyli, od razu podwójnym krokiem. Oddalali się od nadal stojących fizylierów, szybko pnąc się pod górę. Lewe skrzydło parło z większym trudem, gdyż miało ostrzejsze podejście, w dodatku ciągnęła za nimi artyleria konna. Ruszyli też żołnierze Nadolskiego, mający do zdobycia najcięższą przeszkodę. Nagle na czele kolumny fizylierów pojawił się major Chłopicki.

– Wiara, za mną! – krzyknął i wskazał szablą kierunek marszu.

– Krok zwykły! – rozkazał kapitan Biling i piechurzy ruszyli do ataku.

Podejście było niewygodne, z licznymi przeszkodami w postaci głazów i kęp krzaków. Niemal natychmiast porwał się szyk, żołnierze rozstępowali się, ale parli naprzód. Wszyscy niemiłosiernie się pocili. Gorące słońce Italii potraktowało ich bez litości, wysysało siły i zapał do walki. Kazik wbił wzrok w pył pod nogami i walczył z własną słabością. Szabla ciągnęła go do ziemi, ręce omdlewały od muszkietu, po plecach, do których przywarł plecak, lały się strumienie potu. Starał się nie patrzeć w górę, na mury błyskające ogniami wystrzałów. Dyszał ciężko. Piach wdzierał mu się do gardła i nosa, w dodatku dym z palonego prochu zaczął szczypać w oczy.

Wokół z basowym pomrukiem bzyczały muszkietowe kule. Któryś z piechurów wrzasnął z bólu i runął na ziemię. Ktoś inny się zatrzymał, przykucnął przy głazie w poszukiwaniu ochrony przed ostrzałem. Lux przeklął, a po chwili zmusił się do wysiłku i doskoczył do przestraszonego.

– Naprzód! – wydarł mu się do ucha, choć ze wszystkich sił musiał powstrzymać chęć przycupnięcia obok, poszukania osłony i chwili wytchnienia.

Fizylier poderwał się natychmiast, gdy usłyszał sierżanta, i ruszył przed siebie. Warszawiak nie miał innego wyjścia, jak go dogonić i, by dać przykład, wyprzedzić. Klął przy tym w myślach cholernych papistów, ale i pazernych żabojadów, którzy wysłali Polaków w to przeklęte miejsce. Ze zmęczenia zupełnie zapomniał, że miał ochotę bohatersko polec w boju. Teraz marzył o kawałku cienia i łyku wody. Podskoczył jak oparzony, gdy muszkietowa kula z bzygniem zadzwoniła o kamień obok jego nogi. Zmęczenie i rozdrażnienie natychmiast zalała buzująca w żyłach fala wściekłości. Jakiś skurwysyn próbował go zastrzelić!

Rozejrzał się, by rozeznac się w sytuacji. Grenadierzy byli już blisko murów, ale zatrzymali się i schowali za głazami. Raził ich nieustanny morderczy ostrzał. Obrońcy wrzeszczeli wyzwiska, ciskali w dół kamienie, grozili i się śmiali. Kapitan Downarowicz przechadzał się

między przycupniętymi grenadierami i wrzeszczał na nich wściekle. Sam nawet nie próbował się kryć. Ładował pistolet na stojąco i strzelał z niego do obrońców.

Kazik spojrział na lewe skrzydło. Pokrzywnicki i jego wiarusy zostali w tyle, ale wspinali się uparcie, robiąc miejsce podążającej za nimi francuskiej artylerii konnej. Na prawym skrzydle grenadierzy Nadolskiego dotarli do murów zamku i odbili się od niego, zmuszeni do ucieczki huraganowym ostrzałem.

– Wolny ogień! – zarządził major Chłopicki.

Lux odruchowo uniósł muszkiet, oparł kolbę o ramię i wymierzył w sylwetki wychylające się zza murów. Wystrzelił i nie patrząc na efekt, natychmiast zabrał się do ładowania broni. Tymczasem Downarowicz został zmuszony do cofnięcia się, ale zrobił to tylko po to, by skrzyknąć grenadierów do kolejnego ataku. To samo uczynił na prawym skrzydle kapitan Nadolski, który po raz drugi ruszył na ziejący ogniem zamek.

– Naprzód, chłopcy! – wrzasnął kapitan Biling i wyskoczył zza głazu, wymachując pistoletem.

Zaraz dołączył do niego, jak zwykle szeroko uśmiechnięty i sprawiający wrażenie będącego w szampańskim humorze, kapitan Laskowski. Fizylierzy z krzykiem poderwali się zza osłon, goniąc za dowódcami. Kazik zmusił się do wysiłku i kilkoma susami dopędził braci Kura, a zaraz potem kaprala Kleina. Nawet mikry Żyd Bauman parł naprzód, choć musiał podpierać się muszkietem niczym laską. Na łeb na szyję pokonali kilkadziesiąt kroków, by znów zalec na skalnym rumowisku. Już niemal dopadli grenadierów Downarowicza, którzy po raz kolejny zostali odepchnięci.

Zamek również nie dawał szans żołnierzom Nadolskiego, którzy przeprowadzili trzeci z rzędu szturm. Lux padł plackiem w jakiejś dziurze i dłuższy czas leżał, dysząc ciężko.

– Dostałeś, Kaziu? – Ktoś klepnął go w plecy.

– Wszystko w porządku – wysapał chłopak.

Koło niego klęczał Turkiewicz. Też wyglądał na wyczerpanego, a jego wąsiki sterczały najeżone bitewną furią. Oparł się plecami o większy kamień i zaczął nabijać pistolet. Sierżant spojrział w dół. Francuscy kanonierzy podciągnęli armatę naprawdę bardzo wysoko na stok i zaczęli ją ładować. Już po chwili rozległ się pierwszy grzmot. Wystrzelony kartacz rozerwał się w locie na chmurę ołowianych kulek, które zagrzechotały o mur, odłupały masę odprysków i pokiereszowały kilku obrońców. Po raz pierwszy w tej bitwie za blankami rozległy się krzyki rannych.

– Dobra nasza. – Niepewnie uśmiechnął się porucznik. – Szkoda tylko, że Downarowicz ranny.

Warszawiak spojrział we wskazanym kierunku. Dzielny kapitan grenadierów stał oparty o pień rachitycznego drzewa. Jedno jego ramię zwisało bezwładnie, mimo to oficer krzyczał na podkomendnych, zachęcając ich do kolejnego ataku. Nagle osunął się na kolana i padł twarzą w pył.

– Przynajmniej żabojady się ruszyły! – dodał z boku gefrajter Stachowski, okupujący miejsce za spróchniałym pniem.

Rzeczywiście, francuscy piechurzy targali na linach i szerokich pasach armatnią lufę zdjętą z prolonża. Ciągnęli ją w kierunku nieosiągalnego inaczej niż piechotą zameczku, pod którym grenadierzy Nadolskiego szykowali się do czwartego już szturmu. Po chwili Francuzi postawili lufę na szybko ułożonych przez kanonierów kamieniach. Działo zostało nabite litą kulą i wycelowane w zamkową bramę. Artylerzyści znajdowali się blisko umocnień, natychmiast też skupił się na nich ostrzał obrońców. Zanim zdążyli wypalić z działa, ich komendant runął na ziemię z dziurą w piersi. Armata jednak huknęła i kula gruchnęła prosto w cel, druzgocząc drewnianą bramę. Natychmiast z krzykiem rzuciło się w jej kierunku kilkunastu polskich grenadierów uzbrojonych w siekiery. Ostrza załomotały o drewno. Silne ramiona unosiły się i opadały w błyskawicznym tempie, poszerzając otwór. Po chwili kapitan Nadolski przepchnął się przez niego jako pierwszy, a za nim runęła cała chmara żołnierzy.

– Sukinsyny! – ucieszył się Stachowski. – Wdarli się do zamku! Widzieliście?

Gorzej jednak działało się na centralnym odcinku frontu. Nieprzytomny Downarowicz został wzięty pod ramiona i wyniesiony, a za nim zaczęły podążać w dół całe grupki grenadierów. Jeszcze chwila, a natarcie mogło zupełnie się załamać. Chłopicki dostrzegł to w porę i poderwał się z ziemi.

– Wiara, naprzód! Do ataku! – ryknął.

– Za mną! – wrzasnął kapitan Biling.

Turkiewicz poderwał się i pociągnął za sobą Kazika. Młody sierżant przestał czuć ból i zmęczenie. Nieustanny huk i łomot zupełnie go oszołomiły. Wiedział tylko, że znów trzeba rzucić się do wspinaczki, ale tym razem wróg był tuż-tuż. Lux marzył, by wpakować bagnet w kieszki któregoś z drani pukających do nich jak na strzelnicy.

– Idziemy, chłopcy! – gdzieś obok ryczał starszy sierżant Rolewicz, prowadzący swoją grupę grasantów w stronę najbliższej chałupy przyklejonej do muru.

Biling pędził na przedzie atakujących. Za nim gnała kompania fizylierów, wrzeszcząc na całe gardło. Uciekający grenadierzy zawahali się, a po chwili obrócili i dołączyli do ryczących fizylierów. Kazik widział już twarze obrońców, wykrzywione nienawiścią i strachem. Zdawał sobie sprawę, że jeszcze kilka kroków, a on i jego kompani dopadną domów, po których można się wspiąć na górę, dopaść drani i wbić bagnety w ich cholerne gęby albo roztrzaskać je ciosami kolb. Nagle kapitan Biling potknął się i runął jak długi. Na jego białych czechczerach, na udzie, błyskawicznie rozlała się plama krwi.

– Dalej, za mną! – wrzasnął Laskowski, który płynnie przejął dowodzenie.

Lux wbił głowę w ramiona, bo kule śmigają wokół niczym ołowiane osy. Udało mu się wbiec do budynku za oficerem, potem schodami na górę i po chwili na dach. Znaleźli się na wprost ambrazur, wystarczyło dać susa, by znaleźć się na blankach. Kapitan, śmiejąc się niczym opętany, runął jako pierwszy. W locie cisnął pistolet w twarz najbliższego obrońcy,

a po wejściu na parapet dobył szabli. Zakręcił nią w szalonym młynku i siekł stłoczonych obrońców. Śmiał się przy tym i wolną ręką machał ponagłajaco do fizylierów.

Warszawiak skoczył wraz z innymi piechurami i od razu wpadł na jakiegoś draba. Dźgnął go i popychany przez napierających z tyłu kolegów, przewrócił się na obalonego wroga. Bagnet uwiązał między żebrami Włocha, a siła uderzenia wyrwała Luxowi broń z rąk. Sierżant przekoziółkował, przez chwilę zwisał z krawędzi parapetu, a potem z wrzaskiem runął w dół, po wewnętrznej stronie muru.

Gruchnął plecami w daszek rudery. Trzasnęły pękające żebra, w powietrze wzbiły się tumany pyłu. Nie! To nie żebra, a deski dachu. Kazik przebił poszycie, z impetem wpadł na rupiecie i śmieci zawalające podłogę. Plecak osłabił uderzenie i ochronił młodzieńca przed poważniejszymi ranami, mimo to żołnierz leżał jakiś czas bez ruchu, nie mogąc złapać oddechu.

– Zabiłem jednego bydlaka – wydyszał z trudem. – Zadźgałem go!

Ciągle dudniła mu w żyłach bitewna gorączka. Z zewnątrz dobiegały nieustanne salwy i pojedyncze wystrzały, krzyki, przekleństwa, płacz. Chłopak usiadł i z zaskoczeniem stwierdził, że na głowie ciągle ma rogatywkę. Stracił tylko muszkiet, którego bagnet utkwiał w piersi powstańca na murach, dobre dwa sążnie wyżej. Podniósł się z jękiem i ze skórzanej pochwy u bandoliera wyciągnął karabelę Jana III Sobieskiego. Broń zaskakująco dobrze leżała w ręku, a przy najmniejszym ruchu dłoni wydawała się ożywać, jakby nie była zwykłym przedmiotem, a śmiertelnie niebezpiecznym stworzeniem obdarzonym własną wolą.

„To pewnie żywe srebro w ostrzu – pomyślał Lux. – A może duch zmarłego króla?”

Uśmiechnął się ponuro, a potem kopniakiem wywalił drzwi rudery. Wyszedł na uliczkę Frosinone ogarniętego wojennym szaleństwem.

* * *

La Hoz jako ostatni opuścił zamek. Zostawił za sobą makabryczne pobojuwisko, usłane ciałami obrońców zadźganych przez wściekłych Polaków. Powstańcy nie zamierzali się poddać, bili się z szaleńczą determinacją, ale barbarzyńcy z Północy spadli na nich niczym sfora wilków na domowe pieski. Zawodowi zabójcy przeciw młodym patriotom. Ich walka była z góry skazana na porażkę. Mimo że generał zagrzewał ochotników do boju, a potem wezwał ich do ucieczki, większość obsady zamku poległa w jego murach.

Dwudziestu chłopców udało się uratować, a d’Orlz osobiście osłaniał ich odwrót, stojąc w przejściu prowadzącym do tylnych wrót zamku. Jego szabla poruszała się niczym atakująca żmija, omijała dźgające bagnety, rąbała polskich grenadierów po ramionach i cięła wąsate gęby. Wróg jednak napierał i po dłuższej chwili generał musiał wziąć nogi za pas, by ratować życie.

Wypadł przez wrota, wrzeszcząc na uciekającą obsadę zamku. Nie musiał popędzać

młodzieńców, gnali, jakby ich diabli gonili. Pędzili główną ulicą wiodącą w górę miasta, a na plecach czuli oddech goniących ich Polaków. Barbarzyńcy wrzeszczeli w plugawym, świszczącym języku, przeklinali katolickich powstańców i im wygrozili. Zatrzymali się jednak, gdy z okien domów chlusnęły na nich gary wrzącego oleju, posypały się cegły, wreszcie huknęły pojedyncze strzały. Każdy budynek okazał się małą twierdzą, której bronili wszyscy mieszkańcy, także kobiety i dzieci. La Hozowi pomachał z okna sędziwy jegomość z kosią bródką, ściskający pod pachą coś wyglądającego na siedemnastowieczną króćcę. Był za stary, by wycłapać się z domu, ale postanowił walczyć z okna i to bronią należącą pewnie do jego pradziadka. Kawalek dalej zaszalowali generałowi chłopcy na oko dziesięcioletni, uzbrojeni w proce i przyczajeni w bramie kamienicy. Oficer na każdym kroku widział podobne zaangażowanie mieszkańców, nie tracił więc nadziei.

Zwolnił kroku, gdy za zakrętem uliczki zobaczył barykadę ułożoną z przewróconych na bok wozów. Powiewał nad nią sztandar w neapolitańskich barwach, a wśród obsadzających ją powstańców było widać mundury armii królowej Marii Karoliny. D'Orlz otarł ostrze szabli o rękaw i wsunął ją do pochwy. Do umocnień podszedł z godnością, spacerowym krokiem, jakby wracał z przechadzki. Chwycił czyjaś wyciągniętą z pomocą dłoni i wspiął się na przeszkodę, by po chwili zeskoczyć z drugiej strony, prosto przed pułkownikiem Cimone.

– Zrobiliśmy wszystko, co możliwe, by powstrzymać natarcie – oznajmił krótko.

– Widziałem – skwitował jego wysiłki Neapolitańczyk. – Nie spodziewałem się, że Polacy są tak odważni. Zachowywali się jak opętani. Nie rozumiem, czemu się tak poświęcają? Chcą się przypodobać swoim francuskim panom?

– To po prostu dobrzy żołnierze. – Generał wzruszył ramionami. – Obawiam się, że ta barykada również długo ich nie powstrzyma.

– Mamy wsparcie mieszkańców, Polacy będą musieli walczyć o każdy dom. Do nocy nie uporają się nawet z kilkoma ulicami. Są tylko ludźmi, ich siły wreszcie się wyczerpią. A po zapadnięciu zmroku przeprowadzimy kontruderzenie. Nasi bojowcy wyleżą z każdej ciemnej dziury, z każdego rynsztoka i zaułka, by podrzynać gardła i dźgać w plecy. Zaleją ich samą liczebnością, zgniotą i słamszą. Do rana miasto będzie oczyszczone z republikanów.

– To się może udać... – westchnął d'Orlz bez przekonania.

Chwycił butlę podaną przez uśmiechniętą pulchną kobiecinę. Dopiero teraz zorientował się, że ubranie ma zbryzgane krwią, a twarz umazaną nagarem. Wyglądał jak wojownik, który przed chwilą wrócił z samego serca bitwy, co właściwie było zgodne z prawdą. Usiadł na podsunętym stołku i pociągnął tęgi łyk. Dla obrońców ojczyzny rodacy wyciągnęli dobre stare wino z papieskich winnic. Podane wprost z zimnej piwnicy smakowało jak boska ambrozja. Oficer pozwolił, by dwie młode dziewczyny otarły mu twarz wilgotnymi szmatkami, a potem opatrzyły rozcięcie na przedramieniu, którego wcześniej nawet nie zauważył.

Miasto nieustannie dudniło dzwonami, zewsząd dobiegały pojedyncze strzały, śpiewy i bicie w bębny. Do nosa generała zaczęły docierać inne zapachy niż smród spalonej siarki...

Swąd płonącego drewna i czegoś jeszcze. Przełknął kolejny łyk wina i poczuł, że ręce zaczynają mu dygotać. Znał ten zapach z pól bitewnych. Tak śmierdziały trawione ogniem zwłoki.

– Przeklęte psy, podpalili miasto! – wściekł się pułkownik.

La Hoz poderwał się na równe nogi i wspiął się na barykadę, by stanąć obok Neapolitańczyka. W niebo nad ich głowami wzbijały się czarne kolumny dymu, było też widać ognie pełgające po dachach u wylotu uliczki, którą zamykały prowizoryczne umocnienia. Po chwili zza rogu wymaszerowało wojsko. Tym razem wymieszani z Polakami szli również żołnierze w błękitnych mundurach – francuska piechota. Na widok barykady zwarli się w ciasną kolumnę, na czele stanął oficer w rogatywce.

Mieszkańcy podpalonych domów nie razili już z okien najeźdźców, ale uciekali, którądy się da. Starzec, którego wcześniej widział generał, cisnął króciwą w republikanów, a potem przewiesił się przez parapet i skoczył. Któryś z żołnierzy natychmiast do niego podbiegł i dwa razy pchnął bagnetem.

– Nie poddam barykady – oznajmił Cimone. – Lud musi widzieć poświęcenie neapolitańskich żołnierzy, tego życzyła sobie moja królowa. Proszę udać się pod katedrę Santa Maria Assunta, tam znajdzie pan księdza Trino. Proszę dopilnować, by klecha zorganizował kolejne punkty oporu, mające hamować najeźdźców. Byle do nocy.

– Chyba tutaj bardziej się przydam...

– Panie generale – pułkownik podkreślił wojskowy tytuł arystokraty, czym wymazał swoje wcześniejsze uwagi na jego temat – powierzam panu tę misję, bowiem uważam pana za świetnego żołnierza. Jest pan jedynym tej klasy dowódcą, którym dysponuję we Frosinone. Proszę przypilnować księdza Trino, by nie zaprzepaścił szansy na zwycięstwo.

D'Orlz skinął głową i wyciągnął rękę do młodszego oficera. Ten uścisnął ją z poważną miną. Nic więcej nie mieli sobie do powiedzenia, generał zeskoczył z barykady i ruszył w głąb miasta, nie oglądając się za siebie.

* * *

– Sierzanci do mnie! – rozkazał Rolewicz.

Kazik w pierwszej chwili udawał, że nie słyszy polecenia, i dalej rozmawiał z podkomendnymi. Podczas przedzierania się wąskimi uliczkami Majer Bauman został poparzony wylanym z okna olejem, a inny z chłopców Kleina oberwał głazem zrzuconym z dachu i miał strzaskane ramię. Obu trzeba było przekazać medykom, na szczęście jednak żaden nie został ciężko ranny. Trwała dyskusja, jak ich odtransportować, bo równocześnie kompania miała przyszykować się do drugiego szturmu na barykadę, gdzie buntownikami dowodzili neapolitańscy oficerowie. W pierwszym szturmie zawsze wesoły kapitan Laskowski, który kierował natarciem, został postrzelony w lewą nogę. Gdy legionieści nieśli

go na wóz z rannymi, z uśmiechem zauważył, że otrzymał identyczną ranę jak jego kolega, Biling. Był jednak lepszy, bo stało się to już po przekroczeniu murów.

– Lux, kurwa mać, do mnie! – wrzasnął Rolewicz.

Pod nieobecność porucznika Turkiewicza, który gdzieś się zawieruszył, to on dowodził kompanią. Chcąc nie chcąc, Kazik musiał więc zameldować się starszemu sierżantowi, przy którym stali już pozostali podoficerowie: Sawicki, Majewski i Łukiewicz.

– Dowiedziałem się właśnie od Chłopickiego, że nasz kochany francuski generał, który tak wspaniałomyślnie kazał nam podpalić broniące się domy, wydał kolejny rozkaz – mówił wyraźnie podekscytowany Rolewicz. – Słuchajcie, mamy jak najszybciej zdławić większe punkty oporu, a potem aż do wieczora łupić miasto. Tak, to oficjalne pozwolenie... Nie, nawet nie pozwolenie, a rozkaz dowódcy! Mamy grabić, gwałcić i mordować, ile wlezie!

Majewski aż zarechotał z radości, Sawicki wzruszył ramionami, a Łukiewicz, porządny chłop z Podola, wydał usta w grymasie odrazy. Mruknął coś o dzikich obyczajach żabojadów, ale Rolewicz natychmiast zgromił go wściekłym spojrzeniem. Kazik uśmiechnął się, zadowolony, że nie tylko on ma opory przed łupieniem.

– Plan jest taki – kontynuował starszy sierżant. – Pomagamy zdobyć tę przekłętą barykadę i ruszamy w miasto. W luźnych grupach, ale nie mniejszych niż pluton. Bardzo mi zależy na jak najszybszym splądrowaniu pałaców, dlatego zrobimy wszystko, by zdobyć tę barykadę w kolejnym szturmie. Wymagam, byście pogonili chłopców do roboty, mają zgnieść rebelli, i to z marszu. Nie chcę, do stu piorunów, słyszeć o zmęczeniu. Tego boli brzuszek, tamten, kurwa, jest plejzerowany^[53] w nóżkę. Gównu mnie to obchodzi. Na swobodne łupienie mamy czas tylko do wieczora. Macie zatem zostawić tu rannych, nabić broń i jazda, dołączamy do kompanii grenadierów Nadolskiego.

Lux pokręcił głową i podszedł do swoich dwóch rannych żołnierzy.

– Majer, weźmiesz Julka i pójdziecie w kierunku zamku – rozkazał. – Może uda się wam dogonić wóz z rannym kapitanem Laskowskim, a jeśli nie, powinni tam być jacyś nasi chłopcy. Dacie radę doczłapać?

– Aj-waj, ja nie dam rady? – burknął Żyd, który świecił zapadłą gołą piersią, bo musiał zerwać z siebie mundur nasączony gorącym olejem. – Cóż to dla mnie takie rany! Kiedyś w Sochaczewie, jak żeśmy wytapiali łój na świece, mój młodszy brat wylał mi na kolana cały gar gorącego smalcu, a ja anim mrugnął. Wtedy to był ból! Skóra zrobiła mi się czerwona jak pancierz gotowanego raka, a potem odłaziła płatami.

Kazik machnął piechurom na do widzenia i kilkoma susami dołączył do formującej się pospiesznie kolumny. Rolewicz ruszył przodem, rycząc na podkomendnych. Kompania błyskawicznie dołączyła do maszerujących właśnie do ataku grenadierów kapitana Nadolskiego, wymieszanych z Francuzami pod dowództwem jakiegoś młodego porucznika.

Lux znalazł się dość głęboko w szyku, ale i tak czuł rosnące uniesienie. Ledwie ochłonął po zdobyciu murów, a przyszło mu ganiać po wąskich i diabelnie niebezpiecznych ulicach

Frosinone, teraz zaś miał zdobywać kolejne umocnienia. Przestał już zwracać uwagę na wszechobecny smród spalenizny, krzyki mordowanych, widok trupów na ulicy. Na chwilę wstrząsnął nim obraz kobiety stojącej w oknie domu ogarniętego pożarem. Wahała się, czy wybrać śmierć od uderzenia o bruk, czy spłonąć żywcem. Zdecydowała się na to drugie. Chłopak widział, jak jej włosy i sukienka w jednej chwili zajmują się ogniem, a potem cała sylwetka znika w płomieniach. Krzyk umierającej zmroził mu żyły, ale tylko na chwilę, bo parę sekund później musiał robić uniki przed cegłami miotanymi z dachów.

– Naprzód marsz! – rozkazał niezłomny kapitan Nadolski, który dziś i tak już zasłużył na miano bohatera, gdy jako pierwszy wdarł się do zamku.

Powstańcy powitali zbliżających się żołnierzy gradem kul. Kilku piechurów z pierwszej linii oberwało postrzały i zostało na bruku. Potem grenadierzy przyspieszyli i zaczęli wrzeszczeć. Jednym głosem dołączyli do nich Francuzi i polscy fizyliery. Chmara wojska runęła na barykadę. Doszło do brutalnej przepychanki i po chwili potężnie zbudowani grenadierzy wdarli się na umocnienia.

Warszawiak widział, jak Rolewicz przebija się do pierwszego szeregu i wściekle tłucze kolbą muszkietu, trzymając broń za lufę niczym maczugę. Zaraz też sam znalazł się na górze rupieci i przewróconych wozów. Potknął się o ciało zabitego, a potem skoczył w dół, pośród kłębiących się powstańców i mieszczan.

Szabla w jego dłoni ożyła. Zapomniał o lekcjach dawanych przez Piekielnika, o tym, że nie ma w garści topornego tasaka, którym można tylko rąbać z ramienia, a mimo to karabela zdawała się sama prowadzić jego rękę z niebywałą gracją i finezją. W pierwszej chwili znalazł się przed mężczyzną biorącym zamach siekierą. Gdy jej żeleźce opadało, Kazik obrócił się, puścił je o włos od własnej piersi, a potem błyskawicznym ruchem samego łokcia wyrzucił rękę do cięcia. Pióro szabli chlasnęło przeciwnika po gardle, zazgrzytało na kręgosłupie i niemal obcięło mu głowę. Lux zdębiał, zaskoczony siłą drzemiącą w wiekowej broni. Krew ofiary bryznęła makabryczną strugą na spodnie i buty sierżanta, co przywróciło go do przytomności.

Gardło zacisnęło mu się z obrzydzenia i poczuł skurcz nadchodzących wymiotów, gdy nozdrza wypełnił zapach krwi, a zaraz potem zobaczył wijącego się w agonii przeciwnika. Wszystko minęło już po chwili, gdy musiał odeprzeć wściekły atak wrzeszczącego z gniewu i strachu chłopaka z muszkietem. Chlasnął go przez zębra, poprawił trzaśnięciem w głowę. Potem zwarł się z kolejnym drabem uzbrojonym w zardzewiały pałasz. Wystarczyło jednak, by warszawiak poruszył nadgarstkiem, a karabela ze świstem zatoczyła koło, ominęła wrogie ostrze i cięła przeciwnika w policzek. Ten wrzasnął z bólu, cisnął broń i rzucił się do ucieczki.

Wtedy Kazik dostrzegł mężczyznę w zielonym mundurze z ciężkimi oficerskimi epoletami. Neapolitański pułkownik właśnie wbił rapier w brzuch polskiego grenadiera, przekręcił ostrze w ranie i wyszarpnął je, jednocześnie odpychając przeciwnika. Bez zastanowienia Lux rzucił się na oficera. W biegu wykonał imponującego młynca szabłą i z impetem wpadł na

wroga.

To jednak nie był niedoświadczony mieszczanin z siekierą, ale wyrobiony szermierz. Sparował wszystkie silne i szybkie cięcia młodego sierżanta. Pułkownik poruszał się nieustannie, niemal tańczył, blokując wściekłą szarżę. Błyskawicznie też przeszedł do ataku i zadał dwa następujące po sobie pchnięcia. Polak jedno sparował, przed drugim w ostatniej chwili odskoczył w tył i nieznacznie się wygiął. Kolejny cios zepchnął go do rozpaczliwej defensywy. Ze zgrozą zrozumiał, że fatalnie wybrał przeciwnika. Nie miał z nim szans. Gdy próbował się wycofać przed kolejnym atakiem z morderczą flintą, potknął się o ciało zabitego i runął na plecy.

Upuszczona karabela zadzwoniła na bruku. Lux został bez broni. Neapolitańczyk doskoczył do niego z gracją i wziął zamach do ostatecznego pchnięcia. Kazik patrzył na niego ze zgrozą. Nie mógł liczyć na litość, w oczach oficera nie było cienia miłosierdzia.

Wtem na pułkownika Cimone, bo to on okazał się tym niezrównanym szermierzem, runęła jakaś zwalista postać. Rolewicz przeskoczył nad warszawiakiem i z muszkietem trzymany kolbą do przodu wpadł na oficera. Ten próbował jeszcze odskoczyć, by zyskać dystans umożliwiający pchnięcie, ale doświadczony bandzior nie dał mu na to czasu. Gruchnął go kolbą w twarz. Chrupnął łamany nos, a Cimone runął na plecy. Starszy sierżant pochylił się nad nim i znów trzasnął kolbą, tym razem w bok głowy. Powtórzył cios jeszcze kilka razy, aż mózg pułkownika rozbryznął się po kamieniach.

Kazik poderwał się i podniósł szablę. Chciał podziękować zienawidzonemu dręczycielowi, ale wydał z siebie tylko jęknięcie. Rolewicz machnął mu ręką i wyszczerzył zęby w upiornym uśmiechu, a potem skoczył w tłum, by dalej zabijać.

* * *

Dobosz Muraczewski, przez legionistów familiarnie nazywany Krzysiem, siedział skulony w załomie muru i płakał. Po wąskiej uliczce przetaczały się kłęby dymu, czasem pojawiała się w nim czyjaś skulona sylwetka, a wtedy chłopiec jeszcze bardziej wciskał się w ciemny kąt. Wydawało mu się, że to jedyne bezpieczne miejsce w tym okropnym mieście. Lepiej się z niego nie ruszać, dopóki w okolicy nie pojawią się swoi.

Wolał nie myśleć, co zrobiliby mu Włosi, gdyby wpadł w ich ręce. Niedawno widział, jak grupa starych bab, otumanionych przez prowadzącego ich rozmodlonego klechę, rzuciła się z gołymi rękoma na przejeżdżających francuskich strzelców konnych. Wczepiały się w nogi jeźdźców, drapały ich pazurami, jedna próbowała wgryźć się w końskie pęciny, aż francuska szabla rozrąbała jej głowę. Chłopiec miał wrażenie, że śni jakiś straszliwy koszmar. Trudno było uwierzyć w zajadłość Włochów i zimny, pozbawiony litości gniew zaatakowanych Francuzów. Wycięli stare kobiety w jednej chwili, a potem dopadli księdza i wbili go w bruk końskimi kopytami.

Krzyś po raz kolejny przeklął własne gapiostwo, gdy zapatrzył się na cudowny obraz Matki Boskiej w jakimś starym kościele, do którego wpadł razem z fizylierami. Żołnierze nie zastali tu żadnych buntowników, pognali więc dalej, a mały dobosz z otwartą gębą gapił się na Najświętszą Panią, zapominając o bożym świecie. Gdy się otrząsnął, na zewnątrz nikogo już nie było. Rzucił się w pogoń, omijając trupy, ale szybko zgubił się w plątaninie wąskich uliczek i przejść między starożytnymi kamiennymi domami.

Potem wypatrzyła go banda wyrostków i ruszyła na niego z kamieniami w dłoniach. Oberwał jednym w plecy, ale udało mu się zwać, nie zgubił nawet werbla ani pałeczek. Nigdy nie gnał tak szybko, rzucając się na oślep w zaułki i modląc, by nie trafić na ślepią uliczkę. Gonila go wyjąca i żądna krwi czereda rówieśników. Gdyby wpadł w ich ręce, pewnie rozerwaliby go żywcem na strzępy. Niemal czuł ich wściekłość i chęć mordy.

Wreszcie znalazł ciemną dziurę w załomie muru otaczającego jakąś posiadłość i przycupnął tam w oczekiwaniu na ratunek. Prędzej czy później powinni tędy przechodzić Polacy, może do zmroku wyciągną go z matni.

Nagle usłyszał podniesione głosy. Zastygł w bezruchu. Z kłębow dymu wynurzyła się chmara ludzi. Prowadził ich ksiądz o oszalałym spojrzeniu i ze srebrnym różańcem na szyi. Szli za nim przede wszystkim młodzieńcy z muszkietami, lecz także kobiety i starsi mężczyźni uzbrojeni w najróżniejszą broń, łącznie z motykami, sierpami i rzeźnickimi toporami. Ku zdumieniu Krzysia prowadzili trzech jeńców, popychanych i nieustannie szarpanych.

– O Jezu – szepnął chłopak – to Turkiewicz.

Pierwszym wziętym przez Włochów do niewoli był niski porucznik z cienkimi wąsikami i rzadką czupryną. Stracił rogatywkę i szablę razem z pendentem, a twarz miał solidnie obita i umazaną krwią, ale chłopak od razu go poznał. Kolejny szedł chudy, rozebrany do pasa Żyd Bauman, a ostatni kuśtykał Julek, cichy, nierzucający się w oczy legionista od kaprała Krawczyńskiego. Wszyscy trzej sprawiali wrażenie porządnie wystraszonych, zresztą nic dziwnego, zdążono już ich obić, a do tego bez przerwy obrzucano obelgami i groźbami. Nie trzeba było znać języka makaroniarzy, by narobić w portki ze strachu.

Krzyś przeczekał, aż powstańcy znikną w oddali, a potem dla pewności siedział bez ruchu jeszcze długą chwilę. Wreszcie zmusił się do wyjścia z ukrycia. Nogi w kolanach miał niepokojąco miękkie, a łydki mu dygotały. Teraz jak najszybciej powinien znaleźć swoich, inaczej porucznik i dwaj legioniści zostaną żywcem obdarci ze skóry. Sądząc po minie księdza, który ich pojmał, nie mogło ich spotkać nic lepszego.

* * *

Kopyta wybijały na bruku znajomy rytm, dodając otuchy strzelcom z 19. Regimentu Jazdy. Nikt z nich nie przepadł za galopowaniem po wąskich ulicach i zaułkach, w których czaili się buntownicy. W każdej chwili w brzuch konia mógł wbić się zaostrzony kij. W każdej chwili

celnie rzucona cegła mogła wysadzić któregoś kawalerzystę z siodła. Rozkaz generała Girardona zobowiązywał ich jednak do udzielenia wsparcia walczącej w mieście piechocie. Kapitan Precheur wolałby zostawić wierzchowce u bram miasta, ale według dowódcy strzelcy bardziej mieli się przydać w siodłach. Póki co, jedynym efektem rozkazu były złamania nóg czterech cennych wojskowych koni. Dodatkowo trzy wierzchowce zostały okaleczone rzuconymi z dachów kamieniami.

Antoine de Villard jechał u boku kapitana, kontemplując z siodła widok wojennego zniszczenia. Od dziecka lubił rysować, brał nawet lekcje u flamandzkiego mistrza. W malarstwie najbardziej lubił sceny rodzajowe, ilustrujące jakieś mniej lub bardziej doniosłe wydarzenia. Nie przykładał się do portretów czy nastrojowych widoczków, nigdy wszak nie będzie musiał zarabiać na życie malowaniem. Zresztą w żaden inny sposób również. Żałował jednak, że nie ma pod ręką notatnika i rysika, wykonałby kilka szkiców, nawet siedząc w siodle. Szkielety spalonych domów, poczerńiałe trupy, dymy kłębiące się na ulicach i bijące w niebo. Sylwetki żołnierzy i uciekających mieszczan, ciała zawalające całymi stertami zgruchotane barykady, a do tego kałuże krwi, rzeki krwi. Cóż za wspaniałe sceny wojny stawiało mu przed oczami to miasto!

Wjechali na jakiś większy placzyk czy ryneček z obowiązkową fontanną. Okolica nie nosiła śladów toczących się tu walk, widocznie przypadkiem ją pominięto. W owalnej fontannie szumiała jasna, niezmacona krwią woda. Kapitan zeskoczył z siodła i zanurzył w niej obie ręce, a następnie opłukał twarz. Uśmiechnął się do zmęczonych, zgrzanych żołnierzy.

– Z koni – rozkazał krótko. – Napoić zwierzęta.

Z westchnieniem ulgi strzelcy posłuchali rozkazu. Antoine jako jeden z pierwszych poprowadził konia do wodopoju i pozwolił mu porządnie się napić. Pogładził go po szyi, potem odprowadził zwierzę na bok, by zrobić miejsce kolejnym. Zabrał się do poprawiania rzędu, a potem doszedł do wniosku, że wypadałoby też zdjąć siodło i natrzeć otarcia na skórze wierzchowca. Odwrócił się do kapitana, by zaproponować dłuższy postój. Precheur ciągle stał przy studni i czerpał z niej dłońmi wodę, którą wylewał sobie na głowę. Zanim de Villard zdążył się odezwać, powietrzem wstrząsnęła ogłuszająca palba.

Dwa lub trzy konie wierzgnęły z kwikiem, jeden z nich od razu zwałił się na bok, a z jego rozerwanego kulą karku bryznęła krew. Kapitan runął do przodu, wprost w fontannę. Antoine z oszołomieniem patrzył na jego plecy. Ziała w nich dziura, a wypływająca z niej krew natychmiast zaczęła barwić wodę na różowo. Strzelec stojący obok wrzasnął i chwycił się za ramię. Z bocznych uliczek wysypał się tłum ludzi uzbrojonych w muszkiety, kije, a nawet wiekowe halabardy.

– W zwarty szyk, do mnie! – Młodzieniec otrząsnął się jako pierwszy.

Odruchowo zaczął wydawać rozkazy, co zostało przyjęte przez strzelców zupełnie naturalnie, już od dawna traktowali go jak przywódcę. Roztaczał wokół siebie nimb władzy, którą miał we krwi, zupełnie nieświadomie podporządkowując sobie grupę żołnierzy, z którymi służył. Dlatego też jeźdźcy puścili konie i bez ociągania zebrali się wokół nowego

komendanta. Antoine zdjął z pleców karabinek, odciągnął kurek i sprawdził kciukiem skałkę. Żołnierze ustawili się w podwójny, półkolisty szereg obejmujący część fontanny. Było ich tylko pięćdziesięciu, reszta szwadronu została przy generale.

Buntownicy znajdowali się już o kilka kroków od nich. Strzelcy unieśli pozbawioną bagnetów broń i bez rozkazu wypalili w napastników. Lufy niemal stykały się z piersiami i brzuchami Włochów. Szlachcic powalił strzałem jakiegoś chudzielca toczącego pianę niczym wściekły pies i rąbnął następnego napastnika kolbą. Potem cisnął broń w gęsty tłum i dobył szabli. Szyk Francuzów się rozpadł, teraz każdy walczył o życie na własną rękę. Miejscowych było kilkakrotnie więcej, do tego sprawiali wrażenie oszalałych z wściekłości, więc de Villard stwierdził ze zgrozą, że za chwilę zgniotą jego towarzyszy samym impetem uderzenia. Że też dali się zaskoczyć w czasie odpoczynku! W siodłach mieliby większe szanse!

Konie, prychając i kwicząc, rozbiegły się po placu, kilka pogalopowało uliczkami w dół miasta. Antoine rąbał szablą rozpaczliwie, ale musiał zacząć się cofać. Atakowało go jednocześnie pięciu mężczyzn, którzy na szczęście wzajemnie sobie przeszkadzali. Mimo to oberwał w lewe ramię motyką i czuł gorącą krew spływającą pod mundurem. Jeszcze chwila i będzie po nim. On, przedstawiciel dumnej normandzkiej szlachty zginie zadziobany przez rozszalały tłum.

Grzmotnęła równa salwa. Napierająca tłuszcza zawyła, kilku buntowników padło bez życia na ziemię. Gdy zwrócili się w stronę nowych wrogów, ujrzeni zwarty szereg polskich żołnierzy. Piechurzy spokojnie oparli muszkiety o ziemię i sprawnie zaczęli je nabijać. Któryś z powstańców przywódców wskazał nowe zagrożenie i papiści niepewnie, bez przekonania, ruszyli na Polaków. Wysoki, szczupły sierżant, który prowadził polskie wojsko, uniósł w górę długą szablę o lekko zakrzywionym ostrzu.

– Pal! – rozkazał.

Padła druga salwa i ścięła z nóg nadbiegających Włochów. Fizyliery unieśli muszkiety, ustawili je pod kątem i pociągnięci naprzód przez podoficera, z wrzaskiem ruszyli do ataku na bagnety. Biegli jako zwarty szereg, mur najeżony stalowymi kolcami. Tego było zbyt wiele dla powstańców, rozstąpili się przed nacierającymi i gromadnie rzucili do ucieczki w wąskie uliczki.

Antoine osunął się na kolana. Przeżył! Cudem, ale przeżył! Dzięki tym popieprzonym, narwanym Polakom udało mu się wyjść cało z zasadzki. Otarł pot zalewający oczy, schował szablę i pomacał krwawiące ramię. Zdjął kurtkę i koszulę. Na szczęście rozcięcie, choć już otaczał je siniak po uderzeniu, nie było głębokie i przestawało krwawić. Spojrzał z mieszką wdzięczności i niepewności na polskiego dowódcę. Bez zdziwienia rozpoznał w nim sierżanta Luxa. Uśmiechnął się do niego i pokręcił głową.

Kazik wzruszył ramionami i spojrzał na dobosza, który właśnie wbiegł na plac. Krzyś dopadł go kilkoma susami i przywarł do niego jak tonący, który chwyta się dającej ratunek szalupy. Antoine zakładał mundur, przyglądając się dziwnemu zachowaniu chłopaka. Ten mówił coś gorączkowo coraz bardziej zdziwionemu Luxowi. Wreszcie sierżant wsadził dwa

palce w usta i zagwizdał, by zebrać ludzi.

Polacy, którzy rozleźli się po placu i zajęli przeszukiwaniem trupów, bez pośpiechu otoczyli dowódcę. De Villard ze zdumieniem ich przeliczył i wyszło mu, że legionistów jest raptem dwudziestu pięciu. Co im strzebiło do łbów, że taką nędzną garstką ruszyli na pomoc osaczonym strzelcom? Ci rozmodleni bigoci mieli więcej jaj niż niejeden francuski rewolucjonista.

Tymczasem Polacy dyskutowali nad czymś zawzięcie, najwyraźniej kłócili się między sobą, jeden chyba nawet groził sierżantowi. Lux nie sprawiał jednak wrażenia oburzonego rozluźnieniem dyscypliny, spokojnie przemówił do oburzonych i wskazał francuskich strzelców. Antoine z ulgą zauważył, że większość jego kompanów przeżyła. Wojskowe szkolenie nie poszło na marne.

– Potrzebujemy waszego wsparcia, *monsieur* de Villard – nie najgorszym francuskim oznajmił warszawiak.

– Czym możemy wam służyć, sierżancie? – Antoine zapiął mundur i wyprężył się przed żołnierzem wyższym od niego stopniem.

– Moi trzej przyjaciele, w tym oficer, dostali się do niewoli. Zostali poprowadzeni w górę miasta. Obawiam się, że mamy bardzo mało czasu, by ich uratować. Nie mogę poświęcić ani minuty na szukanie wsparcia, musimy ruszyć natychmiast.

– Buntowników było wielu?

– Dobosz widział, że jeńcy byli prowadzeni przez około dwustu powstańców, nie wiem jednak, czy na górze nie ma ich więcej.

– Mogę zostawić konie z kilkoma ludźmi i przyłączyć się do was z mniej więcej czterdziestoma strzelcami – ostrożnie zaproponował de Villard, choć zdawał sobie sprawę, że właśnie wyraża chęć udziału w kolejnej brawurowej akcji Polaków. Może jednak właśnie to go pociągało?

– Myślę, że tylu w zupełności wystarczy. – Uśmiechnął się Lux.

– Zatem na co czekamy? Ruszajmy!

* * *

Rolewicz z daleka wypatrzył dom o fasadzie ozdobionej fantazyjnymi gzymsami i półkolumnami stylizowanymi na starożytnie. Same drzwi, wykonane z jakiegoś egzotycznego, zupełnie czarnego drewna rzeźbionego w ornamenty i zaopatrzone w nity z czernionego żelaza, z pewnością warte były majątek. Pryszczaty z Komosą sprawnie poradzili sobie z solidnym zamkiem, potem udało im się podważyć rygiel i cały oddział, kipiąc podnieceniem, wdarł się do środka.

Choć zdążyli już wyrzucić z plecaków większość prywatnych rzeczy i napchać je zrabowanym srebrem, starszemu sierżantowi ciągle było mało. Liczył, że w pałacyku wreszcie

obłowią się w złoto, w ciężką, błyszczącą monetę, a nie jakieś tam srebrne kielichy i widelce. Wpadł do środka jako pierwszy i w przelocie dźgnął bagnetem uzbrojonego w kuchenny tasak sługę w liberii. Chwilę później przywarł do ściany, by uniknąć postrzału. Włoch w eleganckim surducie cisnął w niego bezużytecznym już pistoletem i sięgnął po szpadę. Zrobiło się niewesoło. Na szczęście Joachim wypalił z muszkietu prosto w brzuch makaroniarza. Wystarczyło dobić gagatka.

Potem wycięli pochowaną po pokojach służbę, łącznie z bezbronnymi pokojówkami, by wreszcie wdrzeć się do gabinetu pana domu. Jakiś starzec w pudrowanej peruce zasłaniał tam własną pierś starszą damę. Zabili oboje, nawet nie zwalniając kroku. I zaczęli plądrować pałac. Na drewnianą podłogę, ułożoną w różnobarwne rozety, poleciały ozdobne dzbany i księgi z biblioteczki. Chudy ze śmiechem roztrzaskał kolbą wielkie zwierciadło, dźgnął bagnetem portret na ścianie, na koniec kopnął marmurową rzeźbę przedstawiającą półnagie dziewczę z łukiem. Liczące blisko dwa tysiące lat przedstawienie bogini Diany straciło w tym incydencie ramię.

Nie natrafili jednak na żaden skarbiec ani choćby na szkatułkę. Mimo że roztrzaskali w drzazgi biurko i szafki w gabinecie, ciągle nic. Rolewicz powoli zaczynał robić się nerwowy, bo penetrowali pałac już niemal godzinę i prócz posrebrzanych świeczników, obrazów i innych nieporęcznych rupieci nie mogli znaleźć niczego, co mogłoby się zmieścić w żołnierskim plecaku. Z kuchni Joachim przyniósł wędzony udziec, z którego odcięli sobie po płacie zaskakująco delikatnej szynki. Wreszcie dotarli do buduaru z wielkim łóżem i damskimi mebelkami. Spod łóżka wyciągnęli grubą przestraszoną kobietę.

– *Dove l'oro*^[54]?! – ryknął Rolewicz, wykorzystując dopiero co poznane włoskie słowa.

Jako że nie paliła się do zwierzeń, Pryszczaty szarpnął ją za włosy i przyłożył do jej obfitego biustu ostrze brudnego noża. Zaczęła mówić dopiero, gdy zrobił pierwsze cięcie. Okazało się, że pod największą poduchą znajdowały się szkatułka z biżuterią i kilka ciężkich mieszków z monetami. Rolewicz wyszczerzył się z radości, gdy zobaczył w środku jednego z nich błysk upragnionego kruszcu.

– Wreszcie, moje wiarusy kochane, udało się!

Z rozpędu ucałował Pryszczatego w rany po czyrakach i liszaje na gębie. Splunął na podłogę, a potem zaczął pakować zdobycz do mantelzaka. Tyle wysiłku, ale w końcu odnieśli sukces. Tyle złota to prawdziwy skarb! Nawet w Wiecznym Mieście przez cztery miesiące rabunków nie zdołali zgromadzić nawet połowy tego co teraz. A do wieczora mieli jeszcze sporo czasu! Kto wie, jakie skarby kryły w sobie mieszczańskie domy Frosinone.

Pulchna szlachcianka, na którą nikt nie zwracał uwagi, dopadła do okna i jednym pchnięciem rozwarła drewniane okiennice. Wychyliła się i wrzasnęła na całe gardło. Pryszczaty odciągnął ją szarpnięciem za włosy, ale było już za późno. Plac przed pałacykiem był pełen ludzi, którzy musieli przybyć tu całkiem niedawno. Rolewicz ze zgrozą obrzucił spojrzeniem kłębiący się tłum. Na środku placu budowano stos. Obok siedziało na bruku

trzech mężczyzn w podartych polskich mundurach. Sierżant nawet z tej odległości rozpoznał w jednym z nich porucznika Turkiewicza.

Jakim cudem nie usłyszeli takiej kupy ludzi, którzy przecież robili niemiłosierny harmider? Czyżby przez grube mury i pozamykane okiennice wzięli dobiegający z oddali hałas za odległe odgłosy boju w nieustannie broniącym się mieście? Rolewicz odskoczył od okna z nadzieją, że nie zobaczyło go wielu mieszczan, a jeśli nawet, to nie dostrzegli munduru. Może nikt nie zwrócił uwagi na wrzeszczącą babę, wszak całe miasto aż huczało od krzyków, śpiewu, przekleństw i płaczu.

– Ucisz ją, do cholery – syknął do Pryszczonego.

Legionista, który ciągle trzymał kobietę za włosy, pchnął ją nożem w plecy. Dla pewności poprawił jeszcze trzy czy cztery razy, choć ofiara zamilkła już po pierwszym ciosie.

– Musimy wiać – mruknął Komosa.

– Kuchennymi drzwiami. – Joachim rzucił się do wyjścia. – Za mną.

Herszt złoczyńców znów splunął na podłogę. Zawahał się i zerknął za okno. Jakiś klecha w sutannie pochylił się nad jednym z jeńców, coś do niego powiedział, a potem wymierzył mu kopniaka w twarz. Do księdza podszedł mężczyzna z szablą u pasa i coś zaczął mówić, żywo gestykulując. Duchowny pogroził mu pięścią, a potem wniósł oczy do nieba i zaczął przemawiać wzniosłym głosem. Co chwila wskazywał na jeńców i stos.

– Chyba chcą ich spalić – zauważył Pryszczonego. – Szkoda, że nie możemy im pomóc.

Rolewicz nie był na tyle głupi, by rzucać się do samobójczego ataku. Po co? By ratować jakiegoś oficerzynę i dwóch oberwańców? Z drugiej strony spalenie żywcem budziło w nim jakiś atawistyczny lęk i odrazę do buntowników. Co innego zaszlachtować jeńca, zadźgać, rozstrzelać lub powiesić, ale torturować i spalić? To nieobyczajne i niegodne.

– Otwórzcie drzwi na tyły i sprawdźcie drogę ucieczki – rozkazał. – Zanim zwiejemy, możemy wyświadczyć naszym ostatnią przysługę.

* * *

La Hoz nie miał już sił. Nieustanne spory z fanatycznymi przywódcami buntu doprowadziły go na skraj wyczerpania. Zamiast słuchać jego rad i budować kolejne barykady, obsadzać kamienne pałace strzelcami i przeprowadzać akcje zaczepne, ci cywile postanowili w ramach zemsty – i na postrach – spalić żywcem kilku nędznych jeńców. Na nic zdały się próby przemówienia do rozsądku księdzu Trino. Razem ze swoim pomagierem, zupełnie opętanym nienawiścią awanturnikiem Canonico, zatracali się w płomiennych przemowach i modłach, a zamiast wznosić barykady, kazali usypać stos.

D’Orlz miał ochotę wycić z bezsilnej złości. Wiedział, że szanse na ocalenie miasta i powstańczej armii drastycznie maleją. Kiedy próbował przemówić Trino do rozsądku, ten pogroził mu pięścią, a potem rozpoczął kolejną podnoszącą na duchu przemowę.

Generał odsunął się, bo buntownicy już ciągnęli Polaków, by wrzucić ich na kupę rupieci. Jeden z nich oswobodził się z więzów i z przerażoną miną spróbował beznadziejnej ucieczki. Nie przebiegł nawet kilku kroków. Wyciągnęły się do niego dziesiątki rąk, spadły pięści, kije. Na stos rzucono go bezwładnego, zalanego krwią.

„Jeśli jeszcze żyje, to przynajmniej zginie nieprzytomny, bez bólu” – pomyślał arystokrata współczująco.

Rozejrzał się z westchnieniem po placu. Jego wzrok przyciągnęła piękna kamienica, z której okna przed paroma minutami jakaś gruba kobieta wznosiła okrzyki. Teraz to samo okno uchyliło się i coś się przez nie wysunęło, błysnęło w słońcu. Lufa! Generał ze zdumieniem patrzył na kilka kolejnych muszkietowych luf, które pojawiły się w sąsiednich oknach pałacu.

Ksiądz akurat skończył podniosłe modły i wyciągnął rękę po zapaloną pochodnię przyniesioną przez Canonico. La Hoz zadziałał impulsywnie, bez zastanowienia. Rzucił się biegiem, rozkładając ręce.

– Na ziemię! – wrzasnął.

Ściął Trino z nóg, przywalił własnym ciałem. W tej samej chwili rozległa się palba. Canonico, wciąż trzymający pochodnię, obrócił się i zgiął w pół. Kula trafiła go w bok, strzaskała żebra i dosięgła serca. Ktoś z tyłu wrzasnął, inny runął na ziemię, bryzgając krwią z rany.

– Co się dzieje? – zaskrzeczał ksiądz.

– Republikanie – warknął oficer. – W tamtym domu.

Duchowny rozejrzał się z przerażeniem, ujrzał zabitego Canonico, wijących się rannych i oszołomiony tłum.

– Na co czekacie? – krzyknął. – Zabić ich!

La Hoz wstał i z godnością otrzepał spodnie. Nie oczekiwał na wylewne podziękowania za uratowanie życia, ale ksiądz nawet nie raczył na niego spojrzeć, tylko pognął w stronę pałacu, ciągnąc za sobą rozgniewanych powstańców.

* * *

– Trocheście się pospieszyli z fizyliadą^[55], szefie – wydyszał Joachim, który wpadł przez kuchenne drzwi.

Rolewicz zbiegł właśnie ze schodów, pobrzękując pełnym plecakiem. Spojrzał na pobladłą gębę grasanta i zaklął pod nosem. Od razu się domyślił, że mają kłopoty.

– Droga odcięta? – spytał sierżant Majewski.

– Drzwi kuchenne wychodzą na dziedziniec z ogródkiem i kurnikiem, jest tam też studnia, ale przede wszystkim mur i ściany sąsiednich kamienic. Jedyne furta prowadzi z powrotem na plac pełen rebelli – odparł Joachim. – Jesteśmy w czarnej dupie, wodzu.

– Ryglujcie drzwi! – rozkazał herszt. – Będziem się bronić.

W myślach przeklął własną głupotę. Co go podkusiło do wydania tak idiotycznego rozkazu? Mógł spokojnie przeczekać zamieszanie w pałacu i wymknąć się, gdy powstańcy odejdą. Przez nadmierną szlachetność zaryzykował życie, i to nie tylko swoje. Wiedział, że te androny o honorze i przyzwoitości zawsze prowadzą do kłopotów. Jak on, stary wyga, mógł postąpić tak głupio? Tak zachowałby się ten szczeniak, Lux, a nie prawdziwy wiarus. Czyżby młodsza wiara w przyzwoitość, wydumane szlacheckie ideały, przeszła na niego, gdy mieszkał z Kazikiem?

– Idź, maro, na pohybel – wymamrotał i pobiegł ryglować drzwi, w które natychmiast załomotały kolby.

– Trzeba zastawić okna na parterze, bo je wywalą – zaproponował Majewski.

– Za późno. Wdarli się przez furkę od ogródka, już są w kuchni – grobowym głosem oznajmił Komosa.

– Tu ich powitamy – zdecydował Rolewicz. Rozejrzał się po wąskim korytarzu. – Nabijcie broń.

Sam też złapał za patrontasz, sięgnął po ładunek. Grasanci ustawili się ramie w ramie i błyskawicznie załadowali muszkiety. Zanim powstańcy wypadli na korytarz, już podsypali panewki i byli gotowi do walki. Starszy sierżant spojrzał z dumą w zacięte, paskudne gęby swoich drabów. Choć były z nich ostatnie łachudry, dranie i mordercy, byli też świetnymi żołnierzami. Zaraz udowodnią to cholernym makaroniarzom. Szkoda, że po raz ostatni.

– Zaszczycem było służyć pod pana rozkazami – zaskakująco oficjalnie przemówił Majewski.

– Nie piernicz – burknął Rolewicz. – Trzymajcie się, chłopcy. Do zobaczenia w piekle.

– *Saluto*, herszcie. – Uśmiechnął się Pryszczyty.

– Pal! – rozkazał Majewski i podniósł muszkiet.

Salwa z kilku luf ogłuszyła wszystkich w korytarzu, wypełniła go kłębamii dymu i zapachem świeżej krwi. Powstańcy zakotłowali się i zaczęli przewracać o postrzelonych. Zanim zapanowali nad chaosem, z dymu wypadły na nich polskie demony, szczerzące kły, ogarnięte zabójczym szalem. Dźgały bagnietami, trzaskały kolbami, miażdżąc kości, rozwalając głowy. Tłum buntowników zafalował, pierwsze szeregi, przerażone furią obrońców, próbowały się cofnąć, ale tył napierał, pchając je do przodu. Po chwili legioniści stali na stertach trupów lub okaleczonych, śmiali się i pluli na buntowników.

Wreszcie któryś z powstańców wypalił z pistoletu i sierżant Majewski osunął się na kolana. Znak, że przeciwnik nie jest jednak niezniszczalny, dodał otuchy atakującym. Na rozkaz stojącego z tyłu La Hoza cofnęli się i unieśli muszkiety.

– Na nich, zanim wypalą! – rozkazał Rolewicz i skoczył na wroga.

Za późno. Huknęły strzały, dziesiątki kul pomknęły wprost w polskich fizylierów.

* * *

Potworny upał, wyciskający z człowieka każdą kroplę wilgoci, kłęby dymu, trupy i wszechobecny smród siarki ze spalonego prochu coraz bardziej przywodziły Kazikowi na myśl piekło. Pewnie któryś z kręgów piekieł tak właśnie wygląda, a potępieni, zupełnie jak polscy fizylierzy, błakają się po nim, szukając wytchnienia. W każdej chwili muszą spodziewać się zdradzieckiego ataku – z uchylonego okna, z ciemnego zaułka, z dachu lub zza zniszczonej barykady. Nie mają chwili wytchnienia, muszą nieustannie się spieszyć, przeć przed siebie, opłacając każdy krok straszliwym wysiłkiem.

– Może chwilę odetchniemy? – zaproponował kapral Klein. – Tam, w podwórku, widzę studnię. Krzyś, goń sprawdzić, czy nie pływa w niej trup.

– Co za gorąc. Jestem gotów pić nawet wodę jak jakie zwierzę – bohatercko oznajmił Anzelm Kura.

– Patrzajta go, znalazł się drugi książę Potocki czy inszy Radziwiłł, co to piją tylko miód, węgrzyna i piwo – wycharczał brat piechura. – Nie pamiętasz już, jak doiłeś deszczówkę z kałuży, gdyśmy szli przez Apeniny?

Oddział, który przemykał pod ścianami domów, by mniej się narażać na zdradziecki ostrzał z okien, przystanął sam z siebie, bez rozkazu. Kazik zgiął się w pół i oparł ręce o kolana. Pot kapał mu z nosa i czoła ciężkimi kroplami, by wyparować zaraz po spadnięciu na rozgrzany słońcem bruk. Francuscy strzelcy również przystanęli. Dotychczas posuwali się za Polakami, idąc gęsiego po przeciwnej stronie ulicy. Dwa oddziały miały osłaniać się wzajemnie i wypatrywać zagrożenia na dachach oraz w oknach.

– Żabojady, jak zwykle, za naszymi plecami – ponuro skwitował Stachowski. – Nie palą się do nadstawiania tyłka. Wola, żebyśmy to my dostali baty.

– Przecież to nam zależało na tej wycieczce – przypomniał młodzieniec. – Łaskawie zgodzili się pomóc, ale to nie ich druhowów dopadli rebelle, tylko naszych.

– Ino, że nieszczęśnicy, którzy wpadli w łapy buntowników, przyleźli zdobywać to miasto w interesie Francji! – wycedził wściekły gefrajter. – Makaroniarzom dopiekiły francuskie kontrybucje i ich bezbożna grabież, to przeciw nim się zbuntowali, a nie przeciw nam. Żabojady, zamiast walczyć, nas wysłali do brudnej roboty, jak chudopachołków. Zrobili sobie z nas totumfackich^[56], których kopie się w tyłek dla zabawy albo by szybciej przebierali nogami.

Lux nie mógł wymyślić żadnej riposty na tak skwitowany status polskiego Legionu, wzruszył więc ramionami i zdjął rogatywkę, by otrzeć pot z czoła. W tej samej chwili stojący po drugiej stronie ulicy Francuzi unieśli karabinki. Polacy zdębieli, bo wyglądało to tak, jakby strzelcy mierzyli właśnie do nich. Lufy kawaleryjskiej broni wypaliły jednak do wrogów przycupniętych na dachu domu, pod którym akurat stali fizylierzy. Jeden z rebeliantów spadł

z wrzaskiem wprost pod nogi legionistów. Stachowski splunął na konającego i niedbale zasalutował sojusznikom.

– *Merci!* – wrzasnął Klein i uchylił czapki.

W odpowiedzi de Villard wskazał wylot uliczki. Pojawiło się w niej kilku wyrostków, którzy na widok przyczajonych żołnierzy rzucili się do ucieczki. Dla wszystkich było jasne, że przyciągnęły ich strzały, a teraz pobiegli poinformować kogoś o zagrożeniu.

– Jesteśmy blisko jakiegoś większego zgrupowania buntowników! – krzyknął Antoine. – Właśnie straciliśmy element zaskoczenia.

– Mogą zamordować jeńców i przygotować nam huczne powitanie – zwrócił się ponurym tonem do swoich kompanów Kazik. – Nie mamy jednak innego wyjścia, jak przeć do przodu.

– Wiele nie zdziałamy, już po Turkiewiczu. Nie ma co pchać się na pewną śmierć – mruknął Stachowski.

– Może choć pomścimy chłopaków? – wtrącił Anzelm Kura. – Majer był pociesznym Żydem, tak ładnie nam bajał wieczorami. I nie zdążyłem się na nim odegrać w karty.

Warszawiak westchnął ciężko. Nie miał siły na spory z legionistami, zresztą nie miał jej też na samobójczy atak. Stracił ochotę na szlachetną śmierć z bronią w ręku, choć okazja była, jakich mało. Zapalił się do wyprawy ratunkowej, gdyż widział w niej szansę zmazania plam na honorze, ale gorąco i wyczerpanie stłumiły w nim młodzieńczą energię, przytępiły szlachecką fantazję. Gotów był zrezygnować i wycofać oddział w spokojne rejony. Niech sobie chłopcy poszukają łupów i wina. Jemu było już wszystko jedno.

– Kazik! Panie sierżancie!

Z podwórka ze studnią wybiegł wysłany tam dobosz Krzyś Muraczewski.

– Za tamtą rudera jest wąska dróżka prowadząca w górę. Solidnie wybrukowana, znaczy, że często jej używają. Wiedzie między kamienicami, pewnie przez zaułki.

– Szczurza ścieżka – mruknął Stachowski. – Pewnie dla miejscowych złodziejów.

– Albo to jakiś starożytny skrót – dodał Klein. – Z czasów początków miasta.

Sierżant stłumił niezadowolenie, bo w myślach odpoczywał już w jakimś ocienionym, spokojnym miejscu, a odkrycie Krzysia wyrwało go z przyjemnych marzeń. Oparł się plecami o ścianę, położył dłoń na rękojeści karabeli. Znów miał wrażenie, że królewska broń ożywa. Poruszyła się pod wpływem jego dotyku, do tego była gorąca, jakby w ostrzu płynęła krew, a nie rtęć. Poczul fałę wstydu. Co by powiedział król na taki objaw lenistwa i braku wiary? Wszak los podawał mu rozwiązanie na tacy.

– Idziemy! – Machnął Francuzom i ruszył w stronę podwórka ze studnią.

Legioniści nie zaoponowali nawet słowem, choć też mieli dosyć tej nieprzemyślanej wyprawy. Posłusznie poszli za sierżantem, przywykli do natychmiastowego wykonywania rozkazów. Wystarczyło zwrócić się do nich zdecydowanym tonem, by rozwiązać wszelkie rozterki. Dołączyli do nich strzelcy konni, którzy na wąskiej ścieżce szybko przemieszali się

z Polakami. Dróżka wiła się między starymi budynkami, wpadała w podwórka, by po chwili pojawić się z ich drugiej strony. Żołnierze szli szybkim krokiem narzuconym przez Kazika. Młody podoficer nawet na chwilę nie wypuszczał z dłoni szabli, by przypadkiem nie stracić zapachu. Parł przed siebie w przekonaniu, że wie dzie go jakaś siła wyższa, najpewniej jego wysokość Jan III we własnej osobie. No bo skąd wzięłaby się w nim podobna determinacja i odwaga?

Po kilkunastu minutach podążania zaułkami i podwórkami znaleźli się na tyłach kościoła, którego fasada wychodziła na plac pełen ludzi. Lux przywarł do muru okalającego świątynię, a żołnierze przycupnęli tuż za nim. Do sierżanta podszedł de Villard i wychylił się na moment zza osłony.

– Będzie ze dwa tysiące ludzi – oznajmił. – Ale nie wszyscy to uzbrojeni buntownicy, sporo tam zwykłych gapiów, dzieciaków i bab.

– Są nasi! – ożywił się Klein, który bez zastanowienia wspiął się na mur, by lepiej widzieć. – Leżą na kupie rupieci. Jest ich więcej niż trzech! Są tam jeszcze jacyś inni jeńcy! Poza tym nie wyglądają na żywych, przynajmniej nie wszyscy.

– Atakujemy? W siedemdziesięciu na dwa tysiące? – spytał Antoine.

– Dla nas nic w tym nowego. – Warszawiak wzruszył ramionami. – Musimy tylko sprawić wrażenie pewnych siebie, udawać, że wiemy, co robimy. Jeśli uda się wywołać panikę, pójdzie jak z płatka. Trzeba uderzyć tak, by nie wiedzieli, że jest nas niewielu.

– Czyli jak? – dopytywał Francuz.

Kazik nie odpowiedział, gorączkowo się nad tym zastanawiał.

– Niech mnie licho porwie, ale makarony chyba właśnie odprawiają mszę – dodał kapral. – Wokół stosu chodzi ksiądz z monstrancją, a ludzie masowo rzucają się na klęczki i spuszczaają głowy.

– To najlepszy moment – chrząknął Lux i wyciągnął karabelę z pochwy.

Wiekowe ostrze błysnęło w słońcu. De Villard spojrział na broń z podziwem.

– Ładna szabla – stwierdził.

Sierżant ruszył jako pierwszy i machnął na piechurów.

– Walimy na nich z tartasem^[57], jakby to sama husaria zstąpiła z niebios do jeszcze jednej szarzy! – powiedział po polsku, a potem zwrócił się do Francuzów: – Panowie, pozwólcie z nami. Głośno i z fantazją!

Krzyś wyciągnął zza paska pałeczki i grzmotnął nimi w werbel. Walił, ile sił, utrzymując najszybszy rytm, jaki potrafił. Piechurzy wypadli zza kościoła, wyjąc i wrzeszcząc. Nie ustawiali się w szyk czy kolumnę, pędzili bezładną kupą. Nie bawili się w równe salwy i odmierzony krok. Spadli na zaskoczonych mieszczan niczym wataha wilków na stado owiec. Strzelali prosto w przerażone twarze, dźgali bagnetami i rąbali tasakami. Krew znów popłynęła szerokim strumieniem, zwilżyła gorący, suchy bruk.

Kobiety, wrzeszcząc z przerażenia, zawodząc i lamentując, rzuciły się do ucieczki. Popychały i przewracały przy tym uzbrojonych powstańców próbujących uformować kolumnę. Ksiądz Trino opuścił monstrancję i patrzył ze zgrozą na szalejącą grupę żołnierzy. Skąd oni się, u licha, wzięli? Widziano niewielki oddział, ale nadchodzący niespiesznie jedną z głównych ulic. Czyżby buntownicy znaleźli się w potrzasku?

– Francuzi! – wrzeszczał jakiś przerażony mężczyzna. – To z pewnością Bonaparte!

La Hoz dzielił go pięścią w twarz, żeby go uciszyć. Tłum i tak zaczął wpadać w panikę, ale była jeszcze szansa, by nad nim zapanować. Wśród atakujących naprawdę dostrzegł Francuzów, ale przeciwników nie było zbyt wielu. Jeśli uda się ustawić przynajmniej jedną kompanię w linię i wypalić w nich salwę, powinno być po sprawie.

– Do mnie! – ryknął. – Dzielni rodacy, do mnie!

Kazik chlasnął szablą szarżującego mężczyznę uzbrojonego w muszkiet z bagnetem, poprawił na odlew, rąbnął w czoło, aż chrupnęła gruchotana czaszka. Karabela tańczyła w jego rękach, łapczywie piła krew po ponad stu latach bezczynności. Rwała się do boju, ciągnęła młodzieńca cały czas do przodu, spadała na przeciwników z ogromną siłą. Lux, oszołomiony szalonym rytmem granym przez Krzysia, upojony widokiem chlustającej krwi, szedł przed siebie, kręcąc młynka, rąbiąc, tnąc na lewo i prawo. Odruchowo skoczył w stronę oficera próbującego zapanować nad buntownikami.

Nie runął na niego z marszu. Zamarł na chwilę, gdy rozpoznał przeciwnika. Znał generała La Hoza, dawnego cisalpińskiego dowódcę, dezertera i zdrajcę, którego prócz republikańskiej armii szukali także masoni. To on był zaangażowany w zatrucie żywności, która zabiła kilku legionistów i dawną narzeczoną Luxa. To przez niego omal nie został rozstrzelany, pozbawiony honoru i wydalony z wojska.

– Szykuj się na śmierć, zdrajco – wycedził.

Zaatakował Cisalpińczyka trzema błyskawicznymi cięciami rdzennymi z góry. Głowa, prawy obojczyk, lewy obojczyk! Wbrew, odlew, wrąb! D’Orlz w ostatniej chwili dobył szabli i cofając się, zablokował atak. Odpowiedział cięciem bezpośrednim, na głowę, niemal bez zamachu. Włoska szabla z trzaskiem spadła na karabelę, raz, drugi i trzeci. Teraz Kazik był zmuszony się cofnąć i odbijać uderzenia spadające na żebra, brzuch, ramiona, mierzące w twarz i głowę. Starał się ani przez chwilę nie stać w miejscu, przesuwał się bez przerwy, a karabela śmigła w powietrzu, poruszana samymi ruchami nadgarstka, bez wysiłku przejmując wściekłe ataki generała.

Lux wiedział, że ma do czynienia ze świetnym szermierzem, który robić szablą uczył się od dziecka, a potem praktykował tę trudną sztukę jako zawodowy żołnierz. Kiedy indziej młodzieniec z pewnością przeląkłby się furii i niezwykłej sprawności przeciwnika, ale nie dziś. Nie, kiedy jego rękę wiódł duch króla Jana, duch wielkiego wojownika. Karabela błyskała niczym piorun, blokując i odbijając wściekłe ataki. Twarz La Hoza poczerwieniała z wysiłku, oficer nie rozumiał, dlaczego nie może przebić się przez obronę chudego wyrostka.

Warszawiak płynnie przeszedł do ataku i zepchnął generała w tył. Ponawiał demonstrowane przez Piekielnika natarcia jedno po drugim. Łączył je w całe serie, próbował też cięć zwodzonych i wiązań, ale bez powodzenia. Ramię powoli zaczęło mu omdlewać z wysiłku. Sytuacja stawała się patowa.

Wtedy przypomniał sobie jedną z rad Bogusławskiego – w jaki sposób należy skutecznie rozstrzygać pojedynki. Najpierw trzeba rozbroić przeciwnika, uczynić go bezbronnym.

Zadał polskie cięcie łukowe, z nadgarstka. La Hoz wygiął się w tył i cudem uniknął ostrza mierzącego w głowę. Kazik płynnie zmienił lot spadającej szabli i rąbnął przeciwnika w przedramię. Poczuł, jak ostrze rozcina mięśnie, żyły, ścięgna i dzwoni o kość. Generał syknął i upuścił broń. Chwycił się za krwawiącą obficie rękę i natychmiast rzucił do tyłu. Karabela, która miała go uśmiercić ostatecznym atakiem, przecięła powietrze. D’Orlz przeturlał się, poderwał na równe nogi i skoczył w kłębiący się tłum.

Lux zaklął i splunął w ślad za uciekającym. Wokół trwało istne pandemonium, buntownicy rzucali broń i uciekali na wszystkie strony, ścigani przez piechurów opętanych żądzą zabijania. Polacy oszczędzili księdza, który padł przed nimi na kolana i trzymał w uniesionym ręku krzyżyk z różańca wiszącego na szyi. Warszawiak podniósł zdobytą generalską broń, solidną mediolańską szablę z pięknym kolistym kabłąkiem i przytwierdzoną do niej tarczką w kształcie muszli. Przywiązał ją do pendentu, obok pochwy na karabełę. Szał powoli go puszczał, zastąpiony niesamowitym zmęczeniem. Noga za nogą powlókł się do stosu, skąd Klein z chłopakami ściągali uratowanych.

Bauman, zalewając się rzewnymi łzami, całował każdego legionistę w oba policzki. Turkiewicz nie przejmował się plamą na zasikanych ze strachu spodniach, z godnością ścisnął ręce fizylierów i francuskich strzelców, grzecznie dziękując za ratunek. Na widok Kazika coś w nim jednak pękło, bo wziął go w ramiona i mocno przycisnął do piersi. Obiecał, że nigdy mu nie zapomni ratunku. Luxowi mało szlachetnie przyszło do głowy, że chyba może się już nie kłopotać oddawaniem długu porucznikowi.

Wreszcie jego uwagę przyciągnęli zakrwawieni legioniści, których trzeba było zwlec ze stosu. Fizylierzy ułożyli ich w cieniu kamienicy i ruszyli szukać wozu, by ich przewieźć. Julek miał roztrzaskaną głowę i patrzył nieruchomym wzrokiem w niebo. Sierżant Majewski zaliczył postrzał w pierś i kilka pchnięć bagnietami, w tym jedno w oko. Polegli też Chudy i Joachim, temu ostatniemu kula oderwała kawałek głowy. Żyli za to paskudnie poranieni Pyszczaty i Komosa. Sierżant klęknął przy nich i poklepał obu po ramionach. Pociski solidnie ich pokiereszowały, obaj mieli naprawdę niewielkie szanse na przeżycie.

– Doktor Hoffman z pewnością będzie chciał wypróbować na was swoje instrumenty do wyciągania kul – powiedział, siląc się na pocieszający ton. – To zupełnie nie boli, sam widziałem. Dacie radę!

– Jasne – szepnął Komosa.

Ostatnim rannym był Rolewicz. Oberwał trzy postrzały w kiszki i jeszcze jeden w pierś.

Leżał z pobladłą twarzą i oddychał ciężko. Płuca powoli wypełniały się krwią i stary bandzior zaczął się dusić. Przywołał zmieszanego Kazika skinieniem. Młodzieniec uklęknął przy nim z oporami.

– Nie miałem okazji podziękować panu za uratowanie życia – bąknął.

– Pieprzyć gładkie słówka, ratowanie komuś tyłka to zwykła rzecz na wojnie – wycharczał starszy sierżant. – Teraz słuchaj, jesteś jedynym, który na to zasłużył. Masz, to jest pismo od Żyda, który jest paserem w Rzymie. Znasz go, widziałeś, co to za jeden. Ten parch zajmuje się moim przyzem. Dziesiątą część wysyła do Polski, dla moich dawnych towarzyszy, jak ci opowiadałem. Resztę gromadzi i inwestuje w handel przyprawami, stałą, meblami, kozim serem, oliwkami i diabli wiedzą czym jeszcze. Jest bratem Żyda, który prowadził moje interesa w Mediolanie. To cwane parchy, ale uczciwe. Nie oszwabili mnie na jednego lira.

Rozkaszał się, obryzgując Luxa krwią. Ten nie mógł się cofnąć, bo grasant trzymał go kurczowo.

– Ten glejt jest na okaziciela, rozumiesz? – Szturchnął chłopaka papierami. – Weź go. Każ wysłać to złoto do Warszawy, dla weteranów, albo nie, pies im mordy lizał, darmożjadam. Przepij, wydaj na dziwki, daj na tacę. Zrób z tym, co chcesz. Miało mi zapewnić spokojną starość, w dostatku i dobrobycie. Całe życie bałem się głodu i biedy, która wlekła się za mną jak smród za wojskiem. I szlag by to trafił. Nie dożyłem.

Kazik wziął papier i schował go za pazuchę munduru. Nie wiedział, co ma powiedzieć, tkwił więc przy bladym jak trup bandziorze. Na piersi czuł dotyk glejtu, będący kluczem do pokąźnego skarbcza.

– No dobra, chciałem sobie za to kupić szlachectwo, klejnot rodowy – niespodziewanie wycharczał Rolewicz. – Albo przekupić jakiegoś szaraczka, by przypuścił mnie do herbu. Zazdrościłem wam, wielce szanownym jaśnie panom. Chciałem być taki jak wy, dumny, pogardzający biedą, nieznający głodu i zimna. Nic z tego. Urodziłem się nikim i nikim umrę.

– Był pan żołnierzem – powiedział młodzieniec. – Jednym z najlepszych, jakich znałem. Bohaterem.

Rolewicz spojrział uważnie na Luxa, ale nie dostrzegł kpiny w jego oczach. Zmarł z uśmiechem zadowolenia na ustach.

22 thermidora VI roku ery republikańskiej

(9 sierpnia 1798 roku)



Brama Świętego Sebastiana, strzegąca Rzymu od południa, była potężnie ufortyfikowana, a wieńczyły ją dwie baszty, nad którymi powiewały francuskie flagi. Konwój wozów wypełnionych rannymi przejechał przez nią powoli, obserwowany przez kilkunastu wartowników z armii rzymskiej. Strażnicy w biało-czarnych mundurach patrzyli na Polaków w milczeniu, z ponurymi minami. Kazik od razu dostrzegł zmianę w nastawieniu Włochów, wyczuwalną nawet wśród dotychczas przyjacielskich republikańskich żołnierzy. Mrozące krew w żyłach opowieści o tym, jak przybysze z Północy spacyfikowali powstańców, od kilku dni krążyły po Wielkim Mieście, z dnia na dzień coraz bardziej koloryzowane. Wedle jednych Polacy zrównali z ziemią Frosinone i wymordowali wszystkich bez litości, według innych spalili miasto, a ogień podsycali włoskimi niemowlętami. Skutek tych opowieści był taki, że jednego z polskich żołnierzy zasztyletowano na placu Świętego Piotra. Jeszcze tydzień temu coś takiego byłoby nie do pomyślenia.

Lux obrócił się do idących za nim piechurów. Dowodził dwoma plutonami, od dwóch dni osłaniającymi transport rannych. Do tego zadania Chłopicki przeznaczył wszystkich zdolnych do walki z kompanii Kazika. Oficerowie i niektórzy podoficerowie z jego oddziału byli ranni lub polegli, a warszawiak pozostał jedynym sierżantem, który mógł utrzymać się na nogach. Tak mocno wykrwawiony oddział odesłano do Rzymu, a pacyfikacją kilku miasteczek, które jeszcze nie poddały się republikanom, zajęli się niezniszczalni grenadierzy.

– Muszkiety na ramię! – rozkazał Kazik. – Ogarnijcie się, wchodzimy do miasta. Mamy wyglądać jak wojsko, a nie banda łachudrów.

Bracia Kura posłusznie wzięli broń, która leżała na wozach obok rannych, tak samo postąpił Stachowski i jeszcze pogonił pozostałych chłopaków. Włokący się dotąd fizylierzy pospiesznie ustawili się dwójkami w niewielką kolumnę. Widząc zamieszanie przy wozach, doktor Hoffman podjechał na swoim osiołku do Luxa.

– Może trochę przyspieszymy, bo ranni są wykończeni upałem – zaproponował. – I tak cud, że żaden z nich nie umarł w drodze.

– W lazarecie odpoczną.

– A właśnie! Generał kazał przenieść szpital. Teraz urządono go w klasztorze dominikanek. Siostry z chęcią zgodziły się pomóc w opiece nad poszkodowanymi. W zamian my ochronimy

je przed Francuzami.

– Wiem, gdzie jest ten klasztor. Za pół godziny będziemy na miejscu. – Młodzieniec pokiwał głową. – Kompania, podwójny krok!

Żołnierze przyspieszyli, a woźnice pogonili konie. Koła zaturkotały zwawiej po rzymskim bruku. Konwój wspiał się na wzgórze, minął starożytne ruiny, w tym pozostałości cesarskich term, i wreszcie wjechał do miasta. Rzymianie bez entuzjazmu patrzyli na wozy wypełnione rannymi. Kazik w wielu twarzach dostrzegł wrogość, w innych strach. Tylko jedna dziewczynka rzuciła pod nogi piechurów kwiatki i pomachała do nich z uśmiechem.

Na otwartym placu na Kapitolu natknęli się na znajomy szwadron strzelców konnych. Kawalerzyści, którzy wrócili do Rzymu trzy dni przed Polakami, wyruszeni właśnie na patrolowanie przedmieść i traktów prowadzących do miasta. Stachowski, który niespecjalnie polubił się z Francuzami mimo bitwy stoczonyj ramię w ramię, splunął pogardliwie na ich widok. Lux kazał mu zachowywać się porządnie i nie prowokować żabojadów. Sam był ciekaw, jak się zachowają. Czy tradycyjnie będą zadzierali nosa?

Z zaskoczeniem rozpoznał, kim jest ich dowódca, który na widok konwoju odwrócił się do trębacza i wydał mu krótki rozkaz. Na czele szwadronu jechał Antoine de Villard, wciąż ubrany w stary mundur szeregowca, ale z przypiętymi do ramion oficerskimi epoletami. Młody arystokrata został więc awansowany, stał się wyższy stopniem od Kazika i teraz sierżant musiał oddać mu honory jako pierwszy.

„Pewnie otrzymał awans w nagrodę za doskonale przeprowadzony atak na powstańców i wzięcie księdza Trino do niewoli” – gorzko pomyślał warszawiak, który za udział w tej awanturze dostał tylko burę od Chłopickiego za niepotrzebne ryzyko.

Jeźdźcy szybko zmienili szyk i ustawili się w linię. Zatrzymali się wzdłuż ulicy. Liczni gapie patrzyli z ciekawością na te manewry, a Lux zastanawiał się gorączkowo, co też de Villard knuje. Na wszelki wypadek maszerował energicznie, z zaciśniętymi zębami szykując się do oddania salutu.

– Szwadron, baczność! – Niespodziewanie uprzedził go Antoine, który dobył szabli. – Prezentuj broń!

Strzelcy unieśli szable i wyprężyli się w siodłach.

– Na cześć towarzyszy broni trzykrotny wiwat! – kontynuował oficer strzelców. – *Vive les Polonais!*

– *Vive! Vive! Vive!* – zagrzmieli kawalerzyści.

Kazik szedł wzdłuż szpaleru z otwartymi ze zdumienia ustami. Zdołał tylko w ostatniej chwili zmusić się, by zaszalutować świeżo upieczonemu podporucznikowi. De Villard uśmiechnął się do niego i skinął głową.

– Co to, kurwa, miało być? – jęknął chłopak do siebie, gdy już zostawili Francuzów z tyłu.

Doktor Hoffman parsknął śmiechem.

– Oddali nam honory. – Wzruszył ramionami. – Właśnie coś zaiskrzyło między naszymi

armiami. To coś nazywa się szumnie „braterstwem broni”.

– Aha – mruknął ciągle oszołomiony Lux.

Zdołał się otrząsnąć dopiero, gdy weszli w otwartą szeroko bramę starego klasztoru. Wokół zaroilo się od zakonnic w oślepiająco białych habitach. Fizylierzy odstawili broń i zaczęli pomagać w przenoszeniu rannych. Kazik wziął pod ramiona jednego z poszkodowanych i przełożył go na nosze. Spotkał się spojrzeniem z siostrą, która złapała bezwładne ciało z drugiej strony. Popatrzyła na niego wielkimi, sarnimi oczami i szybko spuściła wzrok. Młodzieńcowi zdawało się, że gdzieś już ją widział. Wzruszył jednak ramionami, gdyż nie mógł sobie przypomnieć, i zabrał się do noszenia rannych.

Potem zaprowadził piechurów do koszar, gdzie komendę nad nimi objął któryś z oficerów nadliczbowych. Łaskawie pozwolił żołnierzom zwalić się na prycze, a nawet ogłosił, że daje im dwa dni wolnego. Zawieszono również ćwiczenia, mieli zatem czas na słodkie lenistwo. Nie narzekali nawet na niewypłacony żołd, bo trochę napchali kieszenie monetami znalezionymi przy włoskich trupach. Wystarczyło im więc na wino i tytoń, czyli wszystko, czego wojakowi potrzeba do szczęścia.

Kazik wyczyścił mundur z pyłu i pobrzękując dwiema szablami u pasa, ruszył w miasto. Po kilkunastu minutach minął plac Czterech Fontann, potem wielki pałac i wreszcie skierował kroki do znajomej obdrapanej kamienicy. Wszedł na brudne podwórko, zasłane kurzym guanem, i ruszył prosto do niewielkiego warsztatu. Przed drzwiami wpadł na czeladnika, który zbladł na widok polskiego żołnierza. Lux uśmiechnął się w myślach. Senator Pagani zatrzymał kradzież królewskiej szabli w tajemnicy i pewnie szukał zguby na własną rękę. Chyba uważał za hańbę to, iż pozwolił się okraść, więc próbował po cichu to naprawić.

– Prowadź do mistrza Paganiego – ostro rzucił sierżant.

Jego ton sparaliżował czeladnika, który zaczął się jąkać i kłaniać, aż wreszcie wprowadził żołnierza do środka. Mistrz, tandeciarz i złotnik w jednym, przyjął go w swojej pracowni na zapleczu. Siedział przy stole z leżącą na nim pochwą pokrytą złotymi i srebrnymi blachami ozdobionymi precyzyjnie rytymi ornamentami. Minę miał ponurą, a oczy podkrążone z niewyspania. Na widok Polaka zmarszczył brwi.

– Mam coś, co pan zgubił – oznajmił warszawiak.

Odwiązał troki szabli przy pendencie. Wyciągnął broń w kierunku zaskoczonych złotnika. Zawahał się jednak, na chwilę obnażył ostrze karabeli i ucałował je z czcią. Broń po raz ostatni poruszyła się jego rękach. Potem trafiła wprost w wyciągnięte łapy Paganiego.

– Jak? Skąd?

– Odebrałem ją złodziejowi. Ten drań już nic nikomu nie ukradnie, może pan być spokojny – uciął temat Lux. – Proszę dokończyć pracę i zwrócić karabelę generałowi Dąbrowskiemu.

– Tak, oczywiście. – Senator poderwał się od stołu, zgiął w ukłonie i niemal rzucił się Kazikowi do nóg. – Jak mógłbym się zrewanżować? Czy jest coś...

– Mhm – mruknął fizylier. Odwiązał zdobytą na La Hozie szablę i pokazał ją złotnikowi. –

Potrzebuję pochwy, prostej i praktycznej, bez ozdób. Przydałoby się też przeszlifować ostrze, bo trochę się poszczerbiło.

– To żaden problem. Zrobię to za darmo, rzecz jasna. Proszę zostawić tę broń. Odeślę ją do koszar przez posłańca. Góra za dwa dni!

Chłopak uśmiechnął się i wyszedł. Zatrzymał się na ulicy i zastanowił, dokąd pójść teraz. Do lichwiarza, upomnieć się o skarb? Do karczmy, kupić kilka dzbanów wina dla chłopaków? Najchętniej ruszyliby do pałacyku Editty. Szkoda, że ta wspaniała kobieta okazała się tylko pazerną dziwką.

Ruszył przed siebie bez celu. Sam nie wiedząc jak, trafił do łaźni, do której kiedyś zaprowadziła go hrabina. Ku własnemu zaskoczeniu uprzytomnił sobie, że marzy o porządnej kąpieli. Wszedł więc do środka, by wymoczyć się w gorącej wodzie. To niebywałe, jak Wieczne Miasto potrafiło zmienić człowieka.

23 thermidora VI roku ery republikańskiej (10 sierpnia 1798 roku)



Trwał obiad, gdy Kazik przypomniał sobie, gdzie już widział zakonnice o sarnich oczach. Akurat wpakował do ust łychę pełną kluchów w sosie pomidorowym, gdy oczami wyobraźni ujrzał siostrę bez habitu. To była służąca Editty! Poderwał się na równe nogi i niemal zadławił posiłkiem. Wytrzeszczonymi oczami gapił się przed siebie, próbując ułożyć sobie w głowie, co właściwie zaszło. Dlaczego mniszka udawała służkę? Czemu dominikanki pomagały dziwce, próbującej sprowokować młodego żołnierza do kradzieży skarbu?

– Połknąłeś gwóźdź? – zaciekał się Klein. – Mówiłem, że nie można ufać włoskim kucharzom. Jeszcze nas wytrują, mówię wam.

– Nic mi nie jest – wydukał Lux po przełknięciu makaronu. – Coś sobie przypomniałem. Muszę lecieć!

Rzucił miskę na stół i pognął do bramy koszar, zostawiając zdumionych fizylierów. Skinął wartownikom i rzucił się biegiem uliczkami Rzymu. Już po paru minutach, zdyszany i zgrzany, wpadł do klasztoru dominikanek. Minał zdumionego doktora Hoffmana, w przelocie pytając go, gdzie urzęduje przeorysza.

– Na drugim piętrze, na końcu korytarza!

Pomknął po schodach, przebiegł między wystraszonymi zakonnice, które rozstąpiły się, by zrobić mu przejeście, aż wreszcie załomotał w drzwi gabinetu matki przełożonej. Po chwili został poproszony do środka. Ujrzał kobietę w średnim wieku, o twarzy pokrytej siecią zmarszczek. Spojrzała na niego ze zdumieniem, a potem ze strachem, gdy zrozumiała, kim jest.

– Dwieście siedemdziesiąt klejnotów z królewskiej szabli – wydyszał. – Chciała ich dla was.

– Niezupełnie. – Przełożona zgromadzenia pokręciła głową. – Potrzebujemy ich dla dzieci.

Wstała i zbliżyła się do okna. Kazik podszedł za nią, a przeorysza wskazała mu znajomy budynek stojący za kościołem. Na podwórku przed nim bawiła się czereda obdartych dzieciaków.

– Sierociniec? – mruknął.

– Utrzymujemy kilka domów opieki w Rzymie i kolejne w innych miastach. Zajmujemy się setkami dzieci, które straciły rodziców – powiedziała. – Dzięki ostatnim działaniom Francuzów i... waszym ich liczba znacznie się zwiększy. Bez naszej pomocy umarłyby z głodu,

są bezbronne niczym pisklęta, które powypadały z gniazd. Niestety, przez wojnę bardzo ucierpiały nasze finanse. Klasztor splądrowali Francuzi, nie wyrzucano nas z niego tylko przez zrządzenie losu. Editta wydała znaczną część majątku odziedziczonego po mężu na łapówki dla francuskich komisarzy, by nie zajęli sierocińców na wojskowe magazyny czy koszary. Resztę jej pieniędzy pożarły wydatki na bieżące potrzeby. Żywność straszliwie zdrożała, w mieście panują głód i bieda. Nie możemy już liczyć na jałmużnę, ludzie nie przynoszą nam żywności. Potrzebujemy pieniędzy, brzęczącego złota, by wykarmić sieroty.

Lux pokiwał w zadumie głową. Editta okazała się nie pazerną dziwką, tylko prawdziwą świętą. Nie miał prawa gniewać się na nią. Tak, wykorzystała go, ale dla wyższych celów. Żołdak, byle łupieżca nie zasługiwał na jej względy. Miał wielkie szczęście, że wybrała jego i poświęciła mu tyle uwagi. Dzięki temu mógł przez jakiś czas żyć w anielskim blasku, który roztaczała.

– Bardzo miłuje dzieci – rzekł cicho.

– Editta od lat nam pomaga. Odkąd doszła do przekonania, że nie może mieć własnego potomstwa, całą swoją miłość przelała na sieroty. Powiedziała mi kiedyś, że robi dla nich wszystko. Nie śmiałam jej prosić o tak wiele, ale sama wymyśliła, by rozkochać w sobie polskiego najeźdźcę i skłonić go do kradzieży skarbu. Te klejnoty w całości miały być wykorzystane na utrzymanie sierocińców. A starczyłyby na bardzo długo.

– Gdzie ją znajdę? – spytał spokojnie. – Chciałbym zobaczyć ją po raz ostatni.

– Powinna być w kaplicy przy sierocińcu.

Drgnął, zaskoczony. Myślał, że opuściła miasto, a ona była tu, na miejscu. Dzielilo ich zaledwie kilka kroków.

Uklonił się przeoryszy i wyszedł z gabinetu. Zszedł na dół i ruszył w kierunku kaplicy. Z każdym krokiem kolana robiły mu się coraz bardziej miękkie, a serce waliło jak młotem. Gdy znalazł się w ciemnym pomieszczeniu z niewielkim, skromnym ołtarzem, stał dłuższą chwilę, by zapanować nad podnieceniem. W środku nie znalazł jednak Editty, modliła się tam tylko jedna zakonnica. Zamierzał już wyjść, gdy siostra odwróciła się do niego.

– Casimiro? To ty?

Przypadł do niej jednym susem. Upadł na kolana, ujął jej dłonie i spojrzał w czarne, błyszczące oczy. Posągowo doskonałą twarz hrabiny otaczał czepek zakonnicy w nowicjacie. Łzy wypełniły Kazikowi oczy, chciał przytulić kochankę, błagać, by do niego wróciła, by znów było jak dawniej. Wiedział jednak, że nic z tego nie będzie.

– Cały czas tylko udawałaś? – spytał.

– Wiesz, że nie. Tylko na początku, potem musiałam nieustannie ze sobą walczyć, by nie wyznać ci wszystkiego. – Uśmiechnęła się smutno. – Przebacz mi, że tak okrutnie cię potraktowałam. Wybacz, mój kochany.

Pocałował ją w dłoń. Przybrał poważny wyraz twarzy.

– I tak nie byłem cię godny. Żałuję, że cię zawiodłem.

– Dałeś mi bardzo wiele, o wiele więcej, niż się spodziewałam – odparła.

Uśmiechnął się, a potem pchnięty jakimś impulsem, sięgnął za pazuchę munduru. Wyciągnął gilejt i wręczył do Edicie.

– Zanieś ten dokument do Żyda, którego adres znajduje się na rewersie. Będzie zobowiązany wypłacić ci aktywa, którymi się opiekuje. Nie wiem, ile tego jest, podejrzewam, że kilka, może nawet kilkanaście tysięcy franków – powiedział, jeszcze zbyt zdumiony swoim czynem, by myśleć jasno. – To mniej, niż były warte klejnoty z szabli, ale i tak solidny grosz, który pomoże utrzymać sierociniec.

Pocałowała go w usta, potem coś jeszcze mówiła, ale był tak wstrząśnięty, że nic nie rozumiał. Właśnie oddał skarb zgromadzony przez grasanta, skarb, który uczyniłby go bogatym. Mógł wziąć te pieniądze i z podniesionym czołem wrócić do Polski. Postawiłby na nogi interes ojca, a potem żył dostatnio, jak u pana Boga za piecem.

Pożegnał się czule z Edittą i mocno oszołomiony wyszedł z kaplicy. Hrabina wstała, by odprowadzić go do wyjścia. Zatrzymała się w drzwiach i długo patrzyła na oddalającą się sylwetkę wysokiego młodzieńca. Położyła dłoń na brzuchu i uśmiechnęła się do siebie. Kazik naprawdę dał jej znacznie więcej, niż mogłaby się spodziewać. Lepiej jednak będzie, jeśli nie dowie się, jakim skarbem ją obdarzył.

* * *

Słońce stało w zenicie, prażąc rzymskie bruki. Kazik szedł z opuszczoną głową i oczami zmrużonymi od blasku. Sunął powoli w kierunku koszar, głowiąc się, w jaki sposób pospłaca teraz wszystkie długi? A miał ich bardzo dużo i nawet jeśli wreszcie wypłacą mu żołd, nie wystarczy go na pokrycie zobowiązań. Chyba powinien wziąć od Baumana kilka lekcji szulerki karcianej i orznać kogoś do gołego. Nie będzie to jednak łatwe.

Westchnął ciężko, gdy mijał uchylone drzwi karczmy. Napiłby się wina, nawet piekielnie kwaśnego, by choć na chwilę zapomnieć o finansowych tarapatkach, ale nie mógł sobie pozwolić na taki wydatek. Oddalał się już od pachnącego jadłem przybytku, gdy ze środka wyskoczył wesoły blondyn, majtając harcapem.

– Sierżant Lux, jakże miło was widzieć! – zagrzniał podporucznik de Villard. – Zapraszam serdecznie do środka! Opijamy właśnie mój awans, musi się pan do nas przyłączyć. Chcę przedstawić francuskim piechurom dzielnego polskiego żołnierza. Powinni się uczyć od pana wojennej fantazji i odwagi.

Kazik jęknął coś niepewnie, zaskoczony wylewnością Antoine'a. Nie miał ochoty bratać się z Francuzami, ale z drugiej strony okazja do darmowego napitku mogła szybko się nie powtórzyć. Uśmiechnął się i w objęciach mocno już wstawionego de Villarda wszedł do środka.

– Panowie, baczność! – rozdarł się oficer. – Przedstawiam wam mojego towarzysza broni,

dzielnego sierżanta Luxa!

Przypisy



Gdzie tam jego przerzedzonych włosom było do gęstej, naturalnie lśniącej czupryny warszawiaka, regulaminowo przyciętej „na Kościuszkę”. – Fryzura obowiązująca w Legionach nie była wyszukana. Żołnierze mieli obowiązek nosić włosy sięgające ramion, a grzywkę równo przyciętą. Nie było to zbyt wygodne we włoskim upale, pod rogatywkami wszy pleniły się na potęgę. Dodatkowo grenadierzy byli zobowiązani do zapuszczania wąsów, a saperzy – bród. Francuscy jeźdźcy z kolei upodobali sobie harcapy, czyli warkocze. Prócz głównego, z tyłu głowy, zaplatali grzywkę w dwa warkoczki majtające się po bokach czoła.

Sprzymierzeni niespecjalnie się lubili, właściwie francuscy żołnierze traktowali Polaków jak nic niewartych najemników, w dodatku fanatycznie rozmodlonych i skrycie sprzyjających papistom. – Głównym powodem spięć między sprzymierzonymi była właśnie religijność Polaków i ostentacyjna bezbożność Francuzów. Zanim legionieści pokazali w walce, na co ich stać, podchodzono do nich nieufnie jako do kondotierów o niewiadomej wartości bojowej. Polacy pilnujący porządku w Rzymie, w odpowiedzi na szykany Francuzów, traktowali ich bardzo ostro i bez pobłażania stawiali przed plutonem egzekucyjnym za grabieże i profanacje świątyń. Sytuacja diametralnie zmieniła się po stłumieniu buntu w departamencie Circeo. Generał Girardon, wcześniej pogardzający legionistami i traktujący ich jak mięso armatnie, zameldował dowództwu: „Polacy są tak dzielni, jak to tylko jest możliwe”. Szybko doszło do zawiązania się licznych przyjaźni między polskimi a francuskimi żołnierzami. Legionieści stali się lubiani i szanowani przez sprzymierzonych towarzyszy broni za niezwykle męstwo, a także za wrodzoną fantazję i poczucie humoru. Wtedy właśnie powstało powiedzenie, które rychło dotarło do Francji: „Polacy jedzą jak wilki, piją jak diabły, a biją się jak lwy”.

– „**Jeszcze Polska nie umarła, póki my żyjemy! Co nam obca moc wydarła, szablą odbijemy!**” – Pierwotna wersja *Mazurka Dąbrowskiego* nieznacznie różniła się od obecnej. Piosenka została napisana przez Józefa Wybickiego, dawnego generała kościuszkowskiego, a w czasach Legionów polityka i działacza narodowowyzwoleńczego. Wesoły, skoczny mazurek nie przypadł do gustu Tadeuszowi Kościuszce, który właśnie pojawił się w Paryżu po powrocie z zesłania. Kazał więc napisać inną pieśń, natchnioną odę nawiązującą do antycznych mitologii, pełną skomplikowanych i mętnych metafor oraz odwołań, którą wysłał Dąbrowskiemu. Generał posłusznie polecił wojsku się jej nauczyć, ale okazało się, że

legioniści nie zaakceptowali pieśni. Prosty żołnierz nie lubił i nie potrzebował wymęczonych hymnów, chciał pobudzających piosenek, które można było śpiewać w marszu i przy ognisku. Trzeba podkreślić, że właśnie takim utworem był wtedy *Mazurek Dąbrowskiego*. Nie traktowano go z obecną wzniosłością, nie wymagano wykonywania go na baczność i z powagą. *Mazurek* był ulubioną piosenką zwykłych żołnierzy. Zdarzało się, że śpiewali go w gorszących pozach, po pijanemu lub we włoskim burdelu, trzymając na kolanach prostytutkę.

...by ukryć modną krótką fryzurę á la Titus. – Ta modna pod koniec XVIII wieku fryzura była wzorowana na posągach przedstawiających cesarza Tytusa. Włosy krótko obcięte, zaczesane do przodu, z licznymi loczkami.

Warszawiak oszacował odległość od podoficera i gdy dzielili ich przepisowe trzy kroki, z zamachem zasalutował, otwartą dłonią dotykając czapki. – Legioniści salutowali jeszcze całą otwartą dłonią. Zwyczaj salutowania dwoma palcami pojawi się w polskim wojsku dopiero za kilka lat. Według legendy jeden z weteranów, któremu w poranionej ręce zostały jedynie palce wskazujący i środkowy, pozdrowił księcia Poniatowskiego tylko nimi, a jego kompani powtórzyli salut w identyczny sposób. Zwyczaj się przyjął, choć w sprzymierzonej francuskiej armii gest wykonany dwoma palcami uchodził za obraźliwy.

Wstrzymał powietrze i chlusnął wodą w błyskające płomieniami źródło ognia. – Kartuzi naprawdę próbowali spalić klasztor, by nie dostał się w ręce Francuzów. Polacy wpadli do środka w ostatniej chwili i, tak jak opisałem, ocalili budynek oraz bezcenne księgi.

– Kto wami dowodzi, mamałygo? – Obrazowe określenie żołnierzy Trzeciego Batalionu wymyślił sam generał Dąbrowski, a oficerowie z żółtymi epoletami tolerowali je tylko w jego wykonaniu. Kiedy zwrócił się tak do nich szanowany i lubiany major Zabłocki, natychmiast został wyzwany na pojedynek i zabity. Dąbrowski potraktował to jako formę ataku na siebie, bo głównymi sprawcami śmierci Zabłockiego byli dwaj oficerowie skonfliktowani z generałem: kapitan Haumann i major Grabiński. Obu zmuszono do złożenia dymisji. Wypłynęli razem z Napoleonem do Egiptu, gdzie jako huzarzy na wielbłądach dzielnie walczyli z mamelukami. W trakcie powrotu ich statek przejął turecki pirat, a obaj Polacy zostali uwięzieni w Twierdzy Siedmiu Wież w Konstantynopolu. Haumann zmarł tam z wyczerpania, Grabińskiemu udało się odzyskać wolność i po wielu perypetiach powrócił do Legionów. Wszystko z powodu niewinnej mamałygi.

Zaprzyjaźnieni z medykami legioniści doskonale wiedzieli, że ten od lat pracuje nad skonstruowaniem statku pływającego pod wodą. – Doktor Hoffman wymyślił także nowe narzędzia chirurgiczne do wyjmowania kul, ale jego największym osiągnięciem była łódź

podwodna. Jej szczegółowe plany zostały wysłane do Paryża, ale Dyrektoriat nie wystosował odpowiedzi. W roku 1802 Francuzi zbudowali pierwszą łódź podwodną, „Nautilus”, która okazała się bardzo podobna do zaplanowanej przez Hoffmana, między innymi wykorzystano w niej identyczne rozwiązania konstrukcyjne. Medyk pisał do Paryża z prośbą o uznanie jego zasług w skonstruowaniu pojazdu, ale go zignorowano.

Położył na stole pięć srebrnych monet, tygodniowy żołd Kazika. – Sierżantowi przysługiwał żołd w przybliżeniu wysokości jednego lira dziennie, czyli dwadzieścia soldów lub sto denarów. Oficerom wypłacano żołd co miesiąc, żołnierzom co dekadę, czyli co dziesięć dni (rewolucyjny tydzień). Chodziło o to, by prości piechurzy nie dysponowali zbyt dużą gotówką, gdyż od razy by ją przepili. Dąbrowski kazał też wypłacać w ten sam sposób żołd tym oficerom, którzy zbyt często zaglądali do kieliszka. Największym pijakom zaś w ogóle wstrzymywał wypłaty. W praktyce żołd był wypłacany wtedy, kiedy w kasie Legionów znajdowały się pieniądze, czyli bardzo nieregularnie.

– **Kawał nadętego drania z tego Zeydlitza.** – Major Józef Zeydlitz nie przypadł żołnierzom do gustu. Traktował ich z góry, co było niemile widziane w Legionach, złożonych wszak z samych ochotników. Wreszcie, po zdobyciu Frosinone, grenadierzy zbuntowali się przeciw niemu i odmówili dalszego pościgu za powstańcami. Wściekły Zeydlitz, zamiast załagodzić spór, napisał skargę bezpośrednio do francuskiego dowództwa, czym wprowadził w zakłopotanie generała Dąbrowskiego. Nie tylko pominął drogę służbową, ale naraził na szwank wizerunek polskich żołnierzy. Potem okazało się, że przyjmuje rozkazy od Francuzów, choć nie zna ich języka. Został usunięty ze stanowiska majora batalionu za nieudolność, dostał również dymisję z szeregów. Wrócił jednak do Legionów po jakimś czasie jako kawalerzysta i, zdaje się, że już z zupełnie innym nastawieniem wobec żołnierzy. Przed powstaniem listopadowym dostał nagrodę za pięćdziesiąt lat służby w polskiej armii.

– ***La libertà d'Italica, che tando deve a voi Bravi Polacchi...*** – Włosi nie tylko układali piosenki na cześć Polaków, lecz także ciągle pisali o nich w gazetach, zawsze w bardzo pozytywnym tonie. Młodzi, szarmanccy, pełni humoru, a do tego doskonale wyszkoleni legioniści szybko zaskarbili sobie zaufanie rzymian. Miejscowi o przekonaniach republikańskich zawsze traktowali Polaków jako wyzwolicieli i to nie tylko spod jarzma papieskiego czy francuskiego, gdyż późniejsza postawa wojsk polskich w czasie wojny z Austrią i Rosją umocniła ich legendę jako dzielnych żołnierzy. Dzięki temu we włoskim hymnie, który tak jak nasz powstał w tamtych czasach, pojawia się następująca zwrotka:

*...najemne miecze, jak cienkie trzciny,
już austriacki orzeł stracił swe pióra,
krew włoską, krew polską,*

pił wraz z Kozakiem, lecz wypaliła mu serce...

– **Nie mogłem znieść tego, co wyprawiają republikanie w świętym mieście.** – Stefan Dziordzy był jedynym dezerterskim Legionem. Nie był Polakiem, a Węgrem służącym w naszej formacji. Porzucił służbę z powodów religijnych, a jego rozstrzelanie opisali rzymscy pamiętnikarze. Egzekucja zwiększyła tylko propolskie nastroje rzymian, legionieści bowiem nie wahali się ginąć za wiarę, co bardzo ujmowało mieszkańców Wiecznego Miasta.

– **Ach, za bardzo zaprzyjaźniłem się z Grabińskim i Haumannem..** – Dąbrowski bez skrupułów zwalczał wszelkich niepokornych. W Rzymie zawiązał się przeciw niemu spisek, który został zinwigilowany przez Chłopickiego. Wierzbicki był jednym z oficerów uczestniczącym w intrydze przeciw Dąbrowskiemu, musiał więc zapłacić za nielojalność. Wylądował w areszcie pod pretekstem niedopełnienia obowiązków, zagrożono mu również sądem polowym. Była to sugestia, by sam złożył dymisję i odszedł z Legionu. Wierzbicki się nie ugiął, za co później był szykanowany i prześladowany przez generała.

...w tym tygodniu miał pojawić się w mieście legendarny kapitan z Drugiego Legionu, weteran i zabijaka, Jakub Bogusławski, zwany Piekielnikiem. – Bogusławski zaczynał karierę jeszcze w polskim wojsku królewskim jako dragon. Walczył jako kawalerzysta w Insurekcji Kościuszkowskiej, a po jej upadku zaciągnął się do armii francuskiej. W Legionach zasłynął jako bardzo sprawny pojedynekowicz. Odbył aż sześćdziesiąt walk, w których zabił piętnaście osób. Jego wyczyny opisał Sienkiewicz w *Legionach*. Bogusławski wziął udział w wyprawie na San Domingo, potem wrócił do Polski i wstąpił do armii Księstwa Warszawskiego. Brał udział we wszystkich bataliach polskiej armii aż do upadku Napoleona i dosłużył się stopnia pułkownika.

Czekał z niecierpliwością na ukoronowanie defilady, czyli zapowiedzianą przez dowódców grę wojenną. – Zabawa przebiegała mniej więcej tak, jak ją opisałem. Żołnierzy poniosły emocje i doszło do krwawej bijatyki. Po bitwie odbył się bal, na którym również odnotowano liczne potyczki i pojedynki, tym razem między oficerami. Na rozkaz Dąbrowskiego starano się ukryć liczbę poszkodowanych, by nie wywołać skandalu. Z przekazów włoskich pamiętnikarzy wiemy jednak, że poległo dwóch Polaków, a trzystu wymagało hospitalizacji. Straty po stronie francuskiej nie są znane.

Ogień ogarnął ich szybko i nad kościelne śpiewy oraz okrzyki papistów wniósł się potworny krzyk ludzi płonących żywcem. – Prezydenta miasteczka wraz z synami naprawdę stracono w ten okrutny sposób. Edyła oślepieno, a kilku innych wysłanników republikańskiego senatu zamordowano. We wszystkich miastach zrewoltowanej prowincji dochodziło do aktów przemocy wobec republikanów, zdarzyły się także przypadki rozrywania ich żywcem przez

– **Różnie to bywa z wiarą w rzeczy nadprzyrodzone.** – Oba opisane wierzenia: w to, że nie wolno jeść w czasie burzy oraz że zbyt duża liczba kur w jednym miejscu powoduje suszę, są prawdziwe. Opis wspomnianych wypadków znalazł się w „Kurierze Warszawskim” z pierwszej połowy XIX wieku. Wypada jeszcze ostrzec Czytelników, że w czasie burzy nie można nie tylko jeść, lecz także palić w piecu. Każde dziecko bowiem wie, że dym unoszący się z komina wskazuje drogę piorunowi.

...w kałużach krwi leżały także kobiety i dzieci. – Dziś wymordowanie cywilnych mieszkańców zostałoby potraktowane jako zbrodnia wojenna, ale wówczas nie istniały żadne międzynarodowe konwencje. Skoro kobiety i dzieci wzięły czynny udział w walce, żołnierze potraktowali je tak samo jak uzbrojonych powstańców. Polaków nieco usprawiedliwia też to, że zgładzili tylko stojących im na drodze w ferworze walki, ale nie mordowali jeńców.

Udział Polaków w pacyfikacji Frosinone rychło odszedł w niepamięć, choć do dziś obchodzi się tam wydarzenia roku 1798. Włosi nie czczą poległych, ale swoim zwyczajem radośnie wykpiwają najeźdźców. W czasie dorocznej fiesty po mieście obnoszona jest kukła przedstawiająca francuskiego generała w charakterystycznym pirogu na głowie. Ku uciechu turystów i autochtonów w finale zabawy generał płonie na stosie.

– **Nie poddam barykady – oznajmił Cimone.** – Neapolitańscy oficerowie dali pokaz zaangażowania i straceńczej odwagi. Żaden z nich nie opuścił posterunku, wszyscy polegli. Do końca świecili przykładem, w przeciwieństwie do cywilnych przywódców powstania, którzy uciekli w popłochu lub się poddali. Ksiądz Trino został rozstrzelany w Anagni, niecałe trzy tygodnie po ujęciu, a dziewięć dni później wykonano wyroki na Calalono, szewcu Prosperim i oberżyscie Trencie.

– **Proszę dokończyć pracę i zwrócić karabelę generałowi Dąbrowskiemu.** – Tak też się stało. Udało się również ustalić, gdzie znikły klejnoty oraz złote i srebrne ozdoby szabli. Broń ograbiono z nich na polecenie samego papieża, którego skarbiec świecił pustkami. Dąbrowski, po odrestaurowaniu karabeli, podarował ją Tadeuszowi Kościuszce, który przekazał ją do Świątyni Sybilli w Puławach, pierwszego polskiego muzeum, gdzie przechowywano narodowe pamiątki. Z Puław szabla trafiła do Krakowa, razem z resztą skarbów ze Świątyni, i stała się jednym z eksponatów Muzeum Czartoryskich. W czasie II wojny światowej padła łupem Niemców. Ukradł ją żołnierz Wehrmachtu, nie mogąc jednak zmieścić broni w plecaku, złamał bezcenny brzeszczot, by zachować choć rękojeść. Tak została zniszczona ostatnia oryginalna część karabeli. Dziś na Wawelu jest przechowywana jedynie pochwa. Opisano ją jako pamiątkę po Sobieskim, ale Czytelnicy tej powieści będą wiedzieć, że to replika wykonana przez rzymskich mistrzów na polecenie generała Dąbrowskiego.

[1] Data według tzw. francuskiego kalendarza rewolucyjnego, obowiązującego we Francji w latach 1793–1806, w którym za początek nowej ery przyjmowano 22 września 1792 roku, czyli dzień proklamowania republiki (przyp. red.).

[2] Czechczery (staropol., od pers. i tur. *czachczyr* – gacie, spodnie) – letnie spodnie z jasnego płótna.

[3] Lejbik (od niem. *Leibchen* – kaftanik) – górna część munduru (bez kurtki), bluza mundurowa, a w tym wypadku po prostu biała koszula.

[4] Konfidencja (staropol., od łac. *confidentia* – zaufanie) – poufałość.

[5] *En grande tenue* (fr.) – w pełnej gali.

[6] Landara (od niem. *Landauer Wagen* – wóz z Landau, gdzie wytwarzano powozy) – duża, ciężka karetka podróżna (przyp. red.).

[7] Eskapitacja (staropol.) – wyjaśnienie.

[8] Piazza Del Popolo (wł.) – Plac Wszystkich Ludzi.

[9] Lamantyna – jedwabna tkanina o skośnym splocie.

[10] San Sisto Vecchio (wł.) – kościół Świętego Sykstusa.

[11] Salopa (od fr. *salope* – szal) – obszerne damskie okrycie z peleryną i kapturem.

[12] Florans – lekka tkanina jedwabna, wytwarzana we Florencji.

[13] *Par excellence* (fr.) – w całym tego słowa znaczeniu, dosłownie.

[14] Sekcja – połowa plutonu, czyli 5–6 żołnierzy.

[15] Dowódca republikańskiej armii rzymskiej.

[16] Hajcują się (gwarowe, od niem. *heizen* – palić się, płonąć) – palą się.

[17] Szaraczek – w dawnej Polsce określenie ubogiego szlachcica. Niżej w hierarchii stała już tylko „gołota” – szlachta niemająca nic prócz koszuli na grzbiecie i szabelki u pasa.

[18] Facecja (staropol., od łac. *facetia* – dowcip) – kawał.

[19] Eksperienca (staropol., od łac. *experientia* – próba) – doświadczenie życiowe.

[20] Łyczkowy kapelusz – kapelusz z tasiemką zawiązywaną na szyi (gardle), stąd staropolska nazwa nawiązująca do łykania.

[21] Riunika (od fr. *réunie* – łączona) – suknia uszyta z tkanin o różnych kolorach.

[22] Mamałyga – rumuńska, ale szeroko znana w Polsce nazwa popularnego, także we Włoszech, dania z mąki kukurydzianej. Legioniści określali mamałygami lub polentami (polenta – włoskie miano tego samego dania) żołnierzy Trzeciego Batalionu, gdyż wyłogi ich mundurów miały kolor mamałygi. Było to określenie obraźliwe.

[23] Trefne fanty (warszawska gwara złodziejska, od jidysz *trejfn* – nieczysty i niem. *Pfand* – zastaw) – podejrzana zdobycz, złodziejski łup (przyp. red.).

[24] Tête-à-tête (fr.) – sam na sam.

[25] *Un air de reine* (fr.) – mina królowej, a w przenośni: dumny i wyniosły wyraz twarzy.

[26] Konsolować (staropol., od łac. *consolor* – dodawać ducha) – pocieszyć, zabawić.

[27] Baurami (od niem. *bauer* – chłop) legioniści nazywali autochtonów, niezależnie w jakim kraju akurat się znajdowali.

[28] Rewolucyjny tydzień liczył 10 dni i był nazywany dekadą.

[29] *À tout prix* (fr.) – za wszelką cenę.

[30] Destynowany (staropol., od fr. *destiner* – przeznaczać) – przeznaczony, wyznaczony.

[31] É. J. Macdonald (1765–1840) – Francuz szkockiego pochodzenia, późniejszy marszałek Francji.

[32] Grandesa (staropol., od hiszp. *grand* – arystokrata) – wielka dama.

[33] Rebell (fr. *rebelle* – buntownik) – rebeliant, powstaniec. Używane przez legionistów określenie buntowników wiernych papieżowi.

[34] Resursy (staropol., od fr. *ressources* – środki) – zasoby.

[35] *Quello è buon gusto!* (wł.) – To jest smaczne!

[36] Mowa o Francuzach (perukarze), Prusakach (pludry) i ogólnie o wszystkich Niemcach (harcapy; Niemców nazywano również kartoflarzami).

[37] *Bien entendue* (fr.) – rzecz jasna.

[38] Sążen polski – 1,78 m.

[39] Prolonża – przodki artyleryjskie, czyli jednoosiowe wozy armatnie.

[40] Krok mały – liczył 12 cali, czyli około 30 cm. Żołnierze wykonywali 80 kroków na minutę, czyli krokiem małym przemierzali 24 m/min.

[41] Grecki sposób – popularny w dawnej Polsce związek frazeologiczny (nawiązujący znaczeniowo do historii wojny trojańskiej), oznaczający podstęp.

[42] Bresza (od niem. *Bresche*) – wyłom w murze.

[43] *Assemble* (fr.) – sygnał na zbiórkę.

[44] *Pendent* (od fr. *pendant* – wiszący) – rzemień u bandolierki lub pasa do zawieszania broni.

[45] *Recypis* (staropol., od łac. *recipio* – poręczyć) – pokwitowanie.

[46] Rozszlachtować (od staropol. szlachtować – ciąć, zabijać, dzielić) – rozstawić.

[47] Polenta, zieloni – znów nawiązanie do barwy wyłogów żołnierzy z poszczególnych batalionów.

[48] *Polonais, allez voir* (fr.) – Polacy, zaczynajcie!

[49] *Rashtag* (od niem. *Rasttag* – dzień wypoczynku) – odpoczynek.

[50] *Excellet travail* (fr.) – Świetna robota.

[51] *Furioso* (wł.) – szaleńcy.

[52] *Hic...* (łac.) – Tu leży pochowany prostak i głupek.

[53] *Plejerowany* (staropol.) – ranny.

[54] *Dove l`oro?!* (wł.) – Gdzie złoto?!

[55] *Fizyliada* (staropol., od fr. *fusil* – strzelba) – strzelanina.

[56] *Totumfacki* (staropol., od łac. *fac totum* – rób wszystko) – zaufany służący, lecz także: popychadło.

[\[57\]](#) Tartas (staropol.) – hałas.